

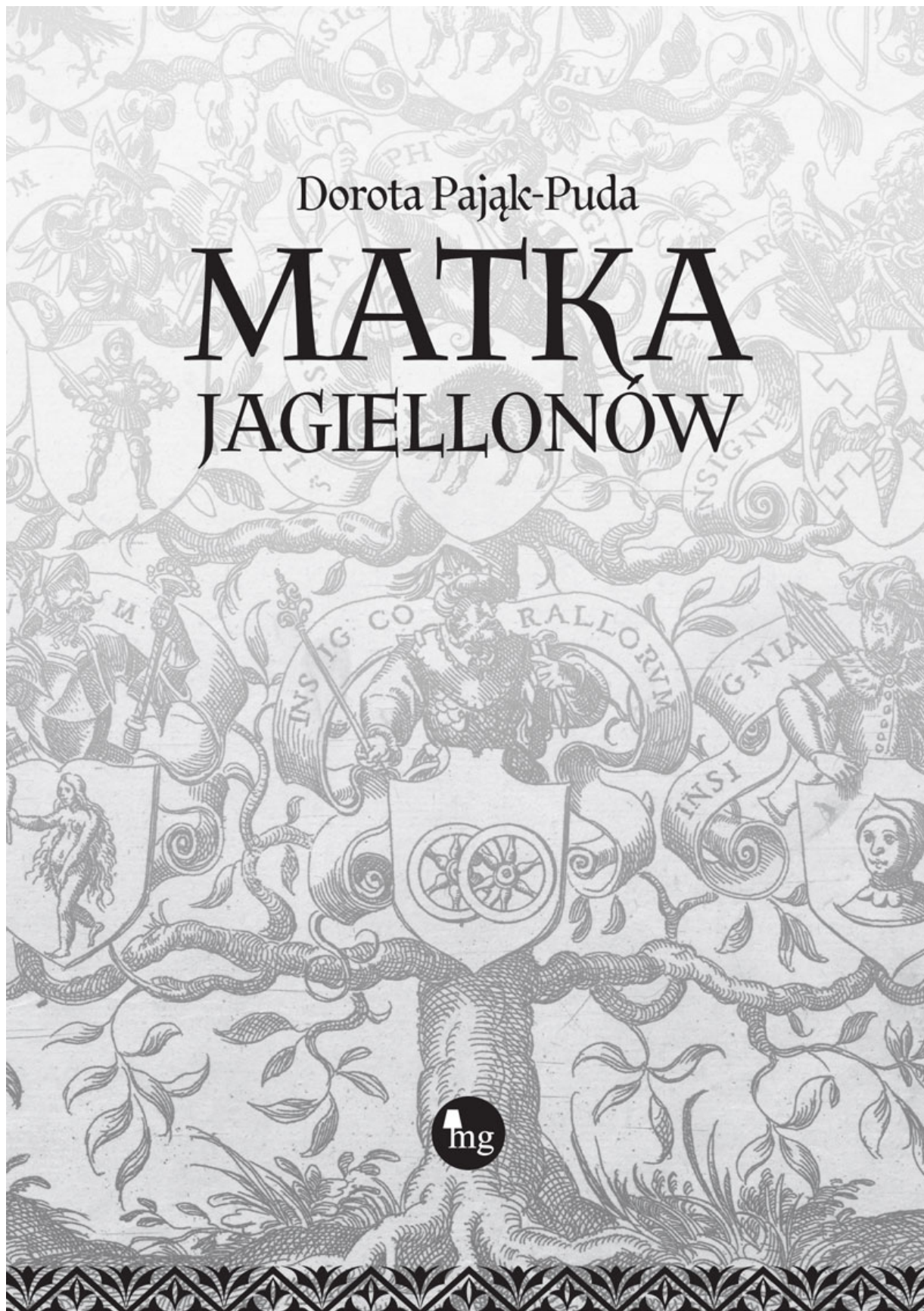
Piękna historia Elżbiety Rakuszanki, żony Kazimierza IV Jagiellończyka, matki królów:
Władysława II Jagiellończyka, Jana I Olbrachta, Aleksandra Jagiellończyka,
Zygmunta I Starego oraz świętego Kazimierza (patrona Polski i Litwy).

Dorota Pająk-Puda

MATKA JAGIELLONÓW

Dorota Pająk-Puda

MATKA JAGIELLONÓW



1454

Miałam wrażenie, że podróż z Pragi do Krakowa trwa całe moje życie. W lutym raz ścinał mróz, raz przeciążone wozy stały godzinami w wodzie po osie. Mimo surowej i kapryśnej pogody ludzie wylegali tłumnie na trakt, by zobaczyć towarzyszący mi orszak nieprzebranej masy dworzan i cesarskiego *splendidi apparatus*¹.

Na ostatnie godziny przed Krakowem chciałam zostać sama. Muzykom już wcześniej kazałam schować się w ciepłym miejscu, bo żal mi było ludzi, choć ponad wszystko pragnęłam ciszy. Aksamitne purpurowe wnętrze nie chroniło przed wilgocią i mimo starań służby w środku coraz bardziej cuchnęło mokrym zwierzem. Podniosłam się z miękkiego posłania i przysiadłam pod ścianą skrzypiącego wozu. Odsunęłam warstwy barwnych kobierców i ostrożnie wyjrzałam na zewnątrz. Brunatny krajobraz przypominał płytkie, bure jezioro. Zdrożone wierzchowce, dźwigające na grzbiecie milczących i równie wyczerpanych dworzan, obojętne na wartość swoich kropierzy² nurzały je w szarym błocie. Jakby ziemi mało było wody, znowu zaczął padać deszcz. Spojrzałam w szare niebo i chciwie wystawiłam twarz na orzeźwiające mokre szpilki.

Ja, Elżbieta Habsburg, córka zmarłego przed piętnastoma laty króla Węgier i Czech, księcia Austrii, cesarska wnuczka, byłam narzeczoną, jak mi powiedziano, miłego, sepleniącego i łysiejącego króla Polski, wielkiego

księcia Litwy, Kazimierza Jagiellończyka. Jechałam na nasz ślub i tego właśnie dnia miałam zostać królową Polski. Mimo że płynęła we mnie odrobina świętej piastowskiej krwi, ziemia ta znana mi była jedynie z kart ksiąg i opowieści świątłych mężów.

Sięgnęłam po welinowy³ modlitewnik, okryłam się ciepło i zaczęłam przewracać lśniące złotem karty. Byłam zmęczona, na dodatek niemal u kresu podróży nieoczekiwane orszak wstrzymano na trzy dni. By dokończyć przygotowania w Krakowie, tak mówiono... Jednak spłoszone spojrzenia Polaków i wyłowione z szeptów słowa na skawińskim dworze powiadały co innego. A ja od dawna nie miałam co do siebie złudzeń.

– Niezwykłe, jak cenione jest ciało, które się wyróżnia, ale jak w końcu spokój w obcowaniu przynosi to, które nie wyróżnia się niczym – powiedziałam w przestrzeń.

Plecy tamtego dnia bolały mnie bardziej niż zwykle, do tego deszcz padał coraz mocniej. Wygrzebałam się z futer, obfitej materii nad podziw strojnej szaty, i ucałowawszy go wcześniej z czcią, odłożyłam nieczytany modlitewnik. Ułożyłam stopy wysoko na oparciu miękkiego siedziska i zaczęłam liczyć perły na atlasowej sukni. Kiedy usłyszałam krótki dźwięk trąbek, natychmiast zdjęłam nogi. Rozróżniłam kilka podniesionych męskich głosów i jeden wyraźnie wzburzony – niewieści. Zdążyłam godnie usiąść w chwili, kiedy *cubicularius*⁴ zamasyście odsłonił wejście. Inny sługa nabrał mocno powietrza i wykrzyczał doniośle:

– Zofia, księżniczka litewska, królowa Polski!

Szybko przyglądałam suknię. Że też odesłałam całą służbę! Jego matka! We własnej osobie? A on nie wyjechał po mnie? Nie zdążyłam pomyśleć, co to oznacza, kiedy zobaczyłam najpiękniejsze czarne oczy w najładniejszej dojrzałej twarzy, jaką kiedykolwiek widziałam w swoim osiemnastoletnim życiu. Ciemnowłosa strojna piękność z pierwszymi

śladami siwizny wsunęła się zgrabnie do wilgotnego wozu i zwróciła się do mnie przyjaźnie w jakimś śpiewnym języku.

Za nią usiadła bardzo szczupła młoda kobieta.

– Pani, królowa Zofia wita cię i każe przekazać, że na pozostałą część podróży zaprasza do swojego powozu – przetłumaczyła na niemiecki.

Nie zdobyłam się na żadną odpowiedź. Onieśmielona zachowaniem królowej i podnieconym tłumem na zewnątrz, nagle zdałam sobie sprawę, że opuszczając tę nieustannie trzeszczącą purpurową skrzynię, zrywam ostatnią nić łączącą mnie ze znanym mi światem.

Z łomoczącym sercem i niepewnym uśmiechem skłoniłam się najpiękniej, jak umiałam. Zapanowała niezręczna cisza, ale już po chwili służba zabrała się za moszczenie nas w malutkim, lekkim i suchym reywaniu⁵ królowej Zofii. Piękna pani nieoczekiwanie ujęła moje lodowate dłonie w swoje ciepłe ręce i przez całą drogę nie przestawała się do mnie uśmiechać. Jechałyśmy coraz wolniej wśród napierającej zewsząd ludzkiej ciżby, aż wreszcie purpurowo-złoty wóz zatrzymał się.

– Oto cel twej podróży, pani, Wawel – powiedziała tłumaczka.

Kiedy wysiadłam, dźwięk potężnych trąb uderzył we mnie boleśnie. Nogi miałam zdrętwiałe i cały świat chwiało się, jakbym wciąż jechała. Spojrzałam w górę. Przynajmniej przed mną pięło się małe miasto na wzgórzu.

Deszcz natychmiast zalał moje misternie ułożone długie włosy, przyklejając je do czaszki. Cała suknia tak nasiąknęła wodą, że nie mogłam jej unieść nawet z pomocą czterech dwórek, równie mokrych jak ja. Dziki tabun koni w mojej głowie dudnił tak mocno, że nie słyszałam, co kto do mnie mówi. Nawet życzliwa królowa była jedynie niewyraźnym cieniem wśród innych cieni. Słyszałam tylko ten straszny tętent. Spoglądałam przed siebie. On tam czekał – wysoki, ciemnowłosy, odziany w królewską

czerwień i klejnoty. Szłam po namokniętych zimnych kobiercach, starając się trzymać głowę wysoko. Tabun przyspieszał. Dudnił.

Na mój widok król Kazimierz obejrzał się za siebie, jakby chciał uciec. Przejechał dłonią po łysiejącej głowie i ze świstem wypuścił powietrze. W języku Cyncerona wycedził formułę powitania i... oddalił się!

Stałam bezradnie z twarzą mokrą od deszczu i drżałam z zimna. Patrzyłam w ślad za człowiekiem, któremu powierzyłam swe ciało i ducha, a który mną wzgardził i zostawił mnie samą! Jednak czyż nie tego się spodziewałam? Przecież byłam na to gotowa!

Łykałam wymieszany z ciepłymi łzami zalewający mi usta lodowaty deszcz. Czułam, jak tysiące ciekawskich oczu odciskają gorące piętno na moich plecach i jak z każdym oddechem widowisko coraz bardziej im się podoba. Zaraz wszyscy zaczną się śmiać! Zacisnęłam powieki. Wreszcie ktoś litościwie podał mi rękę i sprowadził mnie z podestu, ktoś inny przywitał u drzwi katedry. Weszłam w jej ciemność bez narzeczonego u boku.

Po złożeniu darów w wawelskiej świątyni sztywna z upokorzenia wypłynęłam wraz z tłumem na zewnątrz i trwożnie rozejrzałam się wokół. W towarzystwie dzwonów, trąbek i piszczałek poprowadzono mnie przez wielki dziedziniec, potem mniejszy, z ciasno upchanymi budynkami, po łuku spiętymi krużgankami. Nieoczekiwanie uderzył mnie zapach jadła. Od rozkosznego aromatu pieczonego mięsa ślina napłynęła mi do ust i aż zakręciło mi się w głowie, bowiem jako przykładna narzeczona pościłam już trzeci dzień.

Część orszaku wspięła się na solidne drewniane krużganki; mnie poprowadzono w stronę smukłych budynków o ostrych szczytach i koronkowych okładzinach. Po kamiennych schodach kroczyłam powoli

w stronę mojego nowego domu. Na piętrze pachniało deszczem i świeżym wapnem.

W towarzystwie królowej wprowadzono mnie do komnaty szczerze rozświetlonej świecami i mocno skropionej sosnowym olejkiem. Czułam, jak przyjemne ciepło odkleja od mojego ciała przemoczone szaty. Starsza, rumiana kobieta dość obfitych kształtów ponaglała służki, chyba po polsku. Królowa, która rozsiadła się już na rzeźbionym krześle z wysokim oparciem, w skupieniu obserwowała czynności w sypialni. Krótkie rozkazy i szepty urwały się nagle, kiedy zwinne dziewczęta zrzuciły ze mnie suknie i koszule. Przerażone przyglądały się mojej zniekształconej sylwetce. Stałam nieruchomo i ze łzami w oczach patrzyłam przed siebie.

Niestety mojej młodości Bóg podarował ciało staruszki. Przez duży garb miałam nieruchome plecy. Dla równowagi nosiłam głowę pochyloną na prawe ramię, przez co lewa część twarzy była wyraźnie większa. Głowę miałam bardzo wąską, oczodoły wydłużone, a przednie zęby tak wypchnięte w przód, że prawie płasko wystawały z górnej szczęki, przez co nigdy nie mogłam ich ukryć w ustach... Spiczaste łokcie, nienaturalnie duży brzuch i przydługie ręce również nie dodawały mi urody. Miałam jeszcze wystający podbródek, ale tylko troszeczkę.

Jak zawsze, widziałam w niektórych twarzach odrazę, a w innych współczucie. I jak zawsze nieodmiennie czułam wstyd. Zaczęłam znowu drzeć i próbowałam zasłonić pierwszy raz gładko wygoloną płeć. Panny z wiedeńskiego dworu, wielka Erika i miedzianowłosa Dorika, podeszły pierwsze i ze spokojem zaczęły wycierać moje członki i mokre włosy. Nie chciałam, by pozostałe kobiety z mojego powodu czuły się niezręcznie.

– Nie potrzebuję zwierciadła, wasze twarze mówią wszystko – próbowałam zażartować. Uśmiechnęłam się nieśmiało, jak zawsze ściągając po tym usta.

Królowa zmarszczyła doskonale brwi, wstała, uniosła swoją migoczącą od szmaragdów suknię i powoli podeszła do mnie, dzwoniąc ciężką biżuterią. Jakaż była wysoka!

Spuściłam wzrok, gotowa na obelgę i odesłanie do Pragi. Jednak ona ostrożnie zdjęła z mojego otartego do krwi barku twardą deskę, za pomocą której od lat dwór wiedeński wyrównywał mi krzywe ramiona. Zofia z odrazą rzuciła ją w kąt, chwyciła rąbek koszuli i opatrzyła ranę. Dwórki, szepcząc do siebie, pomogły mi ostrożnie ułożyć się w łóżu. Królowa dyskretnie włożyła mi w usta kawałek sera, a ja łakomie wepchnęłam go głębiej. Jego doskonały smak rozlał się rozkoszą po wygłodniałym ciele i przytępił przenikający mnie ból. Zasnęłam natychmiast, nie dopuszczając do siebie żadnych myśli.

*

Wczesnym rankiem, kiedy jeszcze panował mrok, a oczy piekły mnie z niewyspania i od kopcących łojowych lampek, okazało się, że przydzielono mi trzy zgrabne komnatki obok komnat króla. Nie mogłam się powstrzymać od spoglądania na nieotwierane od wczoraj tajemnicze drzwi. Grupa niemych dwórek rozpoczęła ubieranie mnie i upinanie jasnych, wciąż mokrych włosów, które były tak gęste, jakby chciały zadośćuczynić za inne braki. Na krzywy bark położono mi mięciutką poduszeczkę. Z przyjemnością pieściłam podłogę bosymi stopami, kiedy ogrzane powietrze przenikało z dołu przez szczelinę między kamiennymi płytami.

Wreszcie gotowa, w ciężkiej, purpurowo-zielonej aksamitnej sukni skrzęcej się od rubinów i szmaragdów, usiadłam w największej chyba z moich komnat w oczekiwaniu na ochmistrza dworu. Kilkunastu nieznanym mi ludzi siedziało na bogato rzeźbionych drewnianych ławach po obu stronach sali w dwóch równych rzędach. Z kamiennymi twarzami

patrzyli milcząco w moje oblicze. Wiedziałam, że od teraz wszyscy będą na mnie patrzeć. Surowe postaci z barwnych ściennych malowideł potęgowały mnogość nieprzyjemnych wrażeń. Jedyne masywna jednoręka kolumna wspierała mnie, wyciągając swoje giętkie palce, by trzymać nade mną ciężki sufit.

Wstające słońce przez chwilę wypalało mi dziurę w plecach. Siedziałam zapatrzona w nieruchome drzwi naprzeciwko, ścisnęłam małą jedwabną chusteczkę i czułam, jak płoną mi policzki. Co chwilę podskakiwałam, bo wydawało mi się, że słyszę zbliżające się głosy. Postaci na zewnątrz przybliżały się jednak tylko po to, żeby minąć moją sień i podążyć dalej. Było mi coraz goręcej. Siedziałam, prosząc raz po raz o piwo najbliższej siedzącej damy. Swędzący pot spływał mi po szyi, spróbowałam odsunąć z czoła sztywną chustę ze złotogłowiu⁶ i przypiętą pod nią złotą siatkę. Ciężki szpiczasty hennin⁷ z długim trenem niewygodnie odchyłał mi głowę do tyłu. Plecy mnie piekły, miałam wrażenie, że czart wbił mi tam rozgrzany do białości sztylet i kręci nim z diabelską przyjemnością.

Słońce miało się ku zachodowi, a ja już nie czekałam na swój ślub. Z każdą mijającą chwilą byłam coraz bardziej pewna, że zostanę odesłana do brata, i z każdym mrugnięciem oka oczekiwałam uprzejmego posłańca z uprzejmą mową od króla, po której sama uprzejmie nakażę pakowanie. Najlepiej wyruszyć pod osłoną nocy...

Dworzanie zaczęli szeptać i wiercić się na twardych ławach. Ja zaś prawie zapadłam w sen, wtedy jednak weszła szczupła tłumaczka, jak zdążyłam się zorientować, Katarzyna, zaufana królowej Zofii. Przyniosła nowy dzban piwa i skłoniła się zgrabnie. Dworzanie rzucili się do napitku, bardziej by rozprostować kości niż z pragnienia.

– Proszę, wyjaśnij mi, co się tutaj właściwie dzieje? – szepnęłam jej do ucha zaniepokojona, podniósłszy się z siedziska.

– Słyszałam, że uroczystość odwleka się, bo duchowni nie mogą uzgodnić, kto ma odprawić ceremonię – odpowiedziała, zmieszana, równie cicho.

– Co takiego?

– Tak słyszałam, pani – odparła zarumieniona.

– Zaprowadź mnie do królowej – wydałam stanowcze polecenie. Dworzanie popatrzyli na mnie zaskoczeni.

Kiedy ujrzałam ciekawskie spojrzenia dostojnych gości szepczących w grupkach na piętrze i wypełniających dziedziniec, znudzonych oczekiwaniem w komnatach, a równie jak ja od dawna gotowych na ceremonię, cofnęłam się z krążganków do sieni. Odruchowo schowałam twarz za nieprzejrzystą chustą.

– Czy mogłabyś... – zwróciłam się niepewnie do Katarzyny.

– Ależ tak... – Dwórka od razu zrozumiała moje obawy i poprowadziła mnie oraz Erikę krętymi wewnętrznymi schodkami w stronę komnat królowej Zofii.

Tam jej nie zastałyśmy, ale kolejnymi wąskimi stopniami poprowadzono nas do małej kaplicy. Kiedy weszłam w jej mrok, widziałam tylko czarne ludzkie cienie. Usłyszałam szelest sukien. To fraucymer⁸ królowej zerwał się jak spłoszone stado ptaków. Ich wyszeptane powitanie odbiło się po wielokroć od ceglanych ścian. Wszystkie równo złożyły głęboki ukłon. Odpowiedziałam im, mam nadzieję, z taką samą gracją. W plamie pomarańczowego światła padającego z wąskiego okienka ukazała się królowa ubrana w czerwień. Mimo że zaskoczona wizytą, przywitała mnie z wielką serdecznością.

– Musze cię przeprosić... – Westchnęła i pocałowała mnie głośno w oba policzki.

– Miłościwa pani, może będę mogła pomoc – powiedziałam i znowu złożyłam ukłon.

Katarzyna dyskretnie tłumaczyła. Królowa gestem zachęciła mnie, abym mówiła dalej.

– Ilu występuje w sporze? – zapytałam.

– Dwóch. Kardynał Oleśnicki i arcybiskup gnieźnieński Jan ze Sprowy – padła z głębi ciemnej kaplicy odpowiedź po niemiecku udzielona męskim głosem.

To był głos króla. Odwróciłam się gwałtownie. Zbliżył się do mnie, jego surowe spojrzenie uderzyło mnie z mocą młota. Ciężki od drogich kamieni niewygodny ślubny dublet⁹ wisiał na nim, niedbale rozpięty. Zapewne król nosił go od rana, tak jak ja swoją suknię.

– Czy nikt inny nie może odprawić ceremonii? – Odważyłam się spojrzeć w kościstą i ciemną twarz przyszłego męża.

Pokręcił głową, skrzyżował ramiona i zatrzymał wzrok na swych nowych ciżmach.

Zapatrzyłam się w ostatnie nitki światła i zmrużyłam oczy.

– Wiem! – wykrzyknęłam uradowana. – Doniesiono mi, że gości w Krakowie wielki Jan Kapistran, czy on nie mógłby udzielić ślubu i zaradzić w sporze?

Patrzyłam z wyczekiwaniem w stronę króla. Przecież on mnie nie chce! Prawda znana mi od wczoraj dziś zaboląła mocniej, jak uderzenie w łokieć.

Jednak Kazimierz, zaskoczony, rzucił mi krótkie spojrzenie i opuścił rękę. Po chwili odwrócił się do kogoś, kogo nie widziałam, i wydał cicho dyspozycje.

Katarzyna tłumaczyła moje słowa swojej pani, a Zofia słuchała z zainteresowaniem.

– Ha! – Wzniosła dłonie, kiedy Katarzyna skończyła. – Może dzięki tobie zakończymy to pasmo hańby – dodała, uśmiechając się do mnie, na syna zaś spojrzała z wyrzutem.

Kiedy wychodziłam, czułam na plecach wzrok obojga. Spróbowałam choć odrobinę się wyprostować.

Katedra zadrżała od nabożnych głosów *capellae regiae*¹⁰, a wystraszony Jan Kapistran zmierzał już w naszym kierunku, kiedy kardynał chwycił go mocno za ramię i ściągnął ze stopni ołtarza. Szmer oburzenia rozszedł się po świątyni. Wyteżyłam wzrok i słuch. Niewiele widziałam przez ślubny welon. Jan, wciąż trzymany za rękaw, kiwnął głową i na wyszeptane pytanie Oleśnickiego odpowiedział z ulgą: „Nie, nie znam niemieckiego”, i czym prędzej się oddalił. Kardynał otarł z odrazą ręce o cenną szatę i zbliżył się do nas przez nikogo nie niepokojony. Złożył dłonie do modlitwy i z zadowoleniem spoglądał na klęczące królestwo.

Spóźniona ceremonia odbyła się w nieskładnym pośpiechu. Kardynał ze skupioną twarzą udzielał ślubu, a urażony arcybiskup gnieźnieński koronował mnie na królową Polski. Ja nie nadażałam, a poblady król ani razu nawet na mnie nie spojrzał.

Oboje, krocząc obok siebie, zmęczeni poprowadziliśmy orszak na ucztę weselną. W ogromnej sali było bardzo duszno. Zwisających pod wysokim, niemal katedralnym sklepieniem kolorowych kitajskich tkanin¹¹ nie poruszał najłżejszy nawet podmuch. Przez barwione szkło w niebosiężnych strzelistych oknach zaglądał kolorowy księżyc.

Usadzono nas pod baldachimem jako parę królewską i witano po raz kolejny. Podano ręczniki, wodę do mycia rąk i złoty koszyk z kawałeczkami chleba. Wniesiono pierwszą potrawę. Przed nami przy dźwięku fanfar postawiono spieczonego na czarno jelenia z wieńcem mirtu w potężnym porożu. Wyglądał jak spętana, spalona na stosie ofiara.

Zamiast okrzyków zachwyty zaległa niewygodna cisza. Król odchrząknął, wyprostował się i opadł na krzesło niezadowolony. Wystraszony kuchmistrz koronny cały w ukłonach odkroił i ku mojemu zdziwieniu podał kawałek mięsa krajczemu. Ten, również zgięty w pół, podał go stolnikowi, który wreszcie dotknął chlebem kawałka *Hirschfleisch*¹² i przyłożył do języka. Sprawdzone kęs wrzucił do dużego srebrnego kosza. Dopiero po tym oddzielił drugi, większy kawałek jeleniny i podał cierpliwie czekającemu królowi. Drugi kuchmistrz rozpoczął ceremonię z moim udziałem.

Jeśli chcesz, możesz mnie nawet odesłać, ale najpierw niech coś zjem, pomyślałam, czując, że mam całkiem ściśnięte trzewia, i nie spuszczać z oka swojej porcji mięsa. Jak się później dowiedziałam, ceremonia ten, chroniący królestwo przed otruciem, dotyczył każdego naszego dania.

Jadłam w ciszy i miałam wrażenie, że wszyscy obserwują moje usta. Po chwili gości najwidoczniej znudził osobliwy widok, bo gwar powoli narastał, kusilo jadło i trunki. Dyskretnie rozglądałam się po wielkiej sali. Wzdłuż długich stołów tłoczyło się mrowie bogato odzianych osób pożerających olbrzymie ilości ciast różnych form i przybrań, drobną duszoną i gotowaną zwierzynę, zupy białe, żółte i zielone, piramidy z całych wołów z prosiętami i kurczętami na szczycie, leguminy i wieże z kolorowych galaret z utopionymi w nich owocami, skąpane w girlandach ze świerkowych gałęzi. Nareszcie syta, walczyłam ze snem.

Potem jako małżonkowie przyjmowaliśmy dary. Przedstawiono mi niezliczone postaci polskiego dworu i zaproszonych gości. Po królewsku udawaliśmy, że bawią nas popisy cyrkowców, tancerzy i grajków. Pewnie i ja, i on kiedyś wyobrażaliśmy sobie ten dzień jako dużo szczęśliwszy.

Z mieszaniną żalu i wstydu ukradkiem spoglądałam na męża. Czuję się winna jego rozczarowania. Skusił się na Węgry i Czechy, a za to musiał poślubić poczware! Cały czas zaciskał szczęki. Siedział na lewym boku,

trzymając się jak najdalej ode mnie, i nerwowo poruszał udami. Nagle przypomniałam sobie jego twarz. Oczywiście! Widziałam go w Skawinie! Osobiście przyjechał mnie zobaczyć! Niby wstrzymano mój orszak przez śniegi i przygotowania w Krakowie! Kłamstwo! Trzy dni zastanawiałeś się, czy mnie nie odesłać! Dlatego królowa osobiście po mnie wyjechała! To przez ciebie! Zabolało mnie gardło i zapiekły oczy. Teraz nie mogłam płakać, ale nie miałam śmiałości spojrzeć na ludzi przed sobą. Próbowałam opanować rozpacz i wzburzenie.

Nie zapominaj, czyją jesteś córką, skarciłam sama siebie. Odetchnęłam głęboko i mocno zacisnęłam palce na złożonych poręczach krzesła. Uniosłam wysoko podbródek i zdałam sobie sprawę, że przypatrują mi się w tej chwili tylko dwie osoby: królowa Zofia z życzliwym uśmiechem i kardynał, który odprawił kościelną ceremonię. Ten patrzył przenikliwie, jakby chciał odgadnąć wszystkie moje myśli. Zapewne uznał mnie winną próby pokrzyżowania mu planów. Strojny nie gorzej od króla, krzywiąc się, co raz do nosa przykładał jedwabną chusteczkę. Obok niego siedział Jan Kapistran, ubrany w lichą szatę niezmienianą zapewne od lat. Wielki ojciec kościoła z odrazą patrzył na niemal obnażone ramiona dam, ich (o zgrozo!) rogate, niebotycznie wysokie kornety¹³, henniny, zawoje i czepce spowite mgłą cieniutkich welonów. Surowy przeciwnik dóbr doczesnych z pogardą oglądał weselny przepych, co nie przeszkadzało mu zjeść wszystkich złożonych konfektów¹⁴, które miał w zasięgu ręki. Ja wolałam oglądać królową. Wzniosła w naszą stronę kielich, w sali gruchnęło ze wszystkich gardeł gromkie: „Vivat!”. Uśmiechnęłam się i odwzajemniłam gest. Kazimierz wzniosł z nikłym uśmiechem szklany puchar. Z zaskoczeniem zobaczyłam, że pije tylko wodę.

Kiedy muzykanci zagrali moje ulubione dźwięki, aż podskoczyłam. Kątem oka zauważyłam, że król ani się ruszył, nie zamierzał tańczyć, a już

na pewno nie ze mną. Pozwolić mogłam sobie jedynie na stukanie pantofelkiem w podest. Gest ten nie umknął królowej Zofii, pięknie wyglądającej w brunatnej, haftowanej złotem sukni. Kiedy zdążyła się przebrać?

Przywołała ochmistra swego dworu i szepnęła mu kilka słów, patrząc w moją stronę. Posłała mi przy tym serdeczny uśmiech, syna obdarzając najchłodniejszym z możliwych. Taniec z miłym mężczyzną był bardzo przyjemny. Uwielbiałam tańczyć, a że okazało się, iż mój partner też, popis wyszedł nam całkiem zgrabnie. Dworzanie hałaśliwie bili brawo, pewnie liczyli, że zapamiętam najgorliwszych.

Była głęboka noc i wesele trwało już kilka godzin, kiedy przy żywym poparciu podchmielonych gości ogłoszono pokładziny.

Wprowadzono nas do komnaty z wielkim łóżem pod baldachimem ze złotogłowi i w towarzystwie nerwowych chichotów i nieprzystojnych żartów usadzono obok siebie. Zapadłam się tak, że nic nie widziałam. Serce zaczęło walić mi jak w czasie powitania. Zostaliśmy sami. Poczułam ruch na łóżu, wstrzymałam oddech. Nasłuchiwałam. Po chwili delikatnie uniosłam głowę jeszcze wyżej. Nie było go! Opadłam na poduszki. A czego ja się spodziewałam, pomyślałam tylko, zanim zapadłam w sen.

Rankiem obudziłam się w tej samej pozycji.

– Król – burknęłam.

*

Po wczesnej mszy w katedrze, podczas której dygotałam z zimna i niewyspania, znowu siedzieliśmy przy stole. Król tak jak wczoraj nie odzywał się i nie patrzył w moją stronę. Ciepłe aromaty unoszące się ze stosów jadła, wymieszane z zapachem roślin, ludzkich ciał i wyziewów,

przyprawiały mnie o mdłości. Wszyscy jeszcze pijani wgapiali się w nasze twarze i uśmiechając się znacząco, próbowali zgadnąć wydarzenia nocy.

Kolejne cztery dni nie różniły się od poprzednich. Picie, tańce, muzyka, popisy, gry wewnątrz zamku i na powietrzu, turnieje, swawole, zaloty i jedzenie, jedzenie, jedzenie. I znowu picie. Sądząc po czerwonych twarzach, częstych wybuchach śmiechu, żartach w każdym języku chrześcijańskiego świata – wszyscy goście bawili się znakomicie. Tylko ja i Kazimierz trwaliśmy tam jak dwie strojne kukły, które ktoś dla uciechy posadził na cudzym weselu.

Szóstego ranka w małej gotowalni, obolała od kilkudniowego siedzenia na krześle, cierpliwie pozwalałam dwórkom nałożyć kolejną warstwę sukien, która miała ochronić mnie przed chłodem kościoła. Od kilku dni nie mogłam się rozgrzać.

– Dłużej tego nie zniosę. Niech już mnie nakarmi po czubek głowy i odeśle pieszo do Władysława, do Pragi... – jęczałam do uprzejmie potakującej, lecz nic nierozumiejącej polskiej dwórki.

Orszak z kaplicy nie skierował się do wielkiej sali, ale wśród dźwięków *tubatorum*¹⁵ ogłoszono moje nadejście i wyprowadzono mnie na obszerny dziedziniec. Na placu stały misternie rzeźbione trybuny z miejscem dla obojga królestwa. Szkoda, że dla obojga, bo król tego dnia nie miał chyba zamiaru pojawić się na kolejnym turnieju. Pewnie szykował jakieś zgrabne pismo do mojego brata, żeby jeszcze zgrabniej mnie odesłać. Usiadłam w ponurym nastroju, świadoma setek ciekawskich spojrzeń. Chudy szlachcic o czerwonej twarzy powiedział zapewne coś zabawnego, bo cała trybuna naprzeciwko gruchnęła śmiechem. Zimno zaczęło przenikać mnie na wskroś. Niektórzy rozgrzewali się trunkami, co słychać było w coraz bardziej niewybrednych pokrzykiwaniach na rycerzy biorących udział w potyczkach. Służba roznosiła jadło i jakiś bardzo smaczny kwaśny

napitek. Po posiłku zrobiło mi się przyjemnie ciepło i z większym zainteresowaniem przyglądałam się potykającym.

Przed publiczność wypadł na olbrzymim koniu strojnym w złoty rząd potężny rycerz, również zakuty w szlachetny kruszec. Twarz miał ukrytą pod przyłbicą, spod której wydobywała się para w tym samym rytmie co z nozdrzy jego konia. Postać jego wzbudziła ogromny aplauz wśród oglądających, a kiedy wznosił prawicę w pozdrowieniu, z wielu niewieścich gardziołek wydobył się pisk ekstazy, płacz, a jedną białogłową trzeba było długo cucić – ku sromocie pobladłej matki, a radości świadków. Po popisach potężnego, jak się okazało, Litwina o imieniu dla mnie nie do powtórzenia przybiegł krajczy i znowu z namaszczeniem odprawił swój ceremoniał nad królewskim posiłkiem. A więc przyjdzie, pomyślałam. Mimowolnie poprawiłam złotą zaponę u szuby¹⁶.

Król, zdyszany, przy dźwięku fanfar przysiadł się do mnie i chciwie rzucił na chleb. Za nim z hałasem rozsiadła się grupa kilku bardzo bogato odzianych mężczyzn, zbyt poważnych i trzeźwych jak na weselników. Spojrzałam na małżonka, który owszem, ubrany był wspaniale, ale gdyby nie siedział z przodu, wzięłabym go tylko za ich dworaka.

Po zmroku cały dwór i goście wrócili do sali zziębnięci, ale w doskonałych humorach. Zagrała muzyka, pary poderwały się do tańca, a ja oblałam się rumieńcem, bo zostałam jedyną oprócz matron i starych familiantek, która nie tańczyła. Królowa Zofia, nie myląc kroków, spoglądała zaniepokojona na syna ze środka sali. Nagle pojawił się przede mną niewysoki, ciemny prawie jak Maur Jan z Rożnowa, podobno syn sławnego w całym świecie rycerza Zawiszy Czarnego. Z poważną twarzą podał mi dłoń i zabrał mnie z miejsca obok króla w pierwszą parę.

– Uratowałeś mnie, szlachetny panie – powiedziałam zawstydzona.

– Będiesz szczęśliwa, miłościwa pani – zwrócił się do mnie nieoczekiwanie.

– Z nim? Ale chyba jeszcze nie dziś – odparłam smutna, spoglądając na króla pogrążonego w niezwykle zajmującej rozmowie z jasnowłosym *iuniore*¹⁷.

– Będiesz – odpowiedział i przesłał mi uśmiech. Piękny i szlachetny, pomyślałam.

Spojrzałam na męża. Zdziwiło mnie, że do króla podejść mógł każdy i z każdym bez ceremoniałów król rozmawiał. Tylko nie ze mną.

Wesele dobiegło końca. Cały Wawel czekał tego dnia tak, jak tydzień wcześniej oczekiwał rozpoczęcia uroczystości. Służba chora ze zmęczenia, dwór z przesyty i my, małżonkowie – z żalu i samotności. Cały ten tydzień, ceremoniał, obfite jadlo, trwanie bez ruchu, niechęć małżonka odbierały mi z każdym dniem siły, radość i nadzieję na godne wspólne życie. Nie byłam piękną heroiną, której uroda daje glejt na najśłodsze cnoty i miłość męża. O to musiałam zadbać sama. Nie chcesz mnie, odeślesz, zamkniesz, wywieziesz, ale to jeszcze nie jutro, myślałam.

– Jutro ci się przyjrzę – powiedziałam szeptem, zapatrzona w święte twarze na suficie oświetlonym blaskiem kilku lampek.

Zasypiałam zasłuchana w ostanie dźwięki prawdziwej zabawy niosące się z miasta.

*

– Czy będzie to dziś możliwe? – Odwróciłam się z niepokojem do ładnej Małgorzaty, kiedy w gotowalni moja nowa, ciągle chichocząca dwórka Jagusia pierwszy raz trzęsącymi się dłońmi sznurowała mi pod pachami prostą suknię.

– Tak, kuchmistrz kazał przekazać, że kuchnia z rozkoszą przygotowuje ulubione dania króla Kazimierza i królowej Zofii na dzisiejsze prandium¹⁸ u miłościwej pani – odpowiedziała zdyszana Małgorzata.

– Dobrze – szepnęłam zadowolona. Uprzejma odpowiedź kuchmistrza sprawiła mi prawdziwą przyjemność. Przed chwilą otrzymałam też wiadomość, że król przyjął zaproszenie. Starszą królową osobiście zaprosiłam po porannej mszy. Zgodziła się od razu, jedyna moja tutejsza ostoja!

Większa komnata prezentowała się bardzo przyjemnie. Osobiście wywietrzyłam pomieszczenie i wpuściłam jaskrawe słońce do środka, a ono w zamian rzuciło garść blasku na wypolerowane srebrne naczynia, kubki, kielichy i kowsze¹⁹. Długie, białe jedwabne obrusy przybrane suszoną lawendą przyjemnie pachniały. Z nową siłą – nie wiem, czy z powodu lekkiej lnianej sukni w ulubionym błękitnym kolorze, czy dlatego, że mój kucharz z galanterią zgodził się na przyrządzenie tych kilku dodatkowych potraw – doglądałam stołu głównego i stołu dla dwórek. Woń jadła była bardzo apetyczna.

Mój niewielki wiedeński fraucymer wzbogacił się za sprawą królowej Zofii o trzy piękne młode Polki, uczynną starościankę Małgorzatę i dwie burgrabianki: Jagusię i Jadwigę. Później dołączyły wystraszona mała Węgierka Franciska i wiekowa matrona, familiantka – pani Bartnikowska. Jedna z panien znała nawet niemiecki.

Damy były równie podekscytowane jak ja, gdy czekałyśmy na odwiedziny króla. W kółko powtarzałam kilka polskich słów przygotowanych na ten poranek, bowiem jak najszybciej chciałam nauczyć się języka kraju, w którym zamieszkałam.

Kiedy usłyszałam królewski głos wybijający się ponad inne, serce mocnym uderzeniem przypomniało o swoim istnieniu. Król wszedł

uśmiechnięty, ledwie prześliznął się po mnie wzrokiem, dał znak swojemu krajczemu i stolnikowi i gestem zaprosił wszystkich do stołu.

– Krzesło jeść? – zapytałam po polsku z nadzieją w głosie.

– Dziękuję, wolę śniadanie – odparł Kazimierz, a jego dowcipna odpowiedź rozbiła się śmiechem wśród dworzan znających niemiecki.

Król, zadowolony z własnej błyskotliwej riposty i połączony uznaniem gości, usiadł rozluźniony i z apetytem zabrał się za zimne mięsa. Zastanawiałam się, czy zawsze tak je. Pierwszy raz siedziałam naprzeciwko i obserwowałam małżonka z pewnym zdziwieniem. Pozbawiony ozdób prezentował się zgoła inaczej niż podczas uroczystości. Czoło miał czerwone i błyszczące, prawie do połowy głowy pozbawione włosów, pierś nie tak szeroką, na jaką wyglądała w ozdobnych szatach. Ręce miał krótkie, ale mocne, jednak uda, którymi raz po raz nerwowo poruszał, wydawały się potężne jak u tura. Jadł zachłannie, nie odzywał się. Zamiast drogich materii miał na sobie też lnianą, ale zniszczoną jopulę²⁰. Na rękawie widoczne było spore rozdarcie! Zwróciłam się o tłumaczenie do dworki. Ta mi krótko odpowiedziała.

– Ja dziura. – Zadowolona głośno odezwałam się do męża po polsku, nim Małgorzata wykonała rozpaczliwy gest sprzeciwu. Kazimierz przestał jeść, skonsternowany rozejrzał się po oniemiałych współbiesiadnikach.

– Masz, panie, rozdarty kaftan, chciałam zaszyć. – Purpurowa na twarzy domyśliłam się, że mąż mnie nie zrozumiał.

– Dobrze, skoro takie jest twoje życzenie – odpowiedział obojętnie.

Zabrał się z powrotem za mięsiwo. Nie jadłam, raz po raz wycierałam spocone dłonie w suknię, ściągałam usta, próbowałam się uśmiechać. Nie podnosił na mnie wzroku. Może i dobrze, pomyślałam i sama zadarłam wysoko głowę.

Kiedy wstał od stołu, podbiegłam do niego. Może zbyt szybko, może zbyt blisko, bo spojrzał na mnie niechętnie.

– Ja... dziura! – zaczęłam żałośnie.

– Tak, ty dziura. – Westchnął i oddał mi sfatygowane odzienie.

Wyszedł, a z nim, szepcząc i chichocząc, wszyscy najedzeni dworzanie. Patrzyłam w stronę drzwi; ból i upokorzenie nie pozwalały mi odwrócić się do pozostałych w komnacie kobiet. Powoli opuściłam rękę z ciężką i grubą tuniką. Jednak po chwili uśmiechnięta spojrzałam na damy i zawróciłam do sąsiedniej komnaty, gdzie oczekiwała mnie starsza królowa.

– Sala wyglądała wspaniale... – zaczęła życzliwie Katarzyna.

Kiwnęłam głową, rzuciłam jopulę na skrzynię i spojrzałam w okno, żeby ukryć łzy.

Królowa podeszła i przygarnęła mnie do siebie. Była ciepła i miękka. Powtarzała mi do ucha kilka nieznanych słów i długo kołysała mnie w objęciach.

*

Tkwiłam w oknie sypialni z nosem przyklejonym do szklanej gomółki, wpatrzona w kolorowy tłum powoli ciągnący w stronę rynku. Mężczyźni w ciepłych dubletach oraz kobiety z głowami okrytymi białymi chustami i wymyślnymi czepcami gromadzili się tuż pod bramą, którą miałam wyjechać pierwszy raz z zamku.

Jak ich wielu, pomyślałam, patrząc na zebranych. Wśród gęstniejącego tłumy stał bogato odziany kupiec – z zaplecionymi rękami i skrzywioną twarzą spoglądał w moją stronę; inny wskazywał coś na murach małemu chłopcu. Grupa żaków zatrzymała się niedaleko i zaśmiewała się na całe gardło. Wkrótce dołączył do nich kompan, dziarsko wyskakując z wąskiej

lektyki. Czekają na mnie, czekają, żeby mnie zobaczyć! Za chwilę miałam wyruszyć z królem, by okazać się mieszczanom!

Byłam gotowa, ubrana w brunatną suknię z wąskim trójkątnym kołnierzem obszytym rudym lisim futrem, zdobioną tysiącami bursztynowych i rubinowych ostrych klejnocików, które, jak sobie wyobrażałam, miały mnie chronić niczym płonąca zbroja przed upokorzeniem na zewnątrz. Wystawia mnie, wystawia mnie na pośmiewisko jak oni... wtedy...

– Miłościwa pani, już czas. – Erika, równie odświętnie ustrojona w błękitno-żółtą *robe*²¹, oderwała mnie od strasznych wspomnień.

Westchnęłam i dla dodania sobie otuchy dotknęłam ciasno opiętego krótkiego gorsu, zebrałam obfite spódnice, ale zatrzymałam się w pół kroku.

– Rozpuśćmy włosy – powiedziałam do zdziwionej dwórki. Chciałam pokazać to, co miałam najładniejszego, ponadto ich obfitość zawsze odwracała uwagę od twarzy.

Erika podeszła, posłusznie uwolniła równe złote fale, które przy mojej pochylonej postaci sięgały stóp. Odsunęła się, obrzuciła spojrzeniem moją sylwetkę i kiwnęła głową z aprobatą.

Poprowadzono mnie ku pysznej kłaczy, usadzono w siodle, podano nielekkie berło i jabłko i dołączyłam do czekającego króla. Nie patrzył na mnie ani mnie nie pozdrowił. Mocniej ścisnęłam złote regalia. Głowa bolała mnie od ciężkiej i źle dopasowanej korony. Spojrzałam na swoje dłonie. Zawsze w kolorze śmietanki, dziś były sine, odcinały się tylko bielejące kostki.

Doczłapałiśmy konno do podestów pod ratuszem. Tłum, jak mi się zdawało, wykrzykiwał pozdrowienia. Usiedliśmy i nastała cisza. Wiedziałam, że wszyscy patrzą na mnie. Zamknęłam oczy i bałam się

ruszyć. Coraz cięższe berło chwiało się w mojej spoconej dłoni, nie oddychałam. Spojrzałam spod spuszczonej rzes na ludzi przed sobą. Ujrzałam wyczekujące, uśmiechnięte buzie trzech niedorośliwych panienek, które przyciśnięte do zagradzającej nahajki²² tatarskiego strażnika z przejęciem wykrzykiwały me imię. Uśmiechnęłam się nieśmiało. Pozdrowienie tłumu huknęło jak pocisk z wielkiej armaty, jakby lud czekał tylko mego gestu! Ośmielona oddałam jabłko memu ochmistrzowi i uniosłam wysoko dłoń, aby nikt nie miał wątpliwości, że królowa pozdrawia i błogosławi. Tłum ryknął znowu. Panienki obejmowały się, śmiały i płakały ze wzruszenia! Przywołałam je do siebie. Straż przepuściła panny, a one od razu padły do mych stóp. Podałam każdej z nich po małym klejnociku zerwanym z gorsu i wrzuczone wróciły w szeroko rozwarte ramiona rozrzewnionej matki.

Wracaliśmy wśród tłumu tą samą drogą. Król jechał pół kroku przede mną, lekko odwrócił twarz w moją stronę i raczej poczułam, niż zobaczyłam, że na mnie zerka.

Wieczorem jeszcze długo biegałam po komnacie starszej królowej, pijana serdecznym przyjęciem krakowian, a ona wodziła za mną wzrokiem, śmiejąc się z moich wzruszeń.

*

Przez następnych kilka dni króla widywałam tylko podczas porannej mszy w kaplicy. Siedział blady, widziałam, jak bardzo zapadły mu się policzki, i przysypiał. Niespokojna zostawałam dłużej w zimnej świątyni, modliłam się gorąco do Najświętszej Paniienki o mądrość, cierpliwość i opiekę.

Chciałam, żeby małżonek ze mną porozmawiał i o tym, co się dzieje, i o tym, co będzie ze mną. Nie miałam odwagi pytać, nie chciałam znowu

patrzeć, jak odwraca się ode mnie obojętnie. Co dzień dyskretnie zostawiałam na ołtarzu złotą monetę, żeby przekupić Boga w mojej intencji. Król nie przychodził, nie posyłał po mnie.

Długie godziny w ciągu dnia siedziałam na łożu zapatrzona w drzwi naprzeciwko. Nie raz cichutko pod nimi przystawałam, ale nigdy nie usłyszałam najłżejszego nawet szmeru z prywatnych komnat Kazimierza. Próbowалам czymś zająć ręce, a przede wszystkim umysł. Kiedy po raz nie wiedzieć który czytałam ten sam ustęp w księdze, kiedy haft po raz kolejny nadawał się do sprucia, ogarniała mnie rozpacz. Nie słyszałam łagodnych zapytań dwórek, nie odpowiadałam na ich próby rozweselenia mnie, nie docierała do mnie muzyka, nie widziałam popisów błaznów i karłów.

Codziennie budziły mnie obce głosy i obce dźwięki. Codziennie tak samo, codziennie o stałych porach po błocie albo skrzypiącym śniegu prowadzono mnie przez dziedziniec tylko od moich komnat do katedry albo kaplicy. Co dzień pokonywałam dziesiątki schodków to w górę, to w dół. Co dzień mijałam salę wyłożoną olbrzymimi kobiercami z wizerunkami władców.

Wśród jasno- i ciemnowłosych, gładkich, brodatych, potężnych i drobnych mężczyzn wzrok mój przykuwała postać niewiasty między królami. Bardzo wysoka, z szerokim złotym pasem na wąskich biodrach, z uśmiechem pochylała się nad małą dziewczynką. Jadwiga, król Polski! Siostra mej babki... Zadzierałam wysoko głowę i zastanawiałam się, czy była szczęśliwa. Polscy dworzanie mijali mój orszak i szeptali do siebie, szeleszcząc jak liście.

Moja mała śliczna sień zdobiona malowaną latoroślą drwiła ze mnie pustką kamiennych ław; nikt nie oczekiwał na spotkanie ze mną. Z nikim też poza fraucymerem nie przebywałam, ale mimo to starałam się ładnie wyglądać. Lubiłam wonne kąpiele, czyste włosy i pachnącą bieliznę.

Nocami, kiedy zostawałam sama, wodzona pokuszeniem gasiłam lampki i z tłuącym w piersi sercem ostrożnie podchodziłam do okna. Patrzyłam w stronę Kurzej Nogi²³, najbardziej wystającego wykuszu w całym zamku. Kiedy paliły się światła, wiedziałam, że król tam jest, i mogłam go widzieć, jak chodzi, siedzi, radzi albo samotnie wyczekuje świtu... Kiedyś był tam ze starszą królową. Stał przed nią i wymachiwał rękami, a matka, jego wzrostu, krzyczała mu prosto w twarz. Nie musiałam zgadywać, o co się kłócili...

W ciągu tych kilku niedziel odwiedzał mnie tylko ochmistrz dworu, zresztą bardzo miły, ale przychodził w jakichś błahych sprawach. Czyż nie tego się spodziewałam? Wiedziałam, co jest przyczyną. Wszak zwierciadła często mijałam... Boże, dlaczego stworzył mnie kobietą, a potem dał to ciało?!

*

Po powrocie z kolejnej biesiady od królowej fraucymer zostawiłam w sali, z ulgą zdjęłam ciężki, długi hennin, odpięłam od niego kawał jedwabiu i odłożyłam do skrzyni. Z hukiem ją zatrasnęłam i wśliznęłam się do łóża. Popisy karłów zmęczyły mnie, nigdy nie lubiłam tej rozrywki. Chrome ciała wystawione na pośmiewisko... Ale starsza królowa jak umiała starała się wypełniać moje nic nieznaczące dni. Położyłam się płasko, rozłożyłam szeroko ręce i nogi. Zapatrzyłam się na myśliwego ze ściennej makaty. Był zwiewny i zgrabny, ledwo stopami muskał trawę, ścigając rączego jelenia.

Nie znałam mężczyzn. Raz bardzo podobał mi się jeden chłopiec na dworze u stryja. Tańczył ze mną, był nawet miły, ale potem okazało się, że chciał zbliżyć się do mojego opiekuna, cesarza Fryderyka.

Westchnęłam, usiadłam i poprosiłam o pomoc w zdjęciu sukni. Nie mogłam narzekać na swój los. Gdybym nie była królową, zostałabym cyrkowym dziwadłem, myślałam, kiedy jasnorzęsa Hedwig nakładała na mnie koszulę. Tym bardziej musiałam walczyć chociaż o szacunek. Wiedziałam, kto może mi pomóc. Ona. Podjęłam decyzję, wchodząc do ciepłego łóża.

Przyjęła mnie rankiem w niedużej jasnej komnatce od góry do dołu wyłożonej materią z tańczącymi łąbiedziami. Meble w pomieszczeniu były masywne, ciemne i lśniące. Na stole wśród świec i złotych obrusów pyszniły się układy z krągłych melonów. Królowa miała na głowie błękitny kornet, niższy od mojego szpiczastego henninu; tego dnia założyła niebieską suknię z modnymi brunatnymi rękawami.

– To trudny czas. Pamiętasz tę grupę panów, która dołączyła do nas podczas ostatniego turnieju? To mieszkańcy Prus, proszą o przyłączenie ich miast do Korony, o opiekę i obronę przed Krzyżakami. Kazimierz się zgodził. Na dniach podpisze akt inkorporacji, tym samym pewnie wywoła wojnę z wielkim mistrzem. Ale dzięki temu odzyskamy dostęp do morza – wyjaśniła mi królowa Zofia z pomocą nieocenionej Katarzyny.

– Mogę jakoś pomóc? – zapytałam z nadzieją.

– Tak.

Podeszłam rozpromieniona i przysiadłam u jej stóp.

– Będziesz mi tutaj dotrzymywać towarzystwa. Niebawem Kazimierz wyjeżdża do Brześcia. Będzie się starał namówić szlachtę litewską do pomocy w nieuniknionej wojnie. A my obie pojedziemy sobie do Sandomierza – odpowiedziała, poprawiając niesforny kosmyk na mym czole.

Przyszłość moja malowała się bardzo niepewnie, byłam obca, niechciana i nikt nie wiedział, co ze mną zrobić. Owszem, otrzymywałam

każdą rzecz, której potrzebowałam, jednak miałam wrażenie, że wszyscy mijający mnie owego dnia zastanawiają się, co ja tu jeszcze robię. Patrzą na mnie nieustannie w dzień i w nocy, śmieją się i mówią o mnie, śledzą każdy krok i czekają, aż król mnie odeśle! Zrobiło mi się nagle duszno. Chciałam opuścić przytłaczające mury. Przez kamienne krużganki prawie biegłam. Nagle silny wiatr zarzucił mi chustę z długiego stożka na głowie prosto na twarz. W jednej chwili przestałam widzieć cokolwiek. Chusta musiała końcówką zaczepić się wysoko, do tego okręciła mi szyję. Na szczęście dwórka delikatnie zaczęła mnie uwalniać.

– Och, dziękuję – powiedziałam z ulgą i podniosłam wysoko podbródek, cierpliwie znosząc zabieg. – A! – wrzasnęłam i cofnęłam się przerażona. Przede mną z odczepioną chustą w ręku stał król Kazimierz. Mój mąż.

– Proszę bardzo – odpowiedział równie zaskoczony i oddał mi chustę. Chciało mi się płakać.

– Na przechadzkę?

– Nie! – Odwróciłam się na pięcie i patrząc na czubki butów, szybko oddalałam się od miejsca sromoty.

Dogonił mnie w dwa kroki i wskazał kierunek. Dobrze, bo natychmiast zgubiłam się w labiryncie budynków. Sytuacja najwyraźniej go bawiła. Szliśmy dłuższą chwilę, walcząc z podmuchami wiatru. Mróz dawno już ustąpił, na drzewach zaczęła się pojawiać pierwsza zielona mgiełka.

– Mówiono mi, że nie władasz, panie, niemieckim – zwróciłam się do króla.

– Nie wierz każdemu na słowo. – Skłonił się z uśmiechem.

– Lepiej przekonać się o wszystkim osobiście. Ty, panie, wiesz o tym najlepiej. – Nie mogłam darować mu odwiedzin w Skawinie.

Trafiłam, bo spłoszony odwrócił oczy. Wiatr na szczęście przyjemnie studził twarz i dusze.

– Czytałam... – zaczęłam wreszcie, bo zawstydziłam się wcześniejszego zachowania.

– Ja nie umiem czytać. Jako jedyny w rodzie – przerwał mi Kazimierz, patrząc gdzieś w bok.

– Aż tak sobie nie schlebiaj, panie.

Odwrócił się zdziwiony w moją stronę.

– Nie tylko ty. Wielkim Rzymu też się zdarzało. Widać królewska przypadłość – mówiłam, nie odrywając oczu od budzących się drzew.

Król stał jak przez rozum cięty.

– Masz, pani, rację. Królewska przypadłość – odrzekł, jakby wiedział to od zawsze. Podążył za moim wzrokiem.

– Las musi być piękny – powiedziałam.

– Najpiękniejszy wiosną – ożywił się król.

– Nie wiem.

– Nie wiesz, pani?

– Nie. Znam tylko ogrody.

– Widać królewska przypadłość – zripostował Kazimierz i oboje uśmiechnęliśmy się nieśmiało, patrząc pod nogi.

Spacerowaliśmy aż do zmroku i rozmawialiśmy zapewne nie o tym, o czym chcieliśmy.

Cały wieczór rozmyślałam nad każdym wypowiedzianym przez niego zdaniem podczas naszego pierwszego i jedyne dotychczas spaceru: co miał na myśli i jak straszne było to spotkanie. Co mnie podkusiło, by wziąć tę starą chustę, myślałam gorączkowo, zapatrzona w drgające złotym blaskiem miejskie okna.

Obudziłam się w błękitnej mgle wiszącej nad rzeką. Nigdy nie byłam tak blisko Wisły. Zdziwiona obejrzałam się na surowe, wysokie mury Wawelu. Podeszłam wolno nad miękki zielony brzeg i zanurzyłam palce w migoczącej wodzie. Moja brzydka, krzywa postać odbijała się w drżącej tafli. Twarz powoli przestawała przypominać moją. Oczy, i tak zawsze ogromne, zamieniły się w wielkie złote misy, a reszta rysów przypominać zaczęła łeb straszego zamorskiego gada o łuskach lśniących wszystkimi odcieniami zieleni i błękitu. Z szumem wodospadu, olbrzymi i opasły, na krótkich łapach, wynurzał się na złocisty brzeg, zostawiając suche koryto. Był wodą, był odwieczną rzeką! Zapało mi dech. Zbliżył się do mnie, dotknął mokrym nosem i ułożył się na łące zwinięty u mych stóp.

Otworzyłam oczy i natychmiast podbiegłam do okna. Było bardzo ciemno, ledwie widziałam ostre zarysy miasta. W oddali na chwilę błysnęła oświetlony kwadrat wrót kamienicy, by po chwili zamienić się w cienką jaskrawą nitkę i zniknąć. Miasto zasypiało; to z bliska, to z dala słyszałam dźwięk kolejno zamykanych ciężkich bram, kasłanie i jakiś pojedynczy śmiech. Nastąpiła ciemność i cisza. Wsunęłam się z powrotem w pościel.

Podniecona widziadłem i pierwszą rozmową nie mogłam już zasnąć. Znowu wstałam z szerokiego łóża, otuliłam się wełnianą opończą i nie zakładając stukających patynek²⁴, sama potruchtałam w mrok. Cicho, wodząc dłonią po chropowatej ścianie, w towarzystwie jedynie blasku dopalających się pochodni schodziłam krętymi stromymi schodkami do wykuszowej kapliczki. Zamarłam u jej progu. Pochylony król wypełniał sobą prawie całe jej wnętrze. Już miałam zamiar zawrócić, kiedy wolno przesunął się na skrzypiącym klęczniku, robiąc mi miejsce obok siebie! Stałam nieruchomo, w końcu przełknęłam gulę w gardle i powoli zbliżyłam się do ołtarza. Wstrzymałam oddech i uklękłam, próbując ukryć zdenerwowanie. Kazimierz trwał w modlitwie z zamkniętymi oczami.

W blasku świecy dostrzegłam na jego rękawie dawne rozdarcie, które siedem razy prułam i cerowałam, nim szycie stało się doskonałe. Ku mojej rozpaczy znowu wydawało się niestaranne! Kazimierz wstał i skierował się do wyjścia. Po chwili usłyszałam szarpaninę i szczebiot zaskoczonej Katarzyny. Śledziła mnie! Królowa też kazała mnie śledzić? Gniew i żal ścisnęły moją duszę. Słyszałam jeszcze, jak król rzucił jakieś lodowate słowo do dwórki i wrócił do kaplicy. Nie w głowie była mi modlitwa; wstałam i patrzyłam na cień przed sobą.

– Odprowadzę cię, pani – powiedział jeszcze wzburzony zajściem z Katarzyną i powiódł mnie w stronę moich komnat. Czy zostanie dziś ze mną? Serce tłukło mi się w piersi. Pomógł mi wspiąć się po schodach, po czym zawrócił w ciemność.

– Stało się coś, pani? – Zaspana Hedwig usiadła na swoim wąskim łożu, kiedy wsunęłam się do sypialni i podeszłam do okienka. W Kurzej Nodze zapłonęła świeca.

– Tak i nie – odpowiedziałam szeptem, zapatrzona w kształtną głowę małżonka, pochyloną zapewne nad stołem.

*

Wczesnym popołudniem kolejnego dnia rozsiadłam się wygodnie z moim fraucymerem w mniejszej sali z pięknym, obszernym wykuszem. Jego szmaragdowe duże okna rzucały senną zielonkawą poświatę, co wraz z wypełnionym miękkimi materiałami wnętrzem dawało prawdziwe ukojenie. Tamtego dnia poprosiłam grajków o godną muzykę i rozpoczęłam rozmowę z damami, starając się nadać jej pogodny charakter. Kiedy zamieniłam kilka słów z każdą z pań, zwróciłam uwagę na najmłodszą, chyba dziesięcioletnią Węgierkę Fani. Dziewczynka była prawie na granicy płaczu.

– Dlaczego płaczesz, maleńka? – zagadnęłam po węgiersku.

– Nie płaczę.

Potężnej postury, niewiele starsza ode mnie ochmistrzyni Erika gestem nakazała dziewczynce wstać.

– Mamusia umarła – odparła Fani z trzęsącą się brodą. Żeby zatrzymać łzy, zaciskała oczy i naciągała białą czapeczkę głębiej na uszy.

Przełknęłam ślinę. Jakbym zobaczyła siebie sprzed lat. Wstałam i przytuliłam dziecko.

– Ja też nie mam mamy – wyszeptałam.

– Ale ty jesteś stara i jesteś królową.

– Królowe nie potrzebują mam?

– Nie.

Przytuliłam ją mocniej.

– Chcesz wrócić do domu? – zapytałam cicho.

– Nie, tatuś też nie żyje. Chcę zostać z tobą, pani. – Dziewczynka mocniej się we mnie wtuliła. Wzruszona uniosłam dziecko i dałam znak, aby przygotowywać się do wyjścia. Dziewuszka owinęła się wokół mnie jak mały bluszczyk.

– A pójdziesz ze mną na przechadzkę?

Polskie panny wskazały mi między murami maleńki *hortum*²⁵ z kamienną altanką, obrośniętą badylkami obiecującymi latem różane kwiecie. Biegałyśmy wśród pierwszej trawy. Fani, ośmielona i roześmiana, trzymała mnie za rękę i okręcała dokoła, a ochmistrzyni, niby zagniewana, próbowała złapać dziecko. Gdy wracałyśmy w mury, coś kazało mi spojrzeć w wąskie okno na piętrze. Przez chwilę zdawało mi się, że król nam się przygląda. Gdy uniosłam twarz w jego stronę, szybko cofnął się w głąb komnaty.

– Tchórz – powiedziałam do siebie i uśmiechnęłam się z zadowoleniem.

Na zabawie spędziłyśmy czas prawie do ceny²⁶. Zgrzany, głodny i radosny jak stado wróbli fraucymer zasiadł do smacznej żółtej polewki z pasztetem. Nawet najstarsza z matron, sędziwa wdowa Bartnikowska, miała ładnie zaróżowione policzki i śmiała się bezzębnymi ustami. Franciskę trzeba było odciągać ode mnie i prawie siłą sadzać przy jej stoliku. Starsze dwórki pilnowały małej, usilnie coś tłumacząc naburmuszonemu dziecku.

– A może ze mną wybierzesz się na spacer, miłościwa pani? – zapytał lekkim tonem król, może odrobinę za głośno.

Wszystkie zaskoczone, zerwałyśmy się z miejsc. Zarumieniona kruczowłosa Małgorzata strzelała oczami na króla, Jagusi trząsał się brzuch od mysiego chichotu.

Stał przede mną ubrany w czarną, haftowaną złotem aksamitną szubę i czekał na odpowiedź z rękami założonymi do tyłu. Dwórki, nie zwlekając, pobiegły przygotować ubranie na wyjście.

– Nad Wisłę? – zapytałam z nadzieją, wciągając swoją mniej strojną, choć porządną szubkę.

– Nad Wisłę. – Podał mi ramię i pierwszy raz dłużej zatrzymał wzrok na mej twarzy.

Spacerowaliśmy nad rzeką z wielką świtą w towarzystwie bębenków i jazgotliwych piszczałek, ku radości albo przerażeniu napotkanych mieszczan. Co raz zerkałam w stronę wody.

– Fani to córka mojego druha z dawnych lat. Ojciec jej nie żyje od niedawna. – Tym razem król zaczął. – Dwa miesiące temu zmarła w połogu jej matka. Nikt nie potrafił rozweselić małej. – Uśmiechnął się do mnie jakby w podzięcie. – Wyjeżdżam za kilka tygodni – odezwał się po chwili ciszy.

– Do B...sa.

– Do Brześcia – domyślił się.

– Do B... Och, polski jest jak szelest wiatru w liściach. – Ukryłam zawstydzoną twarz w dłoniach.

– W tych leśnych, nie z królewskiego ogrodu – dodał znowu z uśmiechem i ruszyliśmy przed siebie.

Zauważył, że spoglądałam na smukłą wieżę pośrodku dworu. Była krucha, jakby zbudowana z samych cienkich igieł, z czterema rzędami wysokich, wąskich okien, pięknie barwionych kolorowymi szybami.

– Podoba ci się? – zapytał, gdy wracaliśmy. – To Dunka²⁷. Zbudował ją mój rodziciel. Ja buduję jeszcze dwie, ale te będą dla obrony. – Wskazał baszty przy murach i założył ręce do tyłu, czekając mej odpowiedzi.

– Owszem. Podoba mi się – odparłam, zdziwiona nowo odkrytym uczuciem. – Wygląda jak smukła matka niewidocznymi ramionami obejmująca swoje dzieci.

Spojrzał na mnie z uniesioną brwią i oboje roześmialiśmy się głośno.

W swobodniejszych nastrojach spacerowaliśmy do zachodu słońca. Król prowadził mnie prosto na cenę do siebie, specjalnie przez podziwianą wcześniej wieżę. Rozglądałam się po obszernych komnatach Dunki, których ceglana surowość wypełniały piękne tapiserie²⁸ i bezcenne przedmioty, gdzie nasze dostojne kroki tłumiły miękkie i puszyste kobierce. Do kolacji zasiedliśmy wobec sześćdziesięciu świadków.

– Teraz spróbujesz, pani, naszego przysmaku. Niedźwiedziej łapy – powiedział podniecony.

Moja przerażona mina wywołała szczery śmiech u tego jakiś czas temu poślubionego mi mężczyzny. Obnażył białe i równe wilcze zęby. Dla ciebie będę się dziwić i bać codziennie, pomyślałam.

– Och, to zupa? – zapytałam nieco rozczarowana na widok nieokreślonego płynu z nieznaną zawartością.

– Spróbuj, pani – zachęcał Kazimierz z rozbawioną miną.

Pochyliłam się; aromat był przyjemny, mięsny. Ostrożnie zanurzyłam łyżkę i spróbowałam odrobinę.

– Bardzo smaczna – zauważyłam zaskoczona i z przyjemnością zjadłam kwaśną, lekką potrawę. – To nie mięso. Co to jest? – zapytałam zaintrygowana.

– Roślina, tylko z nazwy niedźwiedzia łapa. – Zbliżył do mnie twarz i znowu się uśmiechnął, patrząc mi w oczy. Jakaś nieznaną, przyjemną tkliwość rozeszła się po moim ciele.

By ukryć konfuzję, zaczęłam się rozglądać po innych przysmakach. Usłyszałam z ust jednego z gości dość głośny komentarz po francusku dotyczący mojego wyglądu.

– Jak szurzy pysk...

Poczułam, że moja twarz w jednej chwili zapłonęła wstydem i bólem.

Kilku gości wstrzymało oddech i z niepokojem patrzyło na mnie. Jedna dama stłumiła śmiech.

– Wolałabym „jak mysia mordka” – odrzekłam głośno w tym samym języku, patrząc mężczyźnie prosto w oczy.

– Co powiedział? – zapytał król, nie domyślając się nawet, że jego gość mnie obraził.

– Jak każdy napotkany mężczyzna, odniósł się z uznaniem do mojej znajomości języka francuskiego – odparłam, tym razem po niemiecku.

Król skinął głową łaskawie i dumnie rozsiadł się na podwyższonym krześle. Mężczyźni! To ja znam francuski! Ale... on był dumny ze mnie! Kiedy odwróciłam się do skompromitowanego towarzystwa, cała grupa w pokłonach oddalała się w stronę wyjścia. Dziś moja wielka satysfakcja zwyciężyła nad urazą.

Wieczór wśród pozostałych, jak się okazało, świątłych i dowcipnych ludzi, był bardzo przyjemny. Pobudzona żywymi umysłami, sama w mig znajdowałam zabawne anegdoty i celne riposty. Co rusz wszyscy wybuchaliśmy salwami szczerego śmiechu. Wygrałam wszystkie partie szachowe. Cóż, zawsze bardzo lubiłam tę rozrywkę. A tak naprawdę, kiedy byliśmy z Anną i małym Władysławem pod opieką stryja Fryderyka, Anna flirtowała z miłymi chłopcami, a ja nie chciałam odstraszać siostrze adoratorów i spędzałam czas, ucząc się szachów od mistrza Piccolominiego. Tamtego wieczoru Kazimierz tylko przyglądał się rozgrywkom. Po każdym moim zwycięstwie nad dworskimi mistrzami, zwłaszcza nad świetnym gościem, Grzegorzem z Sanoka, śmiał się i bił mocno brawo. Nie zauważyłam, kiedy zrobiło się bardzo późno. Król wstał, dając tym samym znak, że to koniec zabawy. Dworzanie wyszli, małżonkowie zostali sami. Przez chwilę. Nie patrząc na mnie, Kazimierz wskazał drzwi.

– Odprowadzę cię, pani.

Podał mi dłoń. Szliśmy nie pierwszy raz w ten sposób, jednak teraz włoski na jego ręku dziwnie mnie drażniły. Drzwi do moich komnat zbliżały się zbyt szybko. Jeszcze dwa kroki... Zatrzymaliśmy się. Pokojowcy ustawili się po obu stronach wejścia. Nie czułam wirującego po kruzgankach wiatru.

– Jeździsz, pani, konno? – zapytał zniecka król.

– Tak.

– Możesz wstać wcześniej rano?

– Tak. – Na tyle tylko było mnie stać w tamtej chwili.

– Bądź, pani, gotowa po jutrzni²⁹.

Skłonił się i odszedł.

– Tak...

*

Zaraz kazałam przynieść skrzynie z garderobą i niezadowolona, w asyście panien przeglądałam ich zawartość.

– Nie mam nic odpowiedniego!

Usiadłam rozdrażniona na wielkim łożu. Przyglądałam mu się pierwszy raz. Rzeźbionym kolumienkom, baldachimowi i zdobnej kapie.

– Śmiejesz się ze mnie? Albo się rozeschniesz od nieużywania, albo rozpadniesz od... – Zatkaną usta i padłam na klęczki przed ołtarzykiem Matki Boskiej, rażona swoimi myślami.

Nie spałam całą noc, wyobrażając sobie siebie po przejażdżce albo zakutą w łańcuchy w cyrkowym wozie, albo jako szczęśliwą kochankę w sypialni mego męża...

– Miłościwa pani, ubieramy się? – Jak zawsze śliczna Małgorzata ze znaczącym uśmiechem zajrzała rano do komnaty.

Było jeszcze ciemno, kiedy przybył po mnie mój ochmistrz dworu i poprowadził mnie w stronę królewskich stajni. Zaskoczyła mnie bardzo liczna grupa stajennych i służebnych. Pomieszczenia były czyste, a zapach przyjemny. Król osobiście, z dumą wyprowadził dla mnie jabłkowitzką klacz w srebrnym lśniącem rzędzie. Twarz Kazimierza promieniała.

– Przepiękna! – Wzruszona, śmiało zbliżyłam się do konia, głęboko wciągnęłam zapach i złożyłam pełen uwielbienia pocałunek na gibkiej szyi.

– Podoba ci się, pani? To dla ciebie. Twój koń.

– Bardzo! Dla mnie? To znaczy, że mnie nie...

Opanowałam się i skorzystałam z pomocy służebnego przy wsiadaniu.

– Dobrze się trzymasz w siodle? – zapytał król.

– Mam sylwetkę stworzoną do galopu! – Odwróciłam się bokiem do króla, mocniej się pochylając.

– Elżbieto! – Kazimierz zaśmiał się w głos, pewnie zaskoczony, że żona żartuje z własnego wyglądu, i pognał za mną.

Nie odeśle mnie, nie teraz, zwrócił się do mnie po imieniu, myślałam. Złożyłam drugi gorący pocałunek na karku klaczy. Wzeszło słońce.

Pytałam potem o polskie nazwy drzew i zwierząt. Król odpowiadał chętnie i chwalił mnie za ładnie powtarzane słowa. Przejazdźka była bardzo miła, choć w drodze trochę zmarzłam.

Dzień spędziliśmy razem i minął zbyt szybko. Kazimierz odprowadził mnie, jak poprzednio, tylko do drzwi. Kiedy dwórki wreszcie zostawiły mnie całkiem samą, stanęłam przed zwierciadłem. Zamknęłam oczy i jednym ruchem zrzuciłam gieżło. Chyba pierwszy raz przyjrzałam się moim małym, sterczącym piersiom. Wolno przesunęłam po nich dłonią, aż zachęczone pieszczotą wychyliły różowe łebki. Opuściłam rękę. Patrzyłam na odstający brzuch, stanęłam bokiem i spojrzałam na swoje garbate plecy.

– Sama siebie oszukujesz – powiedziałam do odbicia. Ubrałam się szybko i wróciłam do łóża.

*

Wiedziałam, że Kazimierz może pojechać z Brześcia przez Łęczycę, a potem do Torunia jako tymczasowej siedziby królewskiej. Przyjmie hołdy od wszystkich miast pruskich. Nie będzie go bardzo długo, może nie wróci, rozmyślałam smętnie, siedząc w różanej altanie i szarpiąc pierwsze zielone pączki, owinięta w kunie futro.

– Miłościwa pani. – Nagle wyrósł przede mną Jan z Rożnowa. – Przybyło poselstwo węgierskie... Po łacinie mniej składowo wszystkim nam idzie... Wszyscy znaczni posłowie wyjechali... – Wił się mężczyzna. – Pan mój pyta, czy nie zechciałabyś pomóc tłumaczyć – wydusił wreszcie i skłonił się do ziemi.

– Oczywiście! – Wyskoczyłam z futra uradowana i prawie wbiegłam na strome schody. Kiedy zbliżałam się do królewskich komnat, strach na chwilę pozbawił mnie tchu. „Myśl!” – skarciłam się od razu, wzięłam głęboki oddech i kazałam wprowadzić się do milczących mężów czekających mego przybycia.

Poselstwo było bliskie memu sercu, z Budy, dlatego tłumaczyłam swobodnie, pozwoliłam sobie nawet na kilka żartów i komplementów. Król słuchał, śmiał się i odpowiadał równie dowcipnie. Kiedy uszczęśliwieni, rozbawieni i obładowani darami posłowie wreszcie opuścili komnaty, opadłam zmęczona, ale zadowolona na niewygodne rzeźbione krzesło. Zauważyłam po chwili, że król stoi pod oknem z założonymi rękami i przypatruje mi się tak, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Czy coś się stało?

– Nie, nic. – Uśmiechnął się delikatnie.

Poczułam, że to miłe jeszcze przed chwilą spotkanie w mgnieniu oka stało się niezręczne, i bąknąwszy słowa pożegnania, tak jak wcześniej pędziłam w stronę mego małżonka, tak samo szybko uciekałam do siebie.

*

Rano ziewałam i czekałam cierpliwie, aż dwórki upną mi włosy. Kiedy przybył pokojowiec od króla, Erika odebrała tajemniczy pakunek w moim imieniu i ponaglana ciekawością zniosła go prosto do garderoby.

– Dar od króla! – krzyknęła podniecona.

Wszystkie dwórki razem ze mną – z niedopiętą siatką we włosach – rzuciły się do odwijania wierzchniej materii. Westchnienie zachwytu rozniosło się po komnacie. Uniosłam purpurową, haftowaną w złote i srebrne lilie aksamitną szubę podbitą śnieżnobiałymi gronostajami. Z rozkoszą wsunęłam się w cudowną miękkość i ciepło.

Gdy byłam gotowa, ze starannie upiętymi włosami, w białej sukni i lśniącej szubie, uroczyście przeszłam przez dużą salę ze swoim orszakiem i skierowałam się w stronę kaplicy.

– Ale i tak w nocy go nie było... – burknęła pani Bartnikowska, drepcząc za nami.

Radości, jaką sprawił mi król, nie mogłam ukryć. Ze szczęściem w oczach zwróciłam się wprost do niego, kiedy czekał na mnie z królową Zofią. Razem z naszymi dworami ruszyliśmy do świątyni.

– Dziękuję – szepnęłam.

– Nie będzie ci teraz zimno. – Potarł niezdarnie moje ramiona, równie zadowolony. Usiedliśmy blisko siebie. Chciałam tak siedzieć już zawsze. Rozstanie sprawiło mi prawdziwy ból.

Po mszy wbiegłam prosto w ramiona starszej królowej. Trwałyśmy długo w serdecznym uścisku. Nie potrzebowałyśmy tłumaczki, by odgadnąć swoje uczucia. Gdy już przestałam się szczerzyć, na migi odesłała mnie do moich komnat, dając znaki, że ktoś na mnie czeka. Z zaskoczeniem dla samej siebie pomyślałam, że to Anna, moja siostra. Nieoczekiwanie ogarnęła mnie wielka tęsknota za bliskimi, tak silna, że musiałam się oprzeć o chropowatą ścianę korytarza. Tęsknota za Anną, za kochanym młodszym bratem Władysławem i za starą piastunką Heleną, jedyną łączniczką pamięci po rodzicach. Nagle żywo stanęli mi wszyscy przed oczami. Złotowłosa Anna z twarzą usianą ślicznymi piegami, wesoła i dobra starsza siostra. Czternastoletni Władysław, król Czech i Węgier. Taki drobny z czarnymi sińcami pod orzechowymi oczami. Kiedy widzieliśmy się ostatnio, ciągle polegiwał, żartując ze swojej niemocy. Helena, jedyna opoka w strasznych czasach po nagłej śmierci matki. Chryste, jęknęłam. Szuba! Moja matka umarła od zatrutej szuby z rąk brata mego męża w walce o tron węgierski! Umrę za dwa dni! Mimo to mocniej

wtuliłam się w futro. Chwiejnym krokiem ruszyłam przed siebie. W komnacie czekał na mnie krawiec.

Rudobrody mężczyzna przybył w towarzystwie pięknej ciemnowłosej niewiasty i, sądząc z podobieństwa, syna. Gestem wskazał mi stosy wielobarwnych materii, od cieniutkich jak mgiełka po futra. Miałam wybrać sobie coś z tych cudów na przygotowanie garderoby. Wskazałam mój ulubiony błękit, purpurę i kilka odcieni zieleni. Moim damom i pannom pozwoliłam wziąć materii dla każdej na trzy suknie i po tkaninie na wierzch do szubki z wilczego i króliczego futra. Fraucymer, popiskując z uciechy, obsiadł krawca jak szczenięta matkę.

Kiedy mężczyzna z synem wyszedł, siedząca do tej pory bez ruchu kobieta podniosła się, by zdjąć ze mnie miarę. Stałam, kiedy powoli okrążyła moją sylwetkę. Spuściłam głowę zawstydzona. Żadna suknia nigdy dobrze na mnie nie leżała. Na plecach zawsze były ciasne, odstawały albo się marszczyły. Tył zawsze był zadarty. Kobieta zauważyła moje zdenerwowanie. Delikatnie odwróciła mnie w swoją stronę.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała po niemiecku, uważnie się we mnie wpatrując.

Cały wieczór z pannami i matronami na zmianę grałyśmy w karty albo uciszałyśmy Hedwig, która postanowiła nauczyć się gry na flecie dla włoskiego muzykanta z dworu królowej Zofii. Potem paplałyśmy o przyjemności posiadania rzeczy doczesnych i obecności grupki włoskich muzykantów na Wawelu. Wieczorem czułam się dobrze i doszłam do wniosku, że nie umrę, więc zakradłam się do gotowalni i kolejny raz wtuliłam się w piękną szubę.

*

Kiedy już zostałam sama w wełnianej nocnej koszuli, wzięłam modlitewnik i odwróciłam się w stronę małego klęcznika. Cofnęłam się gwałtownie i omal nie krzyknęłam ze strachu. W głębi, w nieoświetlonym rogu komnaty jakaś zwalista męska sylwetka siedziała nieruchomo na krześle!

Gość nie wstawał, miałam wrażenie, że rozparł się wygodniej i delektował łakociami ze srebrnej misy. Twarz pozostawała w mroku.

Natychmiast okryłam się futrem zdjętym z łoża.

– Kim jesteś, czego chcesz? – zapytałam, miałam nadzieję, pewnym głosem.

– Porozmawiać przyszedłem... – odezwał się szeptem przyprawiającym o dreszcz – ...córko – dokończył. – Nie lękaj się... – mówił coraz ciszej. Wstał z krzesła i usiadł na moim łożu. Wyciągnął rękę i z przyjemnością przeciągnął po jedwabnej pościeli.

Mocniej uchwyciłam narzutę, która zsuwała mi się ze zgarbionych pleców. Rozpoznałam kardynała Oleśnickiego!

Miał dużą, nalaną twarz. Przerzedzone włosy przykleiły mu się do policzków. Czarne niczym tafla nocnego jeziora oczy były martwe jak u drapieżnika.

– Król, twój małżonek, miłościwa pani, szykuje się na wojnę z chrześcijańskimi braćmi – mówił cicho. – Nie popiera go ani papież, ani cesarz, ani ja. A to ja dałem mu koronę – dodał tonem pełnym żalu.

Podniósł się ciężko i zaczął się do mnie zbliżać. Był potężny.

– Powinnaś...

Wyciągnął siną dłoń i dotknął mnie lodowatym mokrym palcem. Przerazona cofnęłam się i strąciłam ze skrzyni złotą paterę pełną owoców. Twarde jabłka potoczyły się po kamiennej podłodze.

– Wyjść! – krzyknęłam do kardynała i wysoko uniosłam głowę. Wiedział, że mogłam jednym gestem kazać straży go wyprowadzić.

Do komnaty wpadli pokojowcy i niepewnie zatrzymali się w drzwiach, zerkając to na mnie, to na duchownego.

– Jenó zważ...

– Wyjść – odpowiedziałam twardo w obecności wystraszonego dworu.

– Dobrze, nie lękaj się. Wyjdę. – Wykonał uspokajający gest, lecz jego świdrujące spojrzenie było pełne pogardy i wyższości.

Oddalił się, budząc popłoch wśród dwórek.

Wstrząśnięta, pierwszy raz zdecydowanie otworzyłam drzwi łączące moją sypialnię z sypialnią Kazimierza. W środku było ciemno i zimno. Od razu dało się wyczuć, że nigdy tu nie bywał. Potrzebuję cię, myślałam przerażona, gdzie mam cię szukać?! Wróciłam do siebie, okryłam się starą szubą, zarzuciłam kaptur na głowę i w towarzystwie dwóch pokojowców przemknęłam do komnat starszej królowej.

W pierwszym pomieszczeniu zastałam kilka dwórek, a wśród nich Katarzynę, którą najwyraźniej zaniepokoiła moja wizyta.

– Co się stało, miłościwa pani?!

Wprowadziła mnie do sypialni swojej królowej. Komnata mniejsza od mojej, mimo że znajdowała się w starszej części dworu, była znacznie miłsza dzięki kobiecym drobiazgom i jasnym, żywo tkanym materiom.

– Chciałaś mnie widzieć? – zapytała królowa, marszcząc czoło. – Co się stało?

– Był u mnie teraz, gdy kładłam się do snu, wtargnął do mojej komnaty pod moją nieobecność, wystraszył mnie! To on witał mnie pod katedrą, to on udzielał nam ślubu, to on gapił się na mnie całe wesele! – wyrzuciłam z siebie.

– Kto?! – zapytała przerażona Katarzyna.

– Kardynał Oleśnicki!

– Kto?! – Królowa odwróciła się od lustra, przy którym przed chwilą poprawiała włosy.

– Dlaczego w nocy? Dlaczego w ten sposób?! Dlaczego w mojej sypialni?!

Katarzyna sprawnie streściła moją niemiłą przygodę.

– Oleśnicki! – wysyczała starsza królowa, aż obie podskoczyłyśmy. – Mógł przyjść do ciebie w środku dnia, ale chciał cię wystraszyć! Młoda ofiara, młoda królowa, łatwa do sterowania! – Zofia chodziła jak lwica w królewskim zwierzyńcu.

– Może wszystko, czego chce! – Zaciśnęła pięści i odwróciła od nas twarz. – Chciał odebrać mi miłość męża? Odebrał! Chciał zrobić ze mnie ladacznicę? Oskarżył mnie językami innych o zdradę! Nie pozwoliłam mu tylko zrobić z dzieci bękartów! Ale odebrał mi je! Jednego wysłał na śmierć! Drugiego w paszczę lwa! Siedem razy próbowano zabić na Litwie twojego męża! Dzieckiem był! – krzyczała.

Słuchałam oniemiała.

– Dlaczego? Bo nienawidzi rodu Jogajły! – Uniosła zaciśnięte pięści.

Katarzyna z coraz większym przerażeniem tłumaczyła kolejne słowa swojej pani. Patrzyłam to na królową, to na nią. Zofia usiadła na łożu, twarz ukryła w dłoniach. Podbiegłam i podałam jej wino. Wypiła chciwie.

– Uważaj, ma tutaj stronników. Chodź, pokażę ci, jak się do ciebie dostał – dodała królowa rzeczowo, łapiąc gwałtownie powietrze.

Zwróciłam się w stronę drzwi.

– Nie. Tędy. – Katarzyna chwyciła mnie za rękaw, wzięła łożową lampkę i ruszyła w stronę wezgłowia łoża.

Odsunęła ciężką makatę. W migotliwym blasku ukazała się wąska wnęka ze schodkami prowadzącymi gdzieś w dół. Bijący z głębi chłód

sprawił, że objęłam się rękami.

– Oleśnicki zna tu każdy zakamarek. On tu panował, gdy chłopcy byli mali, a ich ojca zabrakło – mówiła szeptem Zofia, kiedy powoli schodziłyśmy w zimny mrok. Raz czułam lodowaty chłód rzeki, raz fale kuchennego ciepła.

Weszłyśmy w czarną przestrzeń i stanęłyśmy skupione wokół małego płomyka w rękach Zofii. Ciemność była nieprzenikniona, szmery i echo dawały wyobrażenie o wielkości pomieszczenia. Wiatr znad rzeki uderzał prosto w nasze twarze.

Uszłyśmy wtulone w siebie kilka kroków, drepcząc jak kaczki.

– Teraz tędy – powiedziała szeptem królowa i odsunęła tapiserię w miejscu, nad którym miała znajdować się moja sypialnia.

Nagle opuściła mnie odwaga, która wcześniej pozwoliła mi Zbigniewa Oleśnickiego, potężnego kardynała, dla jednych pierwszego, dla drugich drugiego człowieka w Koronie, wyrzucić z królewskiej sypialni.

– Nie wrócę tam! Za nic!

Starsza królowa zrozumiała mnie bez tłumaczenia.

– Wrócisz. – Błysnęła surowo czarnymi oczami. – Kazimierz walczy z nim sam! Sam! Całe życie! – mówiła, zamykając mi dłonie w rękach, które potrafiły zarówno ogrzewać, jak i miażdżyć. Nie widziałam jej jeszcze takiej.

– Wrócisz – odpowiedziałam zdecydowanie po polsku. Teraz będzie miał dwóch przeciwników, stary potwór, pomyślałam, lojalna wobec męża.

Szepnęła coś po polsku, ucałowała mnie w oba nierówne policzki i zniknęła w ścianie. Katarzyna podała mi lampkę, a sama rozplynęła się w ciemnościach jak duch. Zostałam porzucona w dławiącej czerni jedynie z nikłym światełkiem. Ścisnęłam je w drżących dłoniach. Cichy szelest w oddali rozlał się gorącym strachem po moim ciele. To tylko szczury,

próbowałam obudzić rozum. Odwróciłam się w stronę tapiserii. Miałam wrażenie, że wielki szczur w ciemności rośnie i dotyka ruchliwym nosem mojego karku, a jego zimny ogon owija się wokół mych stóp. Trzęsąc się ręką odchyliłam tkaninę i natrafiłam na lity mur! Przerazona zaczęłam szarpać tapiserię i na granicy utraty zmysłów odnalazłam schody. Ostrożnie wspinałam się, mijałam inne ciemne korytarze, pilnowałam i modliłam się, by światelko nie zgasło, aż wyszłam w ślepej komorze za swoim łóżem. Uspokoiliam osłupiałą Erikę i kazałam jej sprowadzić moich pokojowców, wciąż stróżujących pod drzwiami królowej Zofii. Sen mnie odszedł. Zabrałam kołdrę i usiadłam w głębokim bezpiecznym wykuszu. Z trwogą spoglądałam na niewinną makatę z łąkowymi kwiatami, za którą kryła się nowo odkryta tajemnica. Nagle wyprostowałam nogi. A jeśli przychodził tu wcześniej?!

Rankiem chodziłam pod królewską kancelarią jak straż na murach, w tę i z powrotem. Załamywałam dłonie i zaczynałam wędrówkę od początku. Pokojowcy dyskretnie wodzili za mną wzrokiem. Chciałam opowiedzieć królowi o nocnej wizycie. W końcu dałam znak i zostałam wprowadzona do kancelarii. Od razu tego pożałowałam. Naraz odwróciło się w moim kierunku kilkunastu mężczyzn. Powstał harmider i przepychanki. Tylko król stał nieruchomo i patrzył pytającym wzrokiem. Skłoniłam się i przełknęłam ślinę.

– Przyszłam powiedzieć o czymś bardzo ważnym – powiedziałam wprost do niego. – Był u mnie kardynał Oleśnicki. W nocy. Wyrzuciłam go – zakończyłam głośniej.

Komuś wypadło pióro z ręki, ktoś parsknął śmiechem. Król podszedł i chwycił mnie za ramię.

– Wyrzuciłaś Oleśnickiego?! – Spojrzał na mnie z mieszaniną dumy i niedowierzania.

– Wyrzuciłam – powtórzyłam i uniosłam wysoko głowę.

– *Vivat królowa!* – ryknął Kazimierz w stronę kompanów. Wszyscy wybuchnęli swobodnym śmiechem.

– Chcesz, pani, zobaczyć dokument inkorporacji Prus? – zapytał podniecony król, wciąż ściskając mnie za ramię.

– Tak! – przytaknęłam gorliwie.

Podano mi pięknie wykaligrafowany akt z gronem wiszących pieczęci u spodu. Zapoznałam się z jego treścią. Z wielką atencją odebrał go ode mnie długonosy duchowny. Posłał mi tajemniczy uśmiech.

– Kardynał mówił, że papież i cesarz przeciwni są aktowi – powiedziałam, jadąc potem obok męża nad Wisłą.

– Każdy z nich ma swoje interesy, tylko nigdy ich prawdziwie nie wyjawia.

– Kardynał Oleśnicki... – zaczęłam i zauważyłam, jak na dźwięk nazwiska król wyprostował się w siodle.

– Źeś go, pani, wczoraj wyrzuciła z komnat...

– Tak! Był tam przede mną, siedział na moich meblach, tylko ścian nie obsikał jak jaki kocur! – odrzekłam oburzona.

– Zbigniew kocur, cóż za fantazja, moja pani! – śmiał się Kazimierz.

– Chciał mnie wystraszyć. Zapomniał, czyją jestem córką.

– Ha! I żoną.

Zarumieniłam się.

– Gdy byłeś mały i twój brat... – zaczęłam od nowa.

– Oleśnicki lał mnie i zamykał w ciemnicy za to, że nie potrafiłem się nauczyć czytać, a pewnie i za to, że Jagiełłowemu syn.

– Twój brat...

– Mój brat mnie uwalniał. A ja Zbigniewowi wkładałem do łoża zdechłe szczury.

– Za to pewnie też cię bił – wtrąciłam z kwaśną miną.

– Nie, za to akurat matka!

Roześmialiśmy się jednocześnie.

– Kazał mi zabierać nocą świecę – odezwał się, zapatrzony we wspomnienia. – Zawsze miałem zapasowe.

– Więc to prawda, że walczysz z nim, panie, całe życie...

Spojrzał na mnie zaskoczony.

– Ja też dostałam lanie – powiedziałam po chwili.

– Ty, pani?

– Wszystkich świętych mężów w cennej księdze podpisałam swoim imieniem!

– Zastąpić wszystkich świętych! To ci intencja na życie!

– Nie dochowałam jej nawet do kolacji! Wbiłam Annie pióro w policzek! – wykrzyczałam wśród śmiechu.

Wróciliśmy do stajen i chyba oboje nie mieliśmy ochoty na rozstanie. Nagle na wyciągniętym ramieniu Kazimierza przysiadł mały sokół.

– Piękny! – szepnęłam i postąpiłam o krok, niepewna, czy mogę się zbliżyć.

– Nie siedzi w ptaszarni, jest za mądry... – powiedział król i delikatnie musnął ptasie pióra.

– W ptaszarni? Możemy ją zobaczyć?

Poszłabym gdziekolwiek, bylebym nie musiała się z nim rozstawać.

– Chcesz zobaczyć ptaszarnię? – zapytał z czułością, od której zarumieniłam się po uszy.

– Tak.

Weszliśmy do wysokiego jak świątynia, wysypanego żwirem pomieszczenia. Poczułam się nieswojo, kiedy wstąpiłam do królestwa orłów, myszołowów i sokołów. Wszystkie naraz spojrzały na mnie bystrymi oczami uważnych drapieżników. Wszystkie też z łopotem skrzydeł zbliżyły się po odrobinę pieśczoły od swojego króla. Kazimierz sięgał po ulubieńców, mrucał i szeptał coś do nich, a mnie z pasją i miłością opowiadał o każdym.

– Wygląda jak Oleśnicki – palnęłam bezmyślnie i wskazałam czarnooką bestię.

Spojrzałam na króla i oboje parsknęliśmy śmiechem.

– Jak jest po polsku „żona”? – zapytałam wieczorem Małgorzatę, kręcąc się w kółko z małą Fani.

*

O wszystkich swoich decyzjach informował mnie już król osobiście. Sam wpraszał się na prandia i ceny, czym sprawiał mi ogromną radość, której nawet nie próbowałam ukryć. Posiłki często się przedłużały, ale mnie to nie przeszkadzało, jemu chyba też nie. Sprowadzał zabawne trupy teatralne, kuglarzy i sztukmistrzów. Żartował z mojego polskiego i śmiał się głośno z moich żartów. Kiedy do niego mówiłam, żywo gestykułowałam czy wybuchałam śmiechem, patrzył zawsze życzliwie, śledząc każdy mój ruch. Czułam, że jestem wtedy mądrzejsza, zabawniejsza, moje oczy lśniły bardziej, włosy są miększe, a piersi pełniejsze.

Któregoś wieczoru, kiedy odprowadzał mnie do moich komnat rozpromienioną jak zwykle, chwycił mnie za rękę.

– Chcesz, pani, odwiedzić miasto nocą?

– Tak! – odpowiedziałam chętnie, chociaż miałam przez chwilę nadzieję, że zaproponuje mi coś innego...

Kiedy dołączyłam do niego ciepło ubrana, zarzucił mi na plecy brunatną pelerynę i sam taką przywdział. Wsuwając w cholewę buta długi nóż, spojrzął na mnie z niewinnym uśmiechem. Zauważyłam, że towarzyszyć nam miało dwóch mężczyzn: jeden potężny jak góra, mistrz ostatniego turnieju, drugi – niemłody Tatar. U niego nie widziałam żadnej broni. Kazimierz, radosny jak dziecko, objął moją kibić i ruszyliśmy przez maleńki tunel poza mury Wawelu, gdzie księżyc oświetlał nam drogę, a mroźny chłód znad rzeki orzeźwiał. Drżałam nie z powodu zimna czy niebezpieczeństwa, ale ze szczęścia, jakie dawała mi bliskość mojego męża. Czułam jego rękę na mojej talii i doznanie to odurzało mnie od czubka głowy po palce u stóp. Co raz zaglądał mi w twarz, szukając potwierdzenia przeżywanej radości. Niewiele widziałam, szliśmy szybko między murowanymi i drewnianymi budynkami, nieraz grzęznąc po kolana w błocie. Byliśmy szczęśliwi.

*

Ciągle był zajęty, ale kiedy mógł, organizował nam przejażdżki. Tamtego dnia wyruszyliśmy tak jak lubił, zaraz po porannej mszy. Wiedziałam, że na pewno nic nie jadł. Zabrałam świeżo upieczony, jeszcze ciepły chleb i w zgrabnej flaszeczce niedźwiedzią łapę, o którą poprosiłam wieczorem. Zatrzymaliśmy się na niedużej polanie otoczonej potężnymi, jeszcze uśpionymi dębami. Dwaj konni – ci sami, którzy towarzyszyli nam podczas nocnej eskapady – rozłożyli miękką derkę. Usiedliśmy oczywiście daleko od siebie, w końcu byliśmy tylko miesiąc po ślubie... Wyjęłam chleb i zdałam sobie sprawę, że nie ma z nami krajczego, który sprawdza, czy posiłek nie jest zatruty. Mimo że nie wierzyłam w te bzdury, zamarłam z rozerwanym na pół bochenkiem.

– Zabrałam dla nas posiłek, ale chyba ja będę twoim krajczym... – odezwałam się niepewnie.

Spojrzał na mnie i w skupieniu obserwował moje ruchy. Ugryzłam kawałek i podałam mu chleb. Zabrał i pożarł jak zwykle swoją część. Wyjęłam flaszczkę z *ursina branca*³⁰. Upiłam odrobinę i podałam królowi.

– Jest jeszcze ciepła...

Przyłożył naczynie do ust, a ja poczułam, jak dziwna tkliwość narasta w moim brzuchu. Oddał mi butelkę. Zamknęłam oczy i p rzechyliłam moką szyjkę. Tak będą wyglądać nasze pocałunki, pomyślałam. Aż mnie odeśle. Pewnie za rok powie, że jestem niepłodna, i zachowa jakieś korzystne zapisy z umowy. Dobry plan, dobra polityka. Posmutniałam, mówił coś, ale nie słuchałam. Odwróciłam się, kiedy chwycił moją dłoń i ucałował jej wnętrze.

– Dziękuję, mój kuchmistrzu. – Uśmiechnął się i rozparł pod pniem drzewa. Zadowolony zamknął oczy.

*

Któregoś popołudnia przed wielkim wydarzeniem dostarczono zamówioną garderobę. Podniecone dwórki w nowych strojach pomogły mi wciągnąć pierwszą ciemnozieloną suknię, odcinaną wysoko przy gorsie. Oniemiałam. Miałam piersi, krągłe biodra, niewidoczny brzuch, na plecach nic się nie marszczyło. Z tyłu tkanina pięknymi miękkimi kaskadami opadała na podłogę. Przód i ramiona w żadnej sukni nie były nierówne. W oczach najładniejszej dwórki Małgorzaty zauważyłam zazdrość! Wyglądałam prawie ładnie!

*

Tego dnia czekałam cierpliwie, kiedy chichoczące panny ułożą u mych stóp fałdy sukni, a daleko za mną najdłuższy kawałek jedwabiu z mojego najwyższego czepka. Zdenerwowana, ujęłam w dłonie skrawek wierzchniej sukni i delikatnie przytuliłam go do piersi. Stąpając cichutko przy dźwięku fanfar, powolnym krokiem dołączyłam do króla na uroczystości.

Patrzyłam na niego z podziwem, kiedy wśród niskich dźwięków *tubatorum* odbierał hołd stanów pruskich. W majestacie, na podwyższonym tronie podkreślonym cenną oponą³¹, strojny w atłasy, klejnoty, aksamity i sobole, mówił głosem spokojnym i niskim, jakby specjalnie ćwiczonym, a siedział tak, że wydawał się znacznie wyższy niż zazwyczaj.

Wieczorem odbyła się jeszcze uczta i zabawa. Po turnieju, który według mojego małżonka ćwiczył hart ducha i ciała, wróciliśmy do wielkiej sali na dalsze rozrywki. Miałam na sobie nowiutką, najładniejszą, ciemnoniebieską suknię z tłoczonego aksamitu ze złotymi szerokimi listwami u dołu spódnicy i przy niebiańsko szerokich rękawach. Sama wyhaftowałam złotą nicią motyw jagiellońskiego krzyża wokół krągłego dekoltu. Starsza królowa wzruszona spojrzała na haft i z aprobatą pokiwała głową. Z przyjemnością zauważyłam, że król jest odziany w ten sam kolor co ja.

Kardynał Oleśnicki, przy osobnym suto zastawionym stole, podchmielony już, nie spuszczać ze mnie wzroku, perorował na temat podstępnej natury kobiecej, rozumem niedorównującej męzowskiej. Cały dwór słuchał w strachu, bowiem duchowny podniósł się i grzmiał coraz głośniej. Oboje z królem obserwowaliśmy w skupieniu to wystąpienie.

– Mówią, pani, żeś rozumem godna mężom – powiedział wprost do mnie kardynał, zmrużywszy oczy. Wszyscy jak na rozkaz zwrócili się w moją stronę.

– Żaden to honor – odparłam głośno.

– Jakże to? – parsknął.

– Bo ci, których dotąd poznałam, to albo tchórze, albo rozpustnicy, albo duchowni.

Wszyscy wraz z królem ryknęli śmiechem. Wstałam, podeszłam wolno i podałam przeciwnikowi kielich wina na znak zgody. Byłam pewna, że życzył mi wtedy śmierci.

Król z ogniem w oczach złożył mi ukłon. Uśmiechnęłam się głupawo i spuściłam wzrok. Czułam, jak od tego ognia płonęło moje ciało, ale nie wiedziałam, co z tym zrobić.

Odprowadzał mnie w ciszy, nie byłam w stanie położyć swojej dłoni na jego. Zatrzymaliśmy się w miejscu, gdzie zwykle znikalam w swojej sypialni. Nie odchodził, nic nie mówił, usiłował unieść moją twarz. Zaczęłam dygotać, miałam ściśnięte gardło. Byłam przerażona i chyba chciało mi się płakać. Poczulałam skurcz. Nie, to niemożliwe, on nie może... Przypomniałam sobie swoje pozwężlane mięśnie tuż pod skórą, no i tam z tyłu mam taką wystającą kość! Boże!

Kciukami tylko delikatnie starł z moich policzków dwie głupie łzy i oddalił się.

*

Daleko było do świtu, kiedy król wyjeżdżał z Krakowa do Brześcia Litewskiego. Ciężkie niebo obrzmiałe deszczem czyhało, aż podróżni wyjadą na trakt. Ja i starsza królowa, szarpane wiatrem, w ciszy obserwowałyśmy orszak. Było mi tak strasznie wstyd! Od nieszczęsnej sceny, jaką zrobiłam, nie odwiedził mnie ani nie zjedliśmy wspólnego posiłku... Jesteś głupią gęsią, Elżbieto, mówiłam do siebie bez przerwy.

Król, gotowy do drogi, przeciągnął rękami po skórzanej kurcie i powoli zbliżył się do mnie. Zofia odsunęła się od nas na kilka kroków. Tak bardzo

żałowałam swojego tchórzostwa, czułam, jak serce rozpoczyna swój galop. Kazimierz sięgnął po mój kaptur i niezdarnie założył mi go na głowę.

– Będzie padać. – Uśmiechnął się zażenowany, uniósł moją dłoń i ucałował jej wnętrze. – Do zobaczenia wkrótce. Proszę o modlitwę. – Spojrzał na mnie z czułością.

Puścił moje ręce i przyskoczył do matki po błogosławieństwo.

Do zobaczenia wkrótce, do zobaczenia wkrótce, serce uczepliło się tej nikłej nadziei. Przez chwilę czułam jego dotyk na moim policzku. Odjechał, a ja stałam jak przed dwoma miesiącami, w tym samym miejscu, w zimnej wodzie, z twarzą smaganą deszczem. Zacisnęłam dłoń, chroniąc ślad pocałunku.

*

– Idź, zapytaj, czy królowa Zofia nie zechce do nas dołączyć – zwróciłam się do starszej dwórki Małgorzaty. Siedziałyśmy w dużej sali, siódmy dzień bez Kazimierza.

Niebawem zrobiło się w komnacie tłoczno i wesoło. Ku radości dwórek oprócz starszej królowej do towarzystwa dołączyła grupa *iuniorum*, świetnie wykształconych, doskonałych kawalerów ze znakomitych rodzin. Każdy młodzian chętny był do piasów ze mną, licząc zapewne na dalszą karierę na dworze. Nie myślałam o tym, korzystałam. Żywy taniec przynosił mi oderwanie od strachów, smutku i tęsknoty. Tylko w tańcu każdy mój ruch był pewny i doskonały. Wiedziałam, że naprawdę wyglądam jak przyczajony zwierz, ale zamykałam oczy i zwierz znikał. Czułam się piękna. Mądra królowa Zofia wiedziała o tym i dlatego często umożliwia mi tę rozrywkę.

Wcześniej odesłałam Małgorzatę, by dopilnowała łożnych³² w sypialni. Miałam przez chwilę wrażenie, że dworska piękność posyła mi pogardliwe

spojrzenie. Widziałam też, że zabrała ze sobą dwie inne, których nie wskazałam. Poczułam ukłucie w sercu. Czyżbym była złą panią? Nie chciałam karać dziewczyny. Nie wyobrażałam sobie siebie w roli kata. Dojrzałam też czujne spojrzenie Eriki, rzucone w ślad za pannami.

Krużganki pełne jeszcze były dworzan, kiedy zmęczona wcześniej kończyłam dzień. W dobrym humorze wchodziłam za damami do sypialni, lecz uśmiech stęzał mi na ustach. Trzy dwórki w głębi pomieszczenia również zamarły na mój widok. Zauważyłam, że ze skrzyń powyciągały ubrania. Szuby i koszule leżały niedbale porozrzucone po komnacie. Jedna panna właśnie przymierzała czepek, druga stała wystraszona niczym wmurowana, a Małgorzata miała na sobie moją suknię mocno wypchaną na plecach inną częścią ubioru. Garb! Przerażona dopadła moich kolan i zaczęła zawodzić, wypowiadając jakieś niezrozumiałe słowa.

Ogarnęła mnie furia. Jako brzydka sierota gardziłam szyderstwem i okrucieństwem podszytym czystą głupotą. Doświadczałam go najczęściej od tych, którzy mieli mnie chronić. Dawno obiecałam sobie, że nie pozwolę już nikomu drwić z mojego wyglądu! Tym bardziej, kiedy byłam królową!

– Eriko, zabierz te ścierwa z moich oczu na zawsze – powiedziałam do ochmistrzyni lodowatym tonem, strząsając z odrazą wstrętną niewiastę ze swoich stóp.

Erika, ku przerażeniu wszystkich w komnacie, z ogromną siłą uniosła Małgorzatę i uderzyła ją w twarz. Ta, sądząc ze zmiany tonu, zaczęła wygrażać ochmistrzyni i coraz mocniej wyrywać się z żelaznego uścisku. Jakaś litościwa ręka wyszarpała wstrętną wypukłość z sukni, zanim pokojowcy wyprowadzili trzy wrzeszczące kobiety. Nie ruszałam się z miejsca. W komnacie zaległa cisza. Dwórka Jagusia zaczęła pochlipywać, a starsza pani Bartnikowska szeptać jakąś modlitwę.

– Rozbiorę się sama. Odpocznijcie, dobrej nocy – oznajmiłam, patrząc przed siebie. Bolesny kurcz kazał mi pochylić głowę na prawe ramię.

Hedwig wzięła na ręce płaczącą Fani. Zostałam sama. Stałam jeszcze przez chwilę nieruchomo, po czym nie mogłam już opanować drżenia ramion.

*

Następnego dnia nie miałam ochoty na żarty czy gry. Popołudniowe haftowanie i czytanie odbywało się w ciszy. Słyszeć było tylko czasami pokaskywanie kobiet i skrzypienie krzeseł. Nawet Fani grzecznie siedziała na swoim miejscu. Z wysuniętym koniuszkiem języka wbijała igłę w cieniutki materiał. Czułam, że damy z okrojonego fraucymeru czujnie mnie obserwują. Byłam wciąż poruszona i było mi wstyd po wieczornym zdarzeniu. Miałam tylko kilka dwórek, a nie wiedziałam, co się wokół mnie dzieje. Wydawało mi się, że zyskam ich szacunek, przyzwalając na wszystko. A one w rzeczywistości ze mnie drwiły. Właściwie dobrze się stało. Gdyby nie wczorajsze wydarzenie, pewnie złe zachowania nasiliłyby się, a mój wstyd byłby potem większy.

– Dziękuję Ci, Najświętsza Panienko, za wczesną naukę – szepnęłam w stronę nieba za moim oknem i już spokojna, sięgnęłam po modlitewnik.

Wieczorem dostarczono list. Z bijącym sercem rozerwałam pieczęć. „Głupia, przecież Kazimierz nie napisze!” – skarciłam się w myślach.

– Anna! – wykrzyknęłam uradowana i zamknęłam się w sypialni. Rzuciłam się na łożo, chciwie wczytując się w słowa od ukochanej siostry. Anna była starsza ode mnie o cztery lata, a już miała dwoje dzieci. „Kochana Elżbieto, nie wyobrażasz sobie, jak bardzo jestem rada...” List był poprawny, siostra gratulowała mi zamążpójścia, ale między słowami wyczuwałam jej smutek i rozczarowanie życiem jako żony landgrafa

Turyngii, Wilhelma II. Postanowiłam zaraz odpowiedzieć i szczerze wyjawić moje obecne uczucia, chciałam, by Anna zrobiła to samo. Opisałam moje kłopoty z fraucymerem i własne tchórzostwo, po czym poczułam wielką ulgę. Położyłam się i spojrzałam w bogato malowany sufit. Święci z malowideł spoglądali surowo. Zeszłam z łoża i wrzuciłam w ogień list pełen nieistotnych żalów. Nie chciałam, by Anna martwiła się jeszcze mną. Zaczęłam od nowa: „Kochana siostró, nie wyobrażasz sobie, jak bardzo jestem szczęśliwa...”.

*

Kilka dni później, nudnym deszczowym popołudniem, odwiedził mnie ochmistrz dworu. Ucieszyła mnie ta wizyta, bowiem Mikołaj Róza był doskonałym przeciwnikiem w rozgrywkach szachowych. Od razu zauważyłam, że nie przyszedł grać. Z całym ceremoniałem przeszedł przez sień i skłonił się głęboko. Za nim stanęła Erika z bardzo niepewną miną. Usiadłam i wskazałam im miejsca.

– Miłościwa pani, przychodzę w sprawie twojej dwórki. Ojciec jej dopytuje pełen żalu, dlaczegoż to oddalono jego córkę Małgorzatę. Ta zarzeka się, że nie wie, w czym uchybiła – mówił oficjalnym tonem.

Krew uderzyła mi na policzki (kiedy przestanę się czerwienić?!), widziałam, że Erika płacze. Wiedziałam też, że dwórki markują zajęcia i nasłuchują z wielką uwagą. Zakasłałam.

– Żal okrutny, że panna winy swojej nie widzi. To potwierdza tylko, iż racja po mojej stronie leży. Erika mówić nie chce, bo to osoba wielu cnót i brzydzi się ohydą podłości, jakiej dopuściła się Małgorzata. Tyle słów, panie, wystarczyć tobie i czcigodnemu ojcu powinno. Chcę, abyście zgodzili mi zamiast tych trzech oddalonych jedną jeno.

– Jaka ma być, pytam, by błędu nie popełnić – zapytał i skłonił się powtórnie. Wyczułam urazę w jego głosie.

– Uczciwa i dobra – odparłam równie urażona.

– Ojciec pyta, dlaczego córka jego została uderzona? – Skłonił się znowu i rzucił oskarżycielskie spojrzenie w stronę Eriki.

– Niech Bogu dziękuje, że lochu uniknęła! – odparłam zdenerwowana i pierwszy raz w życiu odprawiłam kogoś ruchem ręki.

Róża oniemiały otwierał i zamykał usta. Zebrawszy fałdy marszczeńca³³, skłonił się raz jeszcze i oddalił szybkim krokiem.

– Eriko, czy to aby nie krewny Małgorzaty?

– Przyjaciel domu jej ojca i za mąż tu obiecał ją wydać – odparła ochmistrzyni, odetchnąwszy.

– Dziękuję ci, Eriko, za to, żeś tajemnicę i cnoty godne dwórki zachowała – powiedziałam głośno. – Przyjmij ten modlitewnik jako dowód mojego uznania. – To mówiąc, wskazałam służebnemu chłopcu pięknie rubrowany³⁴ zgrabny modlitewnik, który dostałam od czeskiego orszaku jeszcze w Pradze, i podałam Erice.

Wzruszona ochmistrzyni skłoniła się pięknie i anielskim głosem zupełnie niepasującym do jej męskiej postury razem z kantorem Marco tego dnia w niej zakochanym zaintonowali piękną włoską pieśń miłosną. Dwakroć ładniejsza Hedwig ścisnęła nowy flet i z bólem patrzyła na parę.

Bolała mnie ta rozmowa, zabolęła niechęć ochmistrza, który do tej pory był jednym z niewielu, których sympatię czułam. Czy królowanie polega na krzywdzeniu jednych, a obłaskawianiu drugich? Czy drudzy staną się pierwszymi?

*

Przygotowania do podróży rozpoczęto zaraz po wyjeździe króla, tak że niedługo po nim ruszał leniwie następny orszak.

– Jak czoło jego docierać będzie do Sandomierza, to ogon dopiero wysunie się z Krakowa! – śmiałyśmy się ze starszą królową, patrząc z dworskich krużganków na ruch w dole.

Pierwszego dnia ruszyć miał oddział konnych, drugiego stajnie z końmi wozowymi i wierzchowymi, trzeciego muzykanci ogłaszający wjazd do miast i osad, czwartego myślistwo, piątego królowa z fraucymerem i kancelarią, dalej reszta wozów podróżnych obitych czerwonym brokatem i kolebki. Przed nami i za nami oddziały konnych dla bezpieczeństwa i posług. Potem wozy skarbowe, kuchenne, kredensowe, wiozące wyposażenie do dworów i zamków, w których dwór zamierzał rezydować lub gościć. Na końcu służba, wozy piwniczne, kuchnia i pasza dla koni. I to wszystko razy dwa.

W Sandomierzu chciałyśmy spędzić Wielkanoc. Sądząc po przygotowaniach Zofii i ogromnej garderobie, wiele oczekiwała po tym wyjeździe, była radosna jak niejedna panna z fraucymeru. Wciąż piękna i młoda. Doskonała towarzyszka, w tańcu niedościgniona, w rozrywkach niezmordowana.

A dla mnie ten czas był niepotrzebnym przystankiem wydłużającym rozłąkę z mężem. Nieustannie, w drodze czy w kaplicy, modliłam się za niego, o jego bezpieczeństwo i zdrowie, ale i o własną skrucę i cierpliwość, lecz myśli moje pozostawały pierwszy raz nieujarzmione. Kiedy się zobaczymy? Czy pośle po mnie, jak osiadzie w Toruniu? Czy zraziłam go do siebie jeszcze bardziej? Przecież powiedział: do zobaczenia wkrótce!

Po niedługiej podróży i postoju w Proszowicach królowa dołączyła do mojego wozu. Podziwiałam jej twarz w kształcie idealnego serca i dałabym

sobie rękę uciąć, że wcześniej widziałam siwiznę na jej skroniach.

– Jesteś bardzo piękny, pani – powiedziałam po polsku.

Z zadowoleniem musnęła swoimi upierścienionymi paluszkami bok misternej fryzury pod lekkim kornetem.

– Ty też jesteś z każdym dniem ładniejsza – odparła z uśmiechem, wskazując mnie palcem. – Tak, tak – potwierdziła, kiedy zobaczyła moją kwaśną minę.

– Ja... Kazimierz... uciekłam... noc – wydukałam czerwona jak mak.

Uniosła brwi i nagle roześmiała się serdecznie.

– To dobrze, to bardzo dobrze!

Śmiała się długo. Nic nie rozumiałam, chyba nauka polskiego nie szła mi najlepiej...

Zieleń na dobre rozgościła się na polach. Chętnie towarzyszyłam konno orszakowi i wspominałam przejażdżki z Kazimierzem. Kiedy w kolejnych miejscach wirowałam w tańcu, chciałam, by to mąż mnie podziwiał i tańczył ze mną. Kiedy jadłam, wzrok mój szukał go tam, gdzie słychać było głośny śmiech. Jakże ja za nim tęskniłam! Dnie i noce były torturą. Kiedy odpoczywaliśmy, kiedy dwór zajęty był rozrywkami – ja jak zwykle uczyłam się polskiego i wspominałam ostateczne spotkanie. Gdyby moje ciało nie stchórzyło...

*

Sandomierski zamek, pyszny urodą, z urwiska spoglądał łaskawie w dół na starą Wisłę. Mimo radosnych świąt i pięknego miejsca podczas rezurekcji smutek ogarnął mnie całą. Już z nim nie walczyłam, mogłam tylko kornie błagać zmartwychwstałego Jezusa o miłosierdzie nade mną. Miałam ochotę wstać i biec przed siebie. Było mi słabo i sięgnęłam po chustkę. Zanurzyłam dłoń w purpurowej sakiewce i wyczułam w jej głębi

jeszcze coś. Jednym ruchem wyszarpałam tajemniczą zawartość. Chmura wiosennych liści rozsypała się wokół mnie. Liście! Dębowe liście! Nie z ogrodu! Co to znaczy? Jest tutaj czy to tylko wiadomość?! Obejrzałam się za siebie. Nie widziałam go! Za to wszyscy patrzyli na mnie. Uspokoiliłam się, nie mogłam teraz wybiec. Nagle boskim zrządzeniem usłyszeliśmy krótki dźwięk królewskiej trąbki, na który kapelan szybko ukończył ceremonię. Wstałam pierwsza i nie czekając na orszak, biegłam w stronę światła kościelnych wrót. Spraw, Panie, żeby tam był! Spraw, Panie, żeby tam był! To niemożliwe, nie zawróciłby z tak daleka! Biegłam coraz szybciej. To pewnie tylko posłaniec – na przemian łudziłam się i odbierałam sobie nadzieję. Czy na mój widok teraz nie zostawi mnie jak przy pierwszym spotkaniu? Czy mnie wspominał?

Był tam! Brudny, uśmiechnięty i kochany! Widziałam go kątem oka: niepewnie pocierał ramię, rozmawiał z innymi, ale patrzył na mnie, słyszałam jego głos. Byłam wzruszona, płonęła mi twarz i nie śmiałam podnieść oczu. Dzięki Ci, Panie Wielki, że sprowadziłeś go z powrotem do mnie!

Podeszłam, mrużąc oczy w wiosennym słońcu, delikatnie dotknęłam jego wymizerowanej twarzy. Ujął moją dłoń i ucałował jej wnętrze.

– Witaj, królowo moja – powiedział wzruszony.

– Witaj król mój z Brześcia – odparłam po polsku rozpromieniona, drżąc ze szczęścia.

Siedzieliśmy wieczorem na miękkim pościeliu, twarzami zwróceniu ku sobie, w komnacie zabaw sandomierskiego zamku. Gwar i muzyka utrudniały rozmowę.

– Wróciłeś z Brześcia. – Chciałam popisać się wymową, którą doskonaliłam każdego dnia.

– Tak, i zaraz jadę do Łęczycy i od razu do Torunia – odparł zasmucony, nie zauważywszy moich postępów.

– Nieudane spotkanie?

– Nie. Ale to nie pierwsza dla mnie. – Nagle otrząsnął się i wrócił myślami do mnie na zamek. – Z Brześcia, mówisz?

– Z Brześcia – odparłam, dumnie zadzierając głowę.

– Z zarzewiem pożogi w porożu ryczącego jelenia? – zapytał po polsku i niewinnie uniósł brwi.

Zagrały pierwsze dźwięki wdzięcznego tańca i z przyjemnością zwróciłam wzrok ku zgrabnym parom, które stanęły uśmiechnięte w kole, szykując się do pląsów. Nagle wysoka postać zasłoniła mi widok. Król, pochylony, wyciągnął do mnie rękę.

– Pani. – Patrzył błyszczącym wzrokiem i uśmiechał się niepewnie.

Podskoczyłam, ukrywając zdenerwowanie. Ustawiliśmy się w pierwszej parze. Tak blisko! Płonęła mi dłoń i każde miejsce, którego dotykał. W tańcu zamknęłam oczy i stałam się cała czuciem. Nie chciałam uronić ani jednej chwili z tego spotkania. Każde palące muśnięcie dłonią, każde drgnienie powietrza chowałam w środku siebie na potem, na czas rozłąki. Kazimierz był blisko mnie, ciepły i pachnący czymś nieznanym. Tańczył doskonale – pewnie i miękko.

– Zechcesz, pani, dołączyć do mnie w Toruniu? Tam będzie wiele okazji do tańców. – Skłonił się ku mnie, kiedy mijaliśmy się w figurze.

– Tak, z radością – odpowiedziałam, patrząc na jego buty. W duszy krzyczałam ze szczęścia.

Po trzech tańcach usiedliśmy nie mniej zdenerwowani niż wcześniej. Peszyły mnie znaczące spojrzenia starszej królowej, które od razu obnażały nasze uczucia. Ale król odprowadził mnie jak zwykle i wrócił do siebie.

*

Droga do Nieszawy była mało uciążliwa i wiodła stale wzdłuż malowniczej Wisły. Rzeka była cały czas przy mnie, powolna, cicha i lśniąca.

Jechałyśmy ze starszą królową same, bo król musiał wyruszyć wcześniej. Na moją prośbę podróżowałyśmy bez przystanków, na co Zofia ze śmiechem przystała. W ciepłe noce jechałam z odsuniętymi kobiercami, zapatrzona w czerń nieba, wody i ziemi. Za dnia zamykałam oczy i rozpamiętywałam po wielokroć każdy gest, każdą rozmowę i każdy dotyk w tańcu. Nie dokuczały mi żadne bóle, czułam się zdrowa i zakochana.

Kazimierz osobiście powitał nas obie pod ceglanym kwadratowym zamkiem Dybowskim w Nieszawie, a sam znowu udał się do Torunia, który przycupnął po drugiej stronie Wisły.

*

W ciemnoniebieskiej sukni ze złotymi blaszkami na całej spódnicy wirowałam radośnie w komnacie, czekając na królową Zofię. Wybierałyśmy się na pierwsze tańce do Torunia! Miasto zaparło mi dech w piersiach. Gdzież Wiedeń czy Praga! Kraków piękny swoim dostojenstwem, ale Toruń był grzechem! Puchł, kusił, otumaniał bogactwem i przesytem. Piękne, czerwone od cegieł miasto! Domy większe, zdobniejsze, majątniejsze niż gdziekolwiek widziałam, cztero-, pięciopiętrowe! Ludzie syci, rumiani, pewni. Niewiasty i mężowie odziani w szaty nieznanymi krojów i materii przechadzali się z małymi dworami, muzykantami i służbą. Widziałam egzotyczne zwierzęta wodzone na złotych, wysadzanych klejnotami łańcuszkach albo noszone w złotych klatkach! Miałam wrażenie, że miasto składa od świtu po noc bałwochwalczy hołd posiadaniu. Miasto grzechu, nocą Sodom i Gomora!

Utonęliśmy w nim wszyscy troje. Z Kazimierzem pijanym hołdami mieszkańców Torunia, Gdańska, Elbląga, Chełmna, zaszczytami, uwielbieniem zatracaliśmy się w tańcach i zabawie każdego dnia przez całe lato.

Zbliżała się wojna. Krzyżacy nie zamierzali oddać bez walki Malborka, Sztumu i Chojnic. Wiedzieliśmy, że to ostatnie beztróskie dni. Liście związane męską chustką, które zastawałam każdego wieczoru na stoliku w sypialni, traciły soczystość i zieleń. Skończyło się lato, gdy Kazimierz ruszył pod Chojnice.

Dzień za dniem mijały bardzo powoli, snułam się z kąta w kąt, starsza królowa namawiała mnie na tańce, ale nawet na to nie miałam ochoty, przybita niebezpieczeństwem i nieobecnością Kazimierza. Strachu o przebieg walk nie łagodziły mądrości z ksiąg, muzyka ani samotne spacerowanie. Ukojenia nie dawały modlitwy. Nieustannie próbowałam przypomnieć sobie jego twarz pochyloną nad moją podczas pożegnania. Kiedy kładłam się spać, wyjmowałam sakiewkę z zasuszonymi liśćmi.

W dzień nasłuchiwałam bitewnych wieści. Dochodziły nas słuchy, że wojsko ciągnące na pomoc z Wielkopolski to hałastra niemająca pojęcia o dyscyplinie, rządna grabieży i przywilejów od króla. Dowiedzieliśmy się później, że byleby walczyli, przystał na wszystkie.

Któregoś dnia, kiedy odpoczywałam nad Wisłą pod czułą opieką rzeki i fraucymeru, usłyszałam znajomy mi dźwięk trąbki. Król wrócił! Zerwałyśmy się wszystkie, ja pędziłam pierwsza. Dopadłam bram i wbiegłam na wąskie schody, na których zatrzymał mnie jeden z mężczyzn przybyłych z królem.

– Miłościwa pani, król wrócił, ale widzieć nikogo nie chce! Odstąpili go w polu, wystraszyli się Krzyżaków, zdradzili i uciekli! Tamci, co im wszystko obiecał! Zostali ci ostatni, ci najwierniejsi, stanęli garstką i oddali

ducha, rycerze pierwsi, Piotr ze Szczekocin... Jan z Rożnowa w niewolę wzięty! Król zagrzewał do walki, bił się i błagał o męstwo! Widział śmierć własnych druhów! Sam omal życia nie oddał, straż odciągnęła go siłą i do ucieczki zmusiła! – płakał mężczyzna.

Szłam powoli po schodach, oniemiała z bólu i trwogi.

– Kazimierz, Jezusie Nazareński, Kazimierz... – mamrotałam.

Weszłam cicho do komnaty; nie rozpoznałam go od razu. Zamiast dwudziestoosmioletniego króla na brzegu wąskiego łóża siedział starzec. Szerniały, z martwą, obwisłą twarzą i włosami zlepionymi błotem i krwią, brudny, patrzył niewidzącym wzrokiem w okno.

Zbliżyłam się do męża.

– Spójrz na mnie... – wyszeptałam.

Na dźwięk mojego głosu król popatrzył na mnie udęczonym wzrokiem.

– Elżbieto... – Wyciągnął do mnie rękę.

Podbiegłam i wpadłam mu w ramiona.

– Odstąpili mnie... – Zmiażdżył mnie w uścisku. – Zginęli... Nie odstępuj mnie... Elżbieto... – szeptał, muskając moją szyję gorącym oddechem.

Jakby chciał mnie pochłonać, zaczął dotykać mnie całą, rękę, włosy, twarz. Nigdy nie czułam go tak blisko. Oszołomiona zaczęłam zdzierać z niego odzienie, zapragnęłam dostać się do jego duszy, wyrwać z jej środka smutek i pożreć wszelką zgryzotę umiłowanego na zawsze.

Leżeliśmy odurzeni bliskością. Kazimierz miał zamknięte oczy i rozchylone usta. Koniuszkami palców wodził po moich krągłościach.

– Jakie gładkie... – zachwycił się szeptem.

Przywarłam zawstydzona do jego gorącej, pokrytej jakby niedźwiedzim futrem piersi.

– To niebezpieczne – powiedział podniecony i znowu zległ na mnie.

Nad ranem zasnął. Nie spałam, leżałam wpatrzona w kochaną twarz. Zajrzałam pod kołdrę, żeby napatrzeć się na mężczyznę, mojego mężczyznę! Czy będę musiała się z tego wypowiadać? Nie wiedziałam, co się ze mną dzieje. Ciągłe czułam to odurzenie i cudowne łaskotanie na dole. Odwrócił się do mnie plecami. Znowu zajrzałam pod kołdrę i zaczęłam chichotać. Na plecach i niżej też miał futro! Z rozkoszą przytuliłam się i zanurzyłam dłoń w gęstwinie na jego piersi. Ciało mojego męża napawało mnie dumą i pożądaniem.

– Wiele miałeś kobiet? – Zadałam w końcu to pytanie.

Włożył rękę pod głowę i zapatrzył się w sufit.

– Kiedy miałem czternaście lat, na Litwie którejś nocy zobaczyłem nad sobą straszną, pijaną czarnowłosą kobietę z ogromnymi obnażonymi piersiami. Przygwoździła mnie do łóża.

– I co się stało?

– Potem bolał mnie brzuch i przyrodzenie. Rano mój opiekun tylko poklepywał mnie po karku.

– Dał ci po tym spokój?

– Nie, przysyłał blondynki i rude.

– Skorzystałeś?

– Zamykałem się w sypialni.

– Dlaczego?

– Bo wszystkie były pijane i miały wielkie piersi – odpowiedział z wymuszonym uśmiechem.

Nie pytałam dalej. Przytuliłam się, a on objął mnie swymi mocnymi ramionami.

– Ja musiałam patrzeć – powiedziałam po chwili.

– Na co?

– Mój drugi od śmierci rodziców opiekun – przełknęłam ślinę – hrabia von Cillia. Przerazał mnie. Kiedyś kazał mnie przyprowadzić do siebie i zmusił do patrzenia, jak niewoli kobietę... Powiedział, że robi mi przysługę, bo nikt nigdy... I patrzył wtedy na mnie... – Wreszcie wyrzuciłam z siebie wstrętny obraz.

– A pierwszy opiekun?

– Stryj Fryderyk był dla nas dobry. To on zapewnił nam wykształcenie. Bardzo dbał o Władysława, przy okazji o mnie i o Annę. Prawie go nie widywałam.

Usiadłam i okryłam nagie piersi.

– Mówili, że was głodził... – drążył Kazimierz.

– A wyglądam na zagłodzoną?

– Tak, ciągle jesz – odparł z poważną miną, za co oberwał suszoną śliwką z patery przy łożu.

– A mnie mówili, że twój brat otruł moją matkę – rzuciłam z szaleńczo bijącym sercem. Spojrzał na mnie jak na kobietę niespełna rozumu.

– I uwierzyłaś?

– Nie... – odparłam niepewnie.

Spuściłam głowę, bo było coś, co nurtowało mnie jeszcze bardziej.

– A twój brat...

– Co mój brat? – Zmarszczył czoło.

– Mówili, że sterował rufą do przodu³⁵ – powiedziałam i ze wstydu nakryłam głowę kołdrą.

Kazimierz wydał z siebie jakiś gulgot i po chwili wybuchnął gromkim młodzieńczym śmiechem.

Nocą leżeliśmy w łaźni wtuleni w siebie.

– Nie odstępuj mnie nigdy, Elżbieto – powiedział.

– Nie odstąpię – odparłam uroczyście.

Od teraz naprawdę byliśmy mężem i żoną, na zawsze.

*

Obudziłam się sama. Od razu pojawił się cały fraucymer. Pani Bartnikowska zaczęła hałasować pod łóżkiem. Po chwili wynurzyła się zaróżowiona z okrągłą szklaną butlą pełną płynu z mojego nocnika.

– Do medyka niosę, dziecko może być! – zaatakowała mnie z wytrzeszczonymi oczami.

– Aa... tak – odparłam wystraszona. – No tak, tak, może! – powiedziałam radośnie.

Bartnikowska niosła dumnie przed sobą butlę i niczym jej nie osłoniwszy, wyszła.

– Ona tak to wynosi, na oczach wszystkich?! – zaniepokoiłam się.

– Tak, od początku... – odpowiedziała zawstydzona Jagusia.

Nic nie odparłam, nakryłam się po czubek głowy i opadłam na poduszki. Byłam szczęśliwa. Byłam pierwszy raz w życiu naprawdę szczęśliwa i w każdej najcichszej chwili nocy przed świtem wyobrażałam sobie naszego syna, którego z pewnością poczęliśmy. Niemalże czułam go w środku, widziałam, jak rośnie, śmieje się jak Kazimierz, tańczy jak ja, czarnowłosa jak król i szarooki jak królowa. Nic nie pomagały awantury robione pani Bartnikowskiej za noszenie obnażonej butli z zawartością mojego nocnika. Matrona wpadała w płacz i ochmistrzyni musiała ją przeproszać.

Ze zdziwieniem przyjąłam miesięczne krwawienie.

*

Kazimierz wyrwał z rąk kanclerza pergamin, zmiął go z furią i cisnął przez wąskie okno. Dworzanin dyskretnie wysunął się z małej kancelarii.

– Oleśnicki triumfuje! Wypomina mi, że go nie posłuchałem i nie posłałem w bój dworzan! A wiesz, co jest najgorsze? Że stary ma rację! A tu zima idzie i nijak ruszyć się nie da, by to naprawić! – krzyczał i chodził po komnacie.

Cierpliwie czekałam, aż się uspokoi. Kiedy odwrócił się w moją stronę i zamierzał coś jeszcze dodać, wszedł ochmistrz jego dworu.

– Panie, przybyli posłowie z miast pruskich, proszą o posłuchanie.

Spojrzeliśmy na siebie zdziwieni.

– Dobrze, spotkam się z nimi – powiedział król i potarł swoje wysokie czoło.

– Miłościwy panie, nie poddawaj się teraz. My wszyscy tutaj zgodnie – wskazał w koło przedstawiciel zgromadzonych posłów stojących przed nami – własne fortuny poświęcimy, ale przysięgi tobie złożonej w Krakowie nie złamiemy. Nie opuszczaj nas teraz, miłościwy panie. – To powiedziawszy, ukląkł wzruszony, a za nim pozostali przybyli.

Po chwili odezwał się Kazimierz, poruszony oddaniem zaprzysiężonych:

– Klęska owa nie złamała mnie, lecz rozgniewała, i Krzyżacy niedługo będą cieszyć się zwycięstwem. Wkrótce ruszam dokończyć dzieła.

*

– Przecież zima idzie, sam mówiłeś, Kazimierzu, zły to czas na wojowanie – napomknęłam zaniepokojona decyzją króla, kiedy leżeliśmy w łożu.

– Nie mogę tego odłożyć do wiosny. Pomyślą, że ich opuściłem, i stracą ducha. Na dodatek trzeba do wojny nająć wojsk zaciężnych, a nie ruszać

z niewyćwiczoną wrzeszczącą kupą. Nie ma już rycerzy, co walczą za honor, teraz za cnoty trzeba płacić.

– Ależ to wielkie pieniądze!

– Wiem, ale inaczej nie wygramy. Na szczęście Krzyżacy też ich nie mają. Czas wojny przeczekaś w Sieradzu – dodał po chwili.

– Ale...

– Tam będziesz bezpieczna i chociaż o ciebie będę spokojny. Ostatni raz się rozstajemy. – Przygarnął mnie i zamknął w ramionach.

*

Podróż nie była tak przyjemna jak latem. Robiło się coraz zimniej i coraz częściej padało. Jechałam sama, królowa Zofia wróciła do swojego Radomia. Znowu śniłam sen o smoku. Plecy mocno mnie bolały, co raz przesiadałam się z wozu do kolebki. Mimo częstych postojów w wygodnych miejscach marzyłam już o końcu podróży. Wreszcie na horyzoncie zamajaczyła sylweta sieradzkiego zamku.

Przez kilka pierwszych dni zapoznawałam się z mieszkaniem i okolicą. Układałam obrazy z jesiennych liści, pisałam listy do brata, Anny i Heleny. Z radością dowiedziałam się, że Helena kupiła dla siebie i swojej rodziny dom w Wiedniu. Wreszcie ma swoje życie, pomyślałam z radością. Posłałam jej kilka kobierców do nowej siedziby. Po paru dniach rozterki odważyłam się zapytać w liście, jak naprawdę umarła moja matka. Jako dzieciom kazano nam wierzyć w wersję o otruciu. Ku mojej uldze piastunka odpisała, że nie z powodu zatrutej szuby, a zadawnionej choroby niewieściej. Kobiety i ich rozterki.

Z rozczarowaniem przywitałam u siebie kolejne krwawienie. Astrologa odwiedzałam każdego miesiąca, nieustannie powtarzał, jak ten w Wiedniu, że matką królów zostanę. Przecież wiedza nie kłamie! Dni i tygodnie mijały

bezlitośnie wolno. Z listów dyktowanych przez Kazimierza pobrzmiwały wątpliwości w rychły koniec coraz trudniejszych potyczek.

Nastał smutny dzień grudniowy, gdy czytałam straszne wieści od króla. Zakryłam usta i przysiadłam ciężko na krześle w małej komnatce z dużym piecem.

– Coś się stało, miłościwa pani? – zapytała czujna jak zwykle Erika.

Reszta wylęknionych panien czekała na wieści z otwartymi ustami.

– Król nasz donosi, że przyjaciel jego i Korony, Jan Zawisza z Rożnowa, zamęczon u Krzyżaków w niewoli! Ciało jego przytroczyli do koni i pohańbione wraz z ciałami innych jeńców w Wisłę porzucili! – czytałam struchląła.

Przed oczami stanęła mi uśmiechnięta szlachetna postać ostatniego z prawdziwych rycerzy Korony.

– Niegodziwcy! Chrześcijanami nazywani! Rycerze? Ani cnoty, ani miłosierdzia! W czym lepsi od niewiernych?! – Zerwałam się i łkając, odwróciłam się w stronę wąskiego okna.

Kapelan obecny w komnacie wykonał znak krzyża i wszyscyśmy uklękli do żarliwej modlitwy. Modliłam się. Modliłam się codziennie od wschodu słońca po głęboką noc o koniec wojny, za króla i jego żołnierzy, o mądrość, miłosierdzie i litość zwycięzców nad zwyciężonymi.

Pierwszy śnieg spadł w Sieradzu w połowie grudnia. Święta Bożego Narodzenia spędziłam we własnym towarzystwie. Byłam samotna, choć nigdy sama. Wiodłam dni wśród tłumu służby, dworaków i fraucymeru. Nawet w najgorszych latach strachu i niewoli zawsze byłam z rodzeństwem i piastunką. Jeszcze w listopadzie uszyłam i posłałam królowi atlasową koszulę haftowaną przeze mnie w złote dębowe liście. Drugą, równie piękną, bratu Władysławowi posłałam do Pragi. Miałam tyle czasu, że mogłam uszyć koszul dla całego wojska!

W grudniowe święta 1454 roku zasypiałam z pękiem listów od bliskich i męża w dłoni, w jeszcze piękniejszej od poprzedniej nowej gronostajowej szubie i z takimiż rękawicami pod głową.

¹ *splendidus apparatus* (łac.) – wspaniały przepych [wszystkie przypisy pochodzą od autorki]

² kropierz – ozdobna, cenna końska kapa

³ welin – pergamin wysokiej jakości

⁴ *cubicularius* (łac.) – konny dworzanin i ochrona królewska podczas podróży

⁵ reywan (rydwan) – rodzaj lekkiego powozu

⁶ złotogłów – tkanina przetykana złotem o jedwabnej osnowie

⁷ hennin – wysoki czepiec w kształcie stożka

⁸ fraucymer – grupa panien i matron towarzyszących królowej

⁹ dublet – kaftan, obcisły spodni ubiór męski sięgający bioder

¹⁰ *capella regia* (łac.) – tutaj: duchowni w służbie króla

¹¹ kitajska tkanina – chiński jedwab

¹² *Hirschfleisch* (niem.) – dziczyzna, jelenie mięso

¹³ kornet – czepek

¹⁴ konfekta – słodycze

¹⁵ *tubatores* (łac.) – grą na instrumentach dętych ogłaszali pojawienie się na oficjalnych wystąpieniach króla i królowej

¹⁶ szuba – rodzaj luźnego płaszcza podbitego futrem

¹⁷ *iunior* (łac.) – młodszy; tutaj: młody dworzanin

¹⁸ prandium – posiłek między 9.00 a 12.00. Na królewskim dworze jadano dwukrotnie w ciągu dnia.

- 19 kowsz – rodzaj wazy na wino
- 20 jopula – gruba kurta
- 21 robe (fr.) – suknia wierzchnia
- 22 nahajka – pleciony skórzany bicz
- 23 Kurza Noga (Kurza Stopka) – nazwa pierwotna i powszechnie używana aż do początków drugiej połowy XVII wieku
- 24 patynki – klockowe drewniaki chroniące delikatne obuwie przed zabrudzeniem
- 25 hortus conclusus (łac.) – zamknięty ogród między murami
- 26 cena – posiłek między 15.00 a 18.00
- 27 Dunka – Wieża Duńska
- 28 tapiseria – tkanina służąca do dekoracji ścian
- 29 jutrznia – modlitwa poranna
- 30 ursina branca (łac.) – niedźwiedzia łapa
- 31 opona – tkanina dekoracyjna
- 32 łożni – dbali o łoże, bieliznę i inne przedmioty w sypialni
- 33 marszczeniec – luźne, suto marszczone, długie okrycie wierzchnie bez rękawów
- 34 rubrowany – barwiony na czerwono
- 35 sterować rufą do przodu – mieć skłonności homoseksualne

1455

Któregoś wieczoru jadłam tłusty rosół z jajkiem i spoglądałam na wirujące płatki śniegu za oknem. Na tle monotonnej scenerii nagle dojrzałam konnego zmierzającego przez dziedziniec. Zerwałam się od stołu i pognałam mu naprzeciw, zapominając o powadze majestatu. Mężczyzna zdżony, świadom dobrych wiadomości uśmiechał się serdecznie, zgięty w pół. Jeszcze przy nim zламаłam pieczęć królewskiej kancelarii i zaczęłam chciwie połykać treść listu. Gestem odesłałam posłańca do kuchni.

– Jedziemy! – pisnęłam jak dziecko. – Jedziemy do Łęczycy! Król rozesłał wojska do domu na czas zimy! Działania wojenne zawieszono! Jedziemy do króla! – Skakałam razem z wielką Eriką. Marszałek dworu wzdychał głośno i przewracał oczami na moje niegodne zachowanie.

Od razu nakazałam pakowanie. Nawet nocą słyszałam głuchoe dźwięki przesuwanych i składanych ciężkich drewnianych mebli, troczenia, przetaczania wozów. W trzy dni orszak był gotowy, w cztery byłam pod Łęczycą.

Król wyjechał mi na spotkanie z małym oddziałem konnych. Był jeszcze szczuplejszy, ubrany w czarną lisią szubę i lamparcie futro przewieszono przez ramię. Bez słowa, wzruszeni zrównaliśmy nasze

wierzchowce. Wyciągnął rękę, pomógł mi się przesiąść na jego potężnego konia i pognaliśmy przed siebie.

Staliśmy w objęciach za potężnym dębowym pniem. Kazimierz otulił nas swoją szubą. Zaczęliśmy niecierpliwie rozbierać się nawzajem. Spieszyłam się, chciałam poczuć jego ciepło, ciało i zapach, przez który cała stawałam się tylko miłowaniem.

Mój krótki krzyk z głębi ducha wystraszył ptaki w koronach drzew. Odwróciłam się, dopiero teraz ich ujrzałam! Mały Tigran zerwał się z miejsca, ale wielki Zydrunas chwycił go za ramię i usadził z powrotem obok siebie. Znowu siedzieli zapatrzeni w przestrzeń przed sobą nieopodal ogromnego dębu.

– Miłuję cię, Elżbieto, słyszysz? – wyszeptał Kazimierz nocą w sypialni. – Dlaczego płaczesz? – zapytał na widok moich nagłych łez.

– Rok temu Jan przepowiedział mi szczęście z tobą.

Objął mnie i utulił. Zanurzył dłoń w moich włosach.

– Ja też to wiedziałem. Byłem zły tam w Skawinie, ale też to wiedziałem.

Spojrzał na mnie i pocałował mnie w czoło.

– Jedziemy na Litwę – powiedział i dodał: – Jestem zmęczony.

Odwrócił się i jak zwykle natychmiast zasnął.

Po uporządkowaniu spraw wojennych i kancelaryjnych wyruszyliśmy w bardzo daleką podróż do Wilna.

*

Mijaliśmy czarne, zastygłe zimą lasy, nagie drzewa, ziemię bez traktów, siedzib i karczm. Przystawaliśmy na rzadkich polanach, w wozach lub w ogromnych namiotach. Bałam się, że będzie bardzo zimno, ale w środku dzięki warstwom makat, kobierców i futer okazało się wygodnie i ciepło.

Którejś nocy leżeliśmy na miękkim pościeli migoczącym złotymi nićmi w świetle świec. Byłam obolała w wyniku całodziennej podróży po twardych zamarzniętych wykrotach.

– Chciałabym ci, panie, dać syna – powiedziałam wprost do męża, senna i smutna, kiedy znowu okazało się, że nie jestem brzemienna.

– Poczekamy. Weźmiemy to, co da nam Bóg. – Objął mnie czule i zległ na mnie mimo krwawienia.

Może ja też choruję na jaką niewieściami chorobę jak matka moja, zastanawiałam się podczas czarnej cichej nocy, kiedy Kazimierz pochrapywał, znużony miłością. Ale dzieci urodziła troje. Nie, czworo. Miałam starszego brata Jerzego, żył jeden dzień, rozmyślałam przygnębiona.

– Odpoczniesz trochę – powiedziałam do Kazimierza, kiedy jechaliśmy w jego obszernym opancerzonym wozie po jakichś ogromnych korzeniach utopionych w pierwszych roztopach. Patrzyłam na jego siwiejące skronie i ciemne cienie pod oczami.

Zaśmiał się szyderczo i spojrzał na mnie pobłaźliwie.

– Co nas tam czeka? – spytałam i pochyliłam się w jego stronę wystraszona, bo ze zgrozą przypominałam sobie, co opowiadała królowa Zofia o litewskich zamachach na życie młodziutkiego Kazimierza.

Król westchnął, opadł na poduszki i podłożył umięśnioną rękę pod głowę.

– Semen Olelkowicz, Gasztołd, gotowi zająć moje miejsce. Żubry, niedźwiedzie, jelenie, zające... – wyliczał spokojnie.

– Przecież ty tutaj bardziej na swoim niż w Polsce!

– Oni twierdzą, że mnie nie ma ani tu, ani tam. A ja to muszę wszystko w kupie trzymać, to dziedzictwo mojego ojca! – Uniósł się i spojrzał mi w oczy. – Wiesz, po co jedziemy? Ujarzmić bojarzyków, uciszyć

i udobruchać. Rozbić układy i spiski, odebrać, co zdążyli zagarnąć przez jeden tylko rok! Pilnie baczyć, który rośnie za bardzo, i odebrać jemu i jego dzieciom, by nie był groźny z nowym rokiem! Robię tak, odkąd żem pacholęciem. I jeździć tak będę do śmierci, ale nie oddam! Tak jak Prusów.

Po chwili usłyszeliśmy jakieś pokrzykiwania i nieznany mi dworzanin litewski zajrzał do wozu, skłonił się, po czym zamienił kilka słów z królem.

– Bagna, Elżbieto, wysiadamy – powiedział mój mąż.

Wysiadłam i od razu poczułam obrzydliwy odór. Przed nami cuchnęło rozmarznięte, rozjeżdżone, głębokie czarne błoto. Służba zanurzona po szyję w bajorze do zmroku przepychała kopy ciężkich wozów i odporne, przerażone zwierzęta. Król zaraz po minięciu bagien zarządził całodzienny postój i odpoczynek dla służby, co oznaczało, że byliśmy prawie sami i z przyjemnością obsługiwaliśmy siebie nawzajem.

Z radością ubrałam się w prostą suknię i długi fartuszek. Niespiesznie wyłożyłam metalową wannę płóciennym prześcieradłem i wypełniłam gorącą wodą, po czym zaprosiłam męża do środka. Kazimierz z wyrazem błogości na twarzy zanurzył się cały, po chwili usiadł i parsknął jak koń. Z przyjemnością przyglądałam się tajemniczemu ornamentowi wyrzeźbionemu przez wodę na jego porośniętej futrem piersi. Sięgnęłam dłonią po białka rozbełtane w miseczce i wtarłam je w długie włosy mojego męża. Spłukałam drugą miseczką. Kazimierz znosił ablucje cierpliwie, uśmiechał się. Zamknęłam oczy i jak zawsze powąchałam płyn do mycia; ten akurat pachniał makami. Powoli wsmarowałam go w ciało króla, w ramiona, tors, potężne uda i stopy. Wstał, a ja podałam mu suche prześcieradło. Pachniał latem, łąką i słońcem.

Zaprowadził mnie na poduszki, uniósł palec, odwrócił się i zaczął przyrządzać nieznany mi napój. Okazał się doskonały, smakował wiśniami,

miodem i miętą. Zasnęłam od razu, obudziłam się wypoczęta jak nigdy wcześniej.

– Co było w tym napitku? – zapytałam rano, leżąc na posłaniu w wyśmienitym humorze.

– Miłowanie – odparł uśmiechnięty i ubrany już małżonek. – Przed nami przeprawa przez Niemen – dodał po chwili.

Przeprowadziliśmy się siedem razy przez potężną rzekę, a ona tam ciągle była. W zakolach, szuwarach, zatoczkach pełnych ptactwa tak licznego, że pomyśleć można było, iż to tutaj rozbiła się ptasia klatka z arki Noego. Gdzie indziej znowu brody miał płytkie, a tak szerokie, że czułam się jak podążająca za Mojżeszem uchodząca z niewoli przez morze.

Za Niemnem wśród pierwszej zieleni zaczęły się pojawiać coraz liczniejsze wygodne drewniane dwory. W drodze Kazimierz wystawiał twarz i wietrzył jak drapieżnik. Oczy mu lśniły i błyskał zębami jak wilk.

– Polowanie! Pojedziesz ze mną na polowanie – mówił podekscytowany jak dziecko.

Spałam w wozie, kiedy Kazimierz radośnie, może nazbyt radośnie, mną potrząsnął.

– Już Troki, zobacz! Jezioro!

Wychyliłam się niezdarnie spośród kobierców i ujrzałam przed sobą zamek w otoczeniu budzących się po zimie drzew na środku jeziora. Pierwszy murowany zamek na Litwie, z kamiennymi wieżami i prowadzącym do niego potężnym drewnianym mostem.

– Zobaczysz, jak wygląda latem! – cieszył się król.

Od razu zarządził polowanie. Biegał rozradowany, doglądał wozów, łowców, łuczników, sokolników, psiarców, psiarczyków i niedźwiedników.

Od świtu z moim litewskim wielkksiążęcym fraucymerem wygodnie i bezpiecznie obserwowałam niezwykle ożywczy przebieg polowania

z wysokiej ambonki. W ciepłej, leciutkiej chuście na głowie z rozkoszą i dumą patrzyłam na doskonałe, wyćwiczone i pewne ruchy króla, niedoścignionego w chybkości łowcy.

Przed zachodem słońca wśród jazgotu sfory psów zmęczony i szczęśliwy Kazimierz odprawił wozy wypełnione stosami upolowanej płowej zwierzyny, po czym wyciągnął do mnie rękę i rzekł uśmiechnięty:

– Mam dla ciebie niespodziankę.

Wyprowadził mnie i mój dwór na niewielką polanę z drewnianymi trybunami z jednej i z prymitywną zagrodą z wielkich nieociosanych drzew z drugiej strony. Usiadłam, a król obok mnie.

– Patrz.

Zaczęły się pokrzykiwania łowczych i skowyt podnieconych psów, kiedy z głębi boru dał się słyszeć głuchy tętent kopyt jakiegoś ciężkiego zwierzęcia. Nagle wśród suchego trzasku łamanych drzew i gałęzi na polanę wybiegł ścigany przez ludzi i psy potężny żubr. Nieustępliwa sfora zapędziła go na zagrodę z bali. Zwierzę przy dzikim zachwycie oglądających uderzyło w powalone drzewa. Do tej pory niewidoczny mały Tigran padł na kolana i wśliznął się pod brzuch byka, nie zatrzymując się, płynnie wysunął się spod niego i usiadł w bezpiecznej odległości. Wszyscy zamarli, przez chwilę wydawało się, że nic się nie wydarzyło, jednak po chwili brzuch żubra otworzył się i z głośnym chlupotem całe trzewia wypłynęły na pierwszą tego roku trawę. Zwierzę zachwiało się i z jękiem osunęło na ziemię. Dwór i służba powstały w geście zachwyty nad maestrią małego łowcy. Na gorące brawa Tigran skłonił się zgrabnie, odwrócił i w lekkim biegu zbliżył do trybun, po czym usiadł za królem i jak zwykle stał się niewidzialny.

*

Czas zabaw szybko się skończył. Kazimierz jeździł, negocjował, straszył, przypochlebiał się, mamił, namawiał, tłumaczył, przekupywał i odbierał. Wracał radosny, zmęczony, podniecony albo wzburzony. Raz wyjeżdżał z *tubatoribus*, z całym swoim dworem, ze mną, obwieszony klejnotami, raz w ciszy nocą z małą grupką dworskich, tylko w szarej wilczej jopuli. Kiedy wracał, jadł łąpczywie i zasypiał.

Umierałam ze strachu o niego. Razem ze strażą na murach wypatrywałam jego przyjazdu, zwłaszcza kiedy wyjeżdżał sam. Jeśli go zabiją, otrują? Złapałam się na tym, że sama piłam z przezroczystych szklanek i uważnie obserwowałam płyn w środku. Nie drwiłam już z ceremonii kuchmistrza i stolnika. Królewskie strachy dopadły i mnie.

Właściwie dlaczego miałoby mnie otruć? Nikomu nie zagrażałam, dziecięcia w łonie nie nosiłam... Porozmawiać też było mi bardzo trudno, mówiłam po polsku, ale nie po rusińsku ani litewsku. Dwór już w Parczewie wymieniał się na wielkoksiążęcy, wszyscy byli uprzejmi, ale brakowało mi Eriki, Fani i nawet matrony Bartnikowskiej.

Tylko jezioro przynosiło chwile ulgi. Zieleń, która na dobre zagościła wokół zamku, otulała bezpiecznym kobiercem surową budowlę na wyspie i odcinała od wszelkiego niebezpieczeństwa.

Listy z Krakowa, dostarczane co srode, wzywały króla do powrotu. Straszył nas spisek odkryty w Toruniu, bunt i zdrady innych miast Pruskich na powrót wpuszczających załogi krzyżackie w swoje bramy, a także nieruchawość wojsk zaciężnych z powodu niezapłaconego żołdu.

*

Biegłam po skrzypiących schodach w stronę kancelarii Kazimierza, nie mogłam uwierzyć w tę wiadomość. Nie zwalnając, wpadłam do środka.

Król stał przodem do okna, list ze śladami złożenia i złamaną pieczęcią leżał na stole. Zatrzymałam się w pół kroku.

– Wiesz już zapewne, że kardynał Oleśnicki nie żyje. Przeczytaj list – powiedział Kazimierz, nie odwracając się w moją stronę.

Sięgnęłam niepewnie po sztywny pergamin. Zaczęłam czytać. Wrócił po bierzmowaniu w Niedzielę Palmową i poczuł się źle. Począł kaszleć krwią i flegmą; wierzył, że to minie, ale wyzionął ducha pierwszego kwietnia.

– Od dawna nie był zdrow... – Nie wiedziałam, co powiedzieć, wolno opuściłam dłoń z listem.

Był przy Kazimierzu zawsze. Jak kat, ale też jak ojciec. Nie rozumieli się, jak nie rozumie się Kościół i państwo. Co czuł Kazimierz? Ulgę czy żal? Nie wiedziałam.

– Elżbieto... – szepnął.

Podbiegłam i objęłam go, odwzajemnił uścisk. Po chwili chwycił mnie za dłonie.

– Idź już.

Kiedy cicho zamykałam drzwi, jakiś przedmiot roztrzaskał się o ścianę i usłyszałam męski szloch.

Dołączył do mnie na przejażdżce. Nie odzywaliśmy się i jezioro objechaliśmy w ciszy. Nie wiedziałam, co czuł; co czuł, kiedy rozmawiał z Oleśnickim, kiedy znosił obelgi i razy. Czy słyszał kiedy pochwały? Podziwiał go czy nienawidził?

– Wracamy do Polski – powiedział, kiedy zsiadliśmy z koni.

Zostawiwszy bujną wiosnę na Litwie, jechaliśmy wprost do Piotrkowa na walny zjazd, by od nowa zacząć sprawę pruską.

Całe lato spędziliśmy w Piotrkowie. Zaczęły się kłopoty z pieniędzmi na wojnę, dla zaciężnych. Byłam świadkiem walki Kazimierza o każdy grosz, słuchałam, jak naradza się, kłóci, zapytuje, błaga i pomstuje. W sierpniu przenieśliśmy się do Brześcia, walka o pieniądze nasilała się, hałaśliwi i groźni zaciężni zaczęli przyjeżdżać aż tutaj i upominać się o swoje. Królowej, która do nas dołączyła, też udzielał się zły nastrój. Mądry dworak schodził jej z drogi.

Zaczęłam chorować. Chyba dlatego, że nie mogłam pomóc mężowi. Czułam się bezradna, nie mogłam spać, dusiły mnie zapachy w zamku, zwłaszcza przed deszczem. Nic nie mówiłam królowi, nie chciałam, by martwił się jeszcze mną.

– Elżbieto, potrzebujemy pieniędzy – powiedział któregoś wieczoru wsparty o stół w sypialni, odwrócony tyłem do mnie.

Leżałam blada na naszym wspólnym łożu, nie zliczę, ile razy składanym i rozkładanym od tamtego roku. Nie odzywałam się, przeczuwałam, że nie chce rady, że już coś postanowił.

– Zwróciłem się do diecezji gnieźnieńskiej, poznańskiej i wrocławskiej o przetopienie naczyń i klejnotów liturgicznych ze wszystkich ich kościołów. Zgodzili się.

Przerażenie odebrało mi mowę, ale nie chciałam zabić swojego męża.

– Skoro się zgodzili, Bóg wie, że to jest dobre. – Starłam się mówić pewnym głosem. Już swobodnie władałam polskim.

Tak bardzo chciałam wesprzeć króla, sprawić, by jego kłopoty się rozwiązywały. Decyzja i odpowiedzialność za ten czyn przerażała go tak samo jak mnie. Obejmowaliśmy się w tych trudnych chwilach częściej niż zwykle – może to dawało nam siłę równą z modlitwą. Wyszedł; ja miałam gorączkę i śniłam.

Byłam we mgle nad brzegiem Wisły, zanurzyłam dłonie i znajomy stwór znowu wyciągnął się u mych stóp. Jednak nie położył pyska. Popatrzył na mnie z troską, odwrócił się ciężko na grzbiet i obnażył lśniący tęczą brzemienny brzuch. To ona! Z jękiem opadła na łapy i popełzła do jamy pod Wawelem. Dziecię! Otworzyłam oczy.

Dziecię?! Zaczęłam na zimno kalkulować. Tak! Piersi tkliwe, nie krwawiłam jeszcze, myślałam, że to z choroby. Zerwałam się i padłam przed Matką Boską. Wzruszona i rozedrgana tłukłam głową w ołtarz. Na początku jesieni, kiedy Kazimierz wyjeżdżał na wojnę, byłam pewna. Nie mogłam zwlekać dłużej, fraucymer nie utrzymałby podejrzeń dla siebie.

Wezwałam medyka. Przejęta pani Bartnikowska dłońmi drżącymi ze wzruszenia podała mu wielką butlę. Z sercem walącym jak kopyta tura obserwowałam jego ruchy i mądre miny. W końcu spojrzał na mnie i uroczyście skinął głową. Ze szlochaniem upadłam na klęcznik.

Posłałam po Kazimierza; z radosnym wyczekiwaniem na twarzy ostrożnie wsadził głowę do komnaty. Już wiedział! Roześmiałam się serdecznie. Padł u mych stóp.

– Bóg mnie nie odstąpił! – krzyczał z radości.

Leżeliśmy wśród futer wzruszeni nowiną, zapatrzeni w ciepłe płomienie w starym kominku.

– Pamiętasz ojca, Elżbieto? – zapytał niespodziewanie.

– Nie – odparłam po chwili. – Wiem, że w chwili śmierci miał moją bransoletkę i bardzo mnie kochał. Matki też nie pamiętam. Widzę szeleszczącą materię, zapewne była to suknia. Helena mówiła, że oboje byli bardzo piękni. – Objęłam Kazimierza mocniej. – A ty? Pamiętasz ojca? – zapytałam i odsunęłam się, aby spojrzeć mu w twarz.

– Nie – powiedział z takim żalem, że łzy stanęły mi w oczach.

– Jesteś do niego bardzo podobny.

– Bo jestem łysy?

– Bo kochasz polowania, nie pijasz wina ani miodu, bo talent i ambicje masz po nim, bo jesteś łysy. – Pocałowałam go w duże czoło.

– Tak mówią? – zapytał zadowolony.

Wiedziałam, że jest łasy na pochwały.

– Tak mówią i ja tak mówię.

– To szczęście dla mej matki – parsknął śmiechem.

– Oskarżono ją o zdradę?

– Żeby osłabić ojca, upokorzono ją. Musiała złożyć przysięgę.

– A z ciebie i brata chciano zrobić bękartów.

– Proste, prawda?

– Młodziutka dziewczyna i maleńkie dzieci. Dobrze, że wasz ojciec nie uwierzył w oskarżenia.

– Zapytaj mojej matki.

– A twój brat?

– Władko? Oleśnicki zamykał się z nim od pacholęcia, urabiał go. Wychował go na własnego królika, rycerzyka krzyżowca. Umarł jak krzyżowiec. Złamał rozejm z niewiernymi pod namową duchownych i zginął pod Warną z rąk niewiernych. Pamiętam, jak odprowadzałem go z matką do Czorsztyna, kiedy został królem Węgier. Wyglądał jak święty Jerzy po walce ze smokiem, jeno żadnej walki nigdy wcześniej nie stoczył. Nie mogłem uwierzyć w jego śmierć, nie chciałem być królem Polski, nie chciałem odbierać bratu korony. Dopiero gdy matka wystraszyła mnie, że panowie wystawiają innego, że samozwańce pukają na Wawel, przyszedłem tu z Litwy. Miałem dwadzieścia lat.

*

Niedługo potem Kazimierz wyruszył do kolejnego obozu wojskowego; ja miałam spędzić ten czas w Toruniu. Bałam się miasta po ostatnim buncie. Uspokoić mnie miała przykładna kara wymierzona trzem opłaconym niewiastom, które chciały wpuścić załogę krzyżacką w mury. Kobiety poćwiartowano i ku przestrodze ich szczątki wystawiono na widok publiczny... Kiedy jechałam konno po wybrukowanych ulicach miasta, trwożnie rozglądałam się za śladami egzekucji. Dworski ze śmiechem uspokoił mnie, że ciała dawno rozwlekły psy... Miasto było inne niż poprzedniego lata, cichsze i mniej barwne. Próżno wyglądałam patrycjuszowskich strojów, jarmarcznych dworów czy radosnych muzykantów. W zeszłym roku Toruń nie zasypiał, przesycony gwarem muzyki i tańców dochodzącym z każdego domu i każdej karczmy. Jesienią 1455 roku nocą w ratuszu słyszałam tylko wyjące psy. Zwijałam się w kłębek, tuląc coraz większy brzuch.

Zofia witała mnie radośnie każdego ranka.

– Jak się czuje mój wnuk?

Tylko dzięki Sonce – królowa od niedawna nakazała mi tak zwracać się do siebie – pobyt stawał się znośny. Naturalnie tańce były niemożliwe, ale jej żywiołowość i dowcip bardzo mi odpowiadały. Znowu miała na sobie nową suknię i wyglądała młodziej ode mnie.

– Zdrowo rośnie. – Prezentowałam idealnie okrągły brzuch, moją jedyną doskonałą część ciała, i starałam się, aby moje cierpienie było niewidoczne. Liczyłam dni do spotkania z królem.

Dzień przynosił ból, noc czasami ulgę. Nie mogłam siedzieć, brzuch i bez ciąży był zawsze duży, teraz miałam go prawie pod gardłem. Nie mogłam się wyprostować, plecy bolały tak, jakby ktoś nieustannie je przypiekał. Chodziłam głodna, kiedy zjadłam więcej, bolały mnie całe

ściśnięte trzewia, a dziecko rosło. Potem jadłam bez przerwy małe porcje i było lepiej.

Modliłam się o szczęśliwe rozwiązanie i koniec wojny. Z czasem robiłam to coraz rzadziej, bo przy klęczniku potrzebowałam kilku dwórek, a te nie miały już siły dźwigać mnie kilkanaście razy dziennie. Pod koniec pobytu w Toruniu modliłam się już tylko cichutko o mniejszy ból, aż musiałam zaprzestać klęczenia pod silnym zakazem medyków i Sonki.

W bezsenne noce myślałam o świętach Bożego Narodzenia i o tym, że zobaczę króla. I że jakoś znaleźć się muszę w Łęczycy...

Któregoś mroźnego poranka w komnatce było duszno i gorąco, ale mnie już było wszystko jedno. Nie pamiętałam dnia bez bólu, był ze mną od otwarcia powiek po ich zamknięcie przed ciężkim snem. Chwilę wcześniej byłam zdecydowana pójść do kaplicy, ale moje ciało nie było gotowe. Osunęłam się na łożo; przekonałam Erikę, że nic mi nie jest, że chcę przez chwilę pobyć sama. Chyba mi nie uwierzyła, bo wybiegła i po chwili usłyszałam wysoki głos zdenerwowanej Sonki.

Królowa wpadła do środka i lekko podbiegła do łoża. Mogłabym ją wtedy zagryźć za tę lekkość. Spojrzała na mnie ze zgrozą.

– Przepraszam – bąknęłam cicho.

Nawet nie usiłowałam się podnieść, leżałam nieuczesana, spocona w ciężkich warstwach szat.

– Rozebrać! – wrzasnęła do dwórek.

Te wystraszone zaczęły ostrożnie ściągać ze mnie wszystko. Każdy ruch sprawiał mi potworny ból, wrzeszczałam.

Królowa natarła moje skurczone ciało odurzającym olejkiem i naga przykryła tylko lekką wełnianą narzutką. Przygotowała mi jakiś dekolt³⁶, słyszałam jeszcze jej poburkiwania i zapadłam w długi sen.

Po przebudzeniu ujrzałam nad sobą skupione twarze Sonki, Eriki, ochmistrza dworu i nieznanymi mi medyków. Poczułam się dziwnie, rozpłakałam się. Sonka pochyliła się nade mną.

– Coś się dzieje?!

– Płaczę, bo nie boli... – wyszeptałam, odkrywając źródło boskiego uczucia.

Królowa wzięła mnie w ramiona, a Erika i mężczyźni odetchnęli z ulgą.

Podróż do Łęczycy odbyłam w kolebce, pojona różnymi miksturami. Na przemian budziłam się i zasypiałam, niewiele widziałam i słyszałam. W snach odpoczywałam z zieloną bestią na łąkach pod Wawelem. Czułam się dobrze i bezpiecznie.

*

Obudziły mnie promienie słońca i chłód łoża. Łęczycy. Wracalam do żywych, jednak nie byłam pewna, czy tego chcę. Moje chrome ciało od razu przypomniało mi, że tylko przez cierpienie dostąpię nieba. Kilka dni spędziłam w sypialni, ale potem postanowiłam wstać i pod czujnym okiem królowej i coraz liczniejszej gromady medyków zażywałam ostrożnych spacerów wewnątrz murów.

Grudzień był niezwykle mroźny, marzyłam o świeżym powietrzu, ale nawet nadmienić mi nie wolno było o takim pomysle. Stałam w oknie sypialni, odkąd usłyszałam głos królewskiej trąbki.

– Elżbieto! – wykrzyknął Kazimierz na widok mojej bladej postaci z zaczerwienionymi oczami. Stałam na trzęsących się nogach i szlochałam, trzymając rękami ciężki brzuch.

Król podbiegł przerażony do mojej pokurczonej postaci. Chciał mnie objąć, ale tylko ukląkł przede mną i ucałował moje dłonie.

– Elżbieto, wracaj do łóża... – wyszeptał i wziął mnie na ręce.
Wyprostowałam się jak deska.

– Och, cóż za ulga – powiedziałam z uśmiechem.

– To moja wina – mówił nieustannie Kazimierz, kiedy co wieczór kapał moje brzydkie ciało, karmił, poił i nacierał kojącymi olejkami.

– Moja też – odpowiadałam niezmiennie.

1456

– Chcę do Krakowa – powiedziałam któregoś poranka, kiedy znowu śniłam bestię.

Znużona zrzuciłam za ciepłą kołdrę. Kazimierz nakrył mnie z powrotem. Na granicy płaczu znowu ją zrzuciłam.

– Co się stało? Wiesz, że to długa podróż.

– Śniłam bestię, chyba smoka...

– Co? – Kazimierz spojrzał na mnie poblady.

– Piękną zieloną bestię. Też jest brzemienna.

– Pojedziemy, kiedy tylko zechcesz – odparł król biały jak płótno.

Spojrzałam na niego niepewnie.

– Też... ją śniesz? – szepnęłam z trwogą.

Zbliżył swoją twarz do mojej.

– Od pacholęcia...

Przeżegnałam się.

– To znak, to królewski znak dla nas... Ona jest dla mnie dobra, strzeże mnie.

– Wiem. Śniłem jaskinię. Co dzień wchodziłem do niej głębiej. Było mokro, kapało ze ścian. Bałem się, ale parłem do przodu. Znalazłem smoka rannego, opatrzyłem go i odtąd jest zawsze przy mnie, jak pies.

– Pomódlmy się – powiedziałam. Kazimierz skinął posłusznie głową i poruszeni zsunęliśmy się z łoża.

*

Dwa dni przed wyjazdem ociepliło się. Fani biegała po ogrodach i całymi dniami nie było jej przy mnie. Nie wymagałam od niej posług jak od dwórek, była dla mnie ciągle mała i hołubiliśmy ją wszyscy. Zajęta Erika dopadła ją wreszcie, umyła dziewczynce brudną twarz i chude ręce. Łagodnie strofowała ją za wiecznie ubrudzone sukienki, siniaki, skaleczenia i zachowanie niegodne młodej panny. Fani wyjątkowo potulnie to wszystko zniosła.

W drodze do domu czułam, jak wracają mi siły. W Proszowicach, blisko Krakowa, wśród obfitych królewskich ogrodów warzywnych odbywałam z królem długie spacerunki i nawet plecy nie za bardzo mnie bolały! Fani nie chciała już biegać, siedziała zaszępiła i nieobecna. Zdumiona patrzyłam, jak wyrosła przez dwa lata, miała za długie ręce i nogi, z którymi nie zawsze wiedziała, co zrobić, a pod sukienką widać było drobne piersi. Może czas jej za męża, pomyślałam zdziwiona zmianami.

– Gdzie jest Franciska? – zapytałam z niepokojem któregoś dnia, kiedy wszystkie zasiadłyśmy jak dawniej w mojej dużej sali w Krakowie.

– Śpi – odparła Jagusia, rozkładając modlitewnik na smukłym pulpicie.

– Stale łązi po krzakach, cała jest podrapana – burczała Bartnikowska, szarpiąc splątane nici.

– Chyba ją pchły oblazły. Ciągłe drapie rękę – dodała Dorika.

Przez chory grzbiet przebiegł mnie lodowaty dreszcz. Wstałam i potrząsnęłam Eriką.

– Jaką ranę opatrywałaś jej przed wyjazdem?!

Przestraszona ochmistrzyni nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Mówiła, że ugryzł ją jeż... – powiedziała Jadwiga i zeszywniała odłożyła robótkę, nagle zdając sobie sprawę z wagi wypowiedzianych słów.

Z przerażeniem spojrzaliśmy na siebie z Eriką.

Ochmistrzyni wyszarpała się z uścisku i wybiegła z sali. Trzymałam ogromny brzuch i przerażona kuśtykałam w stronę komnat dwórek. Zanim dotarłam do komnatki Fani, w środku dwóch medyków trzymało wyrywającą się wrzeszczącą dziewczynkę. Zwróciła w moim kierunku potwornie wykrzywioną twarz. Zrobiło się wielkie zamieszanie, zdyszany Kazimierz zatrzasnął mi drzwi przed nosem i odprowadził krzyczącą do siebie.

– Wypuść mnie, wypuść mnie! – tłukłam pięściami w nieruchomą pierś króla, który zasłaniał mi drzwi. – Muszę tam iść! Woda! Lodowata woda może pomóc! Ugryzionych może uratować woda! Trzeba im powiedzieć! – Rozpaczliwie chwyciłam się jego koszuli.

Kazimierz wziął mnie na ręce, ułożył na poduszkach i położył się tuż przy mnie. Objął mnie ciasno, w swoją dużą dłoń chwycił moje pięści i pozwolił mym ustom na lament.

– Elżbieto... – Nocą obudził mnie jego szept. Ujął mocniej me ręce i powiedział mi wprost do ucha: – Odeszła. Fani od nas odeszła...

Na drugi dzień delikatnie pchnęłam drzwi do komnaty dwórek i ostrożnie weszłam do środka. Rozejrzałam się. Rozrzucone sukienki, pojedyncze dziewczęce nogawiczki wciąż leżały na wąskiej skrzyni. Wszystko wyglądało tak, jakby Fani miała wbiec za chwilę, szybko uporać się z nieporządkiem i ruszyć dalej po życie. Ciężko przysiadłam przy małej skrzyni, podniosłam wieko i zaczęłam przeglądać bezmyślnie jej zawartość. Tak niewiele posiadała! Sięgnęłam po jedwabne zawiniątko. Jakiś klejnocik, zapewne po matce, i krzyżyk. Na dnie leżał jeszcze tylko sztywny rulon; wyjęłam go i rozłożyłam na kolanach. Zwitek omal nie

wypadł mi z dłoni, z zachwytem i przerażeniem wpatrywałam się w rysunki, jakich nigdy wcześniej nie widziałam. Twarze! Doskonałe, jak żywe! Przeżegnałam się. I ja! Jak w lustrze!

– Ty to rysowałaś, maleńka? Jak mistrz jaki. – Patrzyłam urzeczona.

Długo jeszcze siedziałam otępiała na kamiennej ławie pod oknem z rysunkami w dłoni, zapatrzona w pustą skrzynię. Bóg daje talent, by go zaraz odebrać? Przygnębienie było silniejsze od bólu pleców i zaklęć modlitwy. Wolno wróciłam do zaniepokojonej Sonki warującej w mojej sypialni.

– Dopilnowałam, by do trumny włożono modlitewnik, pierścień i krzyżyk po rodzicach. Także pamiątkę po każdej z nas – przełknęłam – by nie czuła się samotna i przerażona jak dwa lata temu – powiedziałam do patrzącej na mnie z troską świekry.

Ciężka zasłona poruszyła się i weszła Erika. Jej twarz zmieniona od poczucia winy i rozpaczki nie przypominała zakochanej kobiety sprzed tygodnia.

– Czas zaciemnić i ozdobić komnatę – powiedziała starsza królowa i ucałowawszy mnie w czoło, wyszła z głośnym westchnieniem.

– Miłościwa pani, pozwólcie mi odejść z dworu – odezwała się słabym głosem Erika.

– Odejdź – odparłam, a słowa te sprawiły mi prawdziwą ulgę. – Stój! – krzyknęłam wbrew sobie.

Podeszłam i z furią zaczęłam okładać jej potężną postać.

– Nie widziałaś, co to za rana?! Nie widziałaś?! – krzyczałam.

Nie broniła się, milczała. Kiedy ujrzałam krew na jej ustach, ogarnęło mnie przerażenie.

– Eriko... – Próbowałam objąć ją ponad moim brzuchem. Ochmistrzyni uklęknęła, a ja przytuliłam jej głowę. – To nie twoja wina, nie twoja wina, nie

odchodź, pomóż mi – płakałam i całowałam jej płowe włosy.

Rozwiązanie zbliżało się wielkimi krokami i trzy tygodnie przed narodzinami królewskiego potomka łożni i fraucymer zaciemnili szczerze komnatę, prawie całkiem ograniczono mi odwiedziny i wszelkie wieści. Miałam mieć spokój i w ciszy kontemplować rolę królowej matki. Jednak wieczny mrok i nuda podsycaly ponure myśli.

Spojrzałam na świętych na suficie, rozgrzane cienie z gorącego kominka poruszały ich surowymi twarzami. Krzywili się na każde moje spojrzenie. Zanurzyłam się po nos pod ciepłą kołdrę. Jeśli umrę, jeśli dziecko umrze? Nic po nas nie pozostanie, jak po małej Fani... Kazimierz zostanie sam, nie chcę, by został sam, beze mnie... jeszcze nie teraz. To jeszcze nie mój czas ani dziecięcia, ani jego. Jeśli urodzę chrome dziecko? Jaki los mu zgotuję?

Było mi coraz goręcej, wodziłam oczami po komnacie. Nieruchome księgi trwały na pochyłych półkach, wypolerowane ciemne skrzynie stały z pootwieranymi wiekami, zasłony przy łożu i wszystkie możliwe węzły zostały rozwiązane, by moje rozwiązanie było łatwe i szybkie. Wszyscy czekali, od jutrzni po kompletę³⁷: czekał Kazimierz, czekała Sonka, rzesze medyków, piastunek, akuszerek, dwór, Kraków, Korona, Litwa, świat, wrogowie i sojusznicy, nawet dzwony milczały, gotowe zabrzmieć w każdej chwili.

Obudziło mnie skrzypienie drzwi łączących sypialnie moją i Kazimierza. Z nadzieją zaglądałam w powiększającą się szczelinę. Wyciągnęłam ręce do uśmiechniętej kochanej twarzy.

– Nie wolno ci tu przychodzić – mówiłam szeptem, ale oczy moje mówiły co innego.

– Nikt się nie dowie...

Z łobuzerskim spojrzeniem wśliznął się obok mnie pod kołdrę i przylgnął do moich pleców. Z cichym pomrukiem objęliśmy się ciasno. Do ostatniego dnia rozwiązania zasypiałam w ramionach męża.

*

Słońce dawno zaszło, z szelestem sukien wyszła dobra Sonka i przyszła do mnie Ona. Jęczała żałośnie, leżała we krwi z wbitym w brzuch sztyletem. Kolejny cios poczułam już ja. Osunęłam się na trawę. Skurcz raz po raz siekał mi trzewia, darłam czarny, mokry brzeg rzeki.

Nagle poruszył się sufit, zniesiono mnie z wygodnego łóża i położono na płótnie naciągniętym na drewnianą ramę. Obce twarze wpatrywały się w moje oczy i brzuch szczelnie okryty koszulą. Podano mi napój, wypłam chciwie. Słyszałam jęki bestii i swoje krzyki. W końcu zwierzę spojrzało na mnie z bólem i z wielkim westchnieniem położyło mi ciężki pysk na brzuchu. W rozrywającym bólu od stóp po zęby uwolniłam z siebie nową duszę.

Obudziły mnie dzwony Krakowa. Od ich potężnego dźwięku drżało całe wzgórze. Czy to sen? Stara uśmiechnięta kobieta podała mi ciasno zawinięte moje dzieciątko.

– Syn! Królewicz! Prześliczny! – Sonka, zmęczona, z niedbale upiętymi włosami, płakała razem ze wszystkimi kobietami z obu fraucymerów.

Długonosy stał poruszony i bojaźliwie przypatrywał się maleństwu. Róża ocierał łzy pod ścianą.

Kazimierz ostrożnie wziął ode mnie synka, ułożył obok i drżącymi dłońmi odwinął z pieluszek. Cichy chłopczyk patrzył poważnie na ojca i ziewnął jak mały kotek.

– Władko... – szepnął wzruszony król.

Hedwig, Dorika, Jagusia, pani Bartnikowska, Katarzynka, Jadwiga i Erika zawodziły ze szczęścia, tuląc się w kole.

*

Sześćdziesiąt dni oczyszczenia było czasem odpoczynku, radości i spełnienia. Płakałam ze szczęścia, oglądając proste plecki Władka. Oglądałam stópki, rączki i paluszki. Nie mogłam uwierzyć, że ja, najbrzydsza kobieta pod gwiazdami, urodziłam piękne i zdrowe dziecko. Szczęśliwy król opuszczał naszą komnatę tylko, aby przyjmować posłów z darami od władców chrześcijańskiego i niechrześcijańskiego świata albo uświetnić swoją osobą kolejny turniej czy ucztę na cześć maleńkiego królewicza.

– Dobrze zagrzali wodę? Namocik ciepły i wygodny? Ilu ludzi będzie przy figurze św. Stanisława? Kto wymyślił, żeby kłaść dziecko na trumnie?! – pytałam i zrzędziłam przed chrzcinami królewicza, w których uczestniczyć nie mogłam. Chciwie nasłuchiwałam z łoża dźwięku trąb i dzwonów niemilkących od dnia jego narodzin, kiedy Władysław stawał się chrześcijańskim dziecieniem.

Koniec oczyszczenia, w maju nastał mój czas. Od rana leżałam w nowej sukni i niecierpliwie czekałam na uroczyste odsunięcie zasłon łoża i wywiedzenie mnie do katedry. Kiedy usłyszałam zbliżającą się procesję, uniosłam podbródek. Przecież urodziłam króla.

Ja, królowa Polski, Elżbieta Rakuszanka, żona Kazimierza Jagiellończyka, matka Władysława II Jagiellończyka, strojna w purpurę i złoto, wyszłam po ceremonii na wielki dziedziniec, by pokazać się światu z potomkiem Jagiellonów. Szłam wolno, trąby i dzwony wibrowały w moim ciele. Gdy weszłam na podest i stanęłam obok dumnego króla, uniosłam twarz i miasto zagrało radością. Dwa lata temu przy tym samym

dźwięku *tubatorum* stałam nieszczęśliwa i upokorzona. Dźwięk, który wtedy sprawiał mi ból, teraz przenikał moje członki i unosił mnie ku niebu.

*

Rozglądałam się po ciasnej kancelarii byłego notariusza kardynała Oleśnickiego.

– Witaj, pani. – Długonosy, zwany Długoszem albo Longinem, wyłonił się z pomieszczenia obok i ukłonił, bynajmniej nie spłoszony królewskimi odwiedzinami.

Longin był bardzo szczupły i wysoki, lekko przygarbiony. Czoło miał ogromne, prawie kwadratowe, cienką szyję i monstualnych rozmiarów nos. Jakby Bóg z nudów dokleił mu jeden na drugim. Żywe, bystre spojrzenie przypominało mi spojrzenie zmarłego kardynała, jednak nie sposób było wyczytać z jego lica żadnych uczuć, jak na rasowego dyplomatę przystało. Uniosłam głowę. Jego brzydki nos sprawił, że poczułam się lepiej – mój był prosty. Jedyny fragment mego ciała, który był prosty.

– Rozmawialiśmy w Wiedniu, byłeś posłem królewskim, nie myłę się?
– zapytałam, wodząc palcem po oparciu krzesła.

Nie odpowiedział, skłonił się jedynie z wielką galanterią.

– Postanowiłam od razu wyłuszczyć, po co przyszłam. Za mądry jesteś, panie, by cię zwodzić.

Z kamienną twarzą patrzył mi w oczy. Nie pomagał mi.

– Powiedziano mi, iż piszesz, panie, dzieje Korony – ciągnęłam.

Odkąd dowiedziałam się, że spisuje dzieje Polski, zżerała mnie ciekawość, co takiego wypisuje o mnie.

Znowu skłonił się tylko.

– Co napisałeś o narodzinach królewicza? – zapytałam niewinnie.

Odwrócił się i sięgnął po duże sztywne karty zapisane równym łacińskim pismem.

– To o narodzinach królewskiego syna... a to o twoim przyjeździe do Krakowa. – Podał mi karty, patrząc gdzieś za mnie.

Zarumieniłam się. Nie chciałam mieć w nim przeciwnika.

Po jego wyjściu przeczytałam:

„W poniedziałek po niedzieli Oculi, to jest dnia pierwszego miesiąca marca, po trzeciej godzinie w nocy królowa Polski Elżbieta urodziła bardzo piękne niemowlę, nader kształtne i zgrabne. Zdaniem astronomów obraz nieba i położenie planet w godzinie jego urodzin wróżyły mu bardzo wielkie powodzenie i rządy nad wieloma ludami i królestwami”³⁸.

*

Sonka co dzień odwiedzała wnuka. Właśnie z piastunkami umyłyśmy maleństwo w wysokiej wygodnej misie i Erika zawinęła cichutkiego Władzia w mięciutką pieluszkę.

Starsza królowa pochylona nad naczyniem uśmiechnęła się smutno.

– Kiedy Kazimierz był pacholęciem, ciągle mnie pytał: Czy jak byłem mały, polowałem z panem ojcem? Czy jak byłem mały, chodziłem na wojnę z panem ojcem?

– Jaki był jego ojciec, twój mąż? – zapytałam zaciekawiona, odwijając rękawy.

– Stary.

Zebrała lśniąca miedzianą suknię i wyszła przygnębiona.

Stałam przez chwilę zaniepokojona jej nastrojem, ale wszedł Kazimierz i jak zwykle dopadł Władka.

– Jak rośnie i jaki mądry! – Całował i unosił wysoko dziecko ku przerażeniu niewiast w komnacie.

Chłopiec ulał obficie mleko wprost na twarz ojca, kichnął słodko i otworzył bezzębną buźkę w najradośniejszym uśmiechu.

– Wyjeżdżamy do Wielkopolski – powiedział do mnie król, niezdarnie przecierając aksamitny kaftan dziecięcą pieluszką.

Cieszyłam się, że zobaczę Poznań i Gniezno, ale niepokoił mnie smutek starszej królowej. Wystraszyłam się, kiedy zastałam ją leżącą w wyziębionej komnacie. Wyszłam i zapytałam Katarzyny, co się stało.

– Pani nie potrzebuje już... płóciennych szmatek...

Treść tych słów dotarła do mnie po chwili; skinęłam głową i wróciłam do Sonki. Stałam niepewnie, miałam nikłe pojęcie o tym, co czuje. Ja byłam młoda i właśnie urodziłam dziecko...

Usiadła i przetarła dłonią rozpaloną twarz.

– Nie, nie zamykaj! – Zaprotestowała, kiedy zamierzałam zamknąć kwaterkę okna. – Jakby mi kto wszystko oberznął. – Dotknęła zaróżowionych piersi.

– Ale wciąż jesteś piękna! – wykrzyknęłam, poruszona, że nie docenia takiego daru.

– A co z tej piękności! Myślisz, że to samo szczęście? Jak żeś młoda, to każdy mąż myśli, że może cię dotykać, mówić sprośne słowa, że to pochwała! Potem starca każdej nocy musisz przekonywać, że go pragniesz, boć do tego cię wziął za królową. A jak już ten zemrze, to każdy pod szaty chce ci rękę wepchać! – westchnęła i sięgnęła po wino. Mnie też podała.

Siedziałam osłupiała, nigdy nie myślałam o urodzie w ten sposób. Myślałam, że to gwarant najwyższego szczęścia!

– Nie miłowałaś go? – zapytałam, kiedy ułożyliśmy się na jej łożu.

– Dziadem moim mógł być. Lubiłam i szanowałam, bo on mnie lubił i szanował, dobry był. A potem przestał, bo mu wmówić chcieli, że dzieci nie jego... A ja na żadnego nie spojrziałam, nie zachęcałam...

- Ale uwierzył ci, przecież uniewinnił...
- Nie wiem... Chłopców potem nigdy nie utulił... ani mnie...
- Miłowałaś kogo?

Spojrzała tak, jakby odpowiedź i tajemnica nie miały być mi dane. Już miałam przeprosić, kiedy odezwała się:

– Miłowałam. – Utkwiła wzrok w kielichu. – Miłowałam tak, że wypowiedzieć trudno. Rozpacz, że nigdy go nie obejmę, nie ujrzę na ślubnym kobiercu, nie utulę jego dziecięcia, na długo odebrała mi ducha. Opowiedzieć nie można.

- Któż to był? – zapytałam szeptem i wstrzymałam oddech.

Uśmiechnęła się i dalej wpatrywała w czerwone wino.

– Dziecię moje. Synek mój pierworodny, król polski i węgierski – powiedziała z westchnieniem. – Pojechał bić Turka dla Węgrów, jechał w chwale, nigdy nie wrócił. Nie pamiętam nic z dnia, kiedy powiedzieli, że nie żyje. Pamiętam tylko raz rozpacz, raz nadzieję. Nie wiem, co gorsze było... Nie było tygodnia, by kto nie kazał dzwonom bić na wieści, że jednak żyw! Rada co dzień rozważała, jakie są szanse i którędy mógłby wrócić... Takeśmy czekali na niego wszyscy! W końcu kazano dzwonom milczeć, bo ból po fałszywych wieściach był... – Umilkła. – A potem głowa... mówili, że głowę mu urznęli i sułtan woził ją ze sobą zatopioną w miodzie, w słoju. Tak chciałam wiedzieć, czy to on! – Upiła łyk wina. – Zaczęli przyjeżdżać handlarze z głowami w miodzie, Boże! – Spojrzała w sufit, hamując łzy. – Kupowałam je... – powiedziała cichutko. – Miałam ich całą komnatkę, chodziłam tam i co dzień siedziałam godzinami, i próbowałam rozpoznać w tych strasznych twarzach moje dziecię... Razu pewnego wpadł Hińcza i kazał spalić te szkaradzieństwa. – Zaśmiała się gorzko do kielicha. – Czy kochałam? Tak. Obyś takiej miłości poznać nie musiała. – Spojrzała smutno na mnie zeszywniałą z trwogi.

Nie pytałam dalej, poruszona jej wyznaniem. Zasnęła, a ja delikatnie zsunęłam się z łoża, zamknęłam okno i wróciłam do męża i synka. Myślałam o starszej królowej, jaka była samotna. Piękna i samotna.

*

Od czasu wybuchu wojny z Krzyżakami byliśmy z Kazimierzem w nieprzerwanej podróży. W ciągu dnia tłukliśmy się traktami i bezdrożami między Krakowem, Piotrkowem, Brześciem, Toruniem i Wilnem. Nocami zlegał na mnie tak, jakby tym wszystkie kłopoty chciał zdusić. Zmęczony zasypiał na mnie albo we mnie. Złe wieści i troski tak długo już wysysały z niego życie. Nie potrafiłam sobie przypomnieć, kiedy ostatnio się śmiał. Przerazał mnie jego spokój. Nie złościł się, nie krzyczał, jakby obecny był tylko ciałem, niezmiennie miły w objęciu i życzliwy dla wszystkich.

Monotonny deszcz przygrywał do wtóru sennej lutni tak, że prawie razem z nimi zasypiałam, siedząc nad brzydkim haftem. Sługa postawił z hałasem misę z owocami na małym stoliku w wykuszu. Uniosłam głowę i spojrzałam na ponury widok za oknem. Ciche Gniezno jak pokonany człek kuliło się do rozmokłych ulic. Dawniej światło, tętniące blaskiem chwały królewskiej, dziś zapomniane, jakby oddało swego ducha Krakowowi i umrzeć chciało. Odwróciłam się do małżonka.

Kazimierz siedział naprzeciw mnie, zapatrzony w barwną oponę za moją głową.

– W Malborku siedzi czeska załoga zaciężnych. Wiem, że mistrz im żołdu zapłacić nie może. Nie ma pieniędzy. Burzyć się zaczynają – odezwał się.

– Co zamierzasz? Oblegać?

– Wykupię. Wykupię Malbork z rąk zaciężnych.

– Co?! – Wychyliłam się w jego stronę. Robótka wypadła mi z rąk.

– Tak. Ich dowódca, Ulryk Czerwonka, żąda dwieście tysięcy florenów.

– Taka suma! Ale skąd?!

– Zbiorę, pożyczę, wyżebrzę. – Schylił się po opuszczony skrawek jedwabiu i położył mi na kolanach. – Zamek będzie mój.

*

– Pieniądze, pieniądze, pieniądze! Niech lichy pochłonie te Prusy! – Chodziłam po komnacie i wyłamywałam palce, kiedy w październiku wróciliśmy z Gniezna do Krakowa.

Sonka siedziała na skrzyni, mocno sfatygowanej po ostatnich podróżach, i uważnie śledziła moje ruchy. Władko leżał cichutko, łapał coś w powietrzu, czego nikt poza nim nie widział.

– Kazimierz chce wykupić Malbork i inne zamki z rąk Krzyżaków, ale skąd wziąć pieniądze! Prawie dwieście tysięcy florenów! Mijają terminy! I zaciężnym zapłacić trzeba! Nie zapłacimy, to spalą miasta, jeśli jeszcze nie palą! Nie wiadomo, komu najpierw płacić, zaciężnym czy Krzyżakom? Oni co rusz opłacają bunty. Już stracono siedemdziesiąt osób z prawie trzystu w Gdańsku! – Maszerowałam dalej. – Opolczyk obiecał pożyczyć sto tysięcy florenów pod zastaw ziemi wieluńskiej. Pojechaliśmy się z nim spotkać, w błocie, po powodzi, a jakże. I wiesz co? – Pochyliłam się nad teściową. – Nie przyjechał na spotkanie! Nie przyjechał na spotkanie z królem! Pewnie mu Krzyżacy więcej obiecali! Jeszcze jakby było mało, zaraz pojawili się Litwini i dalej wygrażać i straszyć, że jak król nie wróci, to odbiorą Podole! Potem zaczęli kusić, że po co mu Polska, na Litwie żadnych trosk Kazimierz nie będzie miał! – Wymachiwałam rękami. – Zobaczyli, że na królu nie robi to wrażenia, to powiedzieli, że od Polaków samo zło go spotyka i kłopoty że to Polacy brata mu na śmierć wysłali!

Sonka poruszyła się niespokojnie.

– I co na to Kazimierz?

– Wyszedł bez słowa. Coraz częściej wychodzi bez słowa... Czasami całymi godzinami milczy, popada w jakiś stupor i nawet się nie porusza – dodałam zmartwiała i przeszłam w kąt komnaty. – I jeszcze ta kometa. Przez nią wygniło całe zboże, nie ma mąki dla ludzi ani paszy dla zwierząt! A wiesz, co w Piotrkowie uchwalili? – Odwróciłam się w jej stronę. – Żeby znowu naczynia kościelne przetopić! I o tym teraz obradują. Długo to trwa. – Spojrzałam na drzwi.

Na moje słowa wszedł Kazimierz. Był jeszcze szczuplejszy, a długie włosy miał już prawie białe. Nie patrzył na nas.

– I co?! – Obie podbiegłyśmy do króla.

Podszedł niespiesznie do kołyski i wziął na ręce synka. Władko trzymał się już prosto i z zainteresowaniem rozglądał po komnatce.

– Pożyczą pod zastaw naczyń.

– Och... – Jednocześnie klapnęłyśmy z ulgą na skrzynię.

– Pożyczą sześć tysięcy – dodał cicho.

– Ile?! – Nie mogłam uwierzyć.

– Sześć tysięcy. Jak na szubę... – Oddał mi chłopca i swoim ostatnim zwyczajem usiadł i zapatrzył się w ogień.

W Krakowie kiedy mógł z kancelarii chodził do stajen, do ptaszarni. Rozmawiał z ulubieńcami, szeptał im coś, pieścił ich delikatne piórka.

Podczas jednego z takich dni, kiedy staliśmy w tym wysokim jak kościół pomieszczeniu, postanowiłam zostawić go samego z jego ceremoniałem. Wolno odwróciłam się w stronę bramy, bo nie miałam tam nic do roboty i fascynacji ptakami nie dzielałam.

– Nie odstępуй mnie, Elżbieto – szepnął w moją stronę.

Co rano więc odbywaliśmy w milczeniu przejażdżki bez słów, a wspólne prandia i ceny były bezgłośnie. On nie mówił, a ja byłam wierną towarzyszką jego milczenia.

Na kolejnym zjeździe w Piotrkowie ogłoszono nowy ciężki podatek na wykupienie od Ulryka Czerwonki Malborka i zamków pruskich i na wypłacenie żołdu zaciężnym. Na wzburzone Podole Kazimierz wysłał posłów celem odebrania nowych przysiąg od tamtejszych starostów.

Po kolejnej przejażdżce w ciszy król odezwał się niespodziewanie, kiedy zsiadaliśmy z koni:

– A teraz czas nam do Wilna.

Może i dobrze, pomyślałam. Przypomniałam sobie spokojne miasto między wzgórzami a Wilią i Wilejką.

*

W dzień Bożego Narodzenia 1456 roku aż do mojej komnaty w Wilnie dolatywały gromy Kazimierza na zebranych bojarów za śmiałe i pełne pychy słowa posłów wysłanych do Polski, przypominające o śmierci jego brata.

– To Gasztołd, miłościwy panie! Nie my! – podniósł się harmider.

Siedziałam skupiona, próbując złowić każde słowo. Zwyczajny strach i troska o męża nie opuszczały mnie od miesięcy. Budziłam się sama. Każdy ranek przynosił niepokój, lęk jak wielka pięść zaciskał trzewia od świtu po zmierzch. Kto dziś zdradził, kto oszukał, kto oskarżył o złą wolę? Patrzyłam każdego dnia, jak król stara się pokazywać dworzanom rześki i mocny.

Drgnęłam, gdy ogromny stos kosztownych szub, futer, darów srebrnych i złotych hałaśliwie minął moją komnatkę i skierował się do wielkiej sali, gdzie obradowali wzburzeni jeszcze Litwini. Wóz musiał właśnie wjechać

do środka, bo pokrzykiwania zamieniły się w przeciągły pomruk aprobaty. Zagrała muzyka i chyba wjechało jadło, bo poczułam przyjemny zapach.

Kazimierz przyszedł do mnie późno i wyczerpany przeciągnął dłonią po czole.

– Czas nam znowu do Piotrkowa. Obiecałem teraz Polakom, że wracam, zapusty spędzimy w Radomiu, a potem znowu do Prus.

Byłam wystraszona. Spojrzał na mnie, ucałował mnie w czoło i zasiadł z Władkiem na skrzyni. Głowa natychmiast opadła mu na pierś; piastunka podbiegła przerażona i wyjęła mu dziecko z rąk. Kazimierz ocknął się zdziwiony i nerwowo rozglądał po komnacie.

– Czas spać, miłościwy panie – szepnął mu do ucha stary sługa.

³⁷ kompleta – modlitwa przed snem

³⁸ J. Długosz, *Roczniki czyli kroniki sławnego Królestwa Polskiego*, ks. 12: 1445–1461, Warszawa 2013, s. 283.

1457

W podróży z Piotrkowa do Bydgoszczy otrzymałam list od brata. Na Węgrzech panowała wielka zaraza i zamordowano hrabiego Ulryka Cilię, naszego drugiego opiekuna, stryja... Spojrzałam przez szczelinę między kobiercami na wolno i nierówno przesuwaną się krajobraz przedwiośnia.

– Ulryk... – szepnęłam i poczułam, jak zimno rozchodzi się po moim ciele.

Objęłam się mocniej. Raz nocą w jego domu w Wiedniu usłyszałam potworny niewieści wrzask. Helena kazała mi spać, ale obie w mroku nasłuchiwałyśmy z trwogą strasznych krzyków. Tylko dzięki piastunce nie ciągał mnie na swoje ohydne rozpustne uczty i tylko kiedy mieszkałam pod jego opieką, dziękowałam Bogu za mój brak urody...

– Zamki obsadzimy własnymi wojskami, nie zaciężnymi, bo skarbiec pusty. Wydałem listy kaperskie³⁹, będziemy mieć flotę polską przeciwko Krzyżakom i sprzymierzonym z nimi Duńczykom! – mówił podniecony Kazimierz, gdy w drodze śniadaliśmy na powietrzu wraz z całym dworem.

Wyglądał lepiej, jadł chętniej, prawie tak samo żarłocznie jak kiedyś. Jak to dawno było, niby tylko trzeci rok szedł naszego małżeństwa, a jakby wieki minęły, od kiedy jedyną moją troską było miłowanie.

– Ale mój skarbiec pełen... – dodałam ze znaczącym uśmiechem. Pewna już byłam, że dziecię noszę.

Szmer zachwytu i zdziwienia rozszedł się nad stołem, kiedy biesiadujący zobaczyli króla przeskakującego stół i obłapiającego królową.

*

– Wyplacają zaciężnym! Malbork nasz! Jedziemy do Gdańska! – Kazimierz wpadł do mojej sypialni w Bydgoszczy.

Dawno nie widziałam go tak radosnego, młodego. Ja wyglądałam źle, plecy znowu zaczynały boleć. Spojrzał na mnie z troską.

– Ty wracasz do Krakowa – powiedział twardo. – Bo ja mam znakomitsze towarzystwo – dodał z błyskiem w oku.

Nie protestowałam, chciałam wyjechać, póki brzuch nie był duży, i spokojnie doczekać rozwiązania na Wawelu w towarzystwie Sonki, którą szczerze pokochałam.

– Jakież to towarzystwo? – zapytałam, poprawiając się dla wygody.

– Zjechał arcybiskup gnieźnieński w majestacie, rycerze, członkowie rady, młodzież znakomita w zbrojach i pełnym rynsztunku – wyliczał na palcach, usiadłszy obok mnie.

Patrzyłam na niego, nic nie rozumiejąc.

– Zapytałem uprzejmie, czemu zawdzięczam te odwiedziny. Wiesz, co odpowiedzieli?

Czekałam, coraz bardziej ciekawa.

– Zamierzają wybrać się ze mną do Prus celem uroczystego przejęcia w posiadanie Malborka.

Opadłam na poduszki, dusząc się ze śmiechu.

– Tylko w tym kraju dzieją się takie rzeczy – dodałam, pierwszy raz od bardzo dawna rozbawiona.

*

Późne lato wysuszyło już liście w Krakowie, suche i brunatne wirowały w powietrzu. Doszły mnie wieści, że Kazimierz przenosi się do kolejnego obozu wojskowego. Za to Sonka goszcząca na prandiach i cenach w moich komnatach mówiła bez przerwy. Nie miałam ochoty na jedzenie i patrzyłam na swoje spuchnięte stopy. Nie śniłam bestii od narodzin Władzia. Nigdy już jej nie zobaczę? Co to za znak?

– ...odesłałam część muzyków, Kazimierz mnie o to prosił, trzeba oszczędzać – kontynuowała Sonka. – Zresztą, bałamuty i darmozjady! – Wychyliła się w moją stronę, przytrzymując dłonią dekolt.

– Uważaj! – krzyknęła, kiedy Erika oblała jej gors nowej błękitnej sukni haftowanej w prześliczne przebiśniegi, niezdarnie napełniając srebrny kubek wiśniowym sokiem.

Panny z obu fraucymerów rzuciły się do oczyszczania i przeproszenia starszej królowej.

– Ach! Ty... – Kilka strasznych słów pod adresem mojej dwórki wyrwało się Sonce i wyprysnęła do siebie, a za nią jej wierne damy.

– Marco wyjechał? – zapytałam później i spojrzałam spod rzęs na ochmistrzynię.

Wszystkie moje damy zwróciły twarze w jej stronę.

– Tak... – odrzekła nerwowo, składając serwetki.

– Oblałaś ją celowo? – zapytałam.

Nigdy nie widziałam, by tak patrzyła – mściwie, wyzywająco. Młodsze panny zaczęły chichotać. Do Eriki podeszła Hedwig, objęły się i obie zaczęły zawodzić.

– Boże, mój fraucymer to wzór cnót wszelakich... – Westchnęłam zrezygnowana i zaniiosłam swój wielki brzuch do sypialni.

Przyznawałam w duchu rację Sonce, Marco to był lekkoduch i niczego w spodniach utrzymać nie potrafił.

– Może ktoś mi pomoże?! Czy wszystkie wybierają się topić?!

Weszła tylko pani Bartnikowska.

Nie wiedziałam: chodzenie czy leżenie sprawiało mi większy trud. Kiedy już znajdowałam się na łożu, zazwyczaj klęczałam, pojękując z twarzą w poduszce, a dwórka masowała mi lędźwie. To naprawdę przynosiło ulgę.

– Miłościwa pani, miłościwa pani! – Rano obudził mnie delikatny głos Doriki, starszej dwórki, przy mnie jak Erika od czasów wiedeńskich. – Nie ma Eriki, dworscy mówią, że wyjechała spieszenie wczesnie rano.

Wyjechała za tym błaznem, pomyślałam wściekła i natychmiast nakazałam ubieranie. Wieść rozeszła się po dworze na tyle szybko, że zanim się ubrałam, byli u mnie Róża i królowa Zofia.

– Poleciała za tym błaznem z fletem na wierzchu! – krzyczałam wulgarnie, zła i rozgoryczona. – Co prawda sierota, ale córka grafa! Ma u mnie małą sumkę, mogła się wydać za szlachetnego człowieka. Dlaczego?! – Trzepnęłam ręką w stół i skrzywiona chwyciłam się za brzuch.

– Nie za fletem, a przez to. – Sonka skinęła głową do Mikołaja Róży, a ochmistrz dworu z poważną miną podał mi dwa pomięte listy.

– Co to jest? – Rozłożyłam niecierpliwie karty i zaczęłam czytać tekst po węgiersku. – Ktoś dziękuje jej za regularne... wieści. – Bezradnie upuściłam listy na podłogę. – Dlaczego? Dlaczego ona? Za co?

– Najczęściej za pieniądze – odparł Róża zimno. – Dworscy przeszukali jej komnatę, znaleźli za skrzynią te dwa listy, pewnie o nich zapomniała, kiedy spieszyła się w nocy.

– Gdyby nie znaleziono, mieliśmy myśleć, że pojechała za Włochem – dopowiedziała Sonka, przesypując sznur pereł z ręki do ręki.

Bolało mnie suche gardło. Przełknęłam ślinę odwrócona od zebranych w komnacie.

– Przeszukać komnaty pozostałych – odezwałam się drżącym głosem.

– Przeszukane – odpowiedział zimno Róża. – Nic podejrzanego nie znaleziono.

Uniosłam wysoko głowę.

– Podejrzanego... – szepnęłam. – Znajdźcie ją – powiedziałam i miałam zamiar wrócić do sypialni. Plecy paliły jak przyżegane, było mi niedobrze, miałam wrażenie, że dziecko rozerwie mi brzuch.

– Znaleźliśmy – odpowiedział tak zwyczajnie, jakby mówił o zagubionej chuście.

Odwróciłam się gwałtownie ze zmarszczonym czołem.

– Bardzo się poraniła, uciekając przed ścigającymi, nie żyje. – Popatrzył na mnie przeciągle i spokojnie spojrział w okno. Starsza królowa z naganą zwróciła się w stronę ochmistrza, coraz szybciej przerzucając perły.

– Można było jeszcze z niej coś wyciągnąć.

Nie mogłam się ruszyć. Nie żyje! Erika nie żyje. Była przy mnie zawsze. Dobra, uczynna, kochała mnie! Zaczęłam dygotać i chwyciłam się za brzuch.

– Czas ci do łóża – powiedziała Sonka i odłożyła wreszcie hałaśliwą zabawkę.

Towarzyszyła mi od następnego ranka w zaciemnionej już komnacie. Kręciłam się w łóżu zdenerwowana.

– Listy były po węgiersku. Dlaczego wyjechała w takim pośpiechu? Coś się stanie, stanie się coś złego, muszę napisać do brata! Jemu coś grozi, to król Czech, ale i Węgier! – dzieliłam się niepokojącymi przemyśleniami po nieprzespanej nocy, ciężkiej nie tylko z powodu brzucha. Coraz bardziej zdenerwowana próbowałam wstać z wysokiego łóża.

– Listy już wczoraj poszły. – Starsza królowa chwyciła mnie za ramiona i zdecydowanie przycisnęła do stosu poduszek.

– To znaczy, że myślisz to samo! Jemu coś grozi! – Rozpłakałam się.

Sonka westchnęła i podała mi swój magiczny napój.

Kolejnego ranka coś się zmieniło. Mimo zaciemnienia zaduch zniknął, a świeża lekka kołdra pachniała przyjemnie. Jakaś kobieta o śmiejących się oczach bardzo sprawnie uniosła mnie w łóżu i wymieniła poduszki. Patrzyłam rozczochrana na jej krzątaninę, kiedy weszła uśmiechnięta Sonka.

– To Dorota Konięcpolska, twoja nowa ochmistrzyni, wdowa po kanclerzu wielkim koronnym, siostrzenica nieodżałowanego kardynała Oleśnickiego. – Dokonała prezentacji, zadowolona ze swojego wyboru.

Dorota, cały czas uśmiechając się łagodnie, zgrabnie przede mną dygnęła.

– Oleśnickiego. Nieodżałowanego. – Kiwnęłam głową. Ciekawe, kiedy ta mnie zdradzi, pomyślałam.

Zaciemnienie znosiłam źle, przez długie tygodnie patrzyłam na pograżone w mroku wnętrze, nie było Kazimierza, bałam się o niego, o brata i o dziecię. Ponure myśli o śmierci przenikały mnie na wskroś. Widziałam w strasznych snach martwe, sine twarze Kazimierza i Władysława. Bestii nie śniłam... nie było jej przy mnie. Sonka i Dorota poiły mnie dekoktami, kojąc strach i rozpacz.

W listopadzie przed wyjazdem do króla rozpromieniona Zofia zajrzała do sypialni z rozpieczętowanym listem w dłoni. Nie poświęciwszy mu uwagi, niedbale rzuciła go na skrzynię.

– Moje śliczne! – Podeszła szybkim krokiem do łóża, musnęła ustami moje czoło i wzięła ode mnie, słabej jeszcze po porodzie, zaborczym

gestem małą Jadwinę. Kiedy skończyła żarłocznie obcałowywać wnuczkę, zapytałam zniecierpliwiona:

– List?

– A, tak, tak! Do ciebie od Kazimierza. – Oddała dziecę piastunce, pochwyciła pergamin i zamachała nim radośnie jak wielkim proporcem. – Dobre wieści, dobre wieści! – zawołała. – Polska flota w wielkiej bitwie morskiej pod Bornholmem pokonała Duńczyków!

*

Kazimierz wpadł do naszego wozu, zanim jeszcze ten zatrzymał się przed zamkiem w Piotrkowie. Po pierwszych pocałunkach wypuścił mnie z objęć, wyściskał synka i pochylił się nad Jadwiną, urzeczony jej urodą. Spojrzał na mnie z miłością, ujął po raz kolejny w dłonie moją twarz otuloną białą chustą i całując, wyszeptał:

– Dziękuję.

– Dziewczynka – powiedziałam cicho.

– Dziewczynki to przyszłe sojusze. – Znowu mnie pocałował i zmiażdżył po swojemu w ramionach.

Kiedy leżeliśmy wciąż niesyci miłości, zdyszani i spoceni, poczułam się znowu szczęśliwa.

– Jak ci było beze mnie? – zapytał Kazimierz, odgarniając mi z twarzy mokre włosy.

– Źle. – Spojrzałam mu w twarz. – Erika... Władysław... boję się! – Wtuliłam się w jego pierś.

– Wiem... – zaczął, ale przerwało mu niecierpliwe pukanie do drzwi sypialni.

Przeżrana naciągnęłam prześcieradło na piersi i usiadłam na łożu.

– Miłościwy panie, miłościwy panie, wieści z Pragi! – odezwał się stłumiony głos zza drzwi. – Król Władysław nie żyje!

*

Siedziałam sztywno, nieczuła na ogień w olbrzymim kominku. Nie odzywałam się od śmierci Władysława, nie płakałam. Kazimierz i Sonka patrzyli na mnie z troską i wyczekiwaniem. Zebrana rada pokrzykiwała, ciągle wzburzona śmiercią króla Czech i Węgier.

– To Korwin otruł króla! A teraz się sam królem Węgier obwołał! Tak jak Jerzy w Czechach! Regentem i opiekunem młodego króla był! – Dotarł do moich uszu nienawistny krzyk jednego z siedzących w sali mężczyzn.

Wstałam, moje kroki odbijały się echem od sklepienia w malowanej komnacie. Podeszłam do okna i ze zdziwieniem zauważyłam, że śnieg musiał leżeć już od dawna na wawelskim dziedzińcu.

– Węgry i Czechy to moje dziedzictwo – wychrypiałam. – I naszych dzieci.

Wszyscy zebrani w sali spojrzeli na drepczącego w moją stronę małego Władka.

1458

– Jak to nie teraz?! – Płakałam, stojąc przed mężem z zaciśniętymi pięściami. – Władysław musi zostać królem! Ma prawo i obowiązek zostać po moim bracie królem Czech!

Kazimierz chwycił mnie za ramiona i mówił powoli:

– Nie ma ojca, który by pragnął tego bardziej ode mnie...

– No więc widzisz! – podniosłam głos.

– Ale nie mogę teraz odebrać Jerzykowi Czech, bo wojnę z Krzyżakiem prowadzę i końca jej nie widać. Za to dno w skarbcu jak najbardziej!

– Ale posłowie byli nawet z Węgier! – Patrzyłam błagalnie na męża.

– Tak, zewsząd! Z Węgier o ochronę przed okrutnym Maciejem Korwinem, z Wrocławia i Namysłowa o ochronę przed husytą Jerzykiem z Podiebradów, od Jerzyka z Podiebradów o ochronę przed katolikami, od papieża o ochronę przed kacerskim Jerzykiem! O ochronę za pieniądze Korony! – krzyczał i potrząsał moimi ramionami. Westchnął, usiadł i usadził mnie na swoich potężnych udach. Zaczął przemawiać łagodnie. – Jeszcze nie teraz, Elżbieto. Wojna z Zakonem zaciekła, choć powolna. Skończmy jedno, a dobry Bóg pokaże, co na Węgrzech i w Czechach. Zdajmy się na najlepszego doradcę...

– Czas – dokończyłam smutna.

– Ale posłów wysłałem, coby Czechom przypomnieć o prawach cesarskiej wnuczki i jej syna – dodał, całując wewnątrz mej dłoni.

– Posłałeś?! – Objęłam króla małżonka za szyję.

– A jakże – mruknął, rozsznurowując mi suknię.

*

Stałam wsparta o kolumnienkę łoża w po raz trzeci zaciemnionej komnacie i pozwalałam się rozbierać z ciężkich szat. Z ulgą opierałam wielki brzuch na wysokim materacu, dziecię miało przyjść na świat lada chwila.

– To kiedyś nie runie mi na głowę? – zaśmiałam się, wskazując obwisły od ozdób królewski baldachim nad łożem.

Byłam pogodnie usposobiona, czułam się doskonale. Stopy prawie wcale mi nie puchły, a dziś nawet wymknęłam się na krótki wieczorny spacer z królem po krużgankach. Jedwabna długa koszula rozkoszną delikatnością otoczyła moje krągłości i z przyjemnością weszłam pod równie delikatną kołdrę.

Panny uklęknęły do modlitwy, a ja wysłuchiwałam jej w łożu.

– Horoskop dla królewskiego dziecięcia był pomyślny... – powiedziałam później i wtuliłam twarz w plecy Kazimierza.

Chwycił moją dłoń i zasnął.

Potwornie silny skurcz omal nie wyrzucił mnie nocą z łoża.

– Inaczej, jest inaczej! – Wiłam się wśród wilgoci i strachu na twardym łóżku porodowym, kiedy żaden dekolt nie uśmierzył bólu. Bestia wyła w boleściach razem ze mną.

– Może lepiej na krześle? – Wiedeńska akuszerka pochyliła się nade mną, ale mówiła w stronę medyka. Ten tylko skinął głową.

– Lepiej, lepiej! – płakałam.

Bardzo ostrożnie usadzono mnie na małym krześle z otworem w siedzisku i udręczona bólem o świcie wydałam na świat małego chłopczyka.

– Kazimierz – szepnęłam cierpiąca, ale bardzo szczęśliwa. Dotknęłam maleńkiego noska. Łysa główka pokryta była ledwie ciemnym meszkiem, ale pojedyncze czarne włoski na karku sięgały ramion. – Jakie długie! – zaśmiałam się, delikatnie nawijając je na palec.

– Zupełnie jak u mnie! – Roześmiany król pochylony nad nami dotknął swojej głowy.

Królowa Sonka porwała w ramiona maleństwo.

– Wnuk, drugi wnuk! Jagiellon!

1459

Bardzo bałam się kolejnego porodu. Brzuch był maleńki w porównaniu z poprzednimi ciążami. Czułam się nawet dobrze, podróże nie były uciążliwe, chociaż dziecię ruszało się nieustannie, odkąd Bóg dał mu ręce i nogi! Przynajmniej wiedziałam, że będzie zdrowe...

Po Bożym Narodzeniu nie wychodziłam z łoża, ze strachu i dlatego, że bolała mnie cała prawa strona.

– Co to znaczy? Co to znaczy? – W cichości składałam ręce i modliłam się, zerkając z lękiem na przywodzące na myśl narzędzie tortur surowe krzesło porodowe, zawczasu ustawione w mej komnacie.

– Jeśli czegoś nie zjem, umrę... – wyszeptałam dwa dni później, tuż przed południem, kiedy usiłowałam sięgnąć po cudownie pachnący ser.

– Pani! – zakrzyknęła wystraszona dwórka, widząc mnie leżącą na brzuchu z ręką wyciągniętą daleko za łożo.

– Och! – zdążyłam jeno krzyknąć i nie minęły dwie godziny, jak Olbracht pojawił się na świecie.

– Mój syneczek – szeptałam do rozwrzeszczanego pacholęcia, które dało mi lekki poród. Miał złote włoski i bieluchną skórę. Tak przypominał mi mego brata!

Szczęśliwy król niecierpliwie czekał, aż piastunki opatrzą chłopca. Owiniętego sztywno jak kukielkę porwał w ramiona i wyszedł z nim na

kruźganki.

– Mój syn! Trzeci Jagiellon z mych lędźwi! – Słyszałam, jak krzyczał do tłumu zebranego na dziedzińcu. Odpowiedział mu *vivat* z setek męskich i niewieścich gardeł. Olbracht wrzeszczał razem z nimi.

1460

W kolebce było duszno. Dorota spała ze spuszczoną głową. Jadwinia pochrapywała na jej kolanach. Śliczna moja maleńka, wysoka trzylatka, wesoła, bystra i prościutka!

Westchnęłam i oparłam głowę o miękki zagłówek.

– Wina? – zapytała pulchna dwórka.

Uderzył mnie zapach trunku i gruszki w cieście zjedzone rano podeszły mi do ust. Zwymiotowałam i opadłam na poduszki. Dziewka otarła mi zroszone potem czoło. Wiedziałam, co to znaczy.

– Radujmy się – powiedziała ze współczuciem rozbudzona Dorota.

1461

Są takie lata, kiedy Bóg doświadcza bardziej i mimo żarliwych modlitw jedna boleść przyciąga drugą. Wojna trwała, a ja miałam moją siódmą coroczną podróż na Litwę za sobą. Pod sercem nosiłam piąte dziecko i czwartego syna. Byłam matką Władysława, Jadwigi, Kazimierza i Olbrachta. Czekałam na Aleksandra. Wiedziałam, że to będzie syn, bo kiedy miałam urodzić dziecko płci męskiej, śniłam smoka, którego obecność wtedy była tak powszechna i oczywista jak otwarcie oczu o poranku. Gorący lipiec 1461 roku wypalał stare cegły na murach, a król znowu przebywał w obozie wojskowym.

Tej nocy bestia jak zwykle leżała u mych stóp nad brzegiem Wisły, kiedy obudziło mnie raptowne pukanie do drzwi. Kazimierz!

Dorota wśliznęła się do sypialni i skłoniła jak zawsze zgrabnie.

– Delegacja z ratusza do miłościwej pani – powiedziała równie wystraszona jak ja.

Kasia i Agnieszka pomogły mi zejść z łoża. Objęłam rękami olbrzymi brzuch i wspierana przez dwórki, dreptałam w miejscu, pojękując i sycząc, żeby szybciej pokonać ból pleców i słabych nóg. Komnata była zaciemniona i zagracona darami, a do rozwiązania zostały dwa tygodnie.

Kazałam się jak najspieszniej ubrać i przesłam do większej sali. Mikołaj Róża, również wyrwany ze snu, sprowadził oczekujących z sieni.

Wystraszeni mężczyźni stali w zwartej grupce.

– Mówcie. – Skinął do nich ochmistrz.

– Miłościwa pani, przybiegł na ratusz Klemens płatnerz ze skargą na wielmożnego Andrzeja Tęczyńskiego, że ten go pobił.

– Pobił?

– Pobił za to, że mu zbroi na czas nie wygotował. My o sprawiedliwość przyszli prosić – mówił rajca, nie podnosząc oczu.

Przyszli poskarżyć się nocą? Po to wstawałam i ruszałam moje dziecko?! Panowie rada nie radzą sobie bez króla!

– To nie pora. Przyjdźcie jutro. Czas najlepszym doradcą. Zresztą stawiam *vadium*⁴⁰. Kto pierwszy złamie mir, zapłaci – powiedziałam i ostrożnie wróciłam do czarnej sypialni, ponurej jak smocza jama.

*

– Tłum się burzy za pobicie płatnerza, a wielmożny pan Tęczyński podjudza mieszczan, śmiejąc się i paradując po mieście – mówił nazajutrz wzburzony rajca miejski.

Siedziałam niewygodnie z wielką z poduchą pod lędźwiami. Czułam nieprzyjemne kłucie w nogach.

– Głupiec! Niechaj schroni się tu, na zamku, pod naszą opieką, i ludzi nie drażni. Potem spór rozstrzygniemy, kiedy gniew mieszczan minie – zdecydowałam.

– Dziękujemy, miłościwa pani. Dziękujemy, miłościwa pani! – wykrzykiwali, kiedy za nimi zrobił się tumult i przez rajców przebił się wrzeszczący o mordercach mężczyzna. Staął przede mną i wykrzyczał, szarpiąc włosy:

– Zamordowali Tęczyńskiego, wywlekli na ulicę i zatłukli, Jezus Maria!

Struchlałam. Nie mogło to być! Mieszczanie zabili szlachcica! Tęczyński, jedyny zaufany i skuteczny przyjaciel Kazimierza w Krakowie! Trza posłać umyślnego do króla! Zerwałam się, odprawiłam rajców i kazałam wezwać kanclerza.

– Czy Kazimierz naprawdę urodzony pod złą gwiazdą? Jeszcze nie zakończył się spór z papieżem o obsadę biskupstwa krakowskiego, a teraz to! – Chodziłam w kółko, mamrotałam i tarłam dyskretnie wgłębienie pod garbem.

Dobrze pamiętałam, jak przed miesiącem Kazimierz wpadł do Krakowa i w furii siał spustoszenie wśród kanoników i prałatów popierających kandydata papieskiego na stolec biskupstwa krakowskiego. Kandydata obranego bez zgody króla! Z łask wypadł nawet Długosz, który jako jedyny z kanoników wyraził głośno posłuszeństwo wobec papieża. Rozwścieczony król kazał wyłamać drzwi do domu Długosza i skonfiskować jego księgi i sprzęty. Nie miał nic przeciw nominowanemu Jakubowi z Sienna, chciał jeno na swoim postawić. Krzyczał, że wolałby stracić królestwo niż ustąpić papieżowi.

Oparłam czoło o chłodną szybkę. Dorota narzucała mi na ramiona lekką opończę, kiedy wszedł kanclerz.

Wkrótce po jego długiej wizycie przerwała mi nerwowy marsz po komnacie. Niezawodna przyjaciółka myślała o wszystkim.

– Pani, przygotowałam kąpiel.

– O, tak... – westchnęłam z rozkoszą i pozwoliłam odprowadzić się do łaźni.

Było upalnie mimo późnej pory. Prawie zasypiałam w wodzie od aromatów ziół i cichego przyjemnego głosu Agnieszki czytającej piękną polszczyznę moje ulubione *Rozmyślanie przemyskie*. Język polski był już wtedy dla mnie soczysty, jędrny jak najlepsze jądło, przestał być

niezrozumiałym świstem i szelestem. Delikatnie gładziłam wielki brzuch. Chłopiec dawał znać, że lada chwila przyjdzie jego czas. Dwórki pomogły mi wstać, okryły mnie miękką satyną i w blasku świec zaczęły rozczesywać i suszyć niespiesznie moje długie włosy, które wciąż potrafiły złocistą chmurą otulić całą moją chromą sylwetkę. Mój fraucymer stanowiły już tylko Polki. Hedwig i Dorika wyszły za mąż, ale obie zmarły w połogu przy pierwszym dziecięciu. Pani Bartnikowska zmarła po narodzinach Kazimierza. Święta Aleksandra od butli, uśmiechnęłam się do wspomnienia zrzedliwej staruszki o złotym sercu.

*

Świeżo po porodzie i oczyszczeniu karmiłam żarłocznego Aleksandra, kiedy dotarły do mnie wieści od króla. Przekazywał, że wróci do Krakowa w grudniu i pomści śmierć Tęczyńskiego. A więc czekał nas chrzest bez króla i zemsta po jego powrocie.

Westchnęłam, oddałam ostrożnie dziecko piastunce, chwyciłam list i podążyłam w stronę Laskowca⁴¹ starszej królowej.

Sonka przez te kilka lat zaokrągliła się, ale nie straciła figury i wciąż wyglądała pięknie. Na wieść o śmierci Tęczyńskiego przybyła niedawno z ukochanego Radomia, by towarzyszyć mi w trudnych chwilach. Mówiła, że szczęście i moc dają jej królewskie wnuki. Od dnia przyjazdu nie rozstawała się z nimi prawie wcale, a czteroletnia Jadwinia nosiła wszystkie szatki z tej samej materii co starsza królowa. Dlatego zdziwiła mnie jej blada i cierpiąca twarz, kiedy odwiedziłam ją z dworem królowej Jadwigi. Sonka stała sztywno i obiema rękami trzymała się krawędzi stołu.

– Ach, nic to. Za dużo melonów. – Uśmiechnęła się niepewnie i z niechęcią odtrąciła podsunięty kubek z lekarstwem. – Natura do jutra o wszystkim zapomni. – Machnęła ręką i uśmiechnęła się do ukochanej

wnuczki, która marudziła i szarpała jej suknię, próbując się wspiąć na mięciutkie ramiona królowej. Jednak Sonka chyba pierwszy raz nie spełniła życzenia dziewczynki, z wysiłkiem oderwała małą i oddała piastunce. Wolno oddaliła się w stronę sypialni i ku naszemu przerażeniu za progiem osunęła się na podłogę.

Cichy szept modlitwy unoszący się nad wawelskim wzgórzem nie koił przerażonych niewiast zebranych w sypialni starszej królowej. Trzeci dzień razem z dworem czuwałam przy chorej. To niemożliwe, to tylko melony, myślałam załamana. Nie rozpoznawałam jej twarzy, skurczonej, szpetnie wykrzywionej i nieruchomej z jednej strony. Włosy tuż przy czole były białe! Widziałam strach w jej przeraźliwie przytomnych oczach.

– Przyczernić! – rzuciłam ostro w stronę zawodzącego fraucymeru.

Dziewczęta w mig pojęły moją myśl i z czułością wykonały wszystkie zabiegi, których królowa nigdy nie zaniedbywała. Włosy, rzęsy, brwi, policzki, paznokcie. Szpetota umierania walczyła z udawaną urodą. Zofia wyglądała okropnie, ale głaskałam i całowałam jej czarne włosy i oczy, brudząc sobie usta i dłonie. Dla mnie była tą samą pięknością, która po prostu wsunęła się do mojego wozu, kiedy przemoczona i przerażona przyjechałam do Krakowa. Patrzyła na mnie z miłością! Oddała mi jedyne swoje dziecko, oddała mi swoje miejsce i zawsze patrzyła na mnie z miłością! Chciała coś powiedzieć, ale jej twarz napięła się i po chwili rozluźniła tak bardzo, że dusza już nie mogła w nią wrócić.

Stałam w katedrze. Ponury głos chóru, dzwonów i zawodzenie żałobnic powoli odprowadzały trumnę królowej do kaplicy, którą sama stworzyła. Czułam ból, żal, strach i samotność, jakiej nie doświadczyłam nigdy wcześniej. Straszna samotność, która wypaliła mi lodowatą dziurę w trzewiach. Bolało mnie bardzo, że wnuki, które rozglądały się bojaźliwie po świątyni, nigdy sobie nie przypomną babki!

Płakałam nad listem od króla, który przygnieciony troskami zewsząd, rozpaczał nad śmiercią matki, a jeszcze bardziej, że nie będzie na pogrzebie. Długo siedziałam zapatrzona w miasto, nim sięgnęłam po pióro. Pisałam do kancelarii Kazimierza: „Pochowałam naszą Matkę zgodnie z królewskimi życzeniami...”.

Któregoś cichego październikowego dnia dostarczono Biblię tłumaczoną z polecenia Sonki na język polski. Kiedyś sama mi wyznała, że dopiero gdy przyjechała do Krakowa, nauczyła się czytać. Niezwykle zadanie, które powstać mogło tylko w jej czystym umyśle! Dotykałam delikatnych kart, śmiało barwionych i kolorowych jak sama królowa. Ujrzałam ją roześmianą, wirującą w tańcu, lśniącą...

Władko stawał na palcach i próbował zajrzeć na pulpit. Wzięłam syna na kolana, a ten położył małą dłoń na burej, w połowie pustej karcie. Niedokończona, bo któż się spodziewał...

– Miłościwa pani, pan Hińcza prosi o posłuchanie. – Róża skłonił się i wyszedł. Zaskoczeni, razem z małym Władziem wpatrywaliśmy się w drzwi.

Po chwili wszedł niemłody już mąż, wielce ceniony i oddany dworzanin starszej królowej. Skłonił się sztywno, lecz na mnie nie spojrzał.

– Przychodzę z prośbą. Gdy umrę, pochowajcie mnie blisko niej. Choćby pod schodami. – Znowu się skłonił i miał zamiar się oddalić.

Oniemiałam. Widywałam ich razem, ale nigdy nie widziałam, by żartowali czy tańczyli. On zawsze z surowym obliczem, ona spłoszona tylko w jego towarzystwie. Nie mógł patrzeć, jak przez żalobę po pierworodnym Sonka pogrąża się w szaleństwie i rozpaczy. Wyrzucił głowy... Kochali się skrycie, nie wyznając sobie uczuć? To możliwe?

– Miłowała was – usłyszałam swój głos.

– Wyznała ci to, pani? – parsknął udręczony w stronę okna.

– Tak – odparłam z przekonaniem.

Pokiwał głową, próbował zapanować nad bólem wykrzywającym mu twarz, zmrużył powieki i wyszedł z sali.

– Mamo – jęczał Władko i niezdarnie wycierał łzy z moich oczu.

Długo jeszcze zawracałam w połowie drogi do jej komnat naszym cichym korytarzem. Raz ocknęłam się dopiero, kiedy weszłam tam, licząc na dowcip i kielich wina. Zastałam mrok, zimno i potworną ciszę. Wolno zamknęłam drzwi.

Nie wiedziałam, ile udźwignę, ale Bóg zdecydował już dawno, że mogę dużo... Siedziałam sztywno i bezwiednie wkładałam chleb do ust. Modliłam się, aby posiłek już się zakończył. Fraucymer i dworzanie jedli w ciszy, ale czułam, że uważnie wypatrują najmniejszego grymasu na mej twarzy. Patrzyli, czy płaczę, czy drżą mi dłonie. Dłużej niż zwykle ocierałam usta i pilnowałam, by nie zerwać się zbyt gwałtownie z krzesła. Szłam do swych komnat, wolno w myślach odliczając kroki. Minęłam jedną salę, potem drugą i weszłam do sypialni. Nie przyspieszyłam kroku, kiedy byłam tuż pod komorą. Z ulgą zanurzyłam się w przyjazną ciemność zamkowych przejść.

Usiadłam skulona na schodach między ścianami i próbowałam zrozumieć to, o czym mi doniesiono. Król... mówili tylko... że do króla przyszła... do obozu... kobieta... piękna, wstawić się u Kazimierza za dziećmi swymi i pokonanym mężem zdrajcą. Przy tym tak pięknie mówiła i prężyła przed nim swoje wdzięki, że Kazimierz pod wielkim jej urokiem żałował, że to z nią się zawczasu nie ożenił!

Boże! Zabij mnie teraz! Wstałam, kręcąc głową. Została tam? Z nim? Długo? Zrobiło mi się niedobrze na myśl, że oni... Podparłam się ręką o wilgotną ścianę. Czułam, jakby cały deszcz świata spadł na mnie w jednej

chwili. Chciałam, by ten zamek zawalił się na mnie i pochował mnie razem z dziećmi. Wytarłam nieładnie nos o rękaw, łzy starłam dłońmi.

Dzieci, to one się teraz liczą. Rodzę królów, nie mogę płakać po kątach. Kiedy usiadłam, by poczekać, aż czerwień odpłynie z mokrej twarzy, dosiadła się do mnie Dorota z tymi swoimi śmiejącymi się oczami.

– Nic tam nie było. Księżna Zofia przyjechała z mężem w dniu wyjazdu króla z obozu... – Pchnęła mnie ramieniem w bardzo niestosowny sposób.
– Król miłuje cię, pani, nad wyraz, tak jak żaden władca nie kochał żony! Kiedy jest, gada do ciebie, kiedy cię nie ma, gada tylko o tobie!

– Ty nie wiesz... – szepnęłam.

– Wiem – przerwała mi zimno.

Spojrzałam na nią zaskoczona tym, że mi przerwała, i tym, że mogło spotkać ją to samo.

– Mego męża oskarżono o cudzołóstwo. Jeno to nie była jakaś księżna, ale ona.

– Kto?

– Królowa. Królowa Sonka. – Wstała i oparła się o zimną kamienną ścianę. – I nie chodziło o mnie, a o przyszłość moich dzieci.

– Jak to?

Ocierałam ciągle płynące łzy.

– Potężny Jagiełło chciał zemsty. Plotka była fałszywa, ale kara mogła być prawdziwa. Nie widzisz, jakaś szczęśliwa? – dodała po chwili. – Miłujący mąż, który ciągle o tobie myśli, gdy cię nie ma przy sobie. Łatwe i zdrowe porody! Czterech synów! Grzeszysz, szlochając! – Znowu mnie trąciła. A potem objęła serdecznie, nie zważając, że jestem królową.

– Napijesz się ze mną węgrynka? – zapytałam łzawym głosem, już spokojniejsza.

– Napiję. – Odsunęła makatę i zgięta w pół przepuściła mnie do komory.

– A tamtą murwę⁴² zabiję. – Podsumowałam sprawę i uniosłam podbródek.

– Własnymi rękami – przytaknęła Dorota.

*

Nie mogłam się doczekać powrotu króla. Za oknem listopad mroził ostanie kwiaty, a ja w gorącej łaźni próbowałam choć trochę roztopić troski. Leżałam spowita aromatem lawendy, kiedy Dorota przyniosła listy. Wytarłam dłoń o włosy i sięgnęłam po złożony arkusz. Czytałam po wielokroć ten sam ustęp i nie mogłam uwierzyć! Położyłam na twarz zapisany spłachetek i zaczęłam się histerycznie śmiać. Straszny śmiech, który przeraził służbę, zamienił się w szloch. Umarła moja siostra! Anna umarła!

– Najpierw ją odesłał i odebrał jej dzieci! – płakałam później pod oknem w małej sali.

Róża przysłuchiwał się ze smutkiem.

– Potem na jej miejscu usadził kochankę! – Kręciłam głową z niedowierzaniem. – Anna! Moja Anna, wesoła, mądra, wykształcona, była dla mnie i brata niezastąpionym towarzystwem w najgorszych chwilach naszego dzieciństwa! Jakiż człowiek zrobiłby jej coś takiego? Kto chciałby ją oddalić? I za co?! – Patrzyłam na ochmistrza z wyrzutem, jakby to on był winnym tak haniebnego losu mej siostry. – To on ją zabił! Okrucieństwem swoim! Nigdy się nie poskarżyła! Zabił ją! On ją zabił! – szlochałam.

Dorota wsunęła się do komnaty, prowadząc za rączkę małą królową.

– Jadwiniu! – Wyciągnęłam ręce do córeczki, uniosłam ją i przytuliłam do siebie z całych sił. – Zgubiona niewiasta i niewiasty dusza, gdy doświadczysz podobnego losu – powiedziałam cicho i ucałowałam jej jedwabiste włosy.

Jadwiga wtuliła czółko w moją szyję. Cały wieczór chodziłam po komnacie z dziecięciem na ręku, jakby to córka pragnęła pocieszenia, a nie ja.

*

Grudniowy dzień był słoneczny i suchy. Biały śnieg skrzył się jak srebro, kiedy ja, dzieci i cały dwór niecierpliwie wypatrywaliśmy na dziedzińcu królewskiego orszaku, tym bardziej, że już słyszeliśmy trąby i powitalne okrzyki od Floriańskiej, rynku i Grodzkiej. Władko rozglądał się z otwartą buzią, Każko podskakiwał podniecony, a Jadwina stała grzecznie ze splecionymi dłońmi. Piastunki wyniosły Olbrachta i Aleksandra.

Pragnęłam spotkania z mężem, ale drżałam na myśl, że zobaczę w jego oczach zdradę albo pogardę. Jednak kiedy zsiadł z konia, ujrzałam w nich nasze wspólne troski, o których nie mogliśmy przez rozłąkę rozmawiać. Przyłgnęliśmy do siebie bez słów, targani szlochem hamowanym miesiącami. Władko darł się, próbując nas rozdzielić, a do chóralnej skargi brata dołączyła reszta rodzeństwa. Wśród wielkiego zawodzenia wzruszonego dworu i dzieci prowadziłam króla do domu. Zgorszony biskup rozglądał się nierozumiejąco, bo zapomnieliśmy o modlitwie.

Gładziłam zupełnie posiwiałe kazimierzowe włosy, kiedy modlił się później u stóp grobowca matki, patrzyłam na spaloną ostrym słońcem królewską twarz i zazdrosna byłam o każdy dzień spędzony osobno.

Król tulił, płakał i całował każde książątko.

– Władysław jak urósł, Kazimierz wygląda jak ja! – śmiał się. – Jadwiniu, tyś prawdziwa piękność – mówił do zawstydzonej, ale zadowolonej córki. – Olbracht i Aleksander mają twoje włosy! – Całował moje dłonie.

Wśród zabawy, łez i śmiechu minął wieczór z dziećmi. Uczta była niezwykle głośna i radosna z powodu powrotu niejednego wyczekiwanego ojca, syna, męża i ukochanego. Siedziałam w nowych klejnotach od króla i dręczyłam się, czy powinnam zapytać o księżną...

Żarliwość, z jaką we mnie wchodził tamtej nocy, sprawiła mi pierwszy raz ból. Czy to ja pod jego powiekami, czy to ona? Drgnęłam, gdy zapytał w ciemności:

– Co się stało, Elżbieto?

– Księżna... – wychrypiałam. Uniósł się na łokciu.

– Jaka księżna?

– W obozie...

Czułam, że patrzy na mnie.

– W obozie? Księżna? No, była... Ktoś mówił, że źle zrobiłem, darując im?

– Nie, mówił, żeś żałował, żeś się z nią nie ożenił...

– Co?! Zatlukę tego Długonosa! Mściwy pies! Zemścił się, że mu odebrałem dobra za nieposłuszeństwo! Sam się w nią wgapiał jak sokół! – Podskoczyło całe łóże. – Te słowa w mężowskim gronie tylko padły, takie... Elżbieto! – Znowu się poprawił. – Przybyła do obozu tak piękna kobieta, jakiej żem w życiu nie widział, z piękną mową. Ujęła mnie jej odwaga, wysławianie i uroda, przyznaję. I nie tylko mnie. Jednego dnia za zgodą każdego męża z rady, a zgoda całej rady prawie nigdy się nie zdarza, darowałem jej mężowi! Uratowała dom i swoje dzieci. Tyle. – Usiadł. – Ja nie z tych, co do łóży biorą nie swoje. Powinnaś to już wiedzieć. A ożenić

się z nią mogłem, ale za biedna była i przegrała z cesarską wnuczką. Największą rozkosz pod sobą daje mi cesarstwo – wyrzucił i opadł na poduszki urażony.

– A nad sobą? – zapytałam szeptem.

Natychmiast wrócił do mnie rozpromieniony.

*

Tyle dni walki i smutku na nic! Wracałam rozżalona i gniewna z pałacu Tęczyńskich. Odmówił królowej! Odbijałam się od ścian reywanu ślizgającego się na topniejącym śniegu. Chłystek, który uciekł, gdy ojca mordowano, odmówił mi darowania życia choć jednemu skazanemu! Nie wyglądał na zrozpaczonego w towarzystwie pijanych kompanów. Cały pałac cuchnął skisłym winem i zamtuzem⁴³.

Gardło. Tyle usłyszałam na temat zabójstwa Tęczyńskiego od króla. Gardło da szczęście. Zabójstwo za zabójstwo.

Wróciłam do siebie upokorzona przez marnego szlachetkę. Odesłałam dwórki i miałam wybór: pomodlić się w samotności za dusze tych ludzi albo wyrzucić gniew w komorze za łóżem.

Król czekał w ciemnościach, wodził za mną wzrokiem, kiedy mijałam go z podniesioną głową.

– Kiedy? – zapytałam. Odgadł, że chodzi o termin egzekucji.

– Piętnastego stycznia.

Widział też, że poniosłam porażkę w domu młodego Tęczyńskiego. Nie chciał, bym tam szła. Stałam w oknie i patrzyłam na puste, ciche i wyczekujące miasto. Pod powiekami ciągle miałam obraz wzburzonego tłumu pod Wawelem. Tego samego tłumu, który witał mnie serdecznie jako swoją królową, tego samego, który pijany rozbił Andrzejowi czaszkę w kościele, tego samego, który wlekl zhańbione ciało rynsztokami, nadpalili

je i nasiekł, tego samego tłumu, który wypchnął przed sądem sześciu niewinnych spośród siebie, żeby zapłacić za własne głowy.

Kazimierz podszedł do mnie, ścisnął potężnymi dłońmi moje ramiona i pocałował mnie w kark.

– Elżbieto, wszędzie rada miejska odpowiada głową za to, co się dzieje w mieście.

Na mocy wyroku sądowego Konrad Lang, Stanisław Leymither, Jarosław Szarlej, Wojciech malarz, Mikołaj Scherlang i mistrz katowski Mikołaj dokonali żywota pod wieżą Tyniecką za zabójstwo Andrzeja Tęczyńskiego. Zostali pochowani w kościele św. Marii przed zakrystią. Dziękowałam Bogu, że skończył się ten straszny rok.

⁴⁰ *vadium* (łac.) – kwota składana jako zabezpieczenie umowy

⁴¹ Laskowiec – komnata królowej Sonki, wyłożona ozdobnym drewnianym laskowaniem w postaci wąskich kolumnienek

⁴² murwa – niewiasta lekkich obyczajów

⁴³ zamtuz – dom publiczny

1462

Mój wychowawca na dworze dawnego opiekuna, cesarza Fryderyka III, mistrz Piccolomini, został papieżem. Jako zwolennik sprawy krzyżackiej i dawniejszy biskup warmiński właśnie przysłał do mnie posła.

– A z czymże to przysła do was? – pytał rozdrażniony Kazimierz. – Przyjmiesz posła, Elżbieto, który jawnie naszym wrogiem się nazywa?

– Przyjmę, bo jestem ciekawa. Może pozdrowienia śle dawny mój przyjaciel – drwiłam.

Urażony król nie chciał nawet w ukryciu śledzić wizyty.

Wstrzymując ważny wyjazd, czekałam na posła papieskiego, wygodnie rozparta na podwyższeniu. Poprawiłam jeszcze poły złotego futra, nim rzekłam:

– Prosić.

Niewysoki, szybki w ruchach mąż przyskoczył pod podest i zgięty prawie do kobierców leżących na stopniach podał mi tradycyjny zwój z papieską pieczęcią.

– Cóż to, nie wiecie, co macie mówić? Sama mam czytać? – Urażona podałam pismo kanclerzowi.

– Nie, pani. Powiem. – Wyprostował się i uśmiechnął. Odrzucił szerokie rękawy, z namaszczeniem złożył dłonie i zaczął: – Jego świętobliwość z pozdrowieniem zaczyna i mając wzgląd na wspólnie

spędzone lata, wierzy w mądrość waszą, jaką pamięta. Wierzy, żeście, pani, nauk jego chrześcijańskich nie zapomnieli...

– Dalej – przerwałam mu.

– I jako chrześcijanka z habsburskiego domu – nabrał powietrza – wpłyniecie na męża swego, by objął tron czeski i nie układał się z husytą.

To on wie już, że wyjeżdżamy spotkać się z Jerzym z Podiebradów, pomyślałam.

Odwrócił się ode mnie i krążyć zaczął po komnacie jak po swojej.

– Miejcie wzgląd na wiarę naszą wspólną i dom wasz. Habsburski! – zakrzyknął z uniesionym palcem. Odczekał chwilę, zbliżył się znowu do podwyższenia i zerknął z niechęcią na kanclerza stojącego u mego boku. – Zapewne ciężko wam z mężem, co przeciw papieżowi staje... – powiedział do mnie poufale i spojrzał z udawaną troską. Nie poruszałam się. Przysunął się bliżej i oblizał usta. – Jego świętobliwość pyta, czy pomożecie bronić wiary katolickiej i pomożecie domowi swemu? – szepnął.

Spojrzałam mu głęboko w oczy.

– Pomogę – odrzekłam po chwili. – To wszystko. – Wstałam i dałam znak, że audiencja skończona. Opuściłam komnatę.

– I cóż poseł? – zapytał król. Widziałam, jak drży mu kolano. Wolno minęłam męża i podeszłam do okna w głębi wykusza.

– Chciał, bym namówiła cię na odstąpienie od spotkania z Jerzym z Podiebradów.

Czułam, jak wzbiera w nim gniew i żal.

– Zatem namawiaj.

– Spytał, czy pomogę domowi swemu. Zgodziłam się.

Kazimierz zerwał się z krzesła.

– Bo on nie wiedział, że mój dom to jagielloński dom. – Wyciągnęłam dłonie w stronę króla.

Mąż chwycił mnie w ramiona i zaczęliśmy się śmiać głośno, coraz głośniej.

*

Z dumą patrzyłam na sześciolatniego Władka: bardzo poważny, ze zmarszczonym czołem, w drodze do Głogowa pięknie trzymał się w siodle, jadąc między mną a Kazimierzem. Uśmiechaliśmy się do siebie ponad ciemną główką pierworodnego, dumni i wzruszeni chwilą. Jechaliśmy spotkać się z królem Czech, Jerzym z Podiebradów, pierwszym husytą na chrześcijańskim tronie, słabym i niedoświadczonym, liczącym na pomoc Kazimierza w walce z katolikami i papieżem o utrzymanie tronu. Władko wiedział, że albo będzie jego następcą na mocy prawa, albo siłą, jak mówił, zdobędzie Pragę.

– Jak to zdobędziesz? Sam? – dopytywał rozbawiony Kazimierz.

– Z panem ojcem. – Wzruszał drobnymi ramionami mały królewicz, wskazując rozrzewnionego króla.

Maj rozpieszczał nas suchymi traktami. Sunęliśmy przez kraj z orszakiem w pięć tysięcy zbrojnych w pełnym rynsztunku, w majestacie, złocie, klejnotach i purpurze. Czech miał widzieć, że Jagiellonowie mogą mu pomóc albo go zmiażdżyć. W wolnym rytmie ogromnych kotłów kołysaliśmy się w siodłach. Dźwięk jeszcze potężniejszych trąb był tak niski, że przechodził w charkot, który wibrował w duszy. Jerzy czekał na nas milę przed miastem. Przez kolejnych dziewięć dni obrad i uczt siedział przybity, jak mówiono, majestatem Korony.

Ostatniego dnia pobytu Jerzy poprosił Kazimierza o rozmowę bez świadków. Król wiedział, że teraz dopiero odbyć się mogły te najważniejsze

i najuczciwsze postanowienia, bo przypieczętowane słowem danym i ręką królewską.

Kazimierz śmiał się, kiedy w wyznaczonej komnacie ukryłam się za specjalną oponą w głębi pod ścianą.

Zbliżyłam twarz do prześwitującej osnowy i patrzyłam, jak ustawiono dwie równej wielkości skrzynie naprzeciw siebie, z dwoma złotymi dzbanami i takimiż kubkami na tym kufrze tylko, gdzie siedzieć miał król Polski i wielki książę Litwy. Kazimierz rozsiadł się wygodnie jakoby gospodarz i nie wstając, swobodnie przywitał niepewnego Jerzego.

Zajęli miejsca naprzeciw siebie. Kazimierz szeroko rozłożył nogi i wsparł pięść na lewym udzie. Westchnął, dając sygnał, że martwi się nad wyraz troskami Czechów, i niespiesznie zaczął nalewać z góry purpurowego wina do kielicha Jerzego, po czym w przeciągającej się ciszy tak samo z góry nalał wody do swego naczynia.

– Pijecie wodę? Ja was nie będę truł. – Jerzy odezwał się pierwszy, podenerwowany powolnymi ruchami polskiego króla.

– Ani ja was. Ja wina nie pijam nigdy – odezwał się spokojnie Kazimierz i podał kielich, patrząc w oczy gościowi.

Jerzy chcąc nie chcąc musiał wypić, bo argumentu żadnego przeciw nie miał, a i pewnie bał się być wyśmianym za tchórzostwo.

Dobrze, uśmiechnęłam się za makatą.

– Tyś katolik, ale czoła przed papieżem nie chylisz... – zaczął gość. – Wyrzuciłeś legata. – Upił łyk wina.

– Nie wyrzuciłem, bo to nieroztropne, ale duszą mą targa wzgarda Kościoła, która każe im nie w polu stawać, a podstępem i zdradą ziemie zdobywać. Papież Krzyżakowi daje płaszcz biskupi i osadza w mieście, które krwią i męką moich żołnierzy dni kilka wcześniej wyrwałem z ich fałszywych łap! Tyś przedmurzem chrześcijaństwa, mamią, i na wojnę

z Turkiem wysyłają, bym się wykrwawił i ich miękkich zadków bronił! Taką wojnę papieże lubią! Gryzą pieniędzmi, zdradą i fałszywym świadectwem prosto w twarz, by władzę mieć zawsze pierwszą w moim królestwie! – Kazimierz zerwał się i spokój jego ulotnił się wraz z dymem z grubej świecy.

Otyły Jerzy, pewny, że rozmowa idzie w dobrym kierunku, zerwał się także i stanął o głowę niższy przed polskim królem.

– Ja wiary, którą przyjąłem, nie zmienię, ale mocy takiej jak wy do walki z katolickim duchownym nie mam, zgniotą mnie! Pomóż, bo sam jestem w Pradze!

– Zbrojnie nie stanę, bo świat ruszy na mnie – powiedział Kazimierz znowu spokojnie i ruszył wolno w stronę kominka. Jerzy pospieszył za nim.

– Gniew papieża na was odpychać mogę w czasie – dodał Kazimierz, niby skupiony na poprawianiu ognia. Milczał chwilę, a Jerzy nie przerywał.
– Ale za to chcę po śmierci twej tego, co należy się mojemu synowi. – Rzucił pogrzebacz i chwycił mocno ramię Jerzego, świdrując wzrokiem jego twarz. – Korony czeskiej.

Wstrzymałam oddech.

– Wiem, co tracę, wyznając mą wiarę, dzieci moje na tronie zostać nie mogą. Obiecuję koronę przekazać waszemu Władysławowi. – I król czeski odwzajemnił uścisk. Na to roześmiali się gromko, gniotąc nawzajem swoje ramiona.

Zatkałam usta, żeby nie krzyczeć z radości.

Spokojny już Jerzy dopiero późno w nocy opuścił komnatę, a ja obolała i szczęśliwa wyszłam wreszcie zza zasłony.

– Zadowolona? – zapytał dumny Kazimierz.

Przyłgnęłam do niego mocno.

– Tak.

1463

Nie śniłam smoka, a dziecię na świat wydać miałam wiosną następnego roku.

– A więc córka. – Uśmiechnęłam się do Kazimierza, który sam zdziewał mi wieczorem buty z opuchniętych nóg.

1464

Zgodnie z przewidywaniami w maju 1464 roku pochylałam się wraz z Jadwinią nad Zofią, jej maleńką siostrą. Nosiła imię swej babki, bo i wyglądała jak ona. Gęste, proste czarne włosy tworzyły ładny czepeczek nad pyzată bużką. Delikatne łuki brwi i długie czarne rzęsy wróżyły jej przyszłe piękno.

Sześćioletnia królowna Jadwiga delikatnie dotknęła maleńkiej, długopalcej dłoni siostrzyczki.

– Strasznie brzydka – zawyrokowała i wtuliła się w ramiona roześmianego króla.

*

Szala zwycięstwa w wojnie z Krzyżakiem przechylała się na naszą stronę. Wygrana bitwa w roku 1462 pod Puckiem, świetnie rozegrana nad samym morzem, dała początek drobnym i wielkim zwycięstwom polskiego oręża. Bitwa morska pod Elblągiem, na gdańskich statkach pod polskim dowództwem, w sposób godzien zapisu w chwalebnych kronikach rozgromiła statki krzyżackie. We władzy zakonnych pozostawały jedynie Chojnice...

1465

– Jest, jest dziewczuszka! – zawołała po niemiecku akuszerka.

– Elżbietka – wyszeptalam, nadając imię kolejnej córce. – Co się stało?!

– zawołałam po chwili strwożona, kiedy nie usłyszałam płaczu dziecięcia, a ujrzałam jedynie wystraszone twarze niewiast i medyków. – Dajcie mi ją!

– wykrzyknęłam zrozpaczona, unurzana jeszcze w niewieścich śluzach, i wyciągnęłam ręce w stronę akuszerki. Na szczęście z ciasnego tłumoczek doszedł mnie cichy głosik, tak delikatny, jakby wybijał się spod warstw puchowych kołder.

– Maleńka jest... – Starsza niewiasta podała mi dziecię tak, jakby czuła się winna. Elżbietka była sina i ledwo łapała oddech.

– Trzeba ochrzcić – powiedział ze zmarszczonym czołem medyk i wydarł mi z rąk moją córeczkę.

1466

Latem 1466 przyszło Polakom zetrzeć hańbę z sumień swoich za ucieczkę spod Chojnic w roku 1454. Nikt już nie uciekał, jeno w zwarciu w sześć tysięcy zbrojnych razem z mieszkańcami zwykłych wsi i miast wielkiej Polski i Kujaw, sercem kierowanymi, zażarcie oblegano miasto i obrzucano pociskami ogniowymi, póki Chojnic w chwale nie zdobyto.

Król wpadł do mej komnaty rozradowany. Płakał i ścisnął me ramiona.

– Koniec! Koniec wojny, Elżbieto! Słyszysz?

*

Nie mogłam zasnąć. Leżałam sama w łożu, czekając świtu. Pokonaliśmy Krzyżaków, wojna się skończyła. Czy grzeszyłam, nie ciesząc się z takiej wiktorii? Takeśmy czekali końca! Dwanaście lat! Skarb pusty jak dom po śmierci. W kraju zaraza. Nie dziw, bo wszędzie trupy, głód, zgryzota i zgnilizna. Kazimierz pojechał sam do Torunia podpisać z Krzyżakami traktat pokojowy.

– Pokój – powiedziałam na głos, ale nic to dla mnie nie znaczyło, słowo było martwe.

Nie biesiadowałam ani nie wiwatowałam. Skuliłam się mocniej pod ciepłą kołdrą. Nie cieszyłam się, bo straciłam córeczkę. Urodziłam ją rok temu. Nie płakała, ale jej oczy przejmowały zgrozą. Zawsze jeno pełne łez,

bez krzyku i tak patrzące, jakby poznały wszelkie cierpienie. Świata nie widziała, nie można jej było unieść, bo bladła i dusiła się. Nóżki jej słabe i sine zawsze leżały bezwładnie. Chudziutka tak, że kiedy sterczące żeberka opadały w kaszlu, myślałam, że już się nie uniosą. Cud, że rok wyżyła. Ile razy w bóleści na nią spoglądałam, zawsze te same oczy starca na mnie patrzyły. Tylko Jadwinia siostrę tak trzymać potrafiła, że maleńka główka rozglądała się chciwie po twarzach.

Razu pewnego starsza siostra przybiegła rumiana z wrażenia.

– Pani matko, uśmiecha się! Elżunia się uśmiecha! – Jadwinia dreptała wkoło mnie, kiedy spieszyłyśmy do dziecka. – Wiatraczek zbudowałam i dmuchałam do niej, a ona się uśmiechnęła!

Dotknęłam jej ślicznej twarzy otoczonej wiankiem ze złotych włosów.

– Tyś piękna i dobra. – Ucałowałam jej śniady i pulchny policzek.

Z całym fraucymerem i piastunkami, z nadzieją wstrzymując oddech, pochyliłyśmy się nad mięciuchną kolebką i Jadwiga wprowadziła w ruch kolorowy wiatraczek. Moja maleńka Elżbietka zamachała rączkami i rozjaśniła liczko dziecięcym uśmiechem! Jakby słońce zawitało do komnat! Pierwsze gorące rozradowanie od dnia jej narodzin załało nasze dusze. A może zdrowieje? Kazimierz kazał bić w sandomierskie dzwony na wielką radość! Uniosłam córkę lekko, ale kaszleć zaczęła i nie przestała już do końca.

Usiadłam w łóżu i zasłoniłam twarz. Nie ozdrowiała, odeszła, patrząc tym strasznym wzrokiem wprost na mnie... Jakby oskarżała mnie za krótkie i pełne cierpienia życie!

Nie cieszyłam się, niech mi Bóg wybaczy, że kolejne dziecko nosiłam. Jeszcze jej nie pochowałam, a wiedziałam, że łono moje znów cierpieć będzie. Tyle co przed nią urodziłam Zofię, a już Zygmunt rozrywał me chrome ciało! Matko Najświętsza, wybacz! Dzieci noszę, w podróży

wszystkie objam i rodzę, i rodzę! Z jednego zaciemnienia w drugie, z każdego coraz bardziej przygięta i skrzywiona, a dzieci się mną karmią i wysysają z żywota! Boże!

Nagle zauważyłam, że mała figurka stoi przed moim łóżem.

– Olbracht! – rozpoznałam syna.

– Boję się – powiedział płaczliwie, ciągnąc w dół koszulkę.

Odkąd Kazimierz wyjechał, syn nasz przychodził co noc spać ze mną. Odsunęłam kołdrę i zrobiłam mu miejsce w łóżu. Wskoczył od razu.

– Jak się tu dostałeś, przecie dwórki cię nie wpuszczały? – zapytałam zaniepokojona.

– Ścianami – odparł dumny z siebie.

– Ścianami?!

Struchlałam na myśl, że siedmioletnie dziecko przebyło taką drogę.

– Każko mi pokazał.

– Spać się sam boisz, a szcurów i ciemności, i że zabłądzisz, tego się nie boisz?!

Milczał przez chwilę.

– Pod kolanka? – zapytał niewinnie.

– Pod kolanka – westchnęłam i objęłam skulonego synka tuż pod szczupłymi kolanami. Ucałowałam jego słodką skroń i do świtu trwałam zasłuchana w równy oddech dziecka.

Rano obudziło mnie silne kopnięcie nienarodzonego Zygmunta. Z pierwszym głębokim wdechem wrócił ból pleców, a zaraz po nim pojawił się obraz pustego łóża. Olbracht wymknął się wcześniej.

– Mały szelma – powiedziałam do siebie.

Mszy wysłuchałam wciśnięta w ławę, wsparta na jednym boku.

– Każ przyprowadzić dzieci – zwróciłam się do dwórki, wychodząc z kaplicy.

Pierwsi weszli Władko i Kazimierz, obrażeni niewieścią eskortą, obaj wysocy jak na dziesięcio- i ośmiolatka i obaj ciemnowłosi jak ojciec. Skłonili się i z zaciętymi buziami podeszli po błogosławieństwo. Zajęli wygodne miejsce obok mnie na królewskim krześle swego ojca, z wyższością patrząc na młodszych braci i siostry. Zadowolony Olbracht wpakował się na moje kolana, Aleksander jak zwykle zajął małe krzeselko pod oknem, by nikomu nie przeszkadzać. Dziewięcioletnia Jadwinia z powagą godną najstarszej córki zgrabnie usiadła u moich stóp. Śmiałym gestem kazała obok siebie rozłożyć kobierzec dla Zofijki, czarnowłosej jak jej piękna babka. Oparła twarz o moje kolano i zwróciła na mnie swe pełne oddania ciemne spojrzenie.

– Pani matko, już prawie wyhaftowałam wstęgę – zwróciła się głosem oczekującym pochwały.

– Tak szybko? Wzorowa panna – szepnęłam do niej z czułością.

Zazdrosny Olbracht odepchnął brutalnie jej twarz; fraucymer podniósł krzyk, na co zerwał się Kazimierz i ściągnął brata z moich kolan. Olbracht niższy o głowę pchnął go na miejsce, gdzie Każko siedział z Władkiem, i z furią strącił obu z podwyższonego krzesła.

Lodowata struga spłynęła po moich plecach. Pokojowcy rozdzielili walczących chłopców.

– Bracia! Królewietta! Wstyd! – mówiłam wzburzona. – Olbracht, cały dzień sam bez kompanów i zabawek! – Zdawałam sobie sprawę, że to dla niego najdotkliwsza kara. – I w zamknięciu z mocnymi ryglami! – dodałam, bo wiedziałam, do czego jest zdolny.

Władko parsknął śmiechem, wskazując palcem wyprowadzanego Olbrachta. Byłam naprawdę zdenerwowana.

- Cieszy cię kara? Nie będziesz miał dziś lekcji z Szydłowieckim!
- Ale pani matko, dziś miałem ćwiczyć miecz! To niesprawiedliwe... – zaczął jęczeć.
- Tobie trzeba już magistra i łaciny, a nie tylko miecza!
- A ty dlaczego wprowadziłeś brata do korytarzy, mógł zabłądzić! – Rozdawałam razy wszystkim w zasięgu wzroku.
- Nie wprowadzałem! – wykrzyknął naprawdę zaskoczony Kazimierz i schował się za wystraszoną Jadwinia.

Olbracht znowu kłamię, pomyślałam zasmucona i dotknęłam podskakującego brzucha.

*

Październikowy deszcz padał do wieczora, chłopcy grzeczni po odbytych karach siedzieli znudzeni i bezpiecznie rozdzieleni. Władko bawił się kośćmi do gry. Kazimierz przeglądał *De re militari*, a Aleksander pod oknem przeszkadzał śpiącym szczeniętom. Jadwinia bawiła się kędziorami Zofijki, wpinając w nie migotliwe ozdoby. Dwuletnia piękność ku uciesze fraucymeru i piastunek zebranych w komnacie z otwartymi ustami i wypiekami na okrągłych policzkach śledziła zmiany w małym zwierciadle. Jak jej babka, pomyślałam rozrzewniona. Olbracht, najdalej od wszystkich, siedział na wysokiej skrzyni i machał nogami, chrupiąc orzechy przetrzebionym uzębieniem siedmiolatka. Nie wiem, kiedy dopadł Władka i jego zabawek. Wstałam, dość miałam awantur na jeden dzień.

– Muzyka! – wykrzyknęłam do przysypiających grajków.

Wszystkie dzieci jak zaczarowane radośnie puściły się w tany. Porwałam małomównego Aleksandra, by wreszcie wywołać uśmiech na jego zamyślanej buzi. Śliczny, drobny złotowłosy chłopiec perlistym śmiechem rozświetlił ponury wieczór.

Przechadzałam się z dziećmi i chłonełam ciepło ostatniego jesiennego słońca. Ich radosny śmiech otaczający mnie zewsząd przynosił mi spełnienie i spokój. Usiadłam na darniowej ławie wyłożonej ciepłymi futrami i z przyjemnością wystawiłam twarz na wiatr. Nawet Zygmunt dziś nie dokazywał.

– Miłościwa pani, list z kancelarii króla. – Kanclerz wyciągnął rękę z brunatnym skrawkiem opatrzonym ciemną pieczęcią. Czekałam na wieści od dawna.

– Ty przeczytaj – zwróciłam się do mężczyzny i zanurzyłam się w futrach gotowa na wysłuchanie.

– Pani – odchrząknął po dłuższej chwili ciszy – kancelaria pisze, iż zaraza dotarła do Torunia, a pan nasz ruszyć się nie chce, póki pokoju do końca nie doprowadzi. Wam zaś nakazuje przenieść się do Bydgoszczy.

Zamknęłam oczy. Do diabła z tym pokojem! Nic nam wojna nie dała, jeno długi! Wracaj do mnie, myślałam zrozpaczona, przecież nawet gotowy jesteś tam zemrzeć!

– Pani? – zapytał niepewnie zapomniany kanclerz.

– Każ rozdać octy i okadzać zamek.

Skłonił się i oddalił szybkim krokiem. Nagle usłyszałam żaloszny płacz Jadwigi i kojące słowa piastunek. Znowu rozbiła kolano.

*

– Ty też czujesz ten smród? – pytałam Dorotę, gdy dotarłyśmy do Bydgoszczy. – Całą drogę czułam dym, w ustach, w nosie! Płoną ciała, umierają dzieci, młodzi i starzy! Wszędzie stopy i płomienie! Dymią kadzielnice, płoną domy! Zaraza jest wszędzie! – krzyczałam, nerwowo szarpiąc za mocno związany czepiec.

– Nie wszędzie, nie wszędzie. – Jak znikąd pojawił się Kazimierz i jak kiedyś uwolnił mnie z zawojów.

Rzuciłam mu się na szyję. Słyszając głos ojca, chłopcy dopadli go i obsiedli niczym wróble. Wśród radosnych krzyków i śmiechu władca Polski, Litwy i Prus Książęcych, ten, który posunął ziemie Korony do morza, pan na całym biegu Wisły, król, któremu każdy nowy mistrz krzyżacki miał na mocy zawartego traktatu składać hołd, został powalony na ziemię.

*

Król kazał we wszystkich swych komnatach wieszać w progu poprzeczny drąg, na którym potrafił podciągać się albo zwisać jak chiroptera⁴⁴. To było straszne, kiedy zwisał tak włosami w dół, ale najgorsze, gdy chłopców do tego namawiał! Pewnego razu uczeplił tam Władka, który podciągnął się trzy razy.

– Ja, ja! – wrzeszczał Olbracht, prawie tak duży i silny jak Władko.

– Dawaj! – zakrzyknął zgrzany król i podczepił głową w dół małego Olbrachta.

– Cztery, pięć, sześć... – liczyli król, Kaźko, Jadwinia i połowa zebranego dworu. Ja nie mogłam na to patrzeć.

– No, starczy, starczy – upominał go łagodnie ojciec. – Starczy! – Ruszył do niego zaniepokojony i nie zdążył, bo Olbracht zemdlony osunął się na drewnianą podłogę. Król przypadł do niego i potrząsnął nim mocno.

– Dziewięć... – Ocknął się mój synek, a dwór zaczął wiwatować.

– At, lew prawdziwy – mruknął dumny król, odgarniając mu dużą dłonią długie włosy z twarzy. Chwyciłam się za brzuch i opadłam na wygodne krzesło.

– No, ja tutaj oszaleję!

Wszyscy usłyszeliśmy szybkie, głośne męskie kroki. Przerwano nam zabawę.

– Miłościwy panie, papież Krzyżaka na biskupstwo warmińskie już pcha Tungena!

– Już? – Król zarzucił dublet. – To go stamtąd wyrzucę. – Przeczesał włosy i wyszedł z komnaty.

1467

– Krzesło, krzesło! – sapałam udręczona i spocona między bólami.

Akuszerki podsunęły natychmiast drewniane krzesło porodowe i pomogły mi przenieść się z miękkiego łoża. Chwyciłam mocno liny zwisające nad krzesłem i pozwoliłam dużemu dziecku w niewyobrażalnym bólu, bez żadnych dekoktów, przedzierać się w dół przez moje chrome ciało.

W Kozienicach pierwszego stycznia 1467 roku tłuściutki i silny Zygmunt przyniósł nam pierwszy rok pokoju z Krzyżakami i nadzieję na lepsze.

Leżałam wciąż targana tępych bólem, a zapach krwi i surowego mięsa nie wywietrzał jeszcze z komnaty, kiedy zerwano zaciemnienie w małej sypialni.

– Trza im nauczyciela – mówiłam do króla, na chwilę przysłoniwszy oczy ręką. – Niewiasty za słabe już do Władysława, Kazimierz naśladuje Olbrachta, a Olbracht kłamie i dokazuje. Ty wiesz, że sam chodzi po tylnych przejściach?! – dodałam, kiedy przypomniałam sobie jego ostatnią przygodę.

– Sam?! – Siedzący przy mnie Kazimierz na chwilę oderwał wzrok uwielbienia od dzieciątka i wykrzyknął do mnie radośnie, jakby dumny był z Olbrachta.

Westchnęłam i znowu zasłoniłam oczy.

– Kogoś godnego, ukształconego, poważnego, kogo chłopcy uszanują, a komu my zaufamy. Kto obowiązek za najwyższe dobro uznaje, przysięgi dochowa, choćby mu w smak nawet nie była.

Spojrzał na mnie chytrze.

– Znasz kogo takiego.

– Znam – odpowiedziałam spokojnie i oddałam piastunkom Zygmunta.

– Długosz – zgadł Kazimierz. – Jesteś pewna? Zwolennik zwierzchności Kościoła nad królem... – zaczął.

– Ale w sporze z Krzyżakami stanął po twojej stronie, nawet wbrew papieżowi.

– Stanął przeciwko mnie w sporze o nadania biskupie!

– Ale prawdomówny i wierny! Srodze ukarany dom za to stracił, a przyjaciół i racji swoich mimo to nie odstąpił...

Kazimierz wstał, podszedł do okna i niewidzącym wzrokiem patrzył na miasto.

– Kariery nie szuka, pracowity, sprawiedliwość trzeba oddać... No, może choć do tego się przyda – odezwał się po chwili.

– Znasz lepszego? – zapytałam, bo wiedziałam, że wygrałam.

Musiał przyznać, że nie.

Wezwani najstarsi bracia wbiegli zobaczyć maleńkiego Zygmunta. Chłopcy ledwo zerknąwszy do srebrnej kołyski, podeszli do nas po błogosławieństwo.

– Tak jak obiecałam wam wcześniej, będziecie mieć nauczyciela – powiedziałam do królewiczów.

Władko wrzucił na to ramionami, Każko uśmiechnął się od ucha do ucha, a Olbracht rozryczał się na całe gardło.

*

Kolejne lato na Litwie było długie i ciepłe.

O rześkim świcie obudziły mnie piski, dziecięce śmiechy i radosny rechot Kazimierza dochodzące z płycizny jeziora. Podeszłam do okna i sama zaczęłam chichotać na widok moich najbliższych biegających po wodzie bez odzienia. Kazałam szybko pomóc mi wdziać wygodną suknię. Po chwili stałam nad brzegiem i machałam do moich pływaków. Zobaczyli mnie i zaczęli biec w moją stronę. Radość widziana wtedy na najukochańszych twarzach zapisała się w mej pamięci na zawsze.

*

Od pięciu lat Kazimierz odprawiał poselstwa papieskie, cesarskie i węgierskie, zgodnie z umową zawartą z królem Czech. Papież i cesarz Fryderyk prośbą, groźbą, szantażem i obietnicami nieustannie próbowali zmusić króla do ataku na Czechy. Sierpień wciąż smagał Kraków upałem, kiedy legat papieski Rudolf od trzech miesięcy bezskutecznie usiłował namówić Kazimierza do usunięcia z Pragi kacerskiego Jerzyka w zamian za objęcie czeskiego tronu przez Jagiellonów. Łatwo się rozdać nie swoje, myślałam gorzko.

– Dziś papież grozi, że nie zatwierdzi pokoju pruskiego, póki nie ruszę na Jerzego! Jak śmie! – Król rzucał gromy, nie pozwalając upiąć sobie płaszcza.

Pokrzykiwał jeszcze, kiedy zbliżał się do wielkiej sali, w której kolejny raz miał zamiar wyhamować papieża i cesarza Fryderyka, chętnych do kolejnej wojny pieniędzmi i rękami Korony.

Poprawiałam szeroki rękaw popielatej sukni lamowanej srebrnym lisem, kiedy Kazimierz z naszego podwyższenia dał znać, że jesteśmy gotowi przyjąć posła.

Rudolf, legat o twarzy dziecka, stojąc przed nami, z coraz większym niezadowoleniem słuchał odpowiedzi króla.

– Wielce jesteśmy radzi z darowanego tronu, ale nie przystoi nam dać odpowiedzi – cedził wolno Kazimierz – bez rady prałatów, książąt i panów, którzy by pomocni byli w rządzeniu w Czechach. Dlatego wstrzymać się musimy do walnego zjazdu, na którym damy odpowiedź zadowalającą wszystkich.

Cisza w sali była tak wielka, że słychać było tylko świszczący oddech legata tłumiącego złość. Król bardzo wolno skinął głową, dając znak, że audyencja skończona. Kiedy za Rudolfem zamknęły się ciężkie drzwi, Kazimierz zerwał się z krzesła i zrzucił futro.

– Pojedziecie natychmiast do Jerzego, niechaj albo ukorzy się przed papieżem, albo spodziewa się krucjaty! – Wskazał palcem między innymi Długosza. Ten, wychudły i blady, skłonił się z pokorą.

– Wy – wskazał dwóch biskupów i wojewodę inowrocławskiego – zostańcie.

Kiedy komnata opustoszała, Kazimierz przesunął dłonią po łysej głowie.

– Pojedziecie do Prus po pożyczki na dalszą zapłatę wojsku i zaciężnym – zwrócił się do trzech mężczyzn. – I Rudolfowi dajcie biskupstwo wrocławskie, Jodok długo w Nysie nie pociągnie.

Gdy wychodziliśmy, powiedział:

– Liczę, że poselstwa wrócą, nim wyjedziemy na Litwę.

– Umowa głogowska święta jest, ale czy Jerzy naprawdę taki słaby, skoro szarpie u siebie katolików i do tego napadł na Austrię? Czy sam w ten sposób nie łamie umowy? – zapytałam. – Czy czasem Korony nie wykorzystuje jako darmowego szanca przed cesarzem i papieżem? Ty zginasz się, narażasz, ale czy warto? A może on za naszymi plecami układa

się z nimi, może nawet z Korwinem? – mówiłam, gdy patrzyliśmy z Kurzej Nogi na miasto.

Kazimierz usiadł, oparł łokcie o kolana i schował głowę w dużych dłoniach.

– Dziesiątki poselstw wysyłasz i odsyłasz, czy naprawdę... – Odwróciłam się w jego stronę.

– Dość na dziś o tym! – syknął ze złością.

Staął obok mnie, objął mnie w tali i każde z osobna pogrzyżyło się we własnych myślach, patrząc na falujący od gorąca Kraków.

*

Kancelaria królewska wypłacała już kolejną część zasłużonego żołdu z wojny pruskiej, a Jerzy dzięki naszym posłom zawarł rozejm z katolikami w Pradze i obiecał, że niczego nie zrobi bez decyzji króla polskiego.

Traktat pedagogiczny, De re militari, De studiis liberalibus, pisma Cyncerona, Seneki, *De liberis educandis...* Czytałam cicho tytuły, poruszając ustami. Przesunęłam wolno dłonią po ozdobnych okładzinach ksiąg, pochyliłam się nad stołem i z przyjemnością wciągnęłam w nozdrza zapach kurzu, skóry i ledwo wyczuwalnych ziół. Otworzyłam najstarszą *O pogardzie dla świata i nędzy ludzkiego istnienia*.

Bezszelestnie weszła Dorota. Odkąd została wychowawczynią królewien, rzadko mnie odwiedzała. Stała w cieniu i w ciszy przypatrywała się mojej postaci. Otworzyłam księgę na znanym mi z dawna ustępie.

– „Człowiek składa się z łajna, wydaje ludzkie gnidy i wszy. Kobieta płodzi w brudzie, karmi w strachu” – cytowałam głośno. – Nie godzę się. Po tym, jak pobazgrałam ten tekst, wnoszę, że nigdy się nie godziłam. – Uśmiechnęłam się do dawnej ochmistrzyni. – Człowiek nie jest marnym

robakiem, a jeśli dobrze wychowany, dobrze poznany, wiele dobrego uczynić może, być pomnożycielem piękna i dobra! – Stukałam palcem w księgę.

– Nic, co ludzkie, nie jest mi obce – podsumowała Dorota.

– Tak! – Ucieszyłam się, że rozumie me myśli.

– Dla chłopców? – Wskazała na księgi.

– Nie.

Spojrzała na mnie zaintrygowana.

– Dla wszystkich moich dzieci. Królowy dostaną kopie. Wszystkich.

Zdziwiona otworzyła usta.

– Ile jest niewiast na Wawelu? – zapytałam ją, zaplatając ramiona na piersiach.

– Pani, królowy, fraucymer i... – Zastanawiała się przez chwilę. – Praczka? – odpowiedziała niepewnie.

– Jak niewiasty radzą sobie w męskim świecie?

– Urodą i urodzeniem – odpowiedziała od razu i wzruszyła ramionami na znaną od zawsze prawdę.

– A co, jeśli urody zabraknie albo kiedy minie? Jeśli urzędu dać nie mogę ani biskupiego stolca? Co zrobić, by zawsze obronić się mogły, by żywot pędziły godnie, bezpiecznie, w szacunku i posłuchaniu? – pytałam, patrząc w jej coraz bardziej rozszerzone źrenice. – Oprócz stałego dochodu oczywiście.

– Dać męskie wykształcenie – zgadła z podziwem w oczach. – Przyniosłam węgryzka – dodała i uniosła dzbanek.

– Tyś nie podczytywała tych ksiąg? – zapytałam ze śmiechem.

– Nie śmiałam. – Zmrużyła oczy; ujęłam ją poufale pod ramię i podążyłyśmy w stronę małej sali.

*

Z zadowoleniem patrzyłam na cenne księgi, kiedy oczekiwaliśmy z Kazimierzem wezwanego Długosza.

– Co Alfons Aragoński mówił o królu nieznającym literatury? – zapytałam na wstępie uczonego i podałam mu piwo.

Widać było, że ostatnie poselstwo do Czech nadwyrężyło zdrowie kanonika. Był blady i wyraźnie zmęczony. Nie okazując zmieszania, podziękował i odpowiedział pewnie:

– Król nieznający literatury? To koronowany osioł.

Skinęłam głową z uznaniem.

– A jaki winien być król?

– Wszechstronnie wykształcony, wzorzec doskonałości ludzkiej – odpowiadał niewzruszony, nie upiwszy nawet łyka.

– Tak – burknął Kazimierz z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

– Czy uchybiłem czym? – zapytał Długosz spokojnie.

Kazimierz niecierpliwie zaprzeczył ruchem ręki.

– Chcemy, byście zostali magistrem najstarszych królewiczów – powiedziałam wreszcie.

Długosz nie poruszył się, tylko przymknął na chwilę powieki, co świadczyło o wielkim u niego wzburzeniu. Domyślałam się, że wolałby pojechać w najodleglejsze poselstwo niż podjąć się tej misji.

Wstałam i kroczyłam po komnacie, mówiąc dalej:

– Chcemy, by chłopcy uczyli się pięknego pisania i czytania, przemowy, łaciny, niemieckiego i oczywiście języka ojczystego, by obcować z poddanymi. Przyszli królowie mają poznać dawne i współczesne dzieje świata. Powinni znać teraźniejsze problemy Korony i sąsiadów, siedem sztuk wyzwolonych...

Kazimierz przerwał mi, puszcżając oko do gościa:

– Ale może bez medycyny?

– Nooo... tak! – Straciłam wątek, poprawiłam czepiec i stanęłam za krzesłem króla.

– Czy możecie podjąć decyzję przed naszym wyjazdem? – zapytał król skamieniałego Długosza.

Dyplomata skinął jedynie głową, wypił głośno całe piwo i odprawiony oddalił się wolno.

Na kilka dni przed wyjazdem na Litwę poważni mali bracia zbici w wyjątkowo zgodną drużynkę z uwagą słuchali słów kanonika.

– Wielki to zaszczyt dla mnie zostać magistrem królewskim. Z całych sił obowiązki swoje starał się będę wykonywać – mówił cicho i na koniec ukłonił się nisko.

– Czyście nie chorzy? – zapytał go król.

– Nie... – szepnął.

– Przyśle do was Welsa. – Kazimierz nie słuchał. – Przy nich musicie pozostać zdrowi, a i trzcinki nie żałujcie! – dodał, wskazując na chłopców, wesołością próbując ukryć wzruszenie.

*

W październiku królewicze, doskonale już czujący się w siodłach, jeszcze bez swego nowego preceptora zajętego kolejnym poselstwem jechali do Tyńca. Patrzyłam, jak za dworem, a przed wozami i Zydrunasem na dorodnych wałach jadą obok siebie trzy drobne figurki przyszłych królów.

– Ani się obejrżeli... – powiedziałam do Kazimierza łamiącym się głosem.

– To chyba dobrze. – Roześmiał się, gładząc po plecach uwieszonego na królewskiej szyi zawodzącego Aleksandra.

– Ja chcę z nimi! – płakał i ślinił twarz ojcu.

Dworzanie jedni z czułością, inni ze złośliwym uśmiechem patrzyli na krzyczącego małego królewicza. Kazimierz jednym ruchem zerwał z głowy błazna purpurową rogatą czapkę i o wiele za dużą założył na dziecięcą główkę Aleksandra. Czapa zsunęła się chłopcu na czarne i jeszcze mokre oczy. Zdziwiony i wciąż nadąsany dotknął niespodzianki.

– Jestem królem! – wykrzyknął niespodziewanie uradowany, wyrzucając w górę krótkie ręce.

Wesoły korowód z małym Aleksandrem na czele ruszył na cenę. Zauważyłam Jadwinę, która z dala od ojca z zazdrością patrzyła w ślad za królem i bratem.

– Chcesz poprowadzić tańce? – zapytałam córkę, szturchając ją tak, jak nauczyła mnie Dorota.

– Z panem ojcem? – zapytała rozpromieniona.

– W pierwszej parze – przytaknęłam.

Dziewczynka objęła mnie w pasie i przytulone ruszyliśmy za moją ochmistrzynią.

Jadwinia, smukła dziesięciolatka z rozpuszczonymi długimi włosami, tańczyła zaróżowiona z zaciśniętymi ustami. Śmiało patrzyła w twarz dumnego ojca.

Znużony królowaniem Aleksander zasnął w moich ramionach. Zdjęłam mu ciężką czapę i odgarnęłam jasne kosmyki ze spoconego czoła. Wyjęłam z dziecięcego dubleciku skrawek jakiegoś zapisku. Dałam znak łożnym i w moim towarzystwie zanieśli syna do chłopięcej komnaty. Puste, proste łoża braci stały ponure i milczące. Pierwszy raz będzie spał sam, pomyślałam.

– Gdyby coś się działo, przysyłaj od razu do mnie – zwróciłam się do podkomorzego chłopców.

Dworski skłonił się i oddalił razem z resztą służby. Wyjęłam z ukrytej kieszeni skrawek zabrany Aleksandrowi. Rachunek? Zdziwiłam się. Na drugiej stronie widniały jakieś znaczki. Szyfr?! Zasłoniłam usta i usiadłam przerażona. Obudziłam synka.

– Skąd to masz?! Kto ci to dał?

– Zabrałem z kancelarii. – Usiadł i broda zaczęła mu drżeć.

– Dlaczego?!

– Chciałem nauczyć się pisać. Olbracht powiedział, że nie mogę z nimi jechać, bo nie umiem czytać i pisać. – Ocierał ciche łzy.

Rzeczywiście teraz dopiero zauważyłam litery zlepione z dwóch, a nawet trzech. Uśmiechnęłam się.

– Dołączysz do braci, kiedy tylko to będzie możliwe. – Ucałowałam dziecko. – Olbracht wcale tak dobrze nie czyta. Jak się postarasz, to go prześcigniesz. I pisze okropnie.

Synek przytulił się do mnie mocno.

– Nie gniewacie się, matko? – zapytał, gdy odchodziłam.

– Nie. – Uśmiechnęłam się do niego.

– A pan ojciec? – Zacisnął dłoń na białej pościeli.

– O to, że piękne litery stawiasz? Na pewno nie – odparłam pogodnie i zmierzałam do wyjścia.

Aleksander, pełen dobrych myśli, zakopywał się w pościeli.

– Idź, zostanę sam, będę przecież niedługo królem.

Wciąż uśmiechnięta podążałam w stronę małej kaplicy. Spotkałam w niej Jadwinę.

– O co się modliłaś? – zapytałam czule, podciągając jej rękaw.

– Żebyś nas nie rodziła więcej.

1468

Kwiecień prażył przez ścianki kolebki, kiedy wracaliśmy z Litwy do Krakowa. Dziewiąte dziecię pływało i bulgotało w moim umęczonym łonie. Modliłam się, aby nie urodziło się przed Krakowem. Wreszcie kolebkę wstrzymano. Wawel. Leżałam w rozedrganym, pulsującym bólem ciele. Nie mogłam się ruszyć, słyszałam, jak płacze Zofia, docierały do mnie nerwowe pytania króla i spokojne odpowiedzi Doroty. Czułam, jak rusza się materia kolebki, jak niosą mnie do sypialni. Nareszcie! Ułożono mnie na chłodnej atlasowej pościeli, zaciągnięto zasłony. W głowie waliły mi wszystkie dzwony świata.

– Daj mi żabkę⁴⁵... – wyszeptałam do dwórki. Ta natychmiast podała mi małą pigułkę i wraz z inną panną powoli rozpoczęły masowanie mojego udręczonego brzemiennością i podróżą ciała.

– Chryste, ulituj się nade mną, dziecięciem i domem moim! – syczałam i zaciskałam zęby.

Ból głowy nie mijał, kiedy wstrzymałam zaciemnienie. Przyjechał biskup Ołomuńca od Korwina z Budy, prosił o posłuchanie. Wiedziałam, że w Czechach i na Węgrzech wrze coraz bardziej. Korwin palił się do objęcia tronu w Pradze. A gdzie nie wrzało? Litwa, Moskwa, Turcja, Krzyżak. Wszyscy gotowi nam gardło poderznąć, myślałam gorzko.

Cieężko weszłam do Kurzej Nogi, gdzie w ścisłym gronie oczekiwano mego nadejścia.

– Zdrowaś Mario, łaskiś pełna... – powitał mnie zgięty w pół poseł, jasnowłosy i różowolicy biskup Protazy.

Nie mogłam w to uwierzyć! Dreptałam w stronę komnat królewien, kiedy naradę zakończono.

– Korwin! Ten chłop kruczek, wołoszyn, pies, niegodzien jej! – krzyczałam, kiedy cel poselstwa wyszedł na jaw. – Moja córka? Jadwinia za Macieja Korwina?! Myśli, że zdradę zmaże powinowactwem! Nie i jeszcze raz nie! Zabierz, Jadwigo, to ptaszysko! – wrzasnęłam, kiedy przed twarzą przeleciał mi szaro-żółty ptak żyjący w niewieściej komnatce. Sala wyglądała prawie tak samo jak za życia Sonki. Barwnie i jaskrawo, tylko łąbędzie na ścianach lekko ściemniały.

– Chcesz wyjść za mąż? – zapytałam wprost Jadwigę.

– Tak! – odparła rozpromieniona, odwracając wzrok od księgi.

– Nie! – Wyszłam i zatrzasnęłam drzwi.

Wieczorem muzycy uderzyli w głośniejsze tony, zrobiło się duszno, a kiedy zaczęły krążyć napitki, kazałam odesłać królewiewta do komnat.

– Jako żeście odmówili – mówił między kęsami biskup, kiedy odsiadywałam z nim ucztę – to chociaż synowi, którego urodzicie, nadajcie imię cesarza.

Wskazał palcem mój brzuch.

– Nadam i duchownym zostanie. – Zgodziłam się natychmiast, bo pewna byłam, że chłopca nie urodzę. Bestii nie śniłam...

– To może też ojcem chrzestnym ostanę? – dopraszał się tłustymi ustami.

– I najlepsze komnaty w zamku do tego czasu będą wasze. – Skłoniłam się łaskawie. – I wszystko, czego potrzebujecie – dodałam zmęczona.

Mimo to ciągle patrzył w moją stronę, przebierając drobnymi paluszkami. Jak Władko, kiedy czego chce, pomyślałam.

– A legat papieski tam spał? – zapytał nieśmiało.

– Nie...

Udobruchany kazał zagrać skoczną melodię i ku memu przerażeniu rzucił się w tany.

– Przygotować komnaty w Dunce dla biskupa. A dla mnie zaciemnienie – powiedziałam do ochmistrza. Nic mnie już nie zdziwi.

*

– Elżbietka – powiedziałam umęczona porodem, gdy usłyszałam płacz dzieciątka i zamknęłam spokojnie oczy.

– Nie, śliczny chłopiec, pani! – odparła rozradowana stara akuszerka.

Szeroko otworzyłam oczy i wbiłam nierozumiejące spojrzenie w sklepienie pełne zdziwionych świętych.

*

– Życie mu zawiązałam... – mówiłam zrozpaczona do króla.

Odłożył wrzeszczącego Fryderyka, usiadł i ukrył głowę w dłoniach.

– To mu życia nie zawiązuj – odparł niewyraźnie.

– Ty to mówisz? Przecież duchownym zostanie...

Spojrzał na mnie, był nieogolony i miał czerwone oczy. Dotknęłam czule jego szorstkiej twarzy.

– Nie sypiasz...

Chwycił mnie za rękę i przyłożył swoje czoło do mojego.

– Papież ogłosił krucjatę przeciw Jerzykowi. Korwin napadł na Czechy.

Wstał i zabrał ze skrzyni długi marszczeniec.

– Nie ma dnia bez poselstw z Czech, Węgier, od papieża i cesarza. Jedni proszą i grożą, by napadać, drudzy, by bronić. Krzyżak, opłacany przez papieża, znowu łeb podnosi. Trza nam też jechać na wschód, zmierzyć, kto wróg, kto przyjaciel. Najpierw Prusy. – Podrzucił tkaninę. – A Fryderyk kardynałem zostanie. Moim. I życia mu nie zawiążę.

Ucałował wnętrze mojej dłoni i spieszenie wyszedł.

⁴⁵ żabka – pigułka na różne bóle sporządzana z suszonych zwierząt, np. gadów i płazów

1469

Z nowym rokiem wracaliśmy z Prus do Krakowa. Skrzący śnieg pokrywał blizny po niedawnej zarazie, która opuścić nie chciała wymizerowanego kraju i co raz wybuchała w nowym miejscu. Nieme lasy pokryte grubą białą warstwą pochłaniały zgliszcza, chowały ślady domów, zagród, rodzin i ich historii. Pustka! Jedynie przytłaczającej pustki i złowrogiej ciszy nic nie zdołało przykryć.

Patrząc na nieustające deszcze i gnijące w stojącej wodzie niezebrane zboże modliłam się, by zgroza nie wróciła. Zamknęłam oczy. Przywołałam z pamięci zapach palonych ciał. Usłyszałam złowrogi klekot kadzideł, wielkich jak potężne wahadła. Przypomniałam sobie krzyczące dzieci, kiedy straszny dym powoli przenikał przez drzwi i zasłony, smak octu w owocach, mięsiwie i chlebie, lament na widok lekarzy w ptasich maskach...

Łomot kopyt na brukowanym szlaku uświadomił mi, że byliśmy już w Krakowie! Wychyliłam się z reywany; w oknie zamku na wprost mnie ukazały się cztery kochane główki moich synków. Ledwo wóz się zatrzymał, wyskoczyłam i chwyciłam ich w ramiona. Jakże odmienieni! Szczuplejsi, wyżsi! Władko miał wąsik! Całowałam i tuliłam ich chude kosteczki, a oni, oprócz Aleksandra, jakby z większym oporem poddawali się matczynym pieścizom.

Z powagą do nich niepodobną chłopcy poprowadzili mnie i Kazimierza do wielkiej sali. Władko odchrząknął i piękną łacińską mową powitał rodziców. Mówił płynnie, pięknie, zawieszał głos, podnosił, przystawał, cofał się, wznosił palec; to wysuwał stopę, to brał się pod bok. W końcu skłonił się pięknie.

Razem z Kazimierzem ściskaliśmy wzajemnie swoje dłonie, nie kryliśmy łez wzruszenia i dumy. Co raz nagradzaliśmy synka brawami i wiwatami. Tyle dał nam radości w ten czas wiecznego smutku!

*

Stałam między ścianami i przez wąską szparę obserwowałam moje dzieci. Mogłam być w środku, ale moja obecność pewnie by je peszyła. Chłopcy siedzieli przy dużym stole razem z grupą młodzi z najlepszych polskich domów. Długosz pochylał się nad Władkiem, który przymykając oczy, co chwilę zacinał się przy czytaniu łacińskiego tekstu. Skończył, a Długosz westchnął z troską tak, że sama poczułam się winna. Władek spuścił głowę.

– Teraz wy, panie – zwrócił się do Kaźka nauczyciel i przeszedł w skupieniu parę kroków po komnacie.

W przeciwieństwie do Władka mój młodszy syn pięknie akcentując, płynnie odczytał tekst.

– Doskonale, jak zwykle wyśmienicie! – zawołał mistrz. – Teraz wy. – Lekko pacnął Olbrachta trzcinką.

Ten, wydawać się mogło zajęty czymś zupełnie innym, bez nijakich trudności przeczytał tekst tak samo jak Kaźko.

– Może być – westchnął znowu magister.

Trzeba by mu jakiegoś specyfiku na te wzdychania, pomyślałam rozdrażniona.

– Co to?! Co to?! – zaczął krzyczeć Długosz. – Mażecie po księdze! – Mocno szarpnął ramię Olbrachta, kiedy zauważył, nad czym chłopiec się pochyla. Pierwszy raz widziałam, by się tak uniósł!

– Ostawcie go – powiedział Każko spokojnie, nie odrywając oczu od swego tekstu.

– Ostaw mnie! – dołączył do niego Olbracht. – To księga mej matki! Pozwoliła!

– Pozwoliłam? – szepnęłam zdziwiona.

– Ostawcie! – dołączyli się młodzi Szydłowieccy.

– Ostawcie! – zakrzyknął cienkim głosem królewicz Aleksander i z zaciśniętymi pięstkami stanął na stole.

Nastała złowroga cisza i naraz wszyscy młodzi zaczęli rechotać i poklepywać najmłodszego Jagiellona. Każko zdjął go z podwyższenia.

– To ci chwiat!

Na chmurnego Długosza nikt nie zwracał uwagi. Tylko Władko wystraszony nieposłuszeństwem nawet się nie poruszył na krześle.

Zakradłam się do sali lekcyjnej, kiedy chłopcy wyszli, i otworzyłam księgę na stronie, gdzie mój syn popełnił zbrodnię. Nie bazgrał, tylko wykreślił! Czytałam zdania, w których autor krytykował króla. Olbracht skreślił słowa, które źle mówiły o jego ojcu! Wzruszona zasłoniłam usta.

Odwróciłam się gwałtownie na skrzypienie drzwi. Uniosłam wysoko podbródek, bo chciałam, by to Długosz czuł się przyłapany, nie ja.

Zdziwiony moją obecnością, skłonił się jak zwykle bez słowa.

– Nigdy więcej nie tykajcie królewskich dzieci. – Odwróciłam się do stołu i zabrałam dowód winy Olbrachta ze sobą.

Wieczorem opowiedziałam całe zdarzenie Kazimierzowi. Siedział już w samej koszuli i uważnie mnie wysłuchał.

Kiedy skończyłam, dumny założył ręce za kark i uśmiechnął się do siebie.

– To ci lew! – Przymknął oczy zadowolony. – Wezmę go jutro z łukiem w las. Na cały dzień.

– Olbrachta?

– Nie. Aleksandra...

O świcie król wciągnął zaspanego, ale rozpromienionego Aleksandra na siodło przed siebie. Bracia z zazdrością patrzyli na malca. Król prawie wyjeżdżał, a z nim kilku zbrojnych, ale jeszcze wstrzymał konia i zawrócił.

– Wskakuj! – Wyciągnął dłoń do Olbrachta.

Ten ani się zastanawiał, odbił się w górę nie wiedząc od czego i zasiadł na końskim zadzie. Szczęśliwi pognali w las.

*

Serce mi pękało, kiedy niemal od razu musieliśmy jechać na wschód. Dane mi było jeno kilka dni z synami, to i tyle dni nie wypuszczałam ich z rąk. Kiedy królewski dwór ruszył z dziedzińca, głęboko wychyliłam się z kolebki, aby jak najdłużej widzieć moje dzieci, oni jednak w oszczędnym pozdrowieniu unieśli tylko prawice.

Kiedy tak wyrośli, nieprzychylni pieścizom, tajemniczy i poważni? Widziałam, jak garnęli się do króla i opiekunów bardziej niżli do mnie. Wiedziałam, że tak będzie, ale nie już, nie tak szybko... Patrzyłam smutna na coraz mniejsze postacie. Chyba Aleksander podbiegł kilka kroków, zanim zniknęli mi z oczu. Opadłam na poduchę.

– No i znowu ruszamy – powiedziałam do Doroty i otarłam łzy.

Przyjaciółka uśmiechnęła się, ułożyła wygodnie i zamknęła oczy.

*

Dwie potęgi rosły w siłę na wschodzie – turecka i moskiewska. Do tego Turek z Tatarów uczynił swą straż przednią, coraz śmielej sobie poczynając. Targać zaczęli granice i brać jasyr. Czas był przypomnieć Mołdawii i Tatarom o lojalności wobec Korony.

Kiedy dzień po naszym przybyciu słuchałam we Lwowie hołdu chana Tatarów, Mengliereja, i posłów mołdawskich od Stefana, czułam, jak sobolowe futro wypala mi kolana. Pochyliłam się dyskretnie ku królowi.

– Oni od Stefana? – zapytałam, wskazując wzrokiem poselstwo mołdawskie.

Skinął nieznacznie głową.

– Co z tego, skoro nie on sam. Co to za hołd? Przyjdzie do mnie, tak mówią...

– A chan wierny będzie?

– Jak oni wszyscy.

*

– Elżbieto... – Cichy głos Kazimierza kazał mi otworzyć oczy.

Małeńki żółtozielony ptaszek przysiadł w świetle wozu, kiedyśmy wracali już do Krakowa. Król z konia pochylił się do stworzonka, wolno wyciągnął dłoń, a ono śmiało wskoczyło na jego pierścień. Jak on to robi? Uśmiechnęłam się.

Kazimierz wsadził głowę do pojazdu.

– Cesarz spotkał się z Korwinem.

Nie zdążyłam odpowiedzieć ani słowa na tę niepokojącą wieść, kiedy posłaniec na spienionym koniu zatrzymał się tuż przy królu.

– Miłościwy panie! Korwin wziął Śląsk, Morawy i Łużyce! Czescy katolicy wybrali Korwina na króla!

To koniec, myślałam skulona pod nakryciem z tafty. Straciliśmy Czechy. Ocierałam łzy. Wzdrygnęłam się, kiedy nocą siennik ugiął się pod ciężarem Kazimierza. To jego wieczne czekanie! Lawirowanie między jednym a drugim!

Przyłgnął do mnie z tyłu.

– Straciliśmy Czechy – wypowiedziałam na głos moje myśli.

– Nie straciliśmy – odpowiedział z brodą na moim ramieniu. – Czeski lud nie chce Korwina, wiedzą, że to gwałtownik i okrutnik. Ma kłopoty z Turkiem na Węgrzech i też nie ma pieniędzy. Poczekamy.

Odwrócił się, zwinął w swój zwyczajowy kokon i zanim zdążyłam nabrać powietrza, już chrapał.

*

W Krakowie w towarzystwie czeskich panów katolickich słuchaliśmy pięknej mowy rosłego i niezwykłej powagi mego drugiego syna, Kazimierza, kiedy pochylił się do królewskiego podwyższenia Jan Zając, kolejny poseł z Czech.

– Teraz to i ja żałuję, żeśmy nie wybrali jagiellońskiego domu – powiedział.

Król pokiwał głową i uśmiechnął się łaskawie. Jak zawsze obdarował poselstwo pełnymi wozami wspaniałości i odprawił do Pragi.

– Nawet marsa na twarzy nie miałeś, jakbyś zgodził się na rządy Korwina w kraju naszego syna – odparłam z żalem na późnej cenie.

– Chcesz zobaczyć Witebsk, Smoleńsk i Połock? Szesnaście lat tam nie byłem – odpowiedział, jakby mnie nie słuchał.

Uniosłam suknię i ruszyłam w kierunku swoich komnat.

– Wielka, niekończąca się podróż – mamrotałam do ochmistrzyni, wspinając się po schodach. – Tutaj dwa dni, tam nawet cztery. Przejazdy,

wjazdy, powitania, ceremonie, mowy, stanie, siedzenie, jedzenie, rodzenie, odprawianie, przyjmowanie, obradowanie, odmawianie, zatwierdzanie, jedzenie i sen. Potem znowu jedzenie, siedzenie, stanie, mowy, ceremonie, wyjazd, przejazd, rodzenie i sen. Prawie od piętnastu lat więcej czasu spędzam w wozie i kolebce, niż stąpając po ziemi.

Przystanęłam na chwilę przed swoimi komnatami, zdziwiona własnym odkryciem.

1470

Kiedy wreszcie wróciliśmy z dalekich rubieży Korony, przybył do Nowego Miasta Korczyna legat papieski Aleksander, człek, jak mówiono, skromny i mądry.

– Musicie, panie, zrozumieć, że papież was kocha, ale to Korwin bardziej mu się przysłużył w tłumieniu czeskiego kacerstwa. – Wysłannik rozkładał dłonie, siedząc swobodnie naprzeciw Kazimierza w ciasnej i ślepej komnatce. – Ale papież pobłogosławi któremuś synowi twemu – upił spory łyk wina – i radzi mu wziąć ślub z córką Jerzyka.

Wstałam gwałtownie.

– Z kacerskim obzartuchem?! – Zdruzgotana opuściłam salę.

Kto z kogo kpi?! Jeden do drugiego śle poselstwa z żądaniami, których żaden spełnić nie może! Od lat stoją w tym samym miejscu! Usiadłam przybita pod oknem sypialni.

– Kąpiel, Magdaleno, kąpiel!

Zacisnęłam palce na brzegu wanny. Byłam zła i potwornie zmęczona. W ciągu szesnastu lat urodziłam dziewięcioro dzieci. Dotknęłam łona, od roku było puste. I dobrze, pomyślałam z ulgą.

– Kolejny poseł... – zrzędziłam rano.

Dwie blade dwórki pomagały mi założyć ciężką, wysadzaną granatami purpurową suknię.

– Od cesarza przyjechał... – westchnęłam.

– Rafał Leszczyński – odpowiedziała z tajemniczym uśmiechem mała Agnieszka.

Dwórki zachichotały. Spojrzałam na nie zdziwiona.

Pewnie będzie namawiał na krucjatę przeciw Jerzemu. Polska wykrwawi się za Czechy, a Czech pocałuje się z Korwinem. Już dzieci swoje pożenili! Szłam wzburzona w stronę sali audiencyjnej, kiedym zatrzymała się w pół kroku. To jest Rafał Leszczyński? Ujrzałam mężczyznę rosłego, gibkiego, w szacie lśniącej od klejnotów, jasnowłosego... i ufryzowanego w długie przyżegane loki!

– Mateczko, to niewiasta? – zapytał zdziwiony Aleksander.

Olbracht, Władko i Kazimierz zaczęli chichotać. Jadwiga patrzyła jak urzeczona. Pchnęłam dzieci do ich orszaków.

– Korwin to człek szalony... – mówił Leszczyński po polsku, rozrywając w dłoniach skrawki pomarańczy.

Umknęło mi kilka jego słów, bowiem zdumiona patrzyłam na Władka, który zawsze posłuszny i nieśmiały, pod wpływem mocnego wina zaczął nabierać odwagi i nieprzystojnie zaczepiał damy. Na moje skinienie Olbracht i Kazimierz dyskretnie odeskortowali brata do wyjścia.

Przeniosłam ponownie wzrok i uwagę na Leszczyńskiego.

– ...głos podniósł na cesarza, pan mój ścigać go musiał do przystani, by o rozmowę prosić. Powtarzam, Korwin to człek niegodny rozmowy ani umów, *barbarus!* – mówił piękny mężczyzna.

– Tańce! – zakrzyknął król.

– Cesarz nie może sterować barbarusem! Nie zechce Korwina w Czechach! – Śmiałam się do męża, pełna nowych sił i nadziei.

– Poczekamy?

– Poczekamy!

Zrobiłam śmigły obrót. Tak dawno się nie śmialiśmy.

*

Kolejna podróż do Lwowa była uciążliwa, mokra i zimna. Chłód nie pozwalał mi myśleć, siedziałam w gorących futrach, by za chwilę chłodzić czoło na deszczu. Nigdy wcześniej nie było mi tak źle w drodze.

– Byleby dzieci się nie przeziębiły... – mamrotałam.

Na każdym postoju oglądałam ich języki i dotykałam ich twarzy.

– Na szczęście nie zachorowały... – szepnęłam, kiedy wreszcie wkroczyliśmy do suchych komnat.

Wszystko na cenie było niesmaczne, dziwiłam się, że chłopcy jedzą z takim apatytem, ja nie mogłam ugasić pragnienia, a zimny, stęzły tłuszcz na mięsie sklejał mi tylko usta.

– I nie przyjechał! – Kazimierz miotał się nocą po sypialni. – Siedzę we Lwowie! Ja! Ja czekam na hołd Stefana z Mołdawii! Znowu...

Napiłam się wody, skrzywiłam się – cuchnęła i była nie dość chłodna. Odkasłałam, jeszcze raz... Zrobiło mi się naraz strasznie zimno, zaczęłam drżeć. Nie mogłam przestać!

– Co ci? Elżbieto! – Usłyszałam jedynie jego głos, zmrużyłam oczy, postać króla rozmazała mi się przed twarzą.

Podróż? Jechałam przez chwilę... Elżbieto! Ktoś płakał? Dzieci? Chyba biegłam. Tak, wbiegłam do lodowatego jeziora. Nie chciałam! Tonęłam w mętnej zieleni. Tłukłam dłońmi! Dusłam się! Nagle pojawiła się bestia i wielkim nosem wyrzuciła mnie na brzeg! Złapałam oddech. Był cudowny.

– Elżbieto... – usłyszałam łagodny głos króla.

Otworzyłam oczy... Bardzo bolały mnie piersi. Leżałam w mokrym od potu łożu, miałam rozpuszczone, cuchnące włosy. Ujrzałam Kazimierza

klęczącego przy mnie, ścisnął mi dłoń.

– Gdzie jestem? – zapytałam przez suche gardło, nie rozpoznając sklepienia.

– W Radomiu, pan ojciec kazał zawrócić... – Jadwinia przyłgnęła do mnie, szlochając. Aleksander i Każko przyklękli po drugiej stronie. Władko z zaplecionymi dłońmi zaglądał wystraszony z niskiego stołka.

– Chorowałaś. Nie strasz mnie więcej. – Kazimierz hamował łzy.

Dotknęłam niegolonej od dawna twarzy męża.

– Chorowałam? Ja?

– Tak. – Uśmiechnął się, odetchnąwszy.

– Jak długo?

– Sześć dni. Gorączka mijała i wracała... – Wzruszona Dorota mnie ucałowała. Pod jej okiem zauważyłam siniak.

– Aa... – jęknęłam. Wraz z powrotem do żywych wróciły wszystkie stare bóle, ale wystraszył mnie ostry, nieznany. Uniosłam rękę w łupkach i całą pociętą od upuszczania krwi.

– Złamałam rękę? – zapytałam zaskoczona.

– Biłaś, pani, dłońmi... – powiedziała Dorota.

Spojrzałam znowu na jej twarz.

– Ja to zrobiłam?!

Pokiwała głową i zaśmiała się, wycierając łzy.

– Pani? – zapytał młody medyk Izaak. Pocierał dłonie, jakby ledwo hamował pragnienie zadawania dalszych pytań.

Spojrzałam na niego z wdzięcznością za uratowanie życia.

– Chciałbyś obejrzeć pewnie moje kuriozum? Chcesz obejrzeć królewskie plecy – odgadłam. Któż z uczonych by nie chciał!

– Nie, widziałem. – Machnął niedbale dłonią.

Spojrzałam na niego, dotknięta lekceważącym gestem.

– Chciałbym o coś zapytać. Jeśli wasza wysokość pozwoli. – Skłonił się, dalej trąc ręce, jakby je mył.

Rozejrzałam się po zebranych. Widziałam przyzwolenie i ciekawość.

– Pytaj.

Medyk zrobił kilka kroków w moją stronę.

– Chorowaliście w dzieciństwie?

– Nigdy nie chorowałam. – Wzruszyłam ramionami. – Kiedyś...

Zmarszczyłam brwi. Spojrzał na mnie z nadzieją. Kazimierz nie spuszczał go z oka.

– Dawno, bardzo dawno temu, w dzieciństwie, miałam gorączki. W nocy. Nie pamiętam. Helena opowiadała, jak bardzo bała się o mnie. Ale gorączki po dwóch niedzielach minęły.

– Gorączka? Tylko w nocy? – zapytał i przestał trzeć dłonie. Kazimierz wpatrywał się w Izaaka z otwartymi ustami, jakby ten nagle miał wskazać cudowny medykament, od którego moje plecy będą rano proste.

– To może być od gorączki? – zapytałam w końcu.

– Być może... Być może...

Kazimierz oraz doktorzy Izaak, Wels i Stanko nie odstępowali mnie przez kolejne trzy niedziele. Słaba jeszcze pojechałam z małżonkiem do Poznania wypełnić ślub złożony przez niego podczas mojej choroby.

– A teraz na Litwę. – Uśmiechnęłam się do męża, kiedy dosiadł się do mojego wozu. – Na polowanie – dodałam.

– Na polowanie? – Spojrzał na mnie z błyskiem w oku. Poklepałam go po dłoni.

– Na polowanie. Do Rudników.

1471

Wozy parowały od świeżej dziczyzny. Król, jakby młodszy o dziesięć lat, dwoił się i troił, osobiście rozdzielając mięso. Polował trzeci miesiąc. Kończył się ciepły marzec.

– Wracamy. – Otarł dłonie o grube spodnie. Wciągnął głęboko powietrze i rycząc, rozprostował ręce. Porwał w górę małego Zygmunta i Fryderyka i biegał z nimi, wydając głośne okrzyki. Chłopcy zaśmiewali się głośno, aż młodszy dostał czkawki.

– Ooo! Dziecię się odkorkowało! – Oddał piastunce braciszków i znowu stanął przede mną.

– Wracamy – powtórzył, świecąc doskonałymi zębami.

Wielkie namioty zaczęły wiotczeć jeden za drugim.

Ledwo zasiedliśmy w nagrzej komnacie wygodnego myśliwskiego dworku, tyle co przyniesiono napitki i ciasta, kiedy wsunął się do środka królewski kanclerz z pismem w ręku.

– Czytaj. Ciekawe, co tam. Pewnie papież obłożył mnie ekskomuniką. Nie pierwszyczna. Jerzy każe się za siebie bić? Może Korwin zabił cesarza? – błaznował król i zaczął pryskać na córki sokiem z granatów. Dziewczynki piszczały z uciechy. Stężał natychmiast, kiedy zobaczył pobielającą twarz kanclerza. – Co się stało?

– Miłościwy panie... – bełkotał mężczyzna.

– Mówże!

– Król Czech, Jerzy z Podiebradów. Nie żyje.

*

Mimo że powrót z Litwy nigdy nie minął tak szybko, czerwcowy czas w Krakowie nigdy nie płynął tak wolno. Wiedzieliśmy, że jeśli teraz do nas, nie na Węgry, zmierza poselstwo czeskie, to Praga nasza, że w Kutnej Horze na króla Czech wybrano Władysława Jagiellończyka. Gońcy zapewniali, że Czesi do nas jadą, ale co tam gońcy!

Krążyłam po wawelskiej wielkiej sali. Co chwilę podchodziłam do klepsydry, myśląc, że zawilgła. Nie! Sucha i złośliwa. Znowu odchodziłam. Słyszałam tylko swoje kroki w tę i z powrotem. Wszyscy zebrani wodzili za mną wzrokiem. Cisza, nikt się nie poruszał, nie mówił. Miałam ochotę zerwać źle umocowaną oponę, poruszaną niewielkim przeciągiem i miarowo bijącą o ramię. Zdało mi się, że denerwujący dźwięk wypełnia całą salę i urasta do rozmiaru bicia wielkiego dzwonu. Odtrąciłam podane piwo. Władysław siedział blady i poważny. Cały Kraków wstrzymał oddech.

Nagle usłyszałam podniecone szepty, potem wyraźne krzyki.

– Jadą! Czesi jadą!

Władysław zeskoczył z krzesła wystraszony. Król położył mu rękę na ramieniu. Uśmiechnął się do pierworodnego.

– Przygotujmy się.

Król z Władkiem wyszli, zrobiło się poruszenie, ludzie ściskali się i radowali. Odwróciłam się do Olbrachta, Kazia i Aleksandra, przywołałam Jadwigę i Zofię, długo staliśmy w objęciach. Podniosłam głowę. Obserwujący nas spod ściany samotny Długosz uśmiechnął się tajemniczo,

skłonił nam głęboko i dyskretnie wysunął z drżącej od radości wielkiej sali. Odszedł w sobie tylko znanym kierunku.

*

– Nic żem nie widział! – Olbracht kopnął stołek. Nie udało mu się dostać się na potajemną radę w malowanej komnacie.

– Władko zgadza się na objęcie tronu, nic nie zobaczysz, barbarusie – odpowiedział równie rozżalony Każko.

Minął tydzień, nim usłyszałam to, o czym marzyłam od chwili narodzenia Władysława. Stał na podwyższeniu w wielkiej sali pełnej duchownych, panów, arystokracji, rycerzy, szlachty i wszelakiego tłumu. Ciemny, rozrosły, piękny. Sztwywny z przejęcia. „Zgadzam się przyjąć...” A jeśli nigdy go nie zobaczę? „...królestwo Czech...” A jeśli go otrują? „...wszechmogącego Boga...” Patrzyłam, jak czerwcowe słońce przenikające przez wielkie okna purpurą, zielenią, żółcią i szafirem opromieniało chłopięcą postać.

*

Szłam właśnie w kierunku różanej altanki, kiedy panna z domu od Doroty zabiegła mi drogę, niemalże upadając przy niezgrabnym ukłonie.

– Miłościwa pani, pani Konięcpolska bardzo prosi o odwiedziny. U niej – powiedziała zdyszana i patrzyła błagalnie.

– U niej?! – powtórzyłam wstrząśnięta. Ja? Nagle? Musiało się co wydarzyć! Zebrałam suknie i kazałam prowadzić w stronę domu Konięcpolskich.

Wystraszona, rozstawiona na stromych schodach służba znaczyła drogę do sypialni Doroty. Weszłam niespokojna do środka i ujrzałam ją pobladłą

jak duch. Poruszała tylko ustami, jakby słowa uwięzły jej w gardle. Podeszła do mnie bardzo blisko.

– Elżbieto. – Pierwszy raz odezwała się do mnie po imieniu. – Piszą, że mój syn nie żyje – powiedziała wreszcie.

Kątem oka zobaczyłam rozłożony list, który dygotał pod oknem na wietrze.

– Ależ to nieprawda! Jedź, upewnij się! Na pewno żyje, to jeno plotka! Jedź! – Chwyciłam ją za ramiona i pchałam w stronę skrzyń. – Każę pakować! Jedź i zaraz napisz.

– Tak, tak! Plotka! – powtarzała, jakby czekała zapewnienia, że to rzeczywiście nieprawda.

Wyjechała jeszcze przed nieszporami⁴⁶, cały czas cicho powtarzając, że to plotka.

Wyczekiwałam listu, kiedy usłyszałam wozy na dziedzińcu. Cały fraucymer wybiegł na krużganki. Jadwiga omal nie wypadła na bruk.

Z powozu przez chwilę nikt nie wysiadał, dopiero po jakimś czasie wysunęła się z niego Dorota. W czerni. Uniosła głowę i spojrzała wprost na mnie. Patrzyłam, jak wolno stąpa w moim kierunku, unosząc obiema rękami mięsistą suknię. Podeszła i skłoniła się.

– Wybacz, pani, ale pozwolicie, że się oddalę. – I nie czekając na me pozwolenie, weszła do swojej komnatki wychowawczyni.

Zostawiłam panny i matrony, weszłam za Dorotą. Stała przed zwierciadłem. Znużona zdjęła czepiec, poprawiła dłońią i tak zawsze doskonale uczesanie.

– Byłam tam obca. Nie znam ludzi, do których pojechałam, z którymi kiedyś żyłam, bawiłam się, kochałam, z którymi żył mój syn. Wszyscy są obcy po latach niewidzenia. Bardziej obcy niż ci nieznani mijani co dzień

na bruku. Pochowałam dziecię i wróciłam do domu. – Uśmiechnęła się smutno i rzuciła na łożę brzydki czepek.

Podeszłam i objęłam ją serdecznie.

– Dobrze, że już jesteś. – Na tyle było mnie stać.

Byłam bezradna wobec jej cierpienia. Ja, królowa, nie mogłam zrobić nic, by jej ulżyć! Chciałabym mieć moc, która chorobę zamienia w zdrowie, starość w młodość, a cierpienie w radość. Zamiast tego trwałam z opuszczonymi bezsilnymi dłońmi i zrobić nie mogłam nic. Królowa!

Lato minęło. Stałam w moim szmaragdowym wykuszu, patrzyłam przed siebie. Pewna już byłam, że wiosną dziesiąte dziecię urodzę. Wszedł Kazimierz, stanął za mną. Odprowadził Władysława, młodziutkiego króla Czech, do granicy i wrócił z nowiną. Znałam już jej treść. Odwróciłam się do niego i spojrzeliśmy sobie w oczy. Nie mogłam złapać oddechu. Korwin wypowiedział wojnę naszemu dziecku.

*

Wszystko działo się tak szybko! Dopiero co Władysław został królem, a już węgierski senat chciał oddać swój kraj pod rządy kolejnego Jagiellona!

Jeszcze jesień nie nastąpiła, jeszcze Władysław niepewnie stąpał po swych nowych komnatach na Hradczanach, kiedy Wawel gościł kolejne poselstwo węgierskie, przybywające z nieoczekiwaną propozycją. Król jak nigdy wcześniej zapalił się do pomysłu senatu węgierskiego. Nasz Kazko na ich króla!

– Zdecydowałam! – Kazimierz kręcił gałką przy krześle. – Drugi nasz syn wyjedzie objąć tron na Węgrzech. Dam mu dwanaście tysięcy zbrojnych. *Sic volo sic iubeo*⁴⁷. – Spojrzał na mnie tak, jakbym zamierzała mu zabronić. Podeszłam do małżonka.

– Nie wydaje ci się to...

Rozradowany młodszy Kazimierz wpadł do mojej komnaty.

– Jadę! – Przypadł do naszych stóp.

Pewnie, że pozbyć się chcą okrutnika, a na jego miejsce wziąć trzynastoletniego chłopaczka, którym łatwo będzie sterować. Mając głowę nabitą szlachetnymi ideami i mrzonkami o bohaterstwie, na jedno ich słowo nawet życie poświęci dla nowego kraju. Życie królewskich dzieci cenne, ale gorzkie, myślałam podczas kolejnej uczyty z Węgrami, patrząc na rozpromienioną szczupłą twarz długorękiego kandydata na tron węgierski.

Skoczna melodia brutalnie wyrwała mnie z ponurych myśli. Nie czułam się dobrze, dyskretnie poprawiałam się na krześle.

Spojrzałam na córki siedzące naprzeciwko mnie, przy mniejszym stole. Czternastoletnia Jadwiga w złotym, bogatym noszeniu i z puszczoneymi dla kontrastu prostymi warkoczami śmiało patrzyła na gości. Pewna swej urody i wdzięku, uśmiechnęła się promiennie do węgierskiego wybrańca, gdy ten pochwycił jej dłoń, i świadomi wrażenia, jakie wywołują, ruszyli powoli na środek wysokiej komnaty. Brawa i okrzyki zachwytu rozeszły się po wielkiej sali. Siedmioletnia Zofia, siedząca obok siostry, skurczyła się bardziej i zacisnęła powieki. Pewnie modli się, by nie musiała tańczyć! Spojrzałam z troską na córkę. Białolica, szarooka, o włosach lśniących i gładkich jak czarna tafta, patrzyła zawsze tym samym wylęknionym wzrokiem. Mikołaj Róża, zachwycony urodą ulubienicy, nazywał ją zimową królową. Gdybyż się tak nie kuliła, kto wie, czy nie przyćmiłaby starszej?

Olbracht głuchy na zaklęcia siostry przyskoczył do niej, mocno pociągnął na środek komnaty i ustawił się przed starszym bratem, wywołując śmiech wśród dostojnych gości i domowników. Zofia, wiedzona doskonałym wychowaniem, skłoniła się pięknie, a nieśmiały

uśmiech zimowej królowej stopił wszystkie świece w komnacie. Szczupły Aleksander zgrabnie dołączył na końcu w towarzystwie ładnej panny od Węgrów. Unieśli głowy i wreszcie ruszyli. Równy, miękkim krokiem, bracia i siostry: wykształceni, doskonali, lśniący blaskiem potęgi, klejnotów, przyżeganych włosów i setek świec. Bosczy i nieśmiertelni młodzi Jagiellonowie!

– Jest gotów – powiedziałam z zadowoleniem, patrząc na tańczącego Kazimierza, który darował pierwszeństwo bratu.

– Jest. – Wzruszony król, przytrzymując podskakującego Zygmunta, uściskał mi dłoń.

Kończący posiłek węgierski poseł pochylił się w moją stronę.

– Miłościwa pani, widzę, że dzieci wraz z przeświecym małżonkiem lubicie mieć przy sobie. – Uśmiechnął się.

– Tak. – Dotknęłam jasnej główki Fryderyka, siedzącego na mych kolanach. – Lubimy mieć dzieci przy sobie, bo nigdy nie wiadomo, kiedy rozstać się przyjdzie – odpowiedziałam szczerze.

Zrobił zdziwioną minę, odsunął się na swoje miejsce, ale kpiący uśmiech nie zniknął z jego twarzy.

Przyszły król Węgier odjeżdżał żegnany przez dwór i cały Kraków. Zanim wsiadł na koń w srebrnej zbroi, zbliżył się, ukląkł przy Zofii i skinął na jednego z dworzan. Cały Wawel patrzył z ciekawością na poczynania królewicza. Sługa wyjął zza dubletu czarnego szczeniaczka o białym pyszczku i białych skarpetkach i podał Kazimierzowi. Zawstydzona Zofia wydeła dziecięcy brzusek i wystawiła koniuszek języka. Rozpromieniona i szczęśliwa odebrała maleństwo od brata. Piesek oblizał od razu jej królewską twarz. Brązowa, długonoga suka królewicza popiskiwała z zazdrości, a poruszony dwór bił brawa w podziwie dla pięknego gestu.

– Dostałem go z Królestwa Anglii. To twój nowy przyjaciel. Będzie cię bronił i troszczył się o ciebie zamiast mnie – powiedział cicho do siostry Kazimierz.

Zofia pokiwała główką i ucałowała czoło brata. Stojący obok Olbracht parsknął śmiechem.

– Możesz już jechać – powiedziała głośno Zofia i mój kolejny król odjechał...

⁴⁶ nieszpory – modlitwa odmawiana wieczorem (o zachodzie słońca)

⁴⁷ *Sic volo sic iubeo* (łac.) – Tak chcę, tak rozkazuję.

1472

Siedziałam na sekretnych wąskich schodkach między ścianami. Kark udręczony ciężką, wysoko upiętą fryzurą wsparłam o chłodną kamienną ścianę. Węgrzy to zdrajcy! Zacisnęłam powieki. Ból głowy nie ustępował, dotknęłam brzucha. Łono moje było od lat okrągłe jak piłeczka. Siedziałam chwilę i policzkiem dotykałam wypełnionej życiem wypukłości.

– Każko, synku, wracaj – szepnęłam.

Chłód powoli przenikał do pleców, nudności mijają i poczułam głód. Potarłam obolały kark i miałam zamiar wstać, jednak przez zasłonę wyraźnie usłyszałam otwieranie drzwi do sypialni i szelest sukien moich dam z fraucymeru. Pewnie wymieniają świerkowe gałązki, pomyślałam, kiedy usłyszałam wodę wypełniającą naczynia.

– Szkoda królewicza... – westchnęła jedna z panien, zgadywałam, że Agnieszka. Nadstawiłam ucha.

– Szkoda go było dla Węgrów. Taki mądry! – Księżna Anna, wdowa cieszyńska, podniosła głos. – Po łacinie i niemiecku mówi lepiej od Długosza. A po polsku ładniej od króla Czech, a na pewno lepiej od pana ojca – zachichotała siostrzenica królowej Zofii, naigrywając się z nie zawsze wyraźnej mowy króla.

Zacisnęłam usta. Kolana i plecy porządnie mnie bolały.

– Pojechał... – ciągnęła dalej smutno. – I co mu przyszło? Sromota i wstyd. Ci, co go prosili na króla, zdradzili go i z powrotem do Korwina przystali! Sami wybrali znowu okrutnika, który ich przed Turkiem nie obroni! A nasz królewicz chciał i sławnego dowódcę dostał, Dunina, i wojsko dostał, ale go sami Węgrzy zdradzili i uciekać musiał. Gdzie on teraz?! Pewnie niebożątka wstyd za Węgrów dźwiga!

Usłyszałam, jak przysiadła ciężko na skrzyni. Uniosłam się powoli, wzięłam głęboki oddech i weszłam do sypialni.

– Wróci w marcu. Czekamy wszyscy na królewicza – odparłam osłupiałym niewiastom, nie zaszczycając ich spojrzeniem.

*

Król siedział przy stole w Kurzej Nodze, twarzą zwrócony w moją stronę. Przed sobą rozpostarł mapę pełną tych jego dziwnych znaczków.

– Kazimierz jest pod Krakowem, nie chce teraz wjechać do miasta – powiedział na mój widok i potarł zmęczoną twarz. Przyłgnęłam do jego karku.

– Sprowadź nasze dziecko do domu.

*

Królewicz Kazimierz czekał w mojej komnacie zupełnie jak jego ojciec, z rękami założonymi do tyłu i lekko wysuniętą stopą. Wymuszona poza tylko podkreślała jego dziecięcą sylwetkę. Długie, proste włosy, dawno niefryzowane, sięgały mu do pasa, a odmrożona skóra opinała każdą kosteczkę na wychudłej, błyszczącej twarzy.

– Król wyjechał, by nie widzieć się ze mną – powiedział w moją stronę rozżalonym głosem. Widziałam, jak zaciska szczęki i jak pulsuje mu skroń. Ociężała dopadłam go, zamknęłam oczy i wdychałam znajomy zapach.

– Ależ synu! Na pewno nie chcesz być nazwany niesprawiedliwym! Wyjechał do Piotrkowa, bo musiał. Dobrze wiesz o tym... – Odsunęłam go od siebie na długość ramion i spojrzałam mu w twarz. – Ojciec zmysły tracił z lęku o ciebie! Zwłaszcza gdy dowiedział się o haniebnej zdradzie Węgrów i podstępie Korwina. To król siebie wini nieustannie i gryzie się za brak rozwagi! – mówiłam, trzymając w dłoniach jego gładką jeszcze twarz. – Olbracht i Aleksander w sukurs tobie jechać chcieli! Jakże baliśmy się wszyscy, że Korwin porwie cię albo zabije! – Znowu zamknęłam go w ramionach.

Kazimierz, porzuciwszy królewską pozę, zsunął się do moich nóg.

– Tak mi wstyd! Już rozważałem, jaki dobry dla poddanych będę, sprawiedliwy, łagodny, jak będę bronił ich i ich mienia przed wrogiem, przed Turkiem, niczym stryj Władysław!

– Żaden to wstyd dla ciebie! Każdy uchodziłby z miejsca, gdzie go zamordować chcą! – Objęłam nieszczęśliwego rycerzyka uwięzionego w ciele chudziutkiego dziecka. – Żaden to wstyd dla ciebie – powtórzyłam i posadziłam go obok siebie na starej skrzyni. Ale w smutku też umiar mieć trzeba. Uśmiechnęłam się do syna. – I mamy dla ciebie, jak myślimy z królem, miłą niespodziankę.

Kazałam wprowadzić gościa. Z przyjemnością patrzyłam na wysokiego, mego wieku ciemnego mężczyznę, który przemówił najdoskonalszą łaciną, jakiej nie słyszałam od lat, i z wielką atencją skłonił się mnie i memu synowi. Kazimierz otarł rękawem twarz i odkłonił się rozpromieniony równie pięknie.

– Filippo Buonaccorsi de Tebadis Experiens. – Strojny mężczyzna znowu pochylił się przed młodym królewiczem.

Mój syn stał z otwartymi ustami.

– Sekretarz króla i twój nauczyciel wymowy łacińskiej, zwany Kallimachem. Dawny sekretarz papieski. – Dodałam, równie oczarowana przybyszem.

Uczony italski odwrócił się w moją stronę i uśmiechnął czarownie, pewien wrażenia, jakie robi. Na papieżu jednak żeś go nie zrobił, skoro uchodzić przed nim musiałeś, oprzytomniałam, zapraszając obu do kart.

*

Czekaliśmy z królem na królewicza Kazimierza, który nie widział ojca od przyjazdu z Węgier.

– Władko w Czechach nie radzi sobie – powiedział mój mąż to, co wiedzieliśmy od dawna. Przeczesał włosy i wsparł dłonie o framugi okienka w Kurzej Nodze. – Pozwala sobą sterować każdemu. Czesi to wykorzystują, upijają go, wyciągają nadania i pieniądze. Nawet teraz... – zaczął i umilkł na widok wchodzącego Kaźka. Natychmiast wyciągnął do niego dłonie, kiedy chłopak przypadł do jego stóp.

– Zawiodłem, królu – wyszeptał syn.

Kazimierz uniósł dziecko nad podłogę i postawił przed sobą.

– Ja zawiodłem. Ja stary, ja cię naraziłem, ja posłałem najlepszego syna.
– Potrząsał jego drobnymi ramionami. – Dlatego nie zostaniesz królem Węgier – dodał po chwili ciszy.

Chłopiec skinął posłusznie głową, a na znak protestu tylko ciche łzy spłynęły mu po twarzy.

– Ponieważ zostaniesz królem Polski, moim następcą – dopowiedział król.

Królewicz z niedowierzaniem patrzył na ojca.

– Już dawno powinienem był to ogłosić. Tyś najmądrszy, najroztropniejszy i najbardziej prawy. Powinienem był słuchać magistrów,

którzy odradzali oddawać tak świetnego królewicza Węgrom. – Spojrzał na mnie, szukając potwierdzenia swych słów.

– Wychowawca był u mnie, przemawiał za tobą. – Uśmiechnęłam się do syna.

– Mistrz Długosz? – zapytał z niedowierzaniem.

Skinęłam głową i objęłam jego wciąż dziecięce ciało. Król dołączył do nas. Właśnie wzeszło słońce.

– To dla przyszłego króla – powiedziałam z uśmiechem. Wszyscy spojrzeliśmy przed siebie, mrużąc oczy.

– Kazimierz, Kazimierz! – Zofia wpadła w ramiona brata. – Zobacz, jak urósł! – Za nią wbiegł zakochany w niej czarnooki szczeniak, podgryzając jej pęciny. – Nie bałam się! Nie bałam się! Tak jak powiedziałeś!

– Jak mu dałaś na imię? – zapytał następca tronu.

– Solo. Jest śliczny i mądry, dziękuję. Wróciłeś? Nie będziesz królem Węgier? – Pytanie siedmiolatki zawisło pod sklepieniem. Nawet piesek ze skupieniem wpatrywał się w przybysza. Kazimierz usiadł przy stole.

– Nie.

Nikt z zebranych się nie poruszył.

– Chcę, by Kazimierz został moim następcą – pomógł mu król.

Aleksander zerwał się z siedzenia i uściskał brata, siostry podążyły jego śladem. Olbracht odczekał chwilę, podszedł, klepnął brata w ramię i wrócił na miejsce. Ja poprosiłam grajków o muzykę.

– Olbracht myślał, że to on... – zaczęłam nocą w ciemnej sypialni.

– Im większy Olbracht, tym większe kłopoty – odrzekł król w stronę sufitowych twarzy.

*

– Miłościwy panie, kazano mi przekazać, że królewicz Kazimierz krzyczy... – powiedział głośno podkomorzy. Zamilkł, jakby z kimś jeszcze ustalał zdarzenia.

Od razu zerwaliśmy się z łoża i zarzuciliśmy na plecy po szubie.

– Nie zawsze krzyczy... – Wystraszony Olbracht w samej koszuli, z olbrzymim sztyletem przytroczonym do za dużego pasa, bosy, dreptał niecierpliwie w miejscu.

Poprowadzili obaj do komnat chłopców. W gorącym zaduchu sypialni Kazimierz dyszał rozbudzony. Strach zlepił mu potem ciało i włosy. Król przysiadł na łożu, uniósł syna i odsunął mu z czoła mokre strąki.

– Trupy! Trupy krzyczą! – Królewicz mocno objął ojca za szyję.

Olbracht usiadł złęczony obok wystraszonego Aleksandra i podciągnął nogi pod brodę.

– Co mu się śni? – zapytał.

– Wojna – odparł król, tuląc syna.

*

Elżbietka od chwili narodzin na Wawelu żaliła się donośnym głosem, że nie może jeszcze biegać. Nadzwyczaj silna, wyginała w proteście niemowlęce plecki i trzęsła małymi piąstkami. Miała płomiennorude, mocno kręcone gęste włosy. Wszyscy wpatrywaliśmy się w to nieokiełznane życie, jakby w małym ciele tłukła się dusza zmarłej siostry, zła, że czekać musiała tak długo... Olbracht nadszedł ostatni i zanurkował w kolebce.

– Wygląda jak lisica! – wykrzyknął urzeczony nowo narodzoną. Chwycił ją na ręce i nosił do wieczora.

Miała cztery miesiące, kiedy pierwszy raz zabrał ją na przejażdżkę. Na dźwięk pogodnego głosu brata moja najmłodsza córka piszczała z radości

i nie widząc go jeszcze, wyciągała do niego rączki. Dziwne jakieś porozumienie nastąpiło między tą dziką parą, zwłaszcza kiedy Olbracht przyprowadził siostrze bestię. Psa wielkiego, burego, o sierści dzika, za to tak bardzo łagodnego, jak bardzo wydawał się straszny. Psisko przywarło do dziecka, a Elżbietka, ledwie ośmiomiesięczna, czepiała się długiej sierści i wstawiała.

– Roku nie skończy, jak ubije jakiego Turka! – śmiała się Jadwiga do Olbrachta na jego brewery z malutką siostrą. Nagle skrzywiła się, prostując plecy. – Musimy haftować wielką mapę? To nudne. Nie możemy jakich kwiatów albo ludzi?

– Przypominam tu zawsze wszystkim, jak królowna Jadwiga celuje w cnotę posłuszeństwa i cierpliwości tak, że dla każdego przykładem być może – powiedziała w stronę sklepienia Dorota Konięcpolska, na co wszystkie panny skupione nad monstrualnym haftem przygarbiły się jeszcze bardziej. Ja również pochylałam się głębiej nad skrawkiem Hospodarii Mołdawskiej, by Jadwiga nie dostrzegła mej radości.

1473

Uśmiech nie zniknął z mego lica nawet, gdy kończyłyśmy makatę i gdy gotową kazałam zanieść do komnat króla. Szłam do małżonka lekko, wolna wtedy od brzemienności.

Zdumiałam się na widok obu – króla i następcy. W ledwie dwa lata królewicz stał się podobny bardzo ojcu, tej samej figury, wzrostu i spojrzenia. Zwinnie przystąpił do mnie, ukląkł i pocałował rąbek mej sukni, a ja jego wysokie czoło.

– Skąd te radosne oczy? – roześmiał się siedzący w głębi król i wyciągnął do mnie ręce. Podałam mu swoje.

– Obejrzyj dar – powiedziałam i pozwoliłam wstać małżonkowi.

Za sprawą jednego silnego królewskiego ruchu potężnych rozmiarów jedwabna tkanina wniosła się i okryła wielki stół.

– Piękna – ocenił, wodząc dłońmi po jagiellońskich krainach. Jednak spojrzał na mnie, domyślając się czegoś więcej niż cennego daru.

– Czas wskazać nowy dom Jadwigi, bezpieczny dla niej, korzystny dla Jagiellonów – powiedziałam wreszcie.

Stał przez chwilę osłupiały, potem zrobił kilka kroków, jakby rozważał moje słowa, i wrócił do mnie.

– No tak, tak! Wy wskażcie, wasza wysokość. – Uśmiechnął się i wykonał gest w stronę mapy. – Zapewne go znacie.

– Północ nasza, wschód nasz, od południa nasz hołdownik, Mołdawia, Węgry będą nasze, Czechy są nasze. – Wskazywałam krainy na lśniącej mapie.

– Zatem? – Zebrał marszczeniec i usiadł z powrotem na podwyższeniu.

– Zachód. Bawaria – zgadł za ojca następcę tronu.

– Jerzy Bogaty z rodu Wittelsbachów – dopowiedziałam. – Jeno nic nie mów Jadwini jeszcze! – Złożyłam dłonie jak do modlitwy, widząc, że syn ma zamiar nas opuścić.

Każko skłonił się nam obojgu i z szelmowskim uśmiechem opuścił komnatę.

Stałam za kazimierzowym krzesłem, z rozkoszą przesunęłam dłońmi w dół po królewskiej piersi i twardym brzuchu i wyszeptałam mężowi do ucha:

– Do Augsburga wysłałam już Kurozwęckiego i Jasińskiego.

Chwycił mnie za rękę i delikatnym pocałunkiem w usta przypieczętował naszą zgodę na mariaż najstarszej córki.

– No tak... Jadwinia, nasza Jadwinia... – wyszeptał.

1474

W marcu żegnałam nieoficjalne poselstwo bawarskie, po którym zdecydowałam się poinformować Jadwigę o jej przyszłości. Szłam powoli wewnętrznymi schodami w stronę dawnego „pałacu” królowej Sonki. Z daleka już dochodził mnie gwar i radosne pokrzykiwania z Laskowca, gdzie głos Jadwini wybijał się ponad głosy braci i dwórek. Przystanęłam. A jeśli to jej ostatni beztroski śmiech? Potrząsnęłam głową. Nie. Jerzy jest w jej wieku i ponoć to piękny, miły młodzieniec. Oby doznała szczęścia, myślałam, wkraczając do świątyni radości. Młodzież zerwała się od kart. Jadwiga zgrabnie zakręciła się wokół stolika, porwała z ławy niewielki obrazek w złoczonej ramie i podbiegła z nim do mnie.

– Mateczko, widziałaś?! Druk! Kalendarz na 1474 rok! – Prawie wepchnęła mi go na piersi.

– Okropny! – zaśmiałam się. – Czarne i białe, jak niedokończony, pusty, i ten zapach! – Drażniłam się tylko z córką, bo sama podzielałam jej fascynację. Niebywała rzecz! Wpatrywałam się w kawałek burego papieru, gdzie liter nie trzeba z mozołem przepisywać, jeno prasa w jedną chwilę odbije całą stronę!

– Ileż wiedzy więcej, szybciej i taniej przekaże się ludowi! – zapalał się Aleksander.

– A ileż przy tym więcej głupot dostanie się w ręce twego ludu! – zaśmiał się Olbracht.

– Jakże to?

– Teraz ot tak, każdy obelgę, paszkwil odbije i w jeden dzień po Krakowie roześle, a ty będziesz je własnymi rękami wydierał sprzed oczu umiłowanych i zabraniał czytać. – Olbracht zbliżył się do mnie i z pogardą patrzył na kalendarz.

Cisza nastąpiła w komnacie. Czasami myśli Olbrachta nad podziw celniejsze były od słów mędrców. Wcale nie mniej umiał od Kazimierza, mimo że do nauki się nie przykładał, i to jego prawdziwym towarzyszem stał się Kallimach.

– Jadwigo, za mąż idziesz – zwróciłam się do córki, by przerwać minorowy nastrój.

Wieść uderzyła w nią jak cios, Jadwinia zbladła i opadła na malowana skrzynię. Bracia i siostra trwali na swych miejscach równie przejęci.

– Tak? Nie za Korwina? – zapytała cichutko.

– Nie – roześmiałam się i podbiegłam do niej, by wziąć ją w ramiona. – Za księcia Jerzego z Bawarii. Spodoba ci się, bo on tobą zachwycony. – Ucałowałam jej blade i zimne policzki.

– A któż by nie był! – Olbracht zgniótł siostrę w potężnych ramionach. Aleksander ucałował jej dłonie i uściskał ją serdecznie. Zofia pociągnęła ją za rękaw; dopiero wtedy Jadwinia oprzytomniała, wzięła na ręce siostrę, jakby za nią chciała się schować, i znowu tylko wyszeptała:

– Już?

– Już? Toż wam siedemnaście lat! – Konicpolska ocierała łzy.

Olbracht przywrócił wszystkim wesoły nastrój:

– Ja bym takiej starej nie brał!

1475

Radom tętnił nowinami nie tylko o powrocie króla ze Śląska, spotkaniu z Władysławem i podpisaniu przez ojca i syna wspólnego rozejmu z Korwinem na trzy lata, ale i o pertraktacjach swadziebnych z oficjalnymi posłami Ludwika Bawarskiego, przybywającymi z prośbą o rękę królowej Jadwigi dla jego syna Jerzego.

W końcu grudnia Jadwiga przy dźwięku trąb i bębnow uroczystie wkroczyła do sali pełnej polskich i niemieckich dostojników, godnie przystrojonej wieńcami z ostrokrzewu, szarfami ze złotogłowiu i jedwabnymi oponami. Kazimierz poruszył się nieznacznie i lekko wysunął stopę, kiedy z daleka ujrzał córkę. Szmer zachwytu rozniósł się po komnacie.

Jadwiga kroczyła wyprostowana, z uniesioną wysoko zaróżowioną twarzą o śmiałym, roziskrzonym spojrzeniu, ubrana w lśniącą od granatów purpurową suknię, z jasną fryzurą ułożoną w kształt korony i ciężką od złota. Pochyliła się nad pergaminem, a piękna zapona, dar od Jerzego, zamigotała w blasku niezliczonych świec rozstawionych w sali w srebrnych świecznikach i kandelabrach. Wzruszona, dotknęłam delikatnie mojej ozdoby, także daru od narzeczonego mej córeczki. Bracia, nawet Zygmunt i sześćioletni Fryderyk, stali na szeroko rozstawionych nogach wsparci na swych mieczach i z dumą patrzyli na siostrę. Jadwiga uniosła pióro

i złożyła zgrabny podpis na umowie małżeńskiej. Dźwięk braw i instrumentów mieszał się, kiedy król dał znak, że czas zacząć biesiadę.

*

– Och! – Tylko tyle zdołałam z siebie wydusić na widok jednej ze ślubnych sukien Jadwigi.

Patrzyłam na dzieło z zielonego adamaszku haftowane perłami, uszyte według nowej hiszpańskiej mody. Spódnica była bardzo szeroka, z kilkoma widocznymi obręczami, a gors bez wkładki zasłaniającej dekolt!

– Jak wyglądam? – Jadwiga zadała pytanie niepotrzebnie, bo pewna była swego sukcesu.

– Pięknie i... śmiało! – odpowiedziałam. Śmignęła przed oczami Doroty.

– Podoba ci się?

Spoglądałam na wychowawczynię z niepokojem. Jej drugi syn od dawna ciężko chorował. Dopiero co wróciła z Sieradza bez żadnej nadziei. Była potwornie zmęczona. Skrzywiła się, kiedy Jadwiga kolejny raz przez niezdarność otarła jej twarz skrawkiem złotogłowiu.

– Usiądź już, Jadwigo – poprosiłam.

– Te koła... – Sama do siebie mówiła zmartwiała królowa. – Ale nic to! – Zakręciła się w miejscu. – Widziałaś tę w zawilce?! Każę przynieść! – Ekscytowała się już od dwóch tygodni. Wybiegła lekko mimo ciężaru obręczy.

Wpadła po chwili z całym zastępem pokojowców objuczonych nowymi skrzącymi sukniami. Król przeznaczył na wyprawę Jadwigi sto tysięcy florenów⁴⁸! Samych okryć dostała sześćdziesiąt. Do tego srebra stołowe, bielizna stołowa i pościelowa, szatki białe, konie, powozy, raywany...

– Patrz, patrz, Dorotko! – Opadła całym ciężarem na kolana opiekunki, wytrącając jej z rąk igłę.

– Ależ usiądź wreszcie! – krzyknęła Konicpolska i zerwała się z siedziska.

Nastała cisza. Jadwiga stała przerażona z zasłoniętymi dłońmi ustami, panny zamarły na swoich miejscach, Zofia skuliła się na krześle, a ja poczułam się winną upadku ducha przyjaciółki.

Dorota, jakby krzyk przyniósł jej ulgę, spokojnie rozejrzała się po zebranych.

– Wybaczcie, panie, oddalę się. – Skłoniła się i wyszła, nie patrząc na Jadwigę.

Wieczorem młoda narzeczona wbiegła do mej sypialni i przypadła mi do stóp.

– Matko, pozwólcie mi winę moją naprawić i przeprosić Dorotkę! Ja nawet do chorego pojadę pomóc, byle jeno ona na mnie gniewna nie była i wybaczyła mi! – łkała w rąbek sukni.

– Idź, Jadwiniu, o wybaczenie prosź, a nie naprzykrzaj się! – Mogłam już jeno wołać za nią, bo wyfrunęła z komnaty i słyszałam tylko stukot jej patynek na schodach.

Westchnęłam z ulgą, bo obawiałam się, że winy swej nie znajdzie.

Schodziłam na komplekę, kiedy na wewnętrznych schodkach usłyszałam rozmowę dwóch mężów.

– Pono uderzyła królownę! – gorączkował się gruby głos.

– Tak, ma za swoje. Wyrzuciła ją Halźbieta z Wawelu. Oj, nie będzie zadzierać kształtnej główki i służby za sobą wodzić – dopowiedział złośliwie cienki.

– Ale co nabrała, to nabrała! – Żal przebijał przez słowa pierwszego.

Ruszyłam, nie kryjąc swego nadejścia, ale zanim dotarłam do zakrętu, nikogo na schodach nie było. Ludzie, pomyślałam z pogardą.

Jako że żałoba często z weselem w parze idzie, Dorota Konicpolska pochowała drugiego syna tuż przed ślubem Jadwigi.

Po porannej mszy królowna przybiegła rozpromieniona.

– Dorotka razem ze mną pojedzie do Landshut – wyszeptała w moją szyję. Trwoga przeszła mnie na bezduszość Jadwigi.

– Naprzykrzałaś się?! Wiesz, że ona w żałobie!

– Nie. Ja sama powiedziałam, że jechać chcę. Nie mogę tu być teraz. Nie chcę – powiedziała Dorota, objęła królownę i uśmiechnęła się do mnie smutno.

W Poznaniu, kiedy rozstać się przyszło z córką, było bardzo zimno. Drżałam mimo ciepłego sobolowego futra. Mocniej złapałam jego poły, a w usta chwyciłam srebrne zapięcie. Ostatni rycerze na turnieju potykali się zapamiętale, a ja trzęsłam się coraz bardziej. Zaraz wyjdzie Jadwinia, chyba w błękitnej szubie ze srebrnym lamowaniem. Nie! Srebrnej szubie z barwionym na niebiesko lisem! Nie wiem! Poplątałam wszystko! Trąby huknęły, a serce moje razem z nimi.

Zaciskałam dłonie na złożonych poręczach krzesła. Och, ma na sobie purpurę. Tak! Urodzona królowa Polski, moja urodzona królowa Polski. Tak, dobrze, teraz tutaj, dwa kroki, przystanąć. Jak zawsze doskonale!

Odwróciła się w naszą stronę.

– Płakała... – powiedziałam zmartwiała do Kazimierza.

*

W grudniu, miesiąc po ślubie Jadwigi, chciwie wczytywałam się w list od niej. „Oprócz małżonka mego wyjechał po mnie Maksymilian, syn cesarza, a cesarz prowadził ze mną wszystkie tańce. Gości było bez liku,

powiadali, że nawet dziewięć tysięcy. (...) Jechałam tam w nadziei, że Władka obaczę, ale wcale nie przyjechał. I nie wierz nikomu, że często płacę...”.

Przypomniałam sobie, jak zegnaliśmy się z córką. Zanim Jadwiga weszła do wozu, król przystąpił do niej, na co rozplakali się oboje i chyba wszyscy wokół. Kazimierz przekazał jej ostatni swój dar – małą złotą klatkę z kolorowym ptaszkiem. Zapłakana Jadwiga skinęła głową, przycisnęła prezent do piersi i wsiadła do powozu.

Z bólem złożyłam pachnący lukrecją pergamin. Płacze! Boże, co źle zrobiłam?! Jak pojechać, jak pomóc? Wytrwać musi, przecież sama wiem najlepiej, że smutek na początku nie oznacza nieszczęścia w małżeństwie... Dotknęłam rosnącego brzucha i spojrzałam na spuchnięte stopy. Władysław, westchnęłam. Nie pojechał na ślub siostry, bo złą wróżbę na podróż dostał. Nie pojechał, mimo że ojciec pieniądze na podróż mu wysłał! Podniosłam się ostrożnie, żeby nie wywołać nudności.

– Czas na szczęście Zofijki – powiedziałam w stronę podobizny królowej Sonki.

⁴⁸ Obecnie wartość wesela Jadwigi i Jerzego wycenia się na ok. 15–16 milionów euro (stan na rok 2013). Co cztery lata w Landshut odbywa się historyczna rekonstrukcja tej uroczystości.

1476

Za oknem nieszawskiego zamku hulał mroźny marcowy wiatr, kiedy szczęśliwa i obolała tuliłam Annę, moją piątą córeczkę, a jedenaste dziecko. Śliczna, białolica, o długich czarnych rzęsach, patrzyła na mnie z powagą.

Wcześniej usłyszałam chichot Doroty i czteroletniej Elżbietki, zanim poła drogocennego baldachimu poruszyła się i czerwone sprężyste loki wśliznęły się pod zasłonę, a za nimi reszta białego ciała wesołego naguska. Zanosząca się śmiechem Elżbietka położyła się obok nowo narodzonej siostrzyczki.

– Drugie królewskie maleństwo! – zawołałam, szczęśliwa z odwiedzin rodzinnego słoneczka.

– Rozbierała się już od środka kruzganków. Ledwo ją złapałam! – zaśmiała się stara przyjaciółka i odsłoniła ciężkie zasłony łoża.

W kącie za fraucymerem stała Zofia i skubała wiecznie skrwawione paznokcie, niepewna, czy gniewać się będę na brewerie Elżbiety. Wyciągnęłam do niej rękę. Podbiegła nieśmiało, zagryzając wargi.

– Modliłam się, pani matko, o szczęśliwe rozwiązanie – wyszeptęła.

Ucałowałam jej czoło.

– Wiem, Zofijko.

1477

Kazimierz stał tyłem do mnie i kręcił gałką rzeźbionego oparcia krzesła. Musiał odmówić pomocy własnemu synowi w walce z Maciejem Korwinem.

– Nie mogę dalej pomagać ani Władysławowi, ani cesarzowi! Sam jestem uwikłany w wojny we własnym kraju z Krzyżakami, Tatarami i Turkami. Skarbiec pusty! Żołnierz bić się nie chce, a Korona zewsząd razy dostaje!

Zaczął chodzić po komnacie, wiedząc, że zaraz musi wyjść do zebranych w piotrkowskiej sali obrad.

– Syn nasz wreszcie coś musi zrobić sam! – wykrzyczał mi w twarz.

Spuściłam głowę. Miał rację.

– Korwin! Wieczny Maciej Korwin! – syczał przez zaciśnięte zęby.

Znowu powrócił do ściany, przetarł twarz, spojrzął w sufit i westchnął głęboko.

– Cesarzowi wyślę cztery tysiące zbrojnych, a Władkowi trzy tysiące florenów. A ty pomódl się, aby panowie na to przystali! – Skierował we mnie palec.

Kiedy wychodził, zauważyłam, jak przygarbił się przez ostatni rok. Miał pięćdziesiąt lat, a ja czterdzieści... Wciąż przygnębiona odkryciem upływającego czasu, szłam do komnaty Zofii, Elżbietki i najmłodszej Anny.

Elżbietka płakała, prostowała i zaciskała małe dłonie, wyciągając je przed siebie. Dorota wyjęła dziewczynkę z kolebki, a ta od razu przyłgnęła jak żabka do grzbietu wielkiego, szarego Magnusa, krzycząc: „Jedź! Jedź!”, na co psisko posłusznie ruszyło przed siebie.

Anna zaraz zwawo podreptała w stronę siostry. Ciekawe, czy Ludwik, synek Jadwini, drepcze już tak samo, pomyślałam z uśmiechem.

*

Kazimierz wszedł do sali szmaragdowej z twarzą tak gniewną, że cały fraucymer w jednej chwili opuścił komnatę. Patrzyłam z niepokojem na męża.

– Korwin ma nowego sojusznika – wysapał. – Krzyżak oddał mu się pod opiekę – powiedział i usiadł okrakiem na krześle.

– Mistrz Truchsess?!

– Odmówił złożenia nam hołdu. Złożył Korwinowi! – parsknął. – Ale to nic! – Wstał i podszedł do mnie. – Papież nałożył klątwę na nas i na Władysława, jakbyśmy którego z tych tchórzy chcieli kiedy ruszyć!

Podniosłam się z podwyższenia.

– Co zrobisz?

– Wysłałem już do Rzymu Gosłupskiego, który ma przekazać, że nie pozwalam rządzić się papieżowi w Koronie, a zwłaszcza nadawać żadnych godności w moim królestwie! – Pochylił się nade mną. – I żadnemu polskiemu księdzu nie pozwolę nawet zbliżyć się do Rzymu!

– I dobrze – powiedziałam wzburzona.

Nocą w łóżu widziałam w świetle okna, że król ma oczy otwarte. Położyłam rękę na jego piersi.

– Phi, klątwa... A co to, twoja pierwsza?

Chwycił moją dłoń i ucałował jej wnętrze.

1478

– Władysław otrzymał insygnia od cesarza, pokonał pod Kutną Horą wojska Macieja?! – Zdumiony król niemalże spadł z podwyższenia.

– Nareszcie... – Złożyłam ręce, a i po prawdzie w duchu wznosiłam do Panny Najświętszej hymn dziękczynny, bo niepochlebne słowa o Władku krążyły od dawna: że leniwy, uległy, bez własnego zdania i woli, lubujący się tylko w biesiadach.

– Wiedziałem, że okrzepnie, to złe o nim tylko czarci język Korwina wyrzucał! – radował się król. – *Vivat* król Władysław!

Wiwaty, okrzyki i pląsy na cześć młodego króla Czech dopiero o świcie miały się ku końcowi. Ponad poplamionym obrusem patrzyłam na białą głowę Mikołaja Róży. Z trudem wkładał jedzenie do ust, a każdy ruch sprawiał mu wyraźny ból. Kiedyż się tak postarzał? Wtedy co i ja, zaśmiałam się gorzko w myślach. Poczułam się winna, że do tej pory zwalniałam go tylko z towarzyszenia mi w podróżach. Z dawna powinnam pozwolić mu osiąść i odpoczywać we własnych włościach.

Nie kładłam się, by odpocząć, i na porannej mszy pochyliłam się w stronę króla.

– Mamy jakąś wakującą kasztelanię?

– Dla kogo?

– Dla przyjaciela.

– Dla przyjaciela zawsze się znajdzie.

*

– Słucham, najjaśniejsza pani. – Róża się skłonił i z bolesnym westchnieniem przysiadł obok mnie w altanie.

– Wiele wspólnych lat i trosk pozwoliło nam na przyjaźń, czyż nie?

– O tak... – Roześmiał się.

– Dolega wam co?

– Starość. – Uśmiechnął się znowu, ale zaraz grymas bólu wykrzywił mu twarz.

– Dlatego też do domu swego wróćcie, nieniepokojeni już ze dworu, kasztelanie małogoski i zawichojski.

– Jam jeno kasztelan małogoski.

– Jak powiedziałam: kasztelanie małogoski i zawichojski.

– Wdzięczny jestem, królowo. – Oparł głowę o ścianę i zamknął oczy. – A Małgorzaty nigdy nie lubiłem – dodał po chwili.

– Ach, tak dawno to było... – Nie musiałam przed nim udawać, że nie pamiętam dziewczyny.

– Ona teraz pani pełną gębą. Ładna była jak diablica. – Poprawił płaszcz. – I niedobra.

– Obcowanie z wami zaszczyt to był dla mnie... – zaczęłam po chwili.

Nieoczekiwanie uścisnął mi dłoń, ale rękę zaraz cofnął i ukrył pod cennym futrem.

– Pozwolicie, że kiedy was odwiedzę? – zapytałam, by ukryć wzruszenie.

– A jakże! – Wyprostował się i uśmiechnął do mnie, choć wiedział tak jak ja, że to pożegnanie.

Po komplecie stałam pod małym daszkiem, obserwując zachodzące czerwone słońce. Skarb nie miał pieniędzy. Stare i nowe wojny, Władysław i wyprawa Kaźka na Węgry wydrenowały Koronę. Dziś tysiąc, jutro dziesięć... Zastawiłam już trzy suknie na potrzeby dworu, czas zastawić kolejną, pomyślałam.

Jakby mało było trosk Koronie tego roku, Tungen, nowy biskup Warmii mianowany przez kapitułę, a nie króla, i mistrz krzyżacki, wsparci przez Korwina, jawnie złamali traktat pokojowy z 1466 roku i rozpoczęli nową wojnę.

– Pani, królowna Zofia widzieć cię pragnie. – Dorota zjawiała się jak spod ziemi.

– Nie ożenicie mnie jeszcze? – Cichy głos, a za nim drobna figurka trzynastoletniej Zofii wsunęła się w ciasny kąt obok mnie. Od zachodzącego słońca klejnoty na jej sukni zagrały płomieniem.

– Nie chcesz wyjść za Fryderyka Hohenzollerna? Toż to twój narzeczony! Piękne listy śle! – próbowałam rozchmurzyć jej twarz. Stała ze spuszczoną głową.

– Wszyscy mi o tym przypominają, patrzą i dziwnie się uśmiechają.

Wiedziałam, jak wiele kosztowały ją obce spojrzenia, tańce i rozmowy z ludźmi, których nie znała.

– Nie wyjdiesz tak szybko za mąż, możesz być spokojna – zapewniłam ją. Nawet gdybym chciała, nie miałam ani florena, by kupić choć setną część wyprawy ślubnej. Pocałowałam ją w czoło. – A teraz czas udać się na spoczynek – dodałam, ocierając dyskretnie nos. – Kto cię odprowadzi?

– Solo – odparła, jakby to było oczywiste, i wskazała na próg. Rzeczywiście, czarno-biały piesek nie spuszczał oczu ze swojej pani.

Padło w Sandomierzu, kiedy rodziłam Barbarę. Prężyła się i złościła, gdy akuszerki próbowały ją umyć. Królowna Zofia wzięła w ramiona siostrzyczkę i rozwrzeszczaną czym prędzej oddała mamce. Potem z uśmiechem przyklękła u wezglowia mego łóża. Zobaczyłam jej welon, zanim zapadłam w przywracający siły sen.

1479

Moja zimowa królowa przy dźwiękach *tubatorum* weszła ostania w ostatni wieczór przed opuszczeniem Polski do piotrkowskiej wysokiej sali. Bracia zaniemówili na widok piętnastoletniej siostry, tej, która zawsze stanowiła tylko tło rodzinnych spotkań, tej, która jechała połączyć się z nieznanym mężczyzną i w ten jeden jedyny wieczór migotała blaskiem zimowej gwiazdy. Biała suknia i gładkie czarne włosy obsypane tysiącem maleńkich kryształków czyniły z niej anioła, który na chwilę zstąpił na ziemię i walczył o swą moc. Trzymała głowę wysoko, ale brzydko zagryzała wargi. Szła zbyt szybko, zatrzymała się i zachwiała niezgrabnie, na co przerażona Dorota poderwała się z krzesła, ale to Każko przyskoczył do siostry i z uśmiechem podał jej dłoń. Zerknęła na niego z wdzięcznością. Brat pewnym krokiem odprowadził Zofię do podwyższenia, pomógł usiąść. Wytrzymała natarczywy wzrok zgromadzonych, skłoniła się i uniosła złoty róg. Sala zagrzmiała pozdrowieniem. Odetchnąłam z ulgą i uśmiechnęłam się do syna. Kazimierz odwzajemnił gest i ruchem takim samym jak ojciec poprawił czarne włosy opadające na plecy w kształt kruczych skrzydeł. Spokojny i poważny, ożywiał się tylko na dysputach o polityce albo teologii. Mówił chętnie, póki głupiutkie panny nie zaczynały chichotać, no, może oprócz Gruszeckiej. Wtedy peszył się i wychodził.

Olbracht nie peszył się nigdy. Wokół szerokoplecego brata zawsze gromadziła się spora grupa roześmianej młodzieży, ale kiedy wchodził drobniejszy Kazimierz, to znowu za nim panny wodziły wzrokiem, a Olbracht milkł. Nie milczał jeno wtedy, gdy czego pragnął. Nie wahał się, podjudzany przez panów litewskich, domagać się od ojca przekazania rządów nad Księstwem, do tego bitkę lubił, a słyszałam, że i wdzięków niewieścich od dawna kosztuje...

Późno w noc stałam pod sklepieniem, wsparta o drewnianą purpurową kolumnę, i spoglądałam w dół na biesiadujących.

– Bałaś się? – zapytała nieoczekiwanie Zofia.

Odwrociłam się i chwyciłam ją za rękę.

– Nieustannie się boję.

Spojrzała zdziwiona.

– Wy, matko?! Królowa?!

– Boję się nieustannie o was, o króla...

– Ale jak byłaś taka jak ja...

Zaczęłam rozcierać jej wiecznie lodowate dłonie.

– Raz bałam się bardzo o siebie i o brata.

– Kiedy?

Chwilę milczałam, bo skryłam to głęboko. Nikomu o tym nigdy nie mówiłam... Nabrałam powietrza.

– Kiedy miałam tyle lat co ty, obcy ludzie wpadli do komnaty, przebrali mnie w łachmany i powiedli do jakiegoś kościoła. – Przełknęłam ślinę. – Wtedy wyglądałam już tak jak teraz... Postawili mnie na środku, na podwyższeniu, i pokazywali każdemu, kto chciał mnie oglądać.

– Dlaczego?! – wykrztusiła zgorszona.

Uniosłam twarz w stronę niewidocznego nieba i parsknęłam śmiechem.

– Powiedzieli, że tak strasznie wyglądam z winy mego opiekuna, bo jeść mi nie dawał... A tak naprawdę chcieli mu mnie odebrać, bo kto miał cesarską wnuczkę, ten był ważny. – Uśmiechnęłam się do córki.

– Mówili o tym, jak wyglądasz? Stałaś tam, a oni mówili?! Śmiali się? Płakałaś? – Patrzyła na mnie; jej twarz była zmieniona przerażeniem.

– Płakałam, ale otarłam łzy i wołałam o pomoc.

– Dostałaś ją?

– Tak, dostałam drugiego opiekuna... – Dreszcz przeszedł mi po wykrzywionym grzbiecie na myśl o von Cilli.

– I ten był dla was dobry. – Chciała zapewnienia o szczęśliwym zakończeniu.

– Tak...

– Jestem niemądra – podsumowała i wsparła czoło o drugą kolumnę. – Mam was wszystkich i Dorotkę, i Sola, i męża, który nie może się doczekać mego przyjazdu.

– Posłuchaj... – Uścisnęłam jej rękę. Patrzyła na mnie uważnie. – Jestem pewna, że kiedy tego zapragniesz, znajdziesz w sobie taką moc, którą znajdują tylko niewiasty.

– A jeśli nigdy nie znajdę?

– Znajdziesz. Tyś Jagiellonka. – Odciągnęłam ją w nieoświetlony kąt. – Poproś, a staną za tobą duchy wielkich królowych krwi walecznej i najczystszej. Z rodu Piastów i Habsburgów, i Jagiellonów. Wszystkie te, które płakały z radości i przerażenia, z rozpacz, bólu i niesprawiedliwości. Te, które doznały upokorzenia i rozkoszy władzy. Te, które umarły z miłości i w połogu. Te, które kochały szczęśliwie. Poproś... – szeptałam jej do ucha.

Spojrzała na mnie tym szczególnym spojrzeniem swej babki, wyciągnęła do mnie długie ręce i z czułością objęła zgarbione matczyne

plecy.

– Mateczko, mateczko! – Elżbieta miała już siedem lat, lśniąca chmurę kręconych czerwonych włosów i śliczną przerwę między przednimi zębami. Roześmiana biegła w naszą stronę, nie zapominając o uniesieniu sukni. Zofia chwyciła siostrę i dźwignęła w górę, a ta objęła ją za szyję.

– Mateczko? Tak do jej królewskiej mości mówią tylko starsi królewicze... – Zofia upomniała łagodnie siostrę i pocałowały się głośno w usta.

Magnus powąchał Sola i opadł ciężko obok niego.

– Olbracht to mój brat – oznajmiła nam swe odkrycie Elżbietka.

– Mój też – odpowiedziała ze śmiechem starsza siostra.

– Nie, to mój brat. – Młodsza zmarszczyła brwi, podkreślając swą wyłącznieść.

– Zapewne jest tak, jak mówisz. – Zofia postawiła siostrę na ziemi i kazała odprowadzić małą.

– Będziesz doskonałą matką – szepnęłam w stronę Zofii.

Rankiem narzeczona wyjechała do swego małżonka, nowego domu i kraju. Nastął wieczór i ta chwila, kiedy wszelka strata dociera do duszy ze szczególną siłą. Modliłam się właśnie z fraucymerem, kiedy usłyszałam niepokojące wycie i warczenie. Drzwi uchylały się i zamykały. Najwyraźniej dworski zmagił się z nieposłusznym psem.

– Miłościwa pani, znaleźli go zamkniętego w przyziemiu. Toż to pies królewny – mówił zdziwiony, szarpiąc się z Solem na cienkim sznurku.

– Zostawcie, dziękuję wam. – Patrzyłam na nieszczęśliwe zwierzę.

Służący wymknął się z sali, a pies skoczył na drzwi raz i drugi, wyżej i wyżej. Wył i warczał.

– Chryste! – krzyknęły wszystkie panny i matrony, kiedy Solo odbił się od okna i boleśnie upadł na podłogę. W końcu zapiszczał cichutko i położył się, nie spuszczając wejścia z bystrych czarnych oczek.

– Przywyknie – wyskrzypiała stara księżna Agnieszka i z wyraźną trudnością pochyliła się, żeby pogłaskać psa.

Kto go zamknął? Nie mogłam uwierzyć, że Zofia kazała...

Nagle Solo zaskomlał i natychmiast usiadł, trzęsąc się z podniecenia. Drzwi się otworzyły.

– Kto cię tu zamknął? Tu jesteś! Tu jesteś! Myślałeś, że wyjadę bez ciebie? – Moja córka śmiała się i płakała. Pies szalejący z radości oblizywał jej nietykalną twarz.

– Zofia! – krzyknęłam, jakbym zobaczyła marę.

W podróznym stroju, zniszczonym fryzowaniu i z twarzą brudną od łez stała z psem na rękach.

– Nigdzie go nie było! Kazałam zawrócić! – płakała.

– Kazałaś zawrócić?! Po ceremoniale?! Ty?! Usłuchali cię?

– No przecież nie mogłam inaczej! – odpowiedziała, jakby robiła coś takiego codziennie.

– I usłuchali cię? – powtórzyłam.

– Poprosiłam królowe... – Zwróciła ku mnie rozpromienioną twarz. Wybiegła, a za nią, szczekając swe szczęście, pies.

Ruszyliśmy wszystkie w ślad za królową na krużganki. Na dziedzińcu już robiło się zbiegowisko. Rodziły się pierwsze plotki. Kto? Zofia?! Odesłali ją?

Tymczasem królowa wsiadła zgrabnie na konia, a ukochany przyjaciel wskoczył za nią jak zawsze na koński zad. Rzuciła głośno rozkaz i z eskortą roślących mężczyzn pognała być księżną.

– Lwie serce – szepnęłam.

Dbaj o nią, posłałam prośbę w stronę czarno-białej plamy.

*

Od lat świat oczekiwał trwałego pokoju w wojnie polsko-czesko-węgierskiej. Kazimierz zawarł ugodę z Korwinem, na mocy której Tungenowi zostało biskupstwo warmińskie, a mistrz krzyżacki musiał złożyć hołd polskiemu królowi. Wreszcie doszło też do spotkania Władysława i Macieja. Wawel wyczekiwał niecierpliwie każdej wieści z rozmów.

– Błazen! – parsknął Kazimierz i zaczął swój marsz po komnacie. – Przywiązał sobie kapelusz, żeby nie kłaniać się przed Korwinem! – Co on tam jeszcze robi? – dopytywał.

– Gra w szachy – oznajmił Długosz.

– Co?!

– Gra w szachy z królową Beatrycze, żoną Macieja – odpowiedział spokojnie kanonik.

– W szachy... – burknął król.

– Z Beatrycze? Też bym zagrał – drażnił króla Olbracht, niemal pokładając się na krześle.

Kolejne dni nie przynosiły nic nowego, król nie polował, nie odwiedzał ptaszarni, prawie nie jadał, czekał. Zostawiłam go z Kazimierzem, a sama błądziłam po niewieścich komnatach.

– Jestem w lesie, jestem w lesie! – śmiała się Elżbietka, machając rękami w nagrzanym lipcem szmaragdowym wykuszu. Miała na sobie błękitną sukienkę w delikatne przebiśniegi. Wzór był za duży, bo suknię przerobiono z Jadwini, a ta miała ją po babce... Nagle przypomniałam

sobie ten wieczór, kiedy Erika oblała suknię sokiem. To było tak dawno, tak dawno temu!

Podalam grzechotkę Barbarce, piwnookiej córeczce. Przeczesalam dłonią jej puchate jasne loczki. Bylam matką dwanaściorga dzieci. Spojrzałam w rozświetlone okno. Bestii nie śniłam od lat. Kiedyś niemalże rzeczywista, prawie mogłam jej dotknąć, dziś była tylko wspomnieniem, zakurzonym widziadłem...

– A Każko i Olbracht się pobili! – przypomniała sobie Elżbieta i zaczęła biegać wokół mego krzesła.

– A cóż, obłapiać się mieli? – zaśmiał się Aleksander.

– Pobili się o Gruszecką...

– Miłościwa pani, listy z Ołomuńca! – Mój nowy ochmistrz Jan Sepieński zajrzał do komnaty.

Spieszyłam w stronę komnat króla, przyciskając ręce do serca, by nie wyleciało mi ze strachu. Król z kamienną twarzą poinformował zebranych:

– Pokój wieczysty zawarty.

– To i dobrze... chyba... – zaczął ktoś, widząc ciśnięty na podłogę list.

– Podzielili się Czechami. Władysław stracił Śląsk, Morawy i Łużyce. Oddał. Nie zrobił nic. Stracił. Grał w szachy – powtarzał Kazimierz, kiedy opuszczał towarzystwo.

Nocą siedział przygarbiony w koszuli na łożu i wciąż powtarzał: „Nie zrobił nic, nie zrobił nic”. Usiadłam i przesunęłam dłonią po jego plecach. Wyciągnął silne ramię i przytulił mnie do siebie.

W październiku mistrz krzyżacki, Marcin Truchsess, pozbawiony wsparcia Korwina w Nowym Mieście Korczynie złożył hołd królowi polskiemu. Kazimierz siedział wysoko i patrzył gdzieś w dal, ponad klęczącym rycerzem.

*

Iwan III Srogi czuł się następcą władzy bizantyjskiej i nie krył swych imperialnych pragnień. Nawet przyjął po cesarstwie herb – dwugłowego orła czarnego – i obwołał się carem. Zajął dwie wielkie Rzeczypospolite ruskie: Psków i Nowogród. Zagroził wszystkim sąsiadom, także i domowi naszemu.

– Nie ma co radzić, tylko ruszać na Iwana! – Olbracht wymachiwał rękami nad siedzącym królem. – Iwan pragnie władzy, ziemi, Rusi i Litwy! – Spojrzał na mnie, czekając wparcia.

– Za co? Z kim? – włączył się królewicz Kazimierz. – Korona nie ma pieniędzy! – Podszedł do stołu zasłanego dokumentami i wyjął jeden z rachunków. – Nasz roczny dochód to tylko trzydzieści tysięcy dukatów, tyle co roczna zapłata tysiącu zaciężnym. A wiesz, że jeśli pieniędzy za robotę nie dostaną, to sobie sami wezmą! W naturze! Pospolite ruszenie? Nieruchawe i niewyćwiczone! Starostwa i tenuty⁴⁹ zadłużone jeszcze z czasów wojny z Krzyżakami i wojen z Korwinem! A szlachta nawet ceł nie chce płacić, bo szlachetnie urodzona. Sto razy w roku o podatek trzeba się z nimi szarpać na sejmach! Tu reform trzeba, a nie wojen! – Kazimierz podbiegł do brata, który odwrócił się od niego lekceważąco, szarpnął go w swoją stronę i stanął tuż przy nim. Przyparty do skrzyni Olbracht zachwiał się i opadł na jej wieko. Pierwszy raz spojrzeli na starszego Kazimierza ze strachem. Ten, spokojny już, ojcowym zwyczajem odwrócił się w stronę miasta.

*

– Wojny, wojny za Nowogród! Iwan podburza Rusinów, szarpie granice! – krzyczeli jeszcze tego samego dnia posłowie litewscy w stronę siedzącego na podwyższeniu króla.

Kazimierz zerwał się z krzesła i wolno mijał mężczyzn, przypatrując się każdej twarzy. Zatrzymał się wreszcie i odwrócił od wszystkich zebranych w Kurzej Nodze.

– Wojny chcecie z Iwanem Srogim? To wiedźcie, że on mocny, bogaty...

– Bo okradł nowogrodzian – zaczął ktoś.

Kazimierz odczekał chwilę.

– On mocny i bogaty – kończył myśl. – Zanim ruszycie, postarajcie się o dobre wojsko, bo jak przyjdzie do walki, wierzcie, Rusini wybiorą Moskwę.

– Z nami chan Achmat pójdzie na Moskwę i wy, panie. Litwa płonie!

Na te słowa król odwrócił się w stronę błagających.

– Wiem.

*

– Jedziemy do Wilna – powiedział rano – przyjrzeć się wschodniej granicy. – Przerwał, pozwalając założyć sobie koszulę. – Przyjrzeć się Achmatowi, Iwanowi Srogiemu, Turkom i Tatarom, i wielkim panom na Litwie. Jedziemy na długo. – Wyprzedził moje pytanie.

– A więc nowa wojna – zacisnęłam palce.

– Wojna.

*

– Wojna – powtórzył to samo do bojarów i posłów Achmata zebranych w wileńskiej wielkiej sali.

Radość i podniecenie kazały Litwinom natychmiast zacząć upijać się i jeść, jakby jutro umrzeć mieli. Kazimierz siedział ponury, bo przed chwilą tłumaczyć się musiał z darowania urzędu wojewody kijowskiego

zaufanemu Iwanowi Chodkiewiczowi, a nie potomkowi Olgierdowemu, Michałowi Olelkowiczowi. Hałaśliwa muzyka i dzikie wrzaski rozsadzały mi głowę. Po chwili dopiero zauważyłam, że nad królem pochyła się jego kanclerz i szepcze mu jakąś wiadomość. Widziałam, jak Kazimierz napiął wszystkie mięśnie.

– Cisza! – wrzasnął czujny krajczy.

Mężczyźni umilkli w jednej chwili. Król wstał i próbując opanować wzburzenie, wykrzyczał:

– Turek napadł na południowe granice!

Trwoga zagościła na wszystkich twarzach, kto z dostojników jeszcze stał na własnych nogach, uciekał do swych włości. Nim słońce wstało, wszyscy goście zniknęli z zamku.

– I po wojnie... – burknął Kazimierz obolały, ostrożnie schodząc z podwyższenia po śliskich drogocennych futrach.

1481

Drugi rok już bawiliśmy na Litwie. Srogie deszcze wreszcie dały odpocząć ziemi i wyjrzało pierwsze wiosenne słońce. Rześkie powietrze docierało do komnaty przez otwarte okna.

– Gruby jest królewicz Olbracht! – śmiała się Elżbietka, siedząc przy stole na wileńskim dworze.

– A panienka też nie trzcinka! – odciął się brat.

Rzeczywiście, Elżbieta jakby nabrała ciała, twarz jej zrobiła się okrągła, nawet nie zauważyłam kiedy. Obrażona zsunęła się z krzesła i przysiadła przy Barbarze. Olbracht pociągnął loki siostry.

– Na zające?

– Na zające! – Elżbieta zerwała się i zapomniawszy o zniewadze, pobiegła za bratem.

Na drugi dzień buzia jej była jeszcze pełniejsza, na trzeci zupełnie szczupła.

– Lisico, na zające? – zapytał znów Olbracht, równie jak wszyscy zaniepokojeni niemocą Elżbietki. Siedziała przy otwartym oknie z brodą na oparciu krzesła.

– Nie chcę – odparła smutno.

Stary Magnus wstał powoli, bury łeb położył na jej drobnych kolankach.

Tknięta straszliwą myślą podbiegłam do córki i zaczęłam szarpać jej rękawy.

– Swędzi cię co? Ugryzł cię jakiś zwierz?! Jeż?! – Niemal krzyczałam.

Spojrzała na mnie i wyszeptała przestraszona:

– Nie...

– Boli cię coś? – zapytał zaniepokojony król, wziął ją na ręce i usiadł na jego krześle.

– Nie... – odpowiedziała ze łzami w oczach i oparła głowę o pierś ojca.

– Każcie otworzyć okna – poprosiła po chwili.

Miała nie tylko spuchniętą twarz, ale i nogi, a potem już całe ciało. W maju przestała wstawać. Medyk nie musiał oglądać pod światło płynu z nocnika.

– Brązowy, ciemny, mało... – burczał, poruszając butlą.

Stara służąca upuściła świecę.

– Wybaczcie – szepnęła.

– Co to znaczy? – zapytałam go ze strachem.

– Musimy czekać i modlić się. – Nie spojrzał na mnie i cicho wyszedł z ciasnej komnaty.

Płakała, nie mogła spać, nie mogła oddychać, jeść, wymiotowała. Nie siusiała. Ścisnęła swoją dziecięcą głowę, nie rozumiejąc bólu.

W duszną czerwcową noc Olbracht posadził siostrę z delikatnością, jakiej u niego nigdy nie widziałam. Przed chwilą dusiła się, wykasła znowu wodę! Jęczała. Brat spojrzał przerażony na medyka. Ten ze smutkiem pokręcił głową.

– Co wy? Co wy? – Olbracht chwycił kruchego męża za poły cennego płaszcza i pchnął go ze straszliwą siłą na ścianę.

– Olbrachcie! – krzyknęłam rozpaczliwie.

Dzieci i panny płakały przerażone.

Ten stał przez chwilę, otarł nos i wybiegł w ciemność.

*

– Śpi – mówiłam cicho do Doroty na widok Olbrachta zwiniętego na wąskiej ławie. – Król poszedł go szukać nocą, przyszli razem znad rzeki. – Uśmiechnęłam się blado. – Wróćmy do niej – powiedziałam i zawróciłam do ciemnej komnatki.

– Pani, list – odezwał się konny.

Toż nie środa, zdziwiłam się i wyciągnęłam rękę. Speszony młodzian skłonił się do podłogi.

– To do pani Konięcpolskiej.

– Do mnie? Cóż to? – Rozłożyła list i cała krew odpłynęła jej z twarzy. – Jakub... Wypadek... Wóz – mamrotała. W końcu uniosła na mnie udręczone spojrzenie. – Mój syn zginął. – Odwróciła się zeszywniała i cicho weszła do swej komnaty. Patrzyłam za nią struchlała ze grozy. Straciła ostatnie swe dziecię, straciła wszystkie. Umarł jej trzeci syn i nawet go nie pochowała.

Na drugi dzień zaniepokojona służba próbowała wywabić Dorotę z pomieszczenia. Stanęłam na wprost jej drzwi i oparłam czoło o chłodne drewno. Zawahałam się przez chwilę i ostrożnie weszłam do środka.

Wstrzymałam oddech na widok tego, co zastałam. Drogę do łoża znaczyły fragmenty garderoby porzucone przez zrozpaczoną niewiastę. Dorota siedziała na podłodze w samej koszuli, z długimi białymi włosami

luźno zasłaniającymi jej twarz. Wyglądała, jakby spała. Nie poruszyła się, kiedy weszłam.

– Nie wiedziałam, że masz tak długie włosy – powiedziałam głupio.

A co ja właściwie o niej wiedziałam? Zawsze opanowana, wzorowego zachowania, uśmiechnięta, doskonała!

Usiadłam za nią i wbiłam swój garb w jej prosty grzbiet. Nie wiem jak długo tak siedzieliśmy.

– Masz proste i silne plecy – powiedziałam i wróciłam do córki, wściekła na naszą bezradność i udrękę.

Zmiażdżona męką, uklękłam tuż przy jej cierpieniu. Czemuż wydrzeć go nie mogłam z dusz ukochanych mi istot?!

Wszyscy czuwaliśmy przy chorej. Właśnie ocierałam jej obrzmiałą buzię, kiedy nienagannie ubrana, z włosami i bólem ujarzmionymi pod czepkiem, weszła do komnaty Dorota. Nie podniosła oczu na nikogo. Zbliżyła się do łoża i pomogła mi usadzić córeczkę. Kiedy skończyłyśmy, uklękłyśmy po przeciwnych stronach łóżka i zaczęłyśmy odmawiać modlitwę za nasze dzieci. Nie patrzyła na mnie i nie ocierała kapiących łez. Wyciągnęłam do niej rękę, a ona mocno ją uchwyciła ponad Elżbietką.

Król posłał po innych medyków do Krakowa. Któregoś straszliwego dnia spuchnięta, przerażona główka przemówiła do mnie, łapiąc każdy oddech. Nie widziałam oczu córeczki. Pękająca od opuchlizny skóra broczyła krwią.

– Mateczko, czy ja jestem chora? – zapytała z trudem.

Wybiegłam do kaplicy. Chryste, Panienko, Jezu! To niemożliwe, to niemożliwe! Nie dopuść! Dlaczego ona?! Dlaczego dziecię?! Kimże jest dziecię wobec Twojej mocy?! Czy tak się godzi?! Jak ma walczyć?! Co Ci zrobiła?! Dla Ciebie jest niczym, a Ty odbierasz jej wszystko?! Oddaj jej

życie, zabierz moje! Walcz ze mną, nie z nią! Wrzeszczałam i wrzeszczałam.

Obudziłam się w łożu, ból rozsadzał mi głowę. Usiadłam przerażona. Chryste! Spałam! To już ranek?! Nagle usłyszałam rozpaczliwe krzyki, zerwałam się i biegłam ile tchu do małej komnatki. Elżbietka dusiła się, skrzeczała, wyginała się i biła piąstkami na oślep. Wszyscy w środku krzyczeli, płakali, biegali bezradni. Król klęczał i modlił się żarliwie w nogach łoża.

– Ludzie! Ratujcie! No ratujcie ją! – wołał piskliwie Zygmunt.

– Oddychaj, oddychaj! – płakał Olbracht, szarpiąc ze złością moją martwą już córeczkę. Uderzył ją.

Kiedy ją zabrali, moja dusza wirowała gdzieś obok mnie, ból zjadał ją kawałek po kawałku. Nie mogłam zamknąć oczu. Bardzo piekły, ale nie mogłam zamknąć ani oczu, ani ust. Myślałam, że też się uduszę, albo chciałam się udusić. Siedziałam sztywno naprzeciw pustej skotłowanej pościeli, jeszcze pełnej śladów niewyobrażalnego cierpienia mojego dziecięcia.

Drgnęłam na dźwięk dzwonów. Mój wzrok zawędrował pod łóżko.

– Zabierzcie tego psa.

– Magnus, wstań – powiedział wyczerpany Aleksander. – Magnus? – Pochylił się nad szarą górą. – Boże, Magnus... – jęknął i dotknął martwego ciała starego przyjaciela. – Pobiegłeś za nią? – Aleksander kiwał się w tył i w przód, tuląc burego brzydala.

*

Umarła mi córka, a mój syn stał przy trumnie pijany. Olbracht chwiał się na nogach, bełkotał i zawodził.

*

– Pół Krakowa zalało, owoce wygniły, wcześniej spalone od słońca. Wisłę w Toruniu przejdiesz, a kolan nie zamoczysz. Dziwy... – mamrotał król przy posiłku.

– Kometa – mruknął Aleksander.

– Kometa – zgodził się król.

Nikt się już nie odezwał. Czerwcowe błękitne ciepło, wszystkie rozkoszne widoki i smaki były niestosowne, raniły dusze i gardła. Prandium było ciche, rodzina pochylona nad świeżym chlebem z poziomkami nie odrywała oczu od talerzy. Elżbietka lubiła poziomki. Drżącą ręką potarłam czoło i spojrzałam na Dorotę. Taka szczupła! Nie powinna dźwigać panienek. Jadła chleb, a spod spuszczonej rzęsy kapały łzy. Jeśli teraz popatrzy na mnie, umrzemy obie! Zacisnęłam powieki i wstałam od stołu. Słyszałam, jak litewski fraucymer zrywa się i drepcze za mną. Boże, daj mi siłę, daj nam wszystkim siłę! Nagle zobaczyłam Elżbietkę, jak biegnie do mnie roześmiana z uniesioną lekko sukienką.

– Lubiała poziomki! Lubiała poziomki! – Niepohamowany szloch rozsadził mi gardło, opadłam na kolana. – Lubiała poziomki! – krzyczałam do Olbrachta, który walcząc z moją i swoją niemocą, upadł obok mnie i zagarnął mnie do siebie, pozwalając wylać się naszemu bólowi.

*

– Bielski prosi piąty raz na wesele do Kobrynia, nie sposób się wymówić. – Przyglądałam prostą brunatną suknię i ciężko opadłam na futra.

Schody mnie męczyły, kaplica mnie męczyła, ludzie mnie męczyli, muzyka drażniła. Pełen rozpacz list od Zofii o śmierci siostry i śmierci jej pierwszego dziecięcia, córeczki, także Elżbietki, pogrążył nas wszystkich

w smutku tak wielkim, jakby nigdy nie miał minąć. Dzieci, jedynie na dzieci wzrok mogłam podnieść.

– Pojedziemy do Kobrynia – zdecydował król, który teraz z krzesła załatwiał wszystkie pilne sprawy. Młody Kazimierz i Aleksander wysiadali w kancelarii, Fryderyk i Zygmunt pobierali jeszcze nauki; gdzie był Olbracht – nie wiedziałam.

– Miłościwy panie, tapicer Michał prosi o pilne posłuchanie – powiedział sługa i się skłonił.

– Tapicer? – Król wyprostował się z ciekawości. – Prosić!

Wprowadzono młodego mężczyznę, który ze zdenerwowania nie mógł przemówić.

– Wszyscy... i królowa... – mamrotał i gniótł czapkę przerażony.

– Uspokójcie się i powoli przemówcie.

– Królu! Znalazłem broń! – wyrzucił z siebie.

Wszyscy spojrzeli na niego jak na człeka niespełna rozumu.

– Gdzieście znaleźli?

– W fotelu! W Kobryniu!

Tym razem wszyscy zerwali się z miejsc.

– Co?! Gdzie?!

– W Kobryniu. Ktoś ukrył broń w fotelu weselnym pana młodego – powiedział, ciągle miętosząc czapkę.

Kazimierz usiadł z powrotem.

– Prawdę mówicie?!

– Klnę się na matkę!

– Mówiliście to komu?

– Nie!

– Dobrze, nagroda was nie minie. Zaczekajcie pod stajniami.

Pokojowcy wyprowadzili tapicera.

– Wracacie do Krakowa, wszyscy! Królewicze też! Zwłaszcza Kazimierz! – Król miotał się po komnacie. – Zbadać to trzeba! – Wystrzelił do kancelarii. – Z drogi! – krzyczał w krużgankach na nieostrożnych.

*

– Wiem już kto! – Mój mąż chodził po sypialni, nie mogąc się uspokoić. – Olelkowicz! Holszański i Bielski! Wymówię się od wesela, powiem, że jestem zmęczony polowaniem. Wszystko jedno. Niech bierze ślub, bo ma mało czasu – charczał z wściekłości. – Wy wracajcie – powtórzył.

– Ja ciebie nie odstąpię. A że ja zostaję, dzieci tym bardziej. Teraz i tak nigdzie nie jesteśmy bezpieczni – powiedziałam pewnie.

– Kazimierz musi wyjechać, wiedzą, że to mój następca. W Koronie zostanie moim namiestnikiem. Muszę tam kogoś mieć. *Secundo genitus Regis Poloniae*. Zostanie w Radomiu, dam mu Kallimacha – zdecydował.

*

Siedziałam w kaplicy, kiedy król przysiadł koło mnie.

– Chcieli zabić mnie i synów naszych, ciebie mieli uwięzić – powiedział cicho, pochylając się nade mną któregoś dusznego wieczoru po wyjeździe młodego namiestnika.

– Obetnij im łby – powiedziałam prosto w chmurne oczy małżonka. Czuję mrowienie we wszystkich członkach.

Obejrzałam się za siebie. Dwórki obserwowały nas czujnie. Uświadomiłam sobie, że prawie wszystkie były albo Rusinkami, albo Litwinkami. Anna rozplakała się, Dorota wzięła ją na ręce.

Po krótkim śledztwie Michał Olelkowicz i Iwan Holszański zostali ścięci. Fedor Bielski, świeżo upieczony małżonek, zbiegł do Moskwy.

Niepokój, złowrogie zasłyszane czy wyimaginowane szepty i spojrzenia stawały się nie do zniesienia.

– Wyjedźmy do Troków – poprosiłam męża. – Wyjedźmy stąd.

*

Droga była inna niż zwykle. Fraucymer, i tak zawsze karniejszy niż polski, cichszy był niż podczas wcześniejszych podróży. Nikt w drodze nie śpiewał, nie biesiadował, nie palił ognisk. Spełniano jeno nasze żądania i patrzono ukradkiem, wzrokiem ciągle trudnym do odgadnięcia.

Gdy tylko przybyliśmy do zamku na jeziorze, wezwałam mego kuchmistrza.

– Chcę, by do picia podawano wszystkim królewskim dzieciom i królestwu jedynie wodę. Medykom każcie przeglądać i wąchać wszystkie potrawy, zwłaszcza te przeznaczone dla dzieci.

Mężczyzna skłonił się i wyszedł.

– Ty też sprawdzaj – zwróciłam się do Doroty.

Na znak zgody na chwilę przymknęła powieki.

Jedynym pocieszeniem było to, że namiestnik radził sobie w kraju doskonale, ponad wszystko miłując sprawiedliwość i młodziutką Kunegundę, córkę cesarza Fryderyka...

„Prawdą niezwykłą jest, że ona tak jak ja miłuje ponad wszystko sprawiedliwość...”, pisał mój zakochany synek.

– Można umiłować poprzez listy? – śmiałam się do Doroty.

– Szybciej niż przez cokolwiek innego – odpowiedziała wesoło, wpinając kwiaty w jasne włoski królewien.

Wiedziałam, że jeśli Fryderyk zdecyduje się wydać córkę za mego syna, będzie ona najszczęśliwszą kobietą na ziemi.

1482

Zbliżaliśmy się wolno do Grodna. Drewniany most nad stromym jarem był widoczny z daleka.

Patrzyłam na swoje dłonie. Pomarszczone, ze wzniesieniami i dolinami, takie suche.

– Stopy też – zauważyłam ze zdziwieniem i spojrzałam na Dorotę. – Kolana mnie bolą od dawna, garb wydaje się dwa razy większy, i nie krwawiłam w tym miesiącu. Mam czterdzieści pięć lat. – Pokiwałam głową.

– Nic to. – Dorota machnęła ręką. – Ja siedemdziesiąt dwa.

*

– Mam już sześcioro wnucząt – mówiłam do siebie, zapatrzona w sufit kilka dni po przyjeździe do Grodna. – To niemożliwe. – Zamknęłam oczy. – To niemożliwe – powtórzyłam i dotknęłam brzucha. – Myślałam, że to już niemożliwe, że to na pewno koniec mych owoców, ale to trzynaste dziecko, Kazimierzu. – Spojrzałam na króla przerażonym wzrokiem. – Jak Sara rodząca Izaaka.

Spojrzelśmy na siebie i wybuchnęliśmy śmiechem. Opadliśmy na poduszki i śmialiśmy się do łez. Śmiech starych rodziców niósł się daleko za Wilię i Wilejkę, do Iwana III, Korwina, cesarza Fryderyka, jego syna

Maksymiliana i dalej do Edwarda IV, Ferdynanda Aragońskiego i Ludwika XI.

*

– To zapłata za królewskie „nieisprawienia, za nawodzenie cara Achmeta”. Iwan wysłał mi taką wiadomość! Napaść na Kijów, wzięcie do niewoli Chodkiewicza, to zapłata za namawianie Achmeta przeciw niemu! – Król upił łyk wody i odstawił prosty kubek. – Drwi i grozi, pies! – Strzyknął śliną przez zaciśnięte zęby.

Dotknęłam jego dłoni i wskazałam tańczącą Annę.

– Czyż istnieje coś doskonalszego? – zapytałam.

Sześciolatka poruszała się zgrabnie w rytm delikatnego fletu, zadowolona, że ją wreszcie zauważyliśmy.

Rankiem wtuliłam się w plecy mego małżonka i zanurzyłam dłoń w jego siwej piersi. Robiłam tak od dwudziestu ośmiu lat. Prosta czynność, która dawała siłę i zdrowie, lepsza od dekoltów, z mocą modlitwy wypędzała moje lęki i łzy. Było coraz zimniej, dziecięciu też było pilno.

*

Siedziałam obolała na łożu, kiedy Dorota przyszła mnie odwiedzić. Usiadła u moich stóp i zaczęła masować mi kolana. Szczupłymi dłońmi wcierała olejek w moje spuchnięte nogi.

– To wielkie błogosławieństwo. – Uśmiechnęła się jak zwykle i wskazała mój brzuch.

– Jeśli ktoś jest prosty – jęknęłam.

– Cudem są wasze dzieci, pani, i cudem jesteście wy.

Objęłam wzrokiem moją postać.

– Och... – Machnęłam ręką. – To pomoc boska i... – Umilkłam.

– Czyja?
– Twoja – powiedziałam i zamknęłam usta, by nie wspominać o bestii.
– Starsza królowa umiała różne napitki robić, co ulgę dawały...
– Mam ciebie, nie potrzebuję napitków. – Uśmiechnęłam się do ukochanej przyjaciółki.
– Pewnie. I uwiniemy się jak zawsze. – Poklepała moją dłoń, wstała szybko, chyba poruszona moim wyznaniem.
– Doroto...
Odwróciła się ku mnie, gotowa na spełnianie życzeń moich i moich dzieci.
– Dziękuję – powiedziałam ciepło. Skłoniła się wzruszona. Wiedziała, że dziękuję jej za nasze wspólne życie.

*

W ciągle jeszcze drżących dłoniach trzymałam mój nowo narodzony królewski cud. Maleńka Elżbietka wyginała pulchne rączki, dotykając zlepionych gęstych jasnych włosków. Zmarszczyła twarzyczkę i rozplakała się nadspodziewanie głośno.

– Silna dziewczeczka. – Akuszerka mlasnęła z zadowoleniem i wyjęła z mych ramion niezadowoloną Jagiellonkę.

Duża mamka wyciągnęła różowe ramiona po głodne dziecko.

Opadłam na poduchy i zapłakałam cicho ze szczęścia, dziękując Bogu za trzynaste szczęśliwe rozwiązanie.

1483

Wszyscyśmy w maju wyglądali przyjazdu namiestnika Kazimierza. Ciągnął nadspodziewanie długo z Radomia, skąd wygnała go zaraza i tęskne listy rodzicieli. Nie widzieliśmy go prawie od próby zamachu! Co dnia bracia i siostry, ja i król z całym dworem ciekawi i stęsknieni wyruszyliśmy na gościniec, wypatrując ukochanego syna i brata.

Już chcieliśmy nowe listy słać, ale w końcu odezwał się dźwięk trąb kazimierzowej świty.

– Jakiż blady! – jęknęłam do króla, kiedy uśmiechnięty syn wolno się do nas zbliżał. Kazimierz zmarszczył na mgnienie oka czoło, ale za chwilę uśmiech rozjaśnił jego twarz, bo w ramiona wpadł mu wytęskniony syn.

– Mateczko! – załkał namiestnik i bardzo mocno przygarnął mnie do siebie.

Długo staliśmy w objęciach, póki Olbracht nie wyrwał brata z mych ramion i nie zawlókł go na ucztę. Każko jadł niewiele, nie słuchał muzyki, zakasłał kilka razy, był bardzo zmęczony. Czułam, że król też mu się uważnie przygląda. Namiestnik wyszedł, zanim ucza na dobre się rozpoczęła.

– Tyś tutaj? Nie z braćmi? – zapytałam zaskoczona, kiedy ujrzałam go na drugi dzień w mojej kancelarii. – Pojechali na polowanie...

– Nie, nie... Jestem jeszcze zdrożony. – Zmarszczył nos. – Może jutro.

Udał, że czyta ważny dokument. Cofnęłam się do wyjścia.

– Jeśli zechcecie, mateczko, będę wam prowadził kancelarię! – Poderwał się niezgrabnie i strącił kilka piór. Podniósł je szybko, zdusił kaszel i uśmiechnął się nieśmiało. Jego oczy lśniły niezdrowo. Spuściłam wzrok.

– Nie wracasz do Radomia? – zapytałam cicho.

– Jeszcze nie, mateczko. Chyba w przyszłym roku. – Mówił tak, jakby to nie było ważne.

Wolno odwróciłam się do drzwi i z ulgą wyszłam na rzeńskie powietrze. Oparłam się o balustradę i struga wymiocin z chlustem spadła na dziedziniec.

– Jezu! – Zasłoniłam oczy. – Nie wolno! Nie wolno mi nawet tak myśleć!

Poczułam silne ramiona. Król objął mnie tak, że nie mogłam oddychać.

1484

W styczniowy poranek młody namiestnik chodził z dwuletnią siostrą na rękach po grodzieńskiej wielkiej sali.

– Elżbietka jest krągłutka. – Spojrzał z uśmiechem na zielonooką, jasnowłosą dziewczynkę.

– Ona krągła – odparłam. – Ale tyś schudł – dodałam szybko, bo widziałam, jak wiszą na nim stare ubrania.

Zakasłał.

– O, i jeszcze pewnie się zgrzałeś. Tyle razy mówiłam...

– Ja umieram, mateczko.

Zaniemówiłam. Zerwałam się z krzesła.

– Nie drwij – wyszeptałam. – Naigrywać się chcesz? Możesz iść do Olbrachta! – krzyknęłam wzburzona.

Uśmiechnął się smutno.

– Nie śmiej się! Nie drwij tak haniebnie!

Postawił ostrożnie siostrę na podłodze i podchodził do mnie powoli. Wsparłam dłonie o stół, bo zaczynałam drżeć.

– Sprawdziłem, co mi jest, potwierdziłem u medyków. Ja umieram, matko – powtórzył i wyciągnął do mnie rękę. – Przecież wiecie, przecież wiecie wszyscy od dnia, jak tu przyjechałem!

– Nie! Nie wiem! Nie chcę wiedzieć! Miej litość – jęknęłam i wybiegłam z sali. Z głębi usłyszałam jeszcze płacz Elżbiety. Mróz orzeźwił mnie dopiero na moście. Chwyciłam się drewnianej balustrady i spoglądałam w dół. Niech zabierze mnie otchłań! Teraz! Przeszanę oglądać śmierć mych dzieci!

– Mało ci? Czego chcesz ode mnie?! – krzyczałam w czarne niebo.

– Matko! – Kazimierz wołał u szczytu mostu.

– Mylisz się! Co ty mówisz?! – krzyczałam przez wiatr, kurczowo trzymając się balustrady.

Syn podszedł do mnie i okrył mnie troskliwie futrem.

– Ja jestem już pogodzony. Pogodzony z Bogiem. – Objął mnie ramionami i oderwał od mostu. – Pogodzony – powtórzył.

– Nie! Nie, nieprawda! Bogu nie wolno! – mamrotałam zdruzgotana. – A skąd wiesz? Skąd wiesz?! – szeptałam, niedowierzając, kiedy prowadził mnie do zamku.

Patrzył na mnie z jakimś nieprzypadkowym uśmiechem.

*

– Królewicz ma suchoty – powiedział jeszcze w maju Wels. – Wszyscy medycy w Koronie potwierdzili.

Tak! Wiedziałam, wiedziałam! Od pierwszej chwili, jak go ujrzeliśmy, wiedział król, dwór i bracia! Udawaliśmy przed nim i przed sobą. W dzień radości dla niego, w noc wyjący ze strachu i żalu.

Szłam cichutko do komnaty namiestnika. Weszłam do środka bez myśli, z martwą duszą.

– Ach, mateczka. – Przyskoczył do mnie, nadmiernie podniecony. Chwycił mnie za ręce. – Ja już wszystko rozumiem, nie boję się!

Patrzyłam bezmyślnie w jego sinobiałą twarz. Nie potrafiłam nic powiedzieć. Przytulił moją głowę do swych wychudłych piersi. Targnął nim straszliwy kaszel. Zabrakło mu tchu, pomogłam mu ułożyć się na łożu.

– Wybacz – wyszeptał.

– Nie.

– Wybacz. – Znowu się uśmiechnął.

– Nie, nie!

Uderzyłam go w twarz.

Chwycił moje ręce i przytulił do swych policzków. Mój anioł, dobry i piękny. Moja nadzieja, radość i duma, mój rycerz najpierwszy. U progu życia, szczęścia. Usłyszałam zwierzęce wycie.

To ja wyłam.

*

Obudził mnie przerażony sługa.

– Miłościwa pani, królewicz zniknął!

Wstałam obolała z twardej skrzyni. Zasnęłam, nie wiedząc kiedy.

– Chryste! Przecież tak zimno! Po co wy jesteście?! – krzyczałam.

Wszyscy rozbiegli się szukać Kazimierza. Po chwili usłyszałam donośny głos Olbrachta.

– Tutaj, bywaj! Znalazłem go! Bracie, co tobie?! – krzyczał.

Kazimierz leżał pod bramą kościoła, niemalże zamarznięty! Olbracht dopadł do niego pierwszy, uniósł wychudłego, lekkiego jak dziecko.

– Okrycie, dawać okrycie, bo powyrzynam! – wrzeszczał. – Bracie, ty głupio-mądry błaznie! – Biegł z nim i szlochał rozpaczliwie. Wrzucił go do łoża. – Rozgrzewać! Otulić, większy ogień!

– Miał to ze sobą. – Wystraszeni Zygmunt i Fryderyk wyciągnęli przed siebie brudny worek.

Fryderyk sięgnął do środka.

– To chleb. – Ze łzami w oczach podał bochenek ojcu.

– Dla biednych. Dla dobrych uczynków. Ja jestem gotów – wychrypiął zziębnięty królewicz i rozkaszał się znowu.

Król usiadł bezradnie i wsparł czoło na olbrzymim bochnie.

*

Rankiem ponury głos zakonników rozlegał się z komnaty namiestnika.

– *Memento mori, memento mori.*

– Wynocha! – wrzasnął Olbracht i zaczął gasić świecie. – No, bracie, królowanie ci niemiłe?! – Zaśmiał się nieszczerze. – Wywinąć się chcesz?

Kazimierz wyglądał lepiej, pożartował trochę z bratem. Kiedy Olbracht wychodził i cicho zamykał drzwi, czekałam na niego na zewnątrz.

– Tyś najlepszy z braci. – Dotknęłam z czułością jego szorstkiej szerokiej twarzy.

Zaśmiał się znowu, nienawykły do pochwał, i odszedł gdzieś w noc.

Na drugi dzień Aleksander wymyślił, że zabiorą Kazimierza na powietrze, w las. W siodłach niecierpliwie czekali na brata, pokrzykując na niego złośliwie. Zamarli, kiedy Kazimierz wyszedł do nich wsparty na lasce. Stałam między nimi i serce zawyło mi z żalu na jego widok.

– Jedźcie sami, jedźcie... – próbował przekonać braci, usilnie starając się zachować pogodny uśmiech.

Królewicze milczeli ponuro, patrząc na brata.

– Pogoda dzisiaj niedobra... – zaczął Olbracht; patrzył skrzywiony w błękitne niebo.

– Tak, padać będzie – wtórował bratu Fryderyk.

– Lepiej zagrajmy w karty – zdecydował Aleksander, zsiadając z konia.

Niedługo potem zastałam Kazimierza w mojej kancelarii.

– Och, silniejszy jesteś! – zawołałam na widok syna stojącego przy pulpicie. – Pisałeś do Kunegundy? – zapytałam, by zapytać o cokolwiek.

– Nie.

– Jakże to? Ojciec jej zabronił?

– Napisałem, że złożyłem śluby czystości...

– Odrzuciłeś ją?

– Spójrz na mnie! – wrzasnął z rozpaczą, porzuciwszy ton pogodzonego ze śmiercią.

Za duże ubranie wisiało na nim żałośnie. Zgarbił się, zapadnięta pierś poruszała się z wysiłkiem, biała skóra prześwitywała spod przerzedzonych włosów. Błada twarz tylko podkreślała ogromne, skrzące się gorączką, strachem i cierpieniem czarne oczy. Oczy, które o zawrót głowy tak niedawno przyprawiały każdą dwórkę! Podbiegłam do niego z krwawiącą duszą i objęłam jego chudziutkie ciało.

– Tak mi żal, tak mi żal... zapomni mnie! Mamo, ona mnie zapomni! – Rozplakał się. Tuliłam go mocno i kołysałam w ramionach, póki znowu się nie rozkaszał.

– Posłać po króla, do Lublina, natychmiast! – rzuciłam, ułożywszy się przy łożu synka. Z męża krzepkiego, silnego, młodego zostało tylko cierpienie, czyste boskie okrucieństwo, którego nikt nigdy nie pojmie. Patrzyłam z bezradnym bólem. Zamknęłam usta dłonią, żeby nie obudzić śpiącego.

Nie mogłam się modlić, nienawidziłam, to bluźniłam, to za chwilę leżałam u stóp krzyża, błagając o wybaczenie i cud. Ślubów, które złożyłam w zamian za jego życie, nigdy nie dane mi było wypełnić.

W pierwszych dniach marca 1484 roku budził się już tylko i zasypiał. Kiedy o świcie weszłam do niego, u kazimierzowego łoża klęczała jakaś postać. Zauważyłam, że zausznicą wystająca zza wełnianego kaptura opończy cenniejsza była niż u najmożniejszej panny.

– Kunegundo! – zawołałam tknięta odkryciem.

Panna zerwała się i pobiegła ku drugim drzwiom.

– Kunegundo... – powtórzyłam ciszej.

Zatrzymała się. Król, który wsunął się za mną, patrzył osłupiały to na mnie, to na nią.

– Zapewne cesarska córka posłuszeństwa nauczona i odwróci się do starej królowej – powiedziałam łagodnie.

Odwróciła się wolno i spojrzała na mnie z wielkim bólem.

– Nie słyszał mnie... – powiedziała drżącymi ustami i dwie łzy spłynęły jej po szyi.

Ruszyłam do niej i objęłam ją mocno.

– Pani, musimy jechać. – Do komnaty wsunęła się przerażona starsza dama. Na nasz widok straciła dech.

– Ojciec twój, pani, wie, że tu jesteś? – zapytał król.

– Nie. Niby jestem u księżnej w odwiedzinach. – Kunegunda oprzytomniała i wskazała wystraszoną niewiastę.

– To jedź, póki nie wie, bo ja wojny z cesarzem nie chcę – napomniał pannę łagodnie. – Trzeba wam czego? – Objął dziewczynę i ucałował w czoło. – Dostaniesz przystawę⁵⁰ i glejt na Litwę i Koronę.

– Dziękujemy – odpowiedziała cicho starsza dama. – Pani, proszę... – zwróciła się błagalnie do cesarzówny.

– Kunegundo... – zawołałam raz jeszcze.

Zatrzymała się tuż przed progiem.

– Nie zapomnisz go? – zapytałam, choć głos z trudem wydobywał się z mego gardła.

– Nigdy – odpowiedziała z przekonaniem, skłoniła się i wyszła.

Nocą syn nasz zbudził się ostatni raz. Otworzył szeroko oczy, król pochylił się nad nim. Chory chwycił się ojcowskiego dubletu.

– Cicho, już, już. – Ojciec przytulił syna i pozwolił mu łagodnie odejść w swoich ramionach.

*

Ciemność, cisza. Nie, świst modlitwy. Tak, chyba się modliliśmy. Żyłam. Byliśmy już w Wilnie. Pochowaliśmy nasze wschodzące słońce i nadzieję Jagiellonów. Jak to możliwe? Myślałam, że ból wyżre nasze dusze. Trzy razy stałam na grodzieńskim moście. Dlaczego nie wybrałam nieczucia? Dlaczego wracałam do komnat? Nie wiedziałam. Może mój garb jak tarcza miał odierać rany smagające Jagiellonów? Może byłam potrzebna memu królowi i zrozpaczonym dzieciom?

Wstałam z łoża. Kazimierz pierwszy raz od trzydziestu lat nie przyszedł do mnie, czas było odnaleźć męża i jego smutek. Schodziłam po ciemnych schodach i u ich podnóża ujrzałam czarną skuloną sylwetkę. Usiadłam obok króla i dotknęłam jego włosów. Objął mnie ciasno i boleśnie. Nasze oddechy zamieniły się we wspólny skowyt.

*

Wrogowie nie pozwalali nam złapać oddechu, a może dlatego uderzyli, że byliśmy słabi w żałobie? Odwieczny nieprzyjaciel Korwin sprzymierzył się z Iwanem Srogim, a pośredniczył w układzie Stefan z Mołdawii, nasz hołdownik.

Wolno sunęłam w stronę kancelarii króla. Weszłam bezszelestnie.

– ...zbudować osobną kaplicę – mówił cicho do kanclerza. Skinął na mnie. – Turcja ruszyła na Mołdawię, zajęli największe centra handlu czarnomorskiego. – Oparł dłonie o stół. – Stefan w Mołdawii potrzebuje pomocy.

– Przecie Stefan ma nowych przyjaciół!

– Korwin nie ruszy na pomoc Stefanowi, sam się boi. Iwan za daleko. Spodziewam się poselstwa z Mołdawii z prośbą o pomoc. Znowu będzie chciał być naszym hołdownikiem, pewien jestem.

– Toż Stefan jak Korwin, tchórz i pies bez honoru!

Kazimierz stanął za mną i objął mnie tak, jak to robił dawniej.

– Stefan chce przetrwać, a ja mu pomogę. Stefan to wąskie gardło na wschód. Stefan to handel czarnomorski i brama, w którą uderza turecki taran, brama, która pęka. My potrzebujemy Stefana, a Stefan potrzebuje nas. Przyśle posłów, zobaczysz...

Tak też się stało. W trzy dni Stefan przysłał posłów proszących o pomoc.

– Wracamy do Krakowa – powiedział Kazimierz, kiedy liście na drzewach zaczynały brązowieć.

Olbracht, Aleksander, Zygmunt i Fryderyk jechali przed moją kolebką. Rozmawiali z ożywieniem. Z ulgą wracałam do Korony, ale i z bólem. Obejrzałam się ostatni raz za siebie. Zostawiłam tu dwoje dzieci.

– Jak wygląda Kraków? – zapytała sześciolatka Barbara, odrywając mnie na chwilę od żałoby.

– Pięknie – odpowiedziałam z uśmiechem, spoglądając na Dorotę, która objęła ramieniem moją córeczkę.

*

Przebywszy ostatni fragment majestatycznej krakowskiej Via Regia⁵¹, po krótkiej modlitwie w katedrze bez słowa rozeszliśmy się samotnie do swoich komnat. Rok byliśmy już w Koronie, zanim przybyliśmy wreszcie do Krakowa. Widok Wawelu przygnębił wszystkich powracających z Litwy. Wystarczyło kilka lat i zamek umierał bez pieniędzy i opieki. Pośród jaskrawych liszajów naprędcie łątanych szpar w murach i wypełnień z taniego szkła w niegdyś barwnych oknach straszyły dziurawe dachy i kolejne popękane ściany. Roztrzaskane okładziny ceglanych murów kiedyś wyrosłe w rękach mistrzów, cieszące oczy całych pokoleń królów i dworzan, teraz rozpadały się na deszczu. Pochyliłam się do okruchów i nieopatrznie zanurzyłam krawędź cennej szuby w brunatnym błocie. Królewskie i dworskie szaty dziwnie kontrastowały ze zmurszałymi tynkami i przegniłym drewnem. Z małym odpadłym fragmentem w dłoni wolno weszłam do szmaragdowej sali. Nic się nie zmieniło od mojego wyjazdu, sprzęty podróżujące ze mną na Litwę już stały na swoich miejscach, pokryte tymi samymi tkaninami. Obracałam przez chwilę w rękach ułamek kunsztownej rzeźby zabrany z dziedzińca. Nie wiedziałam, dlaczego podniosłam go z ziemi. Z westchnieniem rzuciłam na sfatygowaną podróżną skrzynię fragment niegdyś majestatycznej Dunki i oczyściłam dłonie.

Fraucymer krzątał się radośnie po ukochanych komnatach, ochmistrzyni dyskretnie sprawdzała porządek. Przeglądała warstwy pościeli, liczyła tkaniny i opony, wąchała wodę spod kwiatów. Mimo że ogień buchał w kominkach dwóch sal, w sypialni było zimno. Ukryty piec, który zawsze cudownie podgrzewał kamienną podłogę, zepsuł się, kiedy teraz po latach próbowano go uruchomić.

– Trzeba naprawić, wezwać majstra... – mówiła chyba do siebie ochmistrzyni.

Wyszłam, bo i tak w środku nie mogłam się rozgrzać. Zobaczyłam, że Kazimierz też jest na zewnątrz, w towarzystwie burgrabiego, zarządcy i kanclerza ogląda zniszczone budynki. Zawróciłam w stronę kaplicy i zanurzyłam się w kojącej modlitwie, powierzając Najświętszej Panience wszystkie królewskie troski.

*

Słyszałam, jak król mówił do małej rady, kiedy dołączyłam do nich w Kurzej Nodze:

– W Kołomyi Stefan złoży nam hołd. Zabieram Olbrachta, Aleksandra i Zygmunta. Jako pomoc dam Stefanowi trzy tysiące doborowych zbrojnych. Czas zacząć przygotowania, ogłosić podatek i zaciągnąć nowe pożyczki. Oczywiście, że to wszystko dla pokoju. Na wojnę nie możemy sobie pozwolić.

Odwróciłam się w stronę miasta i wzrok mój padł na dom Długonosa.

– Umarł niedługo po naszym wyjeździe. Nawet nadanego biskupstwa nie zdążył odebrać – przerwałam rozprawiającym mężom i przyłożyłam nos do okiennej szybki. Mężczyźni wstali z krzeseł i dołączyli do mnie. Śmierć i wojna, wojna i śmierć wiszą nieustannie nad jagiellońskim domem, pomyślałam zasmucona.

*

„Małżonek mój mówi, że ośmieszam go, wciągając w dysputy przy obcych. Dlatego też nie odzywam się, bo okrutnym być potrafi i dzieci zakazuje mi widzieć. Czasami modłę się do Boga, by mnie zabrał do siebie...” – czytałam ze zgrozą list od Jadwini. Urodziła pięcioro dzieci, dwóch synków straciła niedawno. Jakże ciężko musiało jej być w tej dobie!

– Biegnij po ochmistrza. – Wysłałam pokojowca po Jana i złożyłam starannie list. Zasiadłam natychmiast do korespondencji, nie do Jadwini jednak, lecz do Witelsbacha. Nie będzie pomiatał królewską córką!

– Czy królowa może napomnieć męża swej córki? – zapytałam przybyłego, ciągle wzburzona.

Ten tylko bezradnie wzruszył ramionami.

– Założyłam, że może. Jeśli nie będzie traktował jej godnie, skargę złożę do cesarza i papieża! Tak napisałam! Zgroza! – Potarłam czoło. – Ani słowa królowi, bo gotów go zbrojnie najechać.

Dworzanin skłonił się i wyszedł z listem.

– Ośmiesza go?! Niedouczony pies! – Wściekła i bezradna opadłam do gorącej wody w gładkiej wannie.

*

– Trzeba by zamówić namiot, którego ściany po jednym pociągnięciu opadną w trakcie składania hołdu przez Stefana, tak by ukazały go klęczącego, a waszą wysokość na podwyższeniu. By sam widok dał świadectwo przysięgi i ukazał wielkość Korony. – Mówiąc, Kallimach wznosił i opuszczał szczupłe ramiona.

– Namiot, mówisz? – Król wytarł dłonie w złotym haftowany obrus. – A kto zapłaci za namiot? – Sięgnął po wodę. – Ty? – Zaśmiał się i uniósł kielich w stronę Włocha. Ten, niezrażony, perorował dalej i napomknął o wojsku.

– Ha! – Olbracht zatarł ręce. – No to wreszcie będzie bitwa!

– Żadnej bitwy – powiedział spokojnie Kazimierz, z zamkniętymi oczami żując mięso. Olbracht otarł tłuste usta.

– Jakże to? To po co nam to wojsko?

– Żeby się nie bić – odpowiedział król.

Tak więc ruszyliśmy w daleką podróż do Kołomyi, przygotowani i uzbrojeni w zaciężne wojsko i magiczny namiot. Tłumy mieszczan i dźwięk trąb znowu znaczyły królewską drogę.

[50](#) przystaw – opiekun, przewodnik

[51](#) Via Regia – królewski trakt w Krakowie

1485

Lwów, biskupstwo niedawno zmarłego Grzegorza z Sanoka, miasto siedemnastu baszt, usiane bliznami po wojnach i pożogach, wierne Koronie, przyjęło nas serdecznie w obszernym i wygodnym zamku. Z grodu do miejsca spotkania ze Stefanem było ledwie dziesięć dni. Pominięty w mającej się odbyć uroczystości Fryderyk patrzył tęsknie za oddalającym się ojcem i starszymi braćmi. Zygmunt pierwszy raz zostawił go samego z nieznośnymi siostrami. Stałam długo, póki trąby nie umilkły, a potem w towarzystwie mniejszych instrumentów wróciłam z młodszymi dziećmi na zamek. Z okien królewskich komnat patrzyłam na rzadniejący tłum, a później poszłam odwiedzić moje córki.

Wieczorem odebrałam listy. Z niepokojem otworzyłam ten od Jadwigi. „(...) rozpustą (...) oskarżył mnie o śmierć naszych synów. (...) nie porozumiemy się już nigdy, a najboleśniej odczuwam to, że ja już też tego nie chcę (...)”.

Posłałam do komnat Doroty Konięcpolskiej. Kładła się już spać i zdziwiła ją mocno moja prośba o przyjście.

– Jadwiga... – wyszeptałam, ściskając poręcz krzesła, kiedy weszła. – Odesłał ją. Witelsbach odesłał ją do Burghausen! Uwięził Jagiellonkę! Moją córkę, swoją małżonkę, odebrał jej dzieci, moje wnuki! On ją zabije!

Zobaczysz, Jadwiga umrze z żalu jak moja siostra! – krzyczałam, ledwo łapiąc oddech ze złości i trwogi.

*

U progu października 1485 roku z niepokojem wyglądałam króla i synów w Śniatyniu. Wiedziałam, że Stefan złożył hołd Jagiellonom, ale dawno już wrócić powinni. Łaźnie i kuchnie stały na parze od dwóch dni, pokojowiec wysłany, by wypatrzeć jeźdźców, nie wracał. Nie odwracałam oczu od okna, wyglądałam ruchu na gościńcu.

Nagle podniecone Anna i Barbara wbiegły do mojej komnaty z wielkimi bukietami liści.

– A cóż to za bieranina! – strofowałam panienki.

Anna podrzuciła swój bukiet i zachwycona parzyła, jak pojedyncze liście opadają na kolorowy kobierzec. Miała zaróżowiony nos i policzki, wyglądała tak ładnie! Barbarka ostrożnie odłożyła swój pęk liści i z uwagą napełniła dzban wodą. Potem każdy pojedynczy listek w skupieniu wkładała do naczynia.

Zawsze, kiedy odrywa się wzrok od drogi, wyczekiwana postać pojawia się niezauważona. Tak też stało się i wtedy. Goniec stanął w drzwiach zdyszany.

– Jada, miłościwa pani, do wieczora będą – wychrypiał.

– Jada, jada. – Anna skakała. Zaczęła szarpać szubkę młodszej siostry. – Słyszałaś, Barbarko?!

– Słyszałam i jestem wielce rada. – Siedmiolatka uśmiechnęła się i skłoniła przed dziewięciolatką.

Spojrzałam na ich wychowawczynię, równie zdziwioną jak ja tą układną odpowiedzią. Naprawdę, nie raz zastanawiałam się, która z nich jest starsza.

– Donieś radzie miasta i sprowadź kuchmistrza – zwróciłam się do wciąż stojącego pokojowca. – Albo nie, ty odpocznij, wyślij kogoś innego – dodałam, widząc, że wspiera się o futrynę.

*

Król, Aleksander, Zygmunt i Fryderyk siedzieli w pękatej balii, rozradowani z powodu olśniewającego przebiegu ceremoniału w Kołomyi. Zygmunt przekrzykiwał Aleksandra.

– I Stefan ukląkł, złożył u stóp ojca sztandary mołdawskie i nagle ściany namiotu – trach! Zniknęły! – Młócił rękami burą wodę. – I wszyscy ujrzeli, że klęczy sam jeden przed panem potężnym! Pan ojciec kazał potem wszystkie futra sobolowe, łańcuchy złote i wszelkie kielichy z klejnotami zebrać z namiotu, żeby wypełniły wóz, którym przyjechały mołdawskie sztandary!

Król śmiał się ze słów syna.

– Trza Kallimachowi wdzięczność okazać za ten pomysł! Co raz oko zobaczy, to więcej niż posłać tysiąc szpiegów!

– Gdzie Olbracht? – zapytałam wsparta o brzeg wanny.

Kazimierz potarł czoło.

– Obraził się jeszcze w Kołomyi, że nie pozwoliłem mu ruszyć na Turków z naszymi zbrojnymi, jeno jako wodza posłałem Karnowskiego.

Bracia przestali się śmiać i patrzyli w mętną wodę.

Wieczorem Kazimierz z westchnieniem ulgi ułożył się na kołdrach. Wdrapałam się za nim, wsparłam głowę o jego ramię i położyłam na kolanach misę z jego ulubionymi gruszkami. Z pomrukiem zadowolenia sięgnął po największą.

– Olbracht ma dwadzieścia sześć lat. Ty w jego wieku od sześciu byłeś królem – rzekłam po chwili, kiedy mój mąż milczał i oglądał nadgryzioną

gruszkę. – To lew w żelaznej klatce. Dusi się. Nie chcesz chyba, żeby ją rozszarpał. Rozwścieczonego lwa nie zamkniesz w innej, a tylko porani tych, co będą chcieli ją zbudować od nowa.

– Śpij, Elżbieto.

Wrzucił do misy ogryzek, odwrócił się ode mnie i zawinął w swój kokon. W nocy, kiedy się budziłam, czułam, że Kazimierz też nie śpi.

Przed wyjazdem do Korony wezwał Olbrachta. Syn wszedł z zapuchniętą twarzą i krwawymi oczami. Nie dziw, bo jeszcze późną nocą słyszałam z jego komnat muzykę i śmiechy.

– Karnowski tylko przejechał się pod nosem Turków i czambuł cofnął się ku Dunajowi... – zaczął król.

Olbracht nie odzywał się, patrzył w sufit i przestępował z nogi na nogę.

– Ufam, że ty, nasz syn, jako namiestnik Rusi pogonisz każdy tatarski i turecki łeb tak, by się nie ważył zajrzeć na tę stronę. Podołasz na dzikiej ziemi?

Dech mi zapało; do Olbrachta chyba nie od razu dotarła treść tych słów. Siąknął nosem, ale nagle spojrzał na króla tak, jakby dopiero co się obudził.

– Prawda li to?! – wybełkotał.

– Jakeśmy rzekli.

– Królu! – Ze śmiechem upadł ojcu do stóp. – Kiedy mi ruszać? – pytał niecierpliwie.

– Kiedy tylko zbierzesz wojsko! – Zadowolony Kazimierz poklepał syna po ramionach.

Olbracht zerwał się, przypadł do moich dłoni, opadł na skrzynię, ale znowu poderwał się i wybiegł z komnaty, wyrzaskując radośnie wyrazy, których żadnej niewieście nie przystoi słyszeć.

Wstałam wzruszona i skłoniłam się przed królem.

– Wyście powinni nosić przydomek Wielki.

– A ja myślałam, że wiecie to od pierwszej nocy...

– Ooch! – udałam zgorzowaną i wtuliłam twarz w jego pierś.

Jeśli ostania biesiada wydawała mi się głośna, to przez dwie następne od gwaru z olbrachtowych komnat trzął się cały zamek.

– Chwytaj, synu, szczęście, kto wie, jak szybko płakać znowu przyjdzie.

– Otuliłam się futrem, wpatrzona w gorejące okna na piętrze. Nagle ujrzałam tam sylwetkę, której nie mogłam pomylić z żadną inną.

– Fryderyk?! – Zmarszczyłam brwi i odwróciłam się od widziadła. – Stanisławie! – przywołałam starego pokojowca. – Do jutrzni dowiedz się, kto dziś bawi u namiestnika Olbrachta.

Machowski skłonił się i wysunął bezszelestnie z komnaty.

Uniosłam suknię i poszłam do łaźni. Kazimierz leżał na ławie na brzuchu, z plecami czerwonymi od witek.

– Zygmunt i Fryderyk po osiemnaście i siedemnaście lat mają – zaczęłam. – Czas jednemu na pasowanie rycerskie, a drugiemu do święceń.

Król wstał i pozwolił się owinąć w czyste płótno. Machnęłam ręką, gorąca para w komnacie czyniła łaźiebnych niewidocznymi.

– Obaj jak bezdomne rysie. – Usiadł, zamknął oczy i uśmiechnął się do siebie błogo.

Podeszłam do małego okienka i wypuściłam parę jak biały dym.

1486

Przeniosłam wzrok z płaskiego krajobrazu niezmiennającego się od trzech dni na siedzącą obok mnie Dorotę. Jak zwykle trwała na miękkim siedzisku z zamkniętymi oczami i skupioną twarzą, jakby liczyła każdą nierówność na drodze z Krakowa do Wilna. Spojrzała na mnie niby obudzona z dobrego snu i uśmiechnęła się jak zawsze. Ciemne cienie pod oczami mówiły o zmęczeniu, ale iskry dowcipu tłące się w jej błękitnych źrenicach zdradzały wciąż młodość ducha u niewiasty znacznie starszej ode mnie. Wdowa od dawna doświadczona żywotem kobiety dojrzałej nigdy nie skarżyła się na służbę. Ją jako jedyną z polskiego dworu zabierałam ze sobą na Litwę, była chyba już w trzydziestej podróży na wschód ze mną i mymi córkami. Kochała je zapewne nie mniej ode mnie i wiedziałam, że listów od Jadwigi i Zofii wyczekuje równie niecierpliwie jak ja.

– Kroplę wina – poprosiłam i wyciągnęłam dłoń po kubek do młodziutkiej dwórki, która z twarzą wykrzywioną bólem wstała z drewnianej podłogi.

– Przywykniesz – powiedziała do niej Dorota i obie ze współczuciem spojrzałyśmy na dziewczynkę.

Znowu wyrztałam na świat mijany za oknem, licząc daremnie na jakąś w nim zmianę.

– Jeszcze dziesięć dni minie, nim zobaczymy jakieś zabudowania. – Włożyłam w usta suszoną śliwkę, owinęłam się szczelnie futrem i idąc za przykładem Doroty, przymknęłam oczy.

Rankiem w namiocie zawsze panował mrok, trudno było odróżnić sprzęty i kształty. Wzrok mój odnalazł Kazimierza stojącego w plamie czerwonego świtu padającej przez szczelinę miękkich wrót namiotu. Łaskawe słońce opromieniało jego doskonały nos i usta. Mimo sześćdziesięciu lat wciąż był szczupły i silny. Piękny.

Pewnie poczuł, że na niego patrzę, bo odwrócił się w moją stronę. Uśmiechnął się, opuścił zasłonę i wrócił do starego łoża. Lodowaty przyłgnał do rozgrzanej, miękkiej skóry, mamrocząc coś o mym gorącu. Z rozkoszą objęłam ciało, które kochałam niezmiennie od trzydziestu trzech lat.

– Nieee... – Jęk zawodu wydobył się z naszych ust na dźwięk kiedy indziej pięknych głosów królewskiej *capellae regiae*, nawołujących do pierwszej mszy.

– Przypomnij mi, żebym później poobrzywał im języki. – Kazimierz opadł na plecy. – Wejść! – ryknął do sług warujących pod namiotem.

Już ubrany w splendor i majestat Korony i Księstwa, zrobił nabożną minę. Parsknęłam śmiechem i wypchnęłam go w nowy dzień.

Kiedy o zmroku zsiadaliśmy z koni po kolejnym etapie podróży, gościnnie namiot w środku obozu kusił nas ciepłym blaskiem niezliczonych świec, zapraszając do środka na cenę i spoczynek. Ledwo szłam w jego stronę, tłumiąc ból przyklejony od karku po stopy. Jak znosiłam podróż, będąc brzemienną, nie mogłam sobie przypomnieć.

Jadłam z apetytem, oglądałam popisy córek i słuchałam doskonałej muzyki kojącej wszystkie trudy i niewygody, kiedy kanclerz koronny

obszedł długi stół i zbliżył się do mnie i do króla. Pochyliliśmy się ku niemu.

– Hospodar Mołdawii, Stefan Wielki, uznaje zwierzchnictwo Turcji i zobowiązuje się do płacenia im rocznego haraczu w wysokości czterech tysięcy dukatów – powiedział głośno.

– A naszego zwierzchnictwa się wyrzekł? – zapytał król, unosząc kielich.

– Nie, nic nam o tym nie wiadomo. – Kanclerz wzruszył ramionami.

– To uznaje nasze i tureckie.

Król odstawił głośno naczynie, rozchlapując wodę. Kanclerz przytaknął niepewnie.

*

Zimę dzieci najbardziej lubiły w Trokach. Wszystkie... Bolesne wspomnienia zatrzymały mnie w miejscu.

– Elżbieto? – Kazimierz odesłał służbę i podał mi ramię, kiedy wsiadaliśmy do obszernych sań wyściełanych miękkimi futrami. – Stało się coś?

– Nie, nic. – Nie chciałam, by i on teraz cierpiał. Patrzyłam na roześmiane twarze jego i królewien sadzanych między rodzicielami. Cieszyły się ze zmiany wozów i kolebek na ciekawsze sanie. No i Troki były blisko. Aleksander, Zygmunt i Fryderyk pognali dawno przed nami. Brakowało mi śmiechu Olbrachta. Na dalekiej granicy młody namiestnik wyrzynał czambuły zapędzające się pod jego ręce; jak nam donoszono, spisywał się doskonale.

– Szkoda, że nie ma Olbrachta, już zarządziłby jakieś krotochwile. – Kazimierz podążał moimi myślami, rozpychając się między śmiejącymi się dziewczynkami.

W Trokach po uroczystym wjeździe i mszy, na której Fryderyk ziewał tak, że chichotał cały fraucymer, po uczcie powitalnej, podczas której dzieci zasypiały z wyczerpania, wreszcie opadłam na łożę i pozwoliłam dojść do głosu bólowi pleców. Był niemiłosierny, piekący, rwący, odbierający dech.

– To moja ostania podróż, nie ruszam się stąd więcej, nigdzie dalej nie jadę – sapałam, gryząc poduszkę.

– Tak, tak. – Stara służąca masowała mi plecy, przyzwyczajona, że w każdym miejscu od trzydziestu lat mówię to samo.

*

Lato w Trokach była odurzające, lśniło zielenią, wszystko wokół pachniało, nawet woda. Wsparta na miękkim pościeliu w szerokiej łodzi, pozwoliłam dłoni muskać nieruchomą, chłodną taflę jeziora. Król siedział rozparty obok mnie z przymkniętymi powiekami, cichy plusk wiosła działał usypiająco... Otworzyłam jedno oko na niepokojące głosy z łodzi królewien. Fryderyk i Zygmunt rozhuścili łódź i straszili siostry wpadnięciem do wody. Anna śmiała się piskliwie, a zagłuszana przez nią Barbara usiłowała strofować braci. Zaniepokojona chwyciłam króla za ramię.

– Zrób coś.

– Muzyka. – Kazimierz skinął na grajków bez otwierania oczu, a ci posłusznie uderzyli w struny, tłumiąc okrzyki z sąsiedniej łodzi. – Tungen na biskupstwie warmińskim umiera, chcę osadzić tam Fryderyka – odezwał się po chwili.

– Ale tylko Prusacy mogą obsadzać tamtejsze biskupstwa.

– Ja jestem król, ponad ich prawami.

– Zobaczymy...

– Co mówiłaś?

– Raz go wyгнаłeś, ale i tak kapituła go usadziła na biskupim stolcu, mimo że wystąpił przeciw tobie z wojskiem.

– Ostał się, bo mu darowałem! – Zerwał się z miejsca. – Fryderyk, Zygmunt, zostawcie siostry! – wykrzykiwał nachmurzony do zdziwionej, bo w ciszy już odpoczywającej gromady.

– Nie lepiej zacząć od biskupstwa krakowskiego?

– Lepiej, ale Warmia stoi mi...

– ...w gardle jak ość – dokończyłam.

– A tak! Dlatego listy zaraz do papieża pošlę. – Zapiął dublet. – Do brzegu! – nakazał wioślarzom.

Kiedy wróciliśmy, odebrałam prywatne listy i usiadłam pod oknem. Jadwinia i Zofia. Złamałam pieczęć listu od Zofijki. Miała dwadzieścia trzy lata, urodziła siedmioro dzieci, a ósme nosiła w łonie. Małżonek jej lubił biesiady i hulanki, ale i ją lubił, nie był gorszy od męża Jadwigi. Westchnęłam, starannie złożyłam pismo i otworzyłam list od starszej. Jerzy okazał łaskę i odesłał do niej Małgorzatkę, jednak najstarszą córkę zostawił przy sobie. Urodzona królowa Polski cieszyła się z tego, co ma w Burghausen, pisała, że razem z córką radują się biblioteką i swoim towarzystwem. W przepływie wdzięczności za względy męża nakazała spisanie dziejów rodu Witelsbachów. Razem z Małgorzatą poszukują dokumentów do pracy i sprawia im to wielką przyjemność.

Uniosłam głowę i spojrzałam w jaskrawe słońce. Kiedy usłyszałam królewskie kroki, listy szybko schowałam do maleńkiej torebki przytroczonej do srebrnego paska. Nie chciałam, by Kazimierz martwił się jeszcze o córki.

– Co tam chowasz? – Zaśmiał się nerwowo. – Listy? Od Jadwigi? – zapytał cicho i spojrzał mi smutno w oczy.

Głupia byłam, sądząc, że nie wie o jej losie. Spuściłam wzrok i wygładziłam dłońmi suknię.

– Oddał jej młodszą córkę, jakoś sobie radzą.

Usiadł i długo nic nie mówił. W końcu się odezwał:

– Czas nam na południe. Wiele po drodze do zrobienia. Do Grodna powinniśmy przybyć na jesień.

Wstał i nie patrząc na mnie, wyszedł.

1487

Zsiadłam z konia i potarłam obolały kark. Ostatni nocleg w namiocie przed Grodnem. Z wielkiego stożka pokrytego coraz liczniejszymi łatami słyszałam już muzykę, skłoniłam się witającym i za Kazimierzem podążyłam w stronę skocznych dźwięków.

Świece już dogasały, niektórzy przysypiali po obfitym posiłku za stołem, kiedy zdrożony posłaniec niemal zerwał zasłonę u wejścia.

– Panie, wieści od namiestnika Olbrachta!

Serce załomotało mi ze strachu, muzyka umilkła i wszyscy w namiocie wstrzymali oddech. Przybyły padł do nóg królowi.

– Pan mój każe przekazać, że pokonał pięć tysięcy Turków pod Kopystrzyniem, a ich dowódcę kazał ściąć! Na chwałę Korony!

Kazimierz siedział przez chwilę, jakby ważył każde usłyszane słowo. Nagle powstał i wykrzyknął:

– Słyszeliście?! Słyszeliście?! Mój syn! – grzmiał z uniesionymi rękami. – Zwycięzca! – Ścierał łzy z oczu. – Olbracht! Mój syn! *Vivat!* – Uniósł mnie. – Elżbieto!

Kręciło mi się w głowie ze szczęścia, dumy i wzruszenia. Tak niespodziewanie! Synek mój kochany!

– *Vivat!* – zakrzyknęłam sama cienkim, drżącym głosem i wniosłam kielich w stronę synów.

Zauważyłam, że Aleksander także wznosił toast, ale resztę nocy, kiedy wszyscy ożywieni nowiną wzmożli świętowanie, siedział zaszępioty. Zawsze z tyłu, zawsze posłuszny, grzeczny, rozsądny i ułożony.

*

Kiedy wjeżdżaliśmy po drewnianym moście do grodzieńskiego Domus Regiae⁵², zrównałam swego wałacha z ogierem Aleksandra i pochyliłam się w stronę syna.

– Zajrzyj do mnie w dogodnym momencie – powiedziałam ciepło.

– Tak, matko – odpowiedział, jakby nieobecny.

Weszłam powoli do swojej starej komnaty i rozejrzałam się po znanych kątach, w których czaił się największy ból mego życia. Ujrzałam zmarłego synka, jak siedzi przy tym stole, pisze płynnie i zgrabnie, jak starszy stoi pod oknem i śmieje się razem ze mną, a potem jak patrzy z żalem i strachem...

Zobaczyłam, że ktoś przygotował dla mnie dębowe wieńce. Dotknęłam suchych, martwych liści. Zamknęłam oczy.

– Matko?

Drgnęłam.

– Ach, to ty, Aleksandrze, wejź, kochany. – Wyciągnęłam do niego rękę. Pochylił się i ucałował me dłonie. Patrzył wyczekująco.

– Wzywałaś mnie.

– Usiądź. – Wskazałam mu wygodne krzesło. – Wiem, skąd żal na ciebie przychodzi – zaczęłam.

– Nie mam żalu, że Olbracht namiestnikiem i splendor na niego padł...

– Wiem... – Uśmiechnęłam się. – Jeno że masz dwadzieścia sześć lat, Władko od szesnastu jest królem Czech, nawet Fryderyk będzie biskupem, czyż nie o to?

– Tak. – Zmarszczył brew. – I między pannami tylko siedzę.

– A nie wiesz, że ojciec od dawna o tobie zamyśla?

Ożywił się.

– Jakże to?

– Pamiętasz, jak z dawna chciał cię ożenić z córką Iwana Srogięgo, Heleną?

– Ale po to tylko, by Iwan nie sprzymierzył się z Habsburgami! – Machnął ręką rozczarowany.

– A pomyślałeś, że Iwan nie wydałby córki za królewicza bez żadnego nadania? Że wydałby jedynie za równego sobie? Za kogo?

Patrzył na mnie, a oczy jego robiły się coraz większe, aż wyszeptał:

– Za wielkiego księcia Litwy! Wielki książę?! – Złapał mnie za ramiona. – Mateczko? Wielki książę?!

– Na miły Bóg, nie wygadaj się przed nikim, a zwłaszcza przed królem, bo język mi utnie – śmiałam się.

*

– Nie wiesz, królowo, czemuż to Aleksander wgapia się we mnie jak w obraz jaki? – zapytał Kazimierz, kiedy wieczorem gramolił się do łóża.

Odwrociłam twarz do kominka.

– Pewnie za tego nowego konia...

– Tak mu się spodobał? – Król zrobił zdziwioną minę. – To dam mu drugiego – mruknął i po chwili usłyszałam chrapanie.

1489

Dwa lata, dwa lata czekaliśmy, by zobaczyć naszego Olbrachta! Od dawna wyglądaliśmy go w Krakowie. Król, radosny po podpisaniu dwuletniego rozejmu z Turkami, niecierpliwie wypatrywał syna. Staliśmy już na dziedzińcu, słyszeliśmy radość tłumów, trąby na Grodzkiej, końskie kopyta na bruku! Jest! *Tubatores* zagrzmieli, kiedy Olbracht przejechał pod bramą. Jakiż piękny! W złotej zbroi, radosny! Twarz jego niemal czarna, spalona słońcem! Zsiadł. Jaki szczupły, mocny! Szedł krokiem zwycięskiego drapieżcy, zaśmiał się i wyciągnął ramiona do ojca.

Teraz dopiero zauważyłam, jaki drobny i słaby był już król przy synu. Olbracht uniósł go w uścisku. Wreszcie moja kolej! Wtuliłam moje stare ciało w twardą, miążdżącą zbroję. Co za radość, co za szczęście! Co za zwycięzca! Olbracht wzniósł ramiona, obracał się powoli i pozwolił wielbić się całemu Krakowowi.

– Całuję rączki biskupa krakowskiego! – huknął po chwili do ledwie dwudziestoletniego Fryderyka.

Fryderyk ostentacyjnie wyciągnął palec z pierścieniem i ze śmiechem padł w ramiona brata.

– Zygmun! Tyś też niezły byczek! – Poklepał po karku dorównującego mu posturą brata.

– Aleksandras! – Przystąpił do wzruszonego młodszego brata i długo stali w uścisku.

– Panny moje! – Rozpostarł ramiona. – A cóż to, boicie się brata?! Zaraz to całować twarz piękną moją! – Nadstawił speszonym młodziutkim siostrzom policzek.

Chichocząc, Anna, Barbara i Elżbieta zbliżyły się do niego, na co ten uniósł trzy na raz!

– Dzisiaj tylko ze mną siostry tańczą! – Zakręcił się z nimi na bruku, wywołując tym prawdziwe, niepoahamowane uwielbienie dworu.

*

Zadzierałam głowę przed wielką purpurowo-złotą mapą. Dotknęłam delikatnie wypukłości haftowanej dawno temu przez Jadwigę. Nie lubiła tej pracy. Uśmiechnęłam się do wspomnień.

Śledziłam wzrokiem doskonałą biegnącą w górę linię, aż dotarłam do Księstwa Pomorskiego. Wyjęłam z ukrytej kieszonki list, który dostałam przed kilkoma dniami, i z przyjemnością wciągnęłam jego zapach. Doskonały drogi papier z zapieczonymi fiołkami pachniał wiosną. Ponownie ostrożnie rozłożyłam kartę zapisaną po łacinie ładnym, wyrobionym pismem.

„Może zdziwią Was, Najjaśniejsza Pani, słowa, które ośmielam się kreślić, i jeśli pomysł mój zbyt zuchwały, kaźcie spalić ten skrawek, potem wybaczcie i zapomnijcie.

Zapewne wiecie, że syn mój Bogusław, władca Księstwa Pomorskiego, owdowiał niedawno. Rzecz to częsta, ale niezwykle bolesna, zważywszy na losy jego zmarłej małżonki, Małgorzaty. Ta, opętana przez Szatana albo wrogiem nasłanym będąc, małżonka swego wszystkie dziecięcia jeszcze w łonie wcześniej zabijać kazała medykwowi, każąc wierzyć memu synowi,

że ród Gryfitów wymrze bezpotomnie. Kiedy dowiedział się o jej haniebnych uczynkach, w rozpacz popadł. Zdradzony i oszukany, kazał ją uwięzić, a medykwowi uciąć głowę. Po śmierci jej niedawnej co dzień patrzę i widzę, jakby go coraz mniej było, i serce matki ledwie całe się trzyma. Księstwo tylko za sprawą jego – ludne i bogate”.

– Jezu Nazareński! – Na widok ogromnych dochodów księstwa znowu musiałam przysiąc.

„Cóż z tego, bo szczęścia nie ma i tylko z rozpaczą dzieli puste łoże. Znać go, Pani, i wiecie, że dobry i prawy to chłopiec”.

– Chłopiec – mruknęłam. – Toż on starszy od Władka.

Ale pamiętałam mądre i miłe pacholę jeszcze ze szkoły długoszowej i pięknego rycerza na pasowaniu.

„Dlategoż pytam z czołem przy ziemi, Najjaśniejsza Pani, Was, matkę miłującą swe dzieci, czy któraś z córek Waszych nie zechciałaby zostać panią na Księstwie Pomorskim? Jeśli zbyt zuchwałam, to nie miejcie do mnie gniewu, że kochając swe dziecię, chcę żony najlepszej, najlepiej wychowanej, bogobojnej i najczystszej serca, bo tylko niewiasta godna przywróci mu życie. Jeśli zrobić mam co, to zrobię dla dziecięcia mego wszystko!”

– Wiem! – Zapłonęłam gniewem na wspomnienie Zofii, która dla ratowania właśnie dzieci swoich chciała nawet uwieść króla!

Po zuchwałej prośbie znowu wymieniła dochody księstwa, potem cnoty syna, pisała, że Bogusław nie wie o tym liście i jeszcze raz przypomniała, że pomocna być może w wielu rzeczach, nawet gotowa sfinansować wesele młodych.

– Mądra i sprytna. – Musiałam przyznać niechętnie.

Pierwszego dnia po otrzymaniu listu propozycja Zofii, niegdyś przeze mnie nazwanej murwą, wydała się haniebnie niestosowna, drugiego dnia,

po kolejnym czytaniu – ciekawa, a trzeciego zaczęłam przyglądać się mojej Annie.

– Toż nie ma czternastu lat nawet! – powiedział zdziwiony Kazimierz, kiedy oboje patrzyliśmy na siedzącą przy stole córkę.

– Ale wygląda na siedemnaście, wysoka jak niejeden mąż, a i kształtna nad wyraz. Poczekamy jeszcze rok do jej pełnoletności. – Uniosłam złoty kielich i upiłam spory łyk wina. – I wydamy ją za Bogusława Gryfitę, Księcia Pomorskiego.

1490

Z daleka już słyszałam głośną i roześmianą grupę młodzi wracającą z przejażdżki. Zsiadłszy z koni, pędzili przez wielką salę jak wesoła kula, omal nie przewracając matron z mego orszaku.

Anna, jak zwykle na przedzie, zaróżowiona i szczęśliwa dopadła mych rąk. Błękitna, wysadzana perłami suknia ze srebrnym lamowaniem pięknie podkreślała jej popielate włosy i wielkie piwne oczy. Królowna parsknęła śmiechem.

– Szafraniec musi biec osuszyć się po przymusowej kąpieli!

Młody Szafraniec nie spieszył się; pewnie kroczył w przemoczonej koszuli, prężąc jak tygrys swą potężną pierś. Skłonił się ledwo i obdarował mą córkę powłóczystym spojrzeniem, trącając kciukiem dzwoneczki u srebrnego pasa na lędźwiach.

– Błazen – burknęłam.

– To prawda! – zaśmiała się Anna.

Chwyciłam ją za rękę.

– Za mąż idziesz w przyszłym roku.

– Tak? – Jej oczy nie przestawały się śmiać.

– Za Gryfitę.

– A on świątły? Mądry? Wesół? Za barbarusa nie pójdę. – Spoważniała i pochyliła głowę. Zaczęła nerwowo skubać koniuszek szpicruty. Wciąż szybko oddychała po zabawie.

– Tak mówią.

– To i dobrze. – Wyrwała dłonie z moich rąk, uniosła suknię i pobiegła przed siebie. – Małgorzato, Małgorzato, słyszałaś?! – zawołała za swą towarzyszką zabaw.

Barbara, niezauważona przez siostrę wśród mego fraucymeru, patrzyła za nią z zazdrością.

*

Korwin umarł. Ten, który zabrał nam połowę życia, nie żył. Ten, który odebrał nam tron, sen, który zdradzał, bił, kłamał, lżył, mącił, groził, grabił – nie żył.

Oderwałam wzrok od kamiennej altanki za oknem i spojrzałam na milczących zebranych w Kurzej Nodze. Wszyscy patrzyli na króla.

– Opróżniony tron na Węgrzech czeka. Teraz ruch należy do ciebie. – Podniósł wzrok na namiestnika Rusi. A temu drugi raz powtarzać nie trzeba było.

*

– Kto zainteresowany tronem po Korwinie oprócz Olbrachta? – zapytałam u siebie mego ochmistrza Marcisza, kiedy namiestnik ruszył na Węgry.

– Jan Korwin, syn zmarłego króla...

– Nieprawdy. – Machnęłam ręką.

– I księżę Maksymilian Habsburg...

– Jakżeby inaczej! – prychnęłam. – I? – zapytałam, bo błędził wzrokiem daleko od mej twarzy. Odchrząknął.

– Król Czech.

– Kto?! Nasz Władko? – Zerwałam się z podwyższenia. – Przecież Olbracht już pojechał na Węgry i obwołany królem przez szlachtę!

– Król Władysław wybrany przez możnych. – Marcisz z Wrocimowic rozłożył ręce. – Zresztą królowa Beatrycze poparła króla Czech w zamian za małżeństwo.

– Co? Przecież on żonaty u Hohenzollernów, z Barbarą.

– Tylko *per procura*...

– Ale żonaty! – krzyknęłam.

Skłonił się układowo, pozwoliłam mu odejść.

– Musi się wycofać! To niepodobna! Cóż ten Władko? Kto go skłonił do takiego ruchu, skoro on nawet z własnej sypialni nieskory wychodzić? – pytałam sama siebie w drodze do króla.

– Węgierscy panowie radzi królowi Czech, bo łatwo nim sterować, zrobi, co zechcą. Taka prawda! „Król dobsze, dobsze”, słyszałeś, jak go nazywają?! Kto go skłonił? Szachistka? – Krążyłam po królewskiej kancelarii. – Myślisz, że oni razem...

Zatrzymałam się, poruszona absurdalną myślą. Kazimierz przez cały czas wodził za mną wzrokiem i odezwał się, kiedy umilkłam:

– Elżbieto, nasi synowie ruszyli przeciw sobie.

– Co? – Patrzyłam na małżonka jak na szalonego. – Władysław i Olbracht – musiałam nabrać powietrza – przeciw sobie?!

– Na to wygląda.

Usiadłam, bo myślałam, że serce moje w jednej chwili rozpuścił ból i żal tak ogromny, że serca już nie ma. Albo lepiej by było, gdybym go nie

miała i nie czuła wstydu, rozczarowania, wściekłości i strachu.

– Przeciw sobie, przeciw sobie. Władysław oszalał! – powtarzałam całymimi dniami.

Pozostało jedynie negocjować. Między braćmi... Widziałam, jak Kazimierz zapadał się w sobie ze zgryzoty, kurczył się, jakby znowu brał udział w wojnie, ale wojnie najcięższej w swym życiu. Wojnie między swymi dziećmi.

1491

Rok trwało, zanim dzięki ojcu pokój w Koszycach zawarli Olbracht i Władysław. Nieważne, co dostał Olbracht, ważne, że Władysław dostał Węgry. Węgry i Czechy.

– Ożenił się?! Jak to? Z Beatrycze? Toż to bigamia! A Olbracht złamał ugodę? Grabi i morduje na Słowacji?! – Ukryłam twarz w dłoniach. – Oszuści, krzywoprzysięzcy, zdrajcy! – Wybiegłam z wileńskiej komnaty.

– Nakazuję Olbrachtowi wracać! – usłyszałam jeszcze za sobą głos Kazimierza.

Nocami płakałam w ramionach króla.

– Zgroza, sromota i hańba!

1492

– Nie usłuchał mnie... Mój Olbracht zdradził – powtarzał Kazimierz każdego dnia. Tracił apatyt i wigor. Wysiadywał na krześle zapatrzony w okno, nie chciał słuchać muzyki, jeździć w las ani chodzić do swoich ptaków. Barbara i Elżbietka głowy pchały pod jego pachy jak szczenięta, prosząc o krotochwile, ale tylko uśmiechał się i odsyłał je do piastunek.

– Kazimierzu, nie odstępuj mnie... – powiedziałam przerażona ze łzami w oczach któregoś dnia, kiedy nawet do łaźni iść nie chciał.

– Aleksander, Zygmunt! – zakrzyknęłam ze zgrozą, kiedy ujrzałam, że wzrok króla nieobecny, a nogi jego grube jak słupy.

Siedział w łóżu, medycy krwi mu upuścili i wzrok jego z powrotem stał się jasny. Weszłam, a zebrani przy wezgłowiu króla panowie litewscy w pokłonach opuszczali komnatę.

– Olbracht nie przyjechał? – zapytał mój mąż mocnym głosem.

– Jeszcze nie – odparł Zygmunt i wstał ze skrzyni.

Odprowadziłam go wzrokiem do drzwi. Potężny jak Olbracht, łagodny jak Aleksander, zmyślny jak Fryderyk, ale bez żadnego nadania, myślałam z troską.

Odwróciłam się do Kazimierza.

– Anna pisała. Że szczęśliwa. – Ucisnęłam dłoń króla. – Małżonek w niej zakochany, jakby tyle samo lat miał co ona! Na dniach dziecię mu

urodzi, a on jej za to zamek buduje!

– A to niewdzięcznik, tylko zamek?!

Roześmialiśmy się. Cieszyłam się, że wraca mu dowcip.

– To dobrze, dobrze... A co u Jadwini i Zosi? – zapytał.

– U Jadwigi bez zmian. A Zofijka dziesiąte dziecko powiła!

– Bez zmian... – powtórzył smutno. – Elżbieto – wyszeptał. – Zabierz mnie do Grodna.

Po chwili zwrócił się do Aleksandra z uśmiechem:

– Ty zostaniesz już tutaj, w Wilnie, wielki książę.

Aleksander bez słowa ukląkł przy Kazimierzu i ucałował z czcią i wdzięcznością rękę króla.

*

Pierwszy raz przygotowano kolebkę dla króla, nie dla mnie.

– Przyznaj się, czyje dziecko nosisz? – pytałam, kiedy wyjeżdżaliśmy z Wilna i sadowiłam się w jego kolebce.

– Uwiódł mnie koniuszy. – Zaśmiał się z wyraźnym trudem.

On coraz słabszy! W Grodnie musi się podnieść! Lodowaty strach zmroził moją duszę.

– A w rzeczy samej, ładny chłopiec – ciągnęłam żart, choć trwoga wstrzymała mi dech. Mówił coś do mnie, nie słyszałam, ukryłam się za jego głową i pozwoliłam łzom kapać bezgłośnie. Na postoju w ciemności objęłam małżonka i naraz sobie przypomniałam: nawet nie pożegnałam się z Aleksandrem!

*

– Gdzie ta woda! – Rozsierdzona chodziłam po namiocie.

– Źródło wyschło. Pojechali do drugiego, daleko. – Pokojowiec skłonił się i podał mi stary kubek króla. Pomogłam upić choremu kilka łyków.

– Wygląda jakby lepiej, kiedy odpoczął od kolebki, czyż nie? – pytałam Dorotę.

Jej spojrzenie nie dodało mi otuchy.

– Czyż nie?! – Popatrzyłam na nią ze łzami w oczach. Pierwszy raz podniosłam na nią głos.

Podeszła i poprawiła mi płócienną czapeczkę, jak którejś z moich córek. Uśmiechnęła się jak zwykle.

– W Grodnie na pewno będzie lepiej.

Cały dzień siedziałam przy łożu króla. Wieczorem dźwignęłam się z krzesła obolała, upiłam łyk wina, zdjęłam z ulgą sztywny czepek, usiadłam i sięgnęłam po szczotki. Spojrzałam na obcą, opuchniętą, sinoblada twarz w zwierciadle i zaczęłam czesać włosy, szybciej, coraz szybciej i mocniej. Ze zdziwieniem zauważyłam krew na skroni.

– Pani! – zakrzyknęła strwożona dwórka.

Odwróciłam się do Kazimierza. Spał spokojnie. Pozwoliłam zrzucić z siebie królewskie szaty, położyłam się w łożu i wtuliłam twarz w plecy małżonka.

Zasnęłam tak mocno, że obudziło mnie jaskrawe słońce padające przez rozsunięte tkaniny. Nawet nie słyszałam, kiedy weszli słudzy. Dotarł do mnie ostry zapach żelaza. Wystraszona usiadłam w łożu.

– Kazimierzu?! – krzyknęłam.

Król leżał ściśnięty bólem z podkurczonymi nogami i dłońmi pod brodą. Drżał w gorączce.

– Chryste! – wrzasnęłam na widok czerwobrunatnych plam na prześcieradle i mojej koszuli.

– Niemoc czerwona – potwierdził drugi medyk przybyły z Krakowa, kiedyśmy układali króla na łożu w grodzieńskiej sypialni.

Zatkałam dłonią usta, by nie krzyknąć. Widziałam, jak cały dwór pchał się do komnaty, jedni z troski, inni z ciekawości. Szeptali i gapili się.

– Wyjść, wyjść wszyscy! – wykrzyczałam z ledwo hamowaną złością.

Sama pielęgnowałam Kazimierza, tylko to dawało mi ukojenie. Kiedy oddalałam się od niego choć na chwilę, pojawiał się strach. Taki strach, jaki czułam dawno, bardzo dawno temu, gdy byłam bardzo mała, nawet nie pamiętam kiedy. Często śniłam, że lecę w dół do czarnej dziury, ale nigdy się nie bałam w tym śnie, bo wiedziałam, że zaraz wyciągnie się do mnie silna ręka, która mnie uratuje. Teraz śniłam ten sen, ale nikt ręki nie wyciągał, spadałam dalej i strach bolał tak bardzo, że budził mnie własny krzyk i mokre prześcieradło.

– Nic już poradzić nie mogę – powiedział medyk Izaak i spojrzał na króla, który chudł i kurczył się z każdym dniem. Kazimierz nie jadł, cierpiał i jęczał, nieustannie ulewała się z niego krew i ropa.

– Zróbcie coś! Nawet czary! – błagałam medyka przerażona.

Ten skłonił się tylko i usiadł bezradnie w głębi komnaty wypełnionej boleścią chorego.

– Można by posłać do bernardynów. Może oni co pomogą? – odezwał się Kallimach.

Izaak spojrzał na niego z wyrzutem.

– Myślicie, żeśmy nie zrobili wszystkiego? – powiedział podniesionym głosem drugi medyk, Jacob.

– A jak nie zrobiliście? – odparował Włoch.

– Zamilczcie, na miły Bóg. Poślijcie po kogokolwiek. Zróbmy, co możemy – wysyczałam do mężów.

Zjawilo się więc trzech zakonników. Wprowadzono ich od razu do królewskiej sypialni. Bez słowa stanęli w nogach łoża i zaczęli węszyć jak psy. Skończyli dopiero, kiedy Izaak odchrząknął i stanął w rozkroku, dając im do zrozumienia, że uważnie będzie się przyglądał ich czynom.

– Po posiłku postanowimy – powiedział jeden z nich.

Skinęłam głową i odprowadzono gości do sąsiedniej komnaty.

Izaak chodził z kąta w kąt, gotów na mord na duchownych. Ja podrywałam się z każdym dźwiękiem dobiegającym z sali obok. Spojrzałam błagalnie na Kallimacha, a ten wreszcie posłał po trzech mędrców.

– Zalecamy gruby chleb i pieczone gruszki – odezwał się znowu ten sam, ocierając usta.

– Gruszki?! – Jacob skoczył jak żbik do zakonnika. – Zabić króla chcecie?!

– Nie musicie słuchać naszych rad. Aleście sami nas wezwali. Nie podacie, to król umrze – odpowiedział zakonnik spokojnie, wpatrzony w buty medyka. – Pod wasza opieką – dodał i spojrzał mu w twarz.

– Podajmy te gruszki – szepnęłam.

Rzeczywiście krwi i skurczów było mniej przez czas jakiś.

– Pan ojciec lepiej? – wypytywały strwożone królewny.

– Tak, tak. – Uśmiechałam się niepewnie; nie chciałam utracić tej cienkiej nici nadziei ani odbierać jej dzieciom.

Zygmunt odciągnął mnie na stronę, widziałam, jak Barbara wyciąga szyję w naszym kierunku. Czujna Dorota podeszła do niej i odprowadziła ją w stronę okna.

– Prawdę żeście rzekli? – zapytał ze strachem.

– Prawdę, synku – powiedziałam cichutko, by choroby nie przywołać z powrotem. – Zabierz siostry konno w las, na łąki, daj rozrywkę, zagraj im, niech poczytają. Zabierz je stąd! – błagałam.

– Nie trzeba, by ostały na czuwaniu? – upewniał się.

– Nie, nie, ja ostanę. – Wtuliłam twarz w jego dublet. – Nie chcę, by patrzyły na jego cierpienie.

– Mówiliście, że ozdrowieje...

Puściłam go i przeszłam parę kroków. Uniosłam głowę, by łzy nie wylały się z wilgotnych oczu. Uśmiechnęłam się do Zygmunta.

– ozdrowieje, na pewno.

Wróciłam do króla i wpęzłam do niego na łożo. Odesłałam wszystkich. Myślałam, że śpi, ale poczułam jego wychudłą, długopalcą dłoń na mych włosach. Zanurzał się w ich miękkość delikatnie, tak jak lubił. Zamknęłam oczy, uniosłam rękę, odnalazłam jego twarz i palcem wolno wodziłam po jego czole i dalej, przez piękny nos do ust. Ucałował delikatnie wnętrze mej dłoni. Nie mogłam wstrzymać szlochu.

Po Wielkiejnocy 1492 roku medyk pochylił się nad leżącym królem.

– Jest jeszcze jaka nadzieja? – wyrzęził Kazimierz.

Jacob Zaleski pokręcił głową.

– Więc tedy umrzeć... – powiedział jeszcze ciszej król.

Diabeł go opętał! Co on mówi! Cofnęłam się struchlała w kąt komnaty i upadłam do żarliwej modlitwy.

Nad ranem straszliwy jęk wypęzł z wycieńczonej piersi króla i kurcz targnął nim raz, drugi i trzeci...

W czerwcową noc budził się i zasypiał w boleściach. O świcie wyciągnął rękę w stronę słońca i uśmiechnął się. Przyłgnęłam do niego z całej siły.

– Elżbieto... – zawołał mnie z trudem. – Odstąp mnie już, Elżbieto – wyszeptał.

*

Jechałam do Krakowa za trumną króla. Siedziałam sama, a czerń jak przyjaciółka otulała mnie nieistnieniem. Spojrzałam na inkrustowaną szkatułkę trzymaną na kolanach i z czułością pogładziłam jej wieko. Nasłuchiwałam dźwięku upręży, parskania i kopyt królewskiego konia. Dziwne, ale nic nie słyszałam. Choć przez chwilę... nie, to *cubicularius*. Przecież Kazimierz nie żyje.

– Bzdura! – Zmarszczyłam się sama do siebie. – Nie żyje! – wykrzyknęłam głośno, abym sama to usłyszała. Bzdura, zaraz powie coś zabawnego albo głupiego, albo wrzaśnie, bo znowu coś gdzieś... – Bzdura – powtórzyłam cicho i utonęłam w futrach.

Kiedy zasypiać mi przyszło w strasznym ciemnym namiocie samej, pewna byłam, że zaraz wejdzie, sam zechce się rozebrać, ponarzeka na miliony guzików, poburczy, ucałuje mnie albo nie, zawinie się w kokon albo nie da mi spać.

Usiadłam. W łóżu było za dużo miejsca. Ostrożnie, by nie zbudzić panien, ułożyłam z poduszek obok siebie wałek i wtuliłam się w kazimierzową kołdrę. Nie poczułam jego zapachu.

– Jaka ja jestem stara, Kazimierzu! – szepnęłam rano do zwierciadła.

Miałam pięćdziesiąt sześć lat, garb jak tamten namiot i twarz niepodobną zupełnie do nikogo!

– Gdzie moje dzieci, gdzie nasze wszystkie dzieci, Kazimierzu... – Ścisnęłam policzki, żeby ukryć zęby. Robiłam tak, odkąd pojęłam, że jestem brzydka. – Kim teraz jestem? Kim jestem bez ciebie? – mamrotałam.

– Nie oszalałam – odpowiedziałam na dziwne spojrzenie dwórki, która wsunęła się do namiotu. Skłoniła się pięknie całą swą młodością.

– Posiłek gotowy, pani.

– Przyślij królowy i królewicza Zygmunta. Dwór i goście niechaj zjedzą bez nas.

– Tak, miłościwa pani.

Pomasowałam twarz, jak zawsze przed ceremonialnym wystąpieniem, by pokazać poddanym uśmiechnięte oblicze. Teraz masowałam twarz dla moich dzieci, by nie przysparzać im cierpienia, a dodać ducha, jak powinna królowa i matka.

To ich smutne buzie prawie odebrały mi dech. Objęłam całą trójkę i po raz setny od wczoraj ucałowałam ich głowy. Kiedy Zygmunt i prawie dorosła Barbarka musieli się do mnie pochylić, zaśmialiśmy się delikatnie.

– Miałeś doskonały pomysł, Zyguncie – powiedziałam i zerknęłam na szkatułkę.

Królewicz uśmiechnął się zadowolony i skłonił leciutko. Zmarszczyłam brwi, kiedy syn podał mi chleb.

– Chyba nie pożegnałam się z Aleksandrem.

Naraz dziewczynki wybuchnęły śmiechem.

– Z rąk go nie chciałaś wypuścić! Nie pamiętasz? – spytała zdziwiona Barbara.

Elżbietka potaknęła zamasyście głową. Wzniosłam ręce.

– Ależ królowa ma dziurawy rozum!

Wszyscy roześmiali się serdecznie. Dzieci bardzo tego potrzebowały. Dorota puściła do mnie oko.

Jesteś tu? Przyjdiesz? Usiądziesz? Siedziałam w turkoczującym wozie i czekałam na męża. Wciąż nie czułam, żeby umarł, przeciwnie – pewna

byłam, że zaraz przyjdzie, wejdzie albo pochyli się do mnie z siodła i pogwarzyemy...

Tylko nocami bałam się bardzo, kiedy wyciągałam rękę, by przytulić się do jego piersi, a napotykałam pustkę i lodowate prześcieradło.

*

Strata, tak wygląda strata, rozmyślałam, kiedy poczułam drżenie ziemi. Nie tylko ja, bo wozy stanęły. Zbrojni? Serce mi zadrżało razem z kolebką. Tutaj?

Wychyliłam się z wozu; dworscy i służba kręcili się niespokojni, ktoś krzyczał, stara niewiasta w głębi orszaku zaczęła lamentować. Dudnienie i huk końskich kopyt narastały. Boże, to niemożliwe, pomyślałam, gdy ujrzałam sylwetkę jeźdźca na przedzie.

– Olbracht! – wrzasnęłam, nie panując nad sobą.

Wyskoczyłam z wozu, chwyciłam suknię i zaczęłam biec w stronę nadjeżdżających. Zrobił się straszny tumult, dworscy próbowali mnie zatrzymać, ale mój syn już zsiadał z konia.

Porwał mnie w ramiona i zapłakał.

– Nie zdążyłem! Matko, nie zdążyłem?! – Przerażony spoglądał z moich objęć na zapieczętowany sarkofag.

Wyszarpał się i dopadł trumny. Stał osłupiały, a po chwili zrozpaczony zaczął krążyć wokół niej. Dopiero wtedy zauważyłam, jak schudł, jaką pooraną ranami i zmarszczkami miał twarz. Wyglądał jak starzec!

Patrzyłam, jak je i pije barbarus, co niewinnych wyrzynał na Słowacji. Zygmunt i siostry nie rzucili mu się na szyję. W ciszy obserwowali brata jak jakiego obcego. Zaśmiewał się i próbował ich bawić. Kazał grać muzykom!

– Dość! – Podniosłam się z krzesła i kazałam mu przyjść do mnie.

Nachmurzony wstał z rumorem, wychylił na raz cały kielich i podążył za mną.

– Gdzieś był, że nie zdążyłeś?! Miesiącami cię wyglądał! Marniał przez ciebie! O ciebie wciąż pytał! Ciebie wyglądał! – Żal i wściekłość zalały w jednej chwili moją duszę, kiedyśmy weszli do mego namiotu.

– Nie mogłem! Napadli na mnie! – warknął. Kopnął krzesło i usiadł na nim okrakiem.

– Kłamca! – szlochałam.

– Najpierw wysłaliście mnie tam! – Wskazywał gdzieś wyciągniętą ręką. – A potem zostawiliście! Bez pomocy, bez posiłków! – wyliczał na palcach.

– Boś umowę skałał! Jak kmieć bez honoru!

Zerwał się i stanął nade mną.

– Moje miały być Węgry! – wrzasnął zrozpaczony.

– Aleś przegrał! Król kazał ci wracać! Nie posłuchałeś króla! Nie posłuchałeś ojca! Dlaczego...

Opadłam z sił.

– Nie mogłem, nie mogłem, to moje miało być... – Rozszlochał się jak dziecko.

Objęłam go i całowałam jego brudne włosy.

– Do łaźni ci trzeba – powiedziałam, kiedy żal i złość opadły. Jeszcze raz pocałowałam jego brudną twarz.

*

Zajrzałam do niego i zatrzymałam się w progu lekko spłoszona. Dwie niewiasty wystrzeliły z olbrachtowej wanny równie zawstydzone.

– Mateczka! – Wyciągnął do mnie ręce, chyba rozbawiony sceną.

Zawsze dziwiłam się, kiedy z żalu potrafił szybko przejść w radość i odwrotnie.

– Aaaa... – Nurzał się w brudnej wodzie. – Z czym przychodzicie? – zapytał, jakby wszystko było mu wybaczone i jakby zaczynał dzień niczym pacholę po odbytej karze.

Ciągle stałam w progu, po czym wycofałam się bez słowa.

Przyszedł do mnie pod koniec dnia, nie zjawiał się na wspólnych posiłkach, jadał w obozie swego wojska.

Ręce trzymał z tyłu i bujał się na stopach z szyderczą miną.

– Chyba nie chodzi wam o te niewiasty, nie możecie być tacy święci, w końcu trzynaścioro dzieci z kapusty nie...

– Milcz! – krzyknęłam wstrząśnięta.

Uśmiech nie zniknął z jego ust; podszedł do stołu i sięgnął do szkatułki.

– Co tam jest? – Miał zamiar ja otworzyć.

– Maską pośmiertną twego ojca.

Skrzywił się i zrezygnował z oględzin.

– Po co?

– Chcę, by Wit Stwosz wykonał jego nagrobek. Chcę, by wyglądał jak za życia.

Uniósł lekko brwi i tak jak ojciec przesunął ręką po łysinie. Zdziwił się, kiedy zobaczył łzy w moich oczach.

– Co?

Uśmiechnęłam się.

– Nie, nic.

– Mówił co o mnie? – Odwrócił się i wodził palcem po wzorze na kobiercu.

– Tak. Nieustannie.

Spojrzał na mnie, bo nie wiedział, czy to drwina.

– Mówił. Bez przerwy – powtórzyłam. Znowu odwrócił się do wzoru na oponie.

– Co mówił?

– Chciał ci to sam powiedzieć. – Patrzyłam na jego plecy. Widziałam, jak napiął mięśnie. Milczeliśmy oboje.

– Ciebie naznaczył na swego następcę – powiedziałam w końcu i wyszłam.

*

Leniwy mrok nadchodził powoli, a byłam taka zmęczona, taka zmęczona! Chciałam już tylko opaść na łożo i spotkać we śnie męża. Ciepły blask cichych świateł przyzywał mnie i niemal usypiał w drodze z ostatniego nabożeństwa. Kiedy już prawie czułam miękkość pościeli, w progu namiotu ochmistrz szepnął mi do ucha:

– Mówią, że jaki młody żołnierz królewicza Olbrachta od śmierci niechybnej w bitwie uratował.

Sen mnie odszedł w jednej chwili.

– Prawda li to? – zapytałam strwożona. – Od niechybnej śmierci? Przeprowadź go – powiedziałam. Marcisz skłonił się i zniknął między miękkimi oponami.

– Matko Przenajświętsza – szeptałam do siebie, kiedy służka zakładała mi nieładne, ale wygodne cizmy. Chwila nie upłynęła, a drgający płomień zdradził obecność obcych w namiocie. Machnęłam ręką.

– Wejść.

Niepewny cień zbliżył się powoli.

– To wyście namiestnikowi Olbrachtowi życie w bitwie uratowali? – zapytałam długiego i chudego jak kij młodziana stojącego między zasłonami.

– Tak, miłościwa pani – odparł cicho, kiedy zobaczył, że jest sam na sam z królową.

Ledwo się powstrzymałam, by nie paść na kolana i nie obłapić jego stóp. Zamiast tego wstałam ciężko z fotela i przysiadłam przy stole. Patrzył na mnie starą, siedzącą w płaskim czepcu, luźnej szubie i miękkich łapciach. Patrzył na zwykłą niewiastę w leciech, która zapewne niczym nie różniła się od jego babki. Uśmiechnęłam się.

– Jak was zwa?

– Jerzy Krupski – odpowiedział jeszcze ciszej.

– Opowiedz, jak to było.

– Zwyczajnie, dwa konie pod królewiczem padły, trzeci w brzuch raniony, a przy tym pan mój miecz złamał. To podrzuciłem mu swój i obronić się mógł...

Zaczęłam drzeć. Chwyciłam się krawędzi stołu.

– Dziękuję ci, panie... – Tyle mogłam wyszeptać przez zaciśnięte gardło. – Dzięki składam na ręce wasze jako matka. Możesz odejść, ale przedtem żądaj, czego chcesz.

– Ja nie dla nagrody... – powiedział urażony.

– Wiem, synku. Przekaż rodzinie swojej, że odtąd jest pod moją opieką.

– Wstałam i dodałam z uśmiechem: – A choć gościnę przy stole moim jutro przyjmiesz?

– Przyjmę – odparł, swobodny już.

– To i jestem wielce rada, a teraz idź już.

Chłopiec oddalił się, a ja dłońmi zasłoniłam twarz.

– Od śmierci, od niechybnej śmierci... Boże! – Dłonią wycierałam mokre lico, ale łzy nie chciały przestać kapać.

*

Wozy jechały coraz wolniej, coraz więcej ludzi stało w czerni i ciszy na gościńcach. Już raz tak jechałam, przed trzydziestoma ośmioma laty. Wtedy też sunęłam wśród tłumu przerażona i niepewna swej przyszłości. Boże, to prawie czterdzieści lat temu! To Władko ma trzydzieści sześć lat. Uśmiechnęłam się do wspomnienia jego dziecięcej buzi. Jak wygląda teraz władca dwóch państw, mąż dwóch żon? Bez potomka.

Spojrzałam na przeciwległy kraniec wozu. Ciemne sylwetki królewskich psów łypały na mnie lśniącymi oczami.

– Bura... – zawołałam cicho najstarszą sukę w sforze.

Posłuszna jak zawsze podeszła do mnie, oparła gładki łeb na mych kolanach i spojrzała na mnie z nadzieją, że zaraz pewnie pocwałujemy w las. Tak jak z królem. Dlaczego psy nigdy nie tracą nadziei? Pogłaskałam posłuszną Burą, która chyba jedyna na Wawelu urodziła więcej dzieci ode mnie. Przeciągle, cichutko zaskomlała.

– Wiem, wiem... – wyszeptałam w jej siwiejący pysk.

Olbracht wskoczył do wozu, przerywając nam pieśczęty. Miał opuchniętą twarz i czerwone oczy, ale był trzeźwy. Przeczesał włosy na karku.

– Wybiorą mnie?

– Aleksander i Władysław nie staną ci na drodze, biskup Fryderyk pomoże, zostaniesz królem Polski – powiedziałam pewnie.

Skinął tylko głową i wyskoczył z powrotem.

Nie wiedział, że wysłałam kilka listów z prośbami o poparcie jego kandydatury, wstrzymałam Władka i miałam zamiar wyposażyć oddział

jazdy węgierskiej, by wspomógł biskupa Fryderyka w negocjacjach o tron dla Olbrachta podczas elekcji w Piotrkowie. Spokojna oparłam się o miękką ściankę kolebki i zamknęłam oczy.

*

Kraków na nowo rozdrapał ból. Lament, trąby i żałobne ceremonie kurczyły mi serce. Już pierwszego dnia Kazimierz zniknął w naszej kaplicy. Głuche, okrutne tąpnięcie osadzonej trumny długo wędrowało pod sklepieniem i w mojej głowie. Niski śpiew kantorów wypełniał katedrę powoli i sennie jak gęsta mgła. Wciskał się w niewidoczne szczeliny zapomnianych krypt, pełzył pod nogami, sięgał kolan, wypełniał oczy, uszy i usta. Myślałam, że upadnę, że większej rozpaczycy nie doświadczę.

Trzeciego dnia siedziałam sztywno w świątyni, kiedy usłyszałam królewskiego konia. Wszyscy zwróciliśmy się w stronę zakutego w kazimierzową zbroję jeźdźca. Matko Najświętsza, wyglądał jak on! Kto wymyślił to okrutne widowisko?! Spadł! Spadł z konia! Zamknęłam oczy. Coś skruszyli, połamali. Podniosłam powoli powieki. Olbracht stojący pośrodku uniósł wysoko proporzec ze złamanej kopii. Jakiż on był opuchnięty! Po twarzy nabiegłej krwią kapały mu łzy. Jęk wzruszenia rozszedł się po katedrze. Koniec. Ukryłam twarz w dłoniach. Nagle poczułam mięciutką i kruchą dłoń Barbary; chwyciła moją rękę i łkając, wtuliła się w me ramię.

Spod okna naszej sypialni patrzyłam na wnętrze: na stare łoże, stół i skrzynie, które z cierpliwością znosiły setki składań i rozkładań, pakowań i rozpakowań. Wolno przemierzyłam sypialnię, małą komnatę i szmaragdową salę, delikatnie dotykałam przedmiotów, wspomnień i duchów, aż wyszłam na krużganki. Spojrzałam w stronę katedry, gdzie spoczywał mój król.

– Koniec twojej nieustającej podróży, a ja bez ciebie nigdzie się nie wybieram. I zadbać muszę o nasze dzieci.

*

– Mamy mało czasu, twój wielki ojciec odszedł w czerwcu, a elekcja przewidziana w sierpniu, lada dzień – mówiłam do Fryderyka. Podeszłam do skrzyni i wyjęłam z niej ciężki mieszek. Odwróciłam się do syna i włożyłam mu w dłonie dźwięcząca sakiewkę. – Najmiesz za to wojska węgierskiego. Dla ochrony, dla wsparcia, jeśli by ktoś zamierzał przeszkodzić obraniu Olbrachta na króla. I dla spokojności. – Niewinnie wzruszyłam rękami. – Postaraj się, byś to ty przewodził wyborom.

– Ale mateczko, tam będzie prymas...

– Już coś z Olbrachtem wymyślicie. Liczę na was.

Młody biskup zagryzł wargi. Spojrzałam mu w twarz.

– Władko obiecał nie ingerować, Aleksander ma swoje księstwo. Postarałam się o poparcie innych. – Dotknęłam swoim długim palcem sakiewki.

– Będzie tam prymas Oleśnicki, popiera księcia Janusza Mazowieckiego...

– Młody Oleśnicki – parsknęłam – a tyś Jagiellon!

Patrzył wystraszony. Ujęłam w dłonie jego szeroką twarz.

– Gdybym nie wiedziała, że podołasz, czyżbym cię wysłała?

Uśmiechnął się niepewnie, spojrzał na mieszek i schował go w szerokiej szacie.

– Zrobię, jak każecie. – Skłonił się i wyszedł.

Długo patrzyłam w ślad zanim, zapominając o oddechu. W końcu westchnęłam głęboko i uklękłam do modlitwy.

Jak każdej nocy odwiedziłam mego króla w katedrze. Kiedy i tym razem tam dotarłam, przed kaplicą zatrzymał mnie dochodzący z głębi szept. Cicho stanęłam u wejścia. Fryderyk modlił się gorąco u stóp grobowca ojca.

*

Obudził mnie dziwny szmer i skrobanie pazurków. Szczury! Zimny pot oblał me ciało. Brzydziłam się i bałam ich potwornie! Zawsze bardzo pilnowałam, by szczurołapi wyprzedzali nas w drodze o kilka dni, by pozbyć się nawet gniazd we dworach po tym czymś! Nie mogło ich tu być!

Warkot Burej nie wróżył nic dobrego.

– Małgorzato! – zawołałam piskliwym głosem.

Dwórka wbiegła natychmiast i sprawnie zapaliła świecę.

– Kocię?! – wykrzyknęłyśmy razem na widok małego kotka z łapką wyciągniętą bojowo w stronę otaczających go psów, gotowych pożreć dzielne zwierzątko na jedno moje skinienie.

Wzięłam w dłonie małego buraska. Kocię. Owszem, zawsze pełno było na Wawelu półdzikich kocurów, ale nigdy nie zakradały się do moich komnat! Malec miauknął żałośnie. Patrzyłam niepewnie na ochmistrzynię.

– Dajcie mu jeść i wykąpcie go. Co z nim zrobić? Dać Elżbietce?

Po chwili pokojowcy, łożni, pacholeta i cały rozbudzony fraucymer pochylali się z przejęciem nad wypucowanym jedzącym kocurkiem.

– No dobrze, idźcie na spoczynek, a maluch niech śpi, gdzie chce. – Patrzyłam na zwierzę ze zmarszczonym czołem. – Coś takiego... – dodałam, wracając do łóża.

Rankiem zastałam kotka zwiniętego w kłębek na królewskim łóżu i psy patrzące na mnie z wyrzutem.

– No coś takiego... – powtórzyłam. – Wyrzucę cię. – Ale wbrew groźbie wzięłam maleństwo w dłonie i pogładziłam jego zaspany łebek. Kotek wyprysnął mi nagle z rąk, pogalopował między ściany i po chwili wrócił zadowolony z uniesionym ogonem.

– Ma-a? – zapytał po kocie.

– Pewnie tak... zuchwalcze. – Przeciągnęłam dłonią po kocim grzbiecie.

*

Na gońców z Piotrkowa czekałam tak jak kiedyś na wieści z Kutnej Hory. Jeni z tych, którzy wtedy czekali wraz ze mną, prawie nikogo już nie było na świecie... Róża, Długosz, król... Nawet dzieci moich nie widziałam od lat. Władka, Jadwigi ani Zofii. Twarzy Anny nie mogłam już sobie nawet przypomnieć.

Wawel i Kraków nie spały, czekając nowin. Wielkie nazwiska, stare rody Rabsztyńskich, Branickich, Chrzastowskich, Gnojnickich, Karskich, Kurozwęckich, Oporowskich, Rogowskich, Szafranców, Szczekockich, Tęczyńskich, rozdzielone po kątach wielkiej sali oponami i zazdrością, łypały z niechęcią na konkurentów do nowych synekur i zaszczytów od przyszłego króla.

Ci, co przyobiecane mieli nowe stanowiska albo słowo dostali od Olbrachta, że zatrzymają stare, ze swobodą przechadzali się wśród adwersarzy, bawiąc dowcipem czcigodną małżonkę czy córę, która na ten czas odłączyła się od fraucymeru, by potowarzyszyć wielmoży albo zdolnemu synowi, a przy okazji pokazać swą pozycję i nowe klejnoty. Lekki swobodny śmiech tych nielicznych wybrańców unosił się pod sklepieniem i drażnił wrogów.

A gdyby wygrał Janusz? Oczywiście to niemożliwe, ale ilu z nich jeszcze dziś stanęłoby u jego boku?

Fałszywa nuta zgrzytnęła pod zeszywniałymi z niepewności palcami lutnisty. Ten też liczy na miejsce w komnacie. Uśmiechnęłam się. Nerwowy rechot rozszedł się wśród licznej grupy *iuniorum*. Młodych i wykształconych na naszej Akademii, w Padwie i Bolonii po dwóch na jednym krześle siadywało zawsze na prandiach i cenach. Ci też mieli prawo do sytych kąsków z królewskiej zastawy.

Ja również chodziłam niespokojnie pod czujnym okiem beczynnych panien z niskiego fraucymeru. Mężowie z mojej kancelarii, ochmistrz Marcisz z Wrocimowic i znaczni dworzanie trwali pogrążeni w myślach i planach, kto wyniesiony przez nowego króla zostanie, kto straci albo co dostanie się rodzinie. Bo nikt nie miał wątpliwości, że to mój Olbracht królem będzie.

– Pani! – Pokojowiec skłonił się i wyciągnął do mnie dłoń z listem od Fryderyka.

Chwyciłam go niecierpliwie, sama chciałam przeczytać. Wszystkie szyje wyciągnęły się w moją stronę.

– Bić w dzwony, bić dzwony! Jan Olbracht królem! – wykrzyknęłam, śmiejąc się i szlochając naraz.

Zanim nabrałam znowu powietrza, dzwony obudziły nielicznych pogrążonych we śnie mieszczan. Noc zadrżała od kitajskich ogni i wiwatów z każdego okna i każdego domu w okolicy.

Wzruszona, trzęsącymi się dłońmi uniosłam złoty róg do wszystkich w komnacie.

– Wybrano króla! – Chciałam mówić głośno, choć drżał mi głos. Zygmunt z lśniącem wzrokiem uniosł kielich w moją stronę.

– Za nowy czas!

*

Miasto niecierpliwie czekało na elekta. Nie tylko Via Regia, ale wszystkie ulice wypatrywały Olbrachta. Kobierce w oknach, kwiaty na bruku, proporce w dłoniach krzyczały kolorem, radością i dumą, nawet sierpniowe słońce było łaskawe dla stojących na ulicach. Poddani wiedzieli, że młody król jest silny, żądny czynów, odważny, że wojsko i białogłowy go kochają. Tłum szalał, kiedy mój syn wjechał do Krakowa i na siodło wziął do siebie podrostka z biedoty. Pokochali go ci, co jeszcze go nie widzieli i nie znali, bo ja go kochałam od dnia jego narodzin.

Wjechał na Wawel i rozpoczął biesiadę. Niekończącą się biesiadę.

– Mateczko, mateczko! – Król i biskup wpadli po komplecie do mojej komnaty, trzy dni po uroczystym powitaniu. Obaj cuchnęli winem.

– Fryderyk przechytrzył prymasa! Jako królewicz wjechał na zamek i szybciej dotarł do sali niż Oleśnicki! Zaraz zaczął obrady i uwinął się w godzinę! W jedną godzinę zrobił mnie królem! – Olbracht pochylił się nade mną. Otworzył usta. Skrzywiłam się od smrodu. – Biskup? Fryderyk będzie kardynałem, mateczko! Ja tak chcę i tak będzie!

Fryderyk, mniej pijany, chwycił go pod ramię i odciągnął ode mnie.

Wstałam i podeszłam do dwudziestoletniego biskupa.

– Idźcie już, proszę – powiedziałam cicho i dałam znak pokojowcom, aby odprowadzili króla do jego komnat, a biskupa do pałacu.

*

W noc przed ostatnim dniem ceremonii koronacyjnej, tak jak w każdą poprzednią, zesłam do Kazimierza. Kiedy wchodziłam do naszej kaplicy, zahaczyłam szeroką spódnicą o niedoskonały krzemień sterczący z portalu, a ten brutalnie pociągnął mnie do tyłu. Gorący łój oparzył mi doń, lampka wypadła z ręki, a hałas spłoszył katedralne jaskółki. Czarna chmara

z furkotem wzbija się pod niewidoczne sklepienie, ale jeden ptaszek sfrunął do kaplicy i przysiadł na nieskończonym sarkofagu. Zapomniałam o piekącym bólu i patrzyłam osłupiała.

– Proszę, zostań – szepnęłam do gościa.

Podeszłam ostrożnie i przysiadłam pod grobowcem. Uniosłam powoli dłoń, tak by go nie spłoszyć, i zamknęłam oczy. Nagle poczułam leciutki powiew i maleńkie ukłucie ptasiego pazurka. Bardzo powoli uniosłam powieki. Siedział na moim pierścieniu! Westchnęłam wzruszona i czarny klejnot odleciał w ciemność.

– Jak to dobrze, że jesteś ze mną – powiedziałam w stronę sarkofagu.

Wstałam i zapragnęłam zobaczyć młodego króla. Jego okna wciąż jarzyły się blaskiem. Od przyjazdu mieszkał w dawnych komnatach Kazimierza, a ja nie byłam tam od powrotu do Krakowa. Kazimierz nigdy nie używał swojej sypialni, od zawsze mieliśmy wspólną... Zdziwiła mnie cisza, kiedy się zbliżałam do celu.

Odesłałam pokojowców, weszłam ostrożnie do rozświetlonego pomieszczenia i natychmiast zasłoniłam usta. Olbracht spał z rozpostartymi ramionami na szerokim łożu, obnażony. Przytulone do jego boków dwie niewiasty również były nagie. Kiedy jedna uniosła głowę, zauważyłam, że barwiczka z jej lica zostawiła ślad na olbrachtowym brzuchu. Spojrzała na mnie nieprzytomna, założyła za ucho pasmo rozczochranych jasnych włosów i z powrotem opadła na pierś króla. Uderzył mnie piżmowy, męski zapach. Odwróciłam się i z rozdygotanym sercem wypadłam z sypialni. Ból po oparzeniu był nieznośny, zaczęła mi drżeć ręka.

Długo nie mogłam zasnąć, jednak o świcie obudził mnie galop w mej własnej piersi. Nagle przed oczami stanął mi obraz pijanego, bezbronnego i nagiego Olbrachta. Usiadłam. Zamknęłam oczy. Poczułam ukłucie. Jakby maleńki robak ugryzł mnie w sam środek serca. Ciach!

Odwróciłam się w stronę drzwi. Panny z sukniami i przyborami do włosów oraz ochmistrzyni z kuferkiem ze skarbcą w dłoniach przypatrywały się mojej twarzy. Dorota bez słowa odebrała od Rabsztyńskiej skrzynkę, odstawiła na stół między inne i odesłała niewiasty z mojej sypialni.

– Ostania ceremonia, okazanie na rynku. Wytrzymam. – Uśmiechnęłam się do Doroty i spuściłam oczy. Przecież tego chciałam! Olbracht będzie królem! Robak znowu mnie ugryzł.

Zdjęła ze mnie nocną koszulę, nałożyła dwie wierzchnie suknie, drugą długą i ciężką. Królewską. Usiadłam przed zwierciadłem. Sięgnęła po dwie szczotki i niespiesznie czesała moje włosy, aż nabrały blasku. Ciężkie, pasmo po paśmie uważnie upinała mi na czubku głowy. Nałożyła złotą siatkę, na to rańtuch⁵³ ze złotogłowiu. Ostrożnie zapięła mi nielekkie noszenie z kropelkami granatów. Wyglądały jak krwawe łzy. Ciach! Zamknęłam oczy. Poczułam kolczyki w uszach i ciężką koronę na skroniach. Spojrzałam przed siebie. Dorota patrzyła ze zwierciadła wprost na mnie. Otworzyłam usta. Położyła mi dłoń na ramieniu.

– Wiem, wiem.

Poklepałam ją po ręce, próbując się uśmiechnąć. Dzwony przypomniały mi, że czas pokazać się na rynku u boku nowego króla.

Olbracht wyprzedzał nas o kilka koni. Obok mnie jechał poruszony Zygmunt, za nami, obok siebie, dumna Barbara i zaciekawiona Elżbieta. Wszyscy w nowej, lśniącej, miękkiej i ciężkiej purpurze. Olbracht był hojny.

Pod ratuszem czekał, by pomóc mi zsiąść z konia. Spojrzałam w jego twarz. Czerwone sińce pod oczami podkreślały bladość, ale uśmiechał się do mnie promiennie. Jakże mogłam nie odwzajemnić uśmiechu! Zawisłam na jego szyi. Tłum szalał, krzycząc imię młodego króla.

– Jesteś diabłem – wyszeptalam wzruszona w śmiejącą się kochaną twarz.

– Wiem – odrzekł, obnażając nieprzyzwoicie piękne zęby.

Usiadłam na podwyższeniu obok króla, królowy rozdawały łaskawie ładne uśmiechy, by w końcu godnie opaść na własne miejsca. Czternastoletnia Barbara patrzyła wzrokiem Jadwigi – po królewsku i pewnie. Dziesięcioletnia Elżbieta w zachwycie nie spuszczała z niej wzroku, nie widziała, że razem z nowym władcą śmiejemy się z panienki.

*

– Czy tak było w Landshut? – zapytała urzeczona Elżbieta na widok wielkiej sali jarzącej się blaskiem tysiąca świec odbitym po wielokroć w oczach zebranych, w złocie zastawy, opon, obrusów i strojów.

Landshut. Jadwiga. Moja Jadwinia, ani słowa od niej od dawna. Ciach!

– Pani matko... – Elżbieta włożyła swoją ciepłą dłoń w moją, budząc mnie z zamyślenia.

– Myślę, że nigdzie i nigdy nie będzie jak w Landshut. – Uśmiechnęłam się do córki. Wyglądała tak ładnie! Drobny diadem i kilka klejnotów nie obciążały jej małej główki, a jednolicie popielata suknia wyróżniała ją spośród kolorowych panien.

Barbara nie była piękna, ale potrafiła skupić na sobie wzrok jak niegdyś jej najstarsza siostra. Rozmyślnie nie założyła ozdób, ale głęboki, kształtny dekolt przyciągał uwagę wszystkich mężów.

– Usiądźmy. – Lekko pchnęłam Elżbietę i jak zawsze przy dźwięku *tubatorum* zasiadłam za stołem na podwyższeniu obok króla.

– Czas, by koło ciebie zasiadła młoda królowa – zagadnęłam szczęśliwego Olbrachta. Ucałował moją dłoń.

– Wiecie, że tylko wy jesteście dla mnie królową.

– Och... – Klepnęłam go w pierś. Roześmiał się głośno.

– Grajcie! – ryknął do muzykantów i nawet nie wiem, kiedy zanurzyłam się w tańcu. Syn śmiał się i tańczył doskonale. Był szczęśliwy, więc i ja byłam szczęśliwa. Patrzyłam, jaki król jest piękny, dorodny, dowcipny, jak deklamuje włoskie strofy, polewa napitki i rozdaje całusy.

Wymknęłam się z sali o świcie, kiedy niewiele już było w stanie zauważyć me wyjście. Zmęczona, razem z milczącym i półżywym fraucymerem szłam wolno do swoich komnat. Niedbałe rozbieranie i do łoża! Opadłam w ciemność na poduszki. Nie miałam siły nawet na modlitwę, ale nie mogłam zasnąć. Spod przymkniętych powiek zobaczyłam męski cień.

– Olbracht! – Usiadłam od razu.

Przyklęknął przy łożu i chwycił moje dłonie.

– Powiedz, mateczko! Chciałaś mnie na króla? Powiedz?! – mamrotał pijany.

Wstałam, zimną podłogę poczułam aż w kolanach. Dotknęłam jego przerażonej, cuchnącej twarzy.

– Chciałam. Zarówno ja, jak twój ojciec. Tyś najlepszy z braci. Chcę. I zawsze przy tobie będę stała – mówiłam wolno. – Jeno odeślij murwy. Bądź godny. Tyś następca Habsburgów i Jagiellonów.

– Odeślę. – Ucałował me dłonie i wymknął się korytarzami znanymi od dzieciństwa.

Stałam jeszcze przez chwilę, patrząc w ciemność. Ciach, ciach!

Na porannej mszy go nie było, za to późnym popołudniem zastałam króla w Kurzej Nodze. Pochylał się nad mapą ojca, miał jeszcze mokre włosy, jakby kąpiel miała go uczynić trzeźwiejszym. Sięgnął po szklanicę i upił spory łyk piwa. Zauważył mnie, gdy unosił naczynie.

– Mateczka! Właśnie miałem po was posłać. – Otarł usta i wskazał mi moje stałe miejsce. – Jagielloński dom ciasnym pierścieniem otacza Koronę. – Zakreślił duży krąg na mapie. – Jeno tutaj wre. – Wskazał za Mołdawię.

– Chcesz wojny?! – domyśliłam się. – Ale tam Stefan! I gwałt się zerwie na Węgrzech i w Moskwie, a pewnie i u Habsburgów – zaprotestowałam na wiadomy zamysł Olbrachta.

– Władek mój. – Machnął niedbale ręką. – Zresztą planuje zjazd królów Węgier, Czech i Korony właśnie w tej rzeczy.

Patrzyłam osłupiała.

– Matko! Wiecie, co to zdusić Turka jednym razem?! Wiecie, co to kontrola nad handlem czarnomorskim?! – zapalał się.

– Wiem! I wiedzą to Iwan i cesarz, nie pozwolą ci!

Odwrócił się do okna.

– I chcę też samej Mołdawii. – Spojrzał na mnie. Odczekał chwilę. – Dla Zygmunta – powiedział i jakby czekał mej pochwały.

– Zygmunt... – Westchnęłam. – Leży w trawie w antycznych szatach z wieńcem na głowie i urzęduje krotochwile z Kallimachem, i jeszcze Barbarę w to wciąga. Tak, trzeba mu zajęcia.

– Sami widzicie. – Parsknął śmiechem i upił duży łyk.

– Ale nie wojny.

*

Sięgnęłam po doskonałą kwaśną rybę z jabłkiem i korzeniami. Ceny były obfite i kosztowne, odkąd nastał król Olbracht. Przełknęłam smakowity kawałek i zwróciłam się w lewo do Zygmunta.

– Zamierzasz wziąć udział w zjeździe Jagiellonów?

– Zamierzam, bo z nudów pieśni zacząłem układać, ale celu spotkania nie pochwalam.

– Przecież o braterskich więzach jeno rozprawiać mają... – badałam syna.

– Dobrze wiecie, mateczko, że nie tylko. – Upił łyk wody ze srebrnego kubka. – Zmiażdżyć Turka chwalebna to rzecz, ale Olbracht musi wiedzieć, że Habsburg i Iwan do zwycięstwa jego nie dopuszczą. Za bardzo urósłby w siłę dom jagielloński. A co, jeśli poza nami połączą siły? Nawet brat mój musi wiedzieć, że jeśli Habsburgowie i Moskwa uderzą w Koronę, nigdy się nie dźwignie.

– Toś przeciwny wojnie?

– Przeciwny. Czekać trzeba, czas...

– ...najlepszym doradcą. Tak i ja myślę. – Trąciłam zadowolona jego kubek i zamoczyłam usta w swoim węgryzku.

Ucieszyły mnie roztropne myśli Zygmunta. Rozumny syn w cichości stawał się podobny wielkiemu ojcu. Uniosłam wzrok. Olbracht z podwyższenia przypatrywał się nam znad dużego kielicha.

*

Twórca najbardziej niepokojącego dzieła chwającego Boga czekał na mnie w kaplicy Świętokrzyskiej. Skończył królewski grobowiec. Szłam przejęta w stronę katedry, biskup Fryderyk ostrożnie trzymał mnie pod ramię i delikatnie opóźniał mój krok. Uśmiechnął się do mnie.

– Jest niezwykły.

– Zobaczymy – odparłam niecierpliwie i znowu przyspieszyłam kroku.

Przypomniałam sobie, jak staliśmy z Kazimierzem porażeni przed ołtarzem w kościele Mariackim. Miałam wrażenie, że doskonałe postaci

zaraz ożyją, tak były prawdziwe, nieomal wypadały przed patrzących. Kazimierz stał z otwartymi ustami, po chwili zaczął chichotać.

– Patrz, Elżbieto, przecież to... – Ledwo powstrzymał się przed rechotem.

– Ależ... cóż za pomysł... Rzeczywiście! Matko Najświętsza! – Zasłoniłam usta, by stłumić śmiech, kiedy rozpoznałam mężów z rady miasta.

Spojrzałam na Wita Stwosza. Ten jednym rozbawionym spojrzeniem potwierdził przypuszczenia Kazimierza. Pochylił się zuchwale w moją stronę.

– Nawet za to zapłacili.

Porzuciłam wspomnienia, bo Fryderyk zatrzymał mnie przed katedrą i tłumem dostojników. Poczekaliśmy, aż zrobią godne przejście. Coraz wolniej szłam szerokim szpalerem w stronę kaplicy, bliskiej mi jak wspólna z królem komnata. Ujrzałam grobowiec, zatrzymałam się na chwilę. Co tam zastanę? Twarz, która przywróci mi króla na zawsze, czy oblicze męża obcego, które na zawsze mi go odbierze? Pewne spojrzenie mistrza stojącego w środku obiecywało to pierwsze.

Nie widziałam go. Leżał jakby w głębokim łożu. Przełknęłam ślinę i wstałam na wysokie podest. Chryste! Zachwiałam się i zbiegłam ze schodków. Szmer niepokoju rozszedł się po kaplicy.

– Wyjść! Wszyscy wyjść! – zakrzyknął Fryderyk.

Wybiegłam z katedry. Jezu! To był Kazimierz! Ta twarz, szczupłe policzki, doskonałe usta, piękne palce! Zastygły w cierpieniu w chwili śmierci! Ból, jego ból zastygł tam na wieki! Bolesne czoło, zaciśnięte powieki, tłumiony jęk! Rozpłakałam się rozdierająco.

Biegłam przez dziedziniec i krużganki, aż opadłam na łoże w sypialni. Wszyscy patrzyli na mnie z wyczekiwaniem, nawet psy zerwały się jak do

biegu.

– Konia! – rozkazałam i po chwili galopowałam znaną, kochaną ścieżką. Prawie upadłam, zsiadając z wierzchowca, zanim zatrzymał bieg. Dopadłam drzewa, pod którym Kazimierz pierwszy raz ucałował wnętrze mej dłoni. Wielki szloch zalał mi trzewia, cierpliwa kora przyjęła moje łzy bez skargi. Zmęczona usiadłam w korzeniach dębu i siedziałam tak, póki mrok nie zaczął rozmywać kształtów na polanie.

Nagle wyrósł przede mną Tigran stary jak Wawel i skrzywił w uśmiechu już i tak wystarczająco pomarszczoną twarz.

– Pilnujesz teraz mnie? – zapytałam ciepło, ucieszona jego widokiem.

Podał mi dłoń i pomógł dosiąść konia. Pędziliśmy coraz szybciej, aż Tigran otworzył usta i w pędzie wydał z siebie głos kaleki, wibrujący, niski jak dźwięk dzwonu. Pęd koni, rytm radosnych psich oddechów i mego serca oraz głos Tigrana kazały mi krzyczeć razem z nimi. Nocą wróciliśmy na Wawel, zsunęłam się z wałacha i poczułam się silniejsza, czystsza niżli po tysiącu kąpielach. Tigran skłonił się jak zwykle i zniknął w ciemności.

*

Stałam w komnacie odnowionego domu Konięcpolskich.

– Jakże tu pięknie! Jasno! – zachwycałam się wnętrzem. – Zmiany są dobre, Doroto. Czyż nie?

– Są, są. – Pokiwała siwą głową. – Tak się cieszę, że wróciłaś – powiedziała do mnie rozpromieniona.

– A nie było mnie? – zapytałam zdziwiona.

Pokręciła przecząco głową, śmiejąc się przez łzy.

*

Wolno obracałam się wśród cennych rzeczy po królu. Wreszcie mogłam na nie patrzeć, nie wyjąc z rozpaczy, godzinami tuląc je do piersi. Chciałam, by stały się dla bliskich i oddanej służby kochanymi pamiątkami.

– Nie chcesz czegoś? – Zwróciłam się do Barbary wyciągniętej na starym królewskim fotelu. Po szyję ubrana była w czerń, z drewnianym różańcem do kompletu.

– Może ten fotel. – Z czułością u niej niespotykaną pogładziła podłokietnik. Kochała ojca. – Zresztą długo tu nie zostanę. – Wydęła wargi i rozejrzała się po komnacie.

– Jakże to? Panna wybiera się gdzieś? – Oderwałam się od przeglądania zdobionych kamieniami sztyletów. Chciałam wybrać coś dla Tigrana oprócz królewskiego zapisu.

– No, za mąż wychodzę. – Wzruszyła ramionami. Usiadłam naprzeciwko niej.

– Za mąż? Za kogo? Kto powiedział?

– Olbracht. – Skrzywiła się i zrzuciła boleśnie ugniatającego jej nogi ciężkiego kocura.

– Olbracht?! Niech o własnym ożenku lepiej zamyśla!

Wstałam wzburzona.

– Może i zamyśla...

Chwyciłam ją za rękaw.

– Mówił ci co?

– Nie, ale tyle niewiast koło niego...

– Ale takich, z którymi się raczej nie żenią – burknęłam cicho.

– Mówiliście co, mateczko?

– Nie, nie.

– To pozwólcie, bym się oddaliła. – Mniszka skłoniła się pięknie i kręcąc biodrami, opuściła komnatę.

– Czas jej za męż. Czas przyrzeć się mapie.

53 rańtuch – obszerna chusta

1493

– Czas Barbarę za mąż wydać – mówiłam do starej przyjaciółki, stojąc w oknie, zwrócona w stronę dużego dziedzińca. – Olbracht słowa dotrzymał, Fryderyk arcybiskupstwo dostał i zatrzymał biskupstwo krakowskie. Czas mu po kapelusz kardynalski. Król wyjechał. Beze mnie. Rzecz normalna, jak to król. – Wzruszyłam ramionami. – Jeno ja nie jadę z nim i czuję się jak pies z połamanymi nogami porzucony na gościńcu przez swego pana. – Zaśmiałam się i wystawiłam pogodną twarz na słońce. – Co myślisz, Doroto? – Odwróciłam się od okna. – Doroto? Słuchasz?

Podeszłam do jej wysokiego fotela.

– Doroto? – Trąciłam przyjaciółkę delikatnie, a jej bezwładna głowa opadła bez życia na piersi.

Mój rozpaczliwy krzyk odbił się po wielokroć od murów Wawelu.

*

Nie mogłam uwierzyć, że umarła. Stałam rozbita nad jej trumną. Ból, niedowierzanie i strach wypełniały mi duszę. Jakbym nie miała rąk, nóg, jakbym stała znowu wystawiona przed gawiedzią, jakbym znowu panienką była i tkwiła samotnie na obcym dziedzińcu! Boże, przecież zostałam sama! Kto uśmiechnie się do mojej starości, kiedy moje córki boją się jej bardziej

ode mnie? Tak się nie robi nawet wrogowi, Doroto! Nie odchodzi się bez pożegnania.

Jak mogła mnie opuścić? Tak po prostu odejść. Ona! Była mi drzewem, skałą, mostem. A dziś ścięła drzewo, skruszyła skałę i wyszarpała most spod moich stóp.

Drgnąłam, kiedy poczułam silną, ciężką dłoń na garbie. niesprawiedliwa byłam wobec Olbrachta. Był tam ze mną i niedźwiedzim ramieniem obejmował moją pochyloną postać. Poczułam jego niezachwianą moc, która dawała mi ukojenie. Było mi lepiej, lżej. Król rozglądał się po zebranych, odkłaniał delikatnie na pełne szacunku gesty przybyłych i ciekawskich. Ludzie, wszędzie ludzie, pomyślałam z niechęcią.

Dorota pochowała wszystkie swoje dzieci, ale krewnych chcących ogrzać się przy jej pozycji na dworze stało w kaplicy bez liku. Harpie! Zauważyłam wśród obcych młodą dziewczynę. Była taka podobna do Koniecpolskiej! Drobną i smukłą, złocistowłosa, o ciepłym, mądrym niebieskim spojrzeniu. niesforny kosmyk wysunął się spod jej aksamitnej czapeczki i swawolił w kaplicznym przeciągu. Zmrużyła oczy i dyskretnie założyła go za ucho, odwracając się z nieśmiałym uśmiechem do młodziutkiej paniąki stojącej obok. Spojrzałam na trumnę. Życie jest wieczne, nie śmierć, to chciałaś mi powiedzieć, przyjaciółko? Zawsze o krok wyprzedzała moje myśli, dbała o mnie i dzieci moje nawet po swej śmierci. Wiedziałam, że spełniam jej wolę. Odwróciłam się do ochmistrza.

– Przyślijcie te panny do mnie – powiedziałam szeptem i wskazałam wzrokiem niewiasty. Marcisz odesłał chętnego pokojowca do panien. Te stanęły w posłuchu, a krewni dziewcząt otoczyli rozmawiających ciekawskim, zazdrosnym kołem.

Olbracht mocniej uchwycił moje ramię. Spojrzałam na mego rycerza z dumą i uwielbieniem.

– Głodny jestem. – Wykrzywił usta. – Wracamy. – Zawrócił powoli, trzymając mnie w żelaznym uścisku, i w towarzystwie królewskich tręb odprowadził do niewieścich komnat.

Rozsiadłam się w szmaragdowej sali i kazałam wprowadzić oczekujące panienki. Zatrzymały się tuż przy drzwiach i rozglądały ciekawie po komnacie i uprzejmych twarzach pań Rabsztyńskich i Tęczyńskich. Starsza ustawiła młodszą przed sobą i opiekuńczo objęła ją rękami. Młodsza chwyciła jej dłoń i śmiało spojrzała wprost na mnie. Bardzo mi się spodobały. Zaprosiłam je gestem bliżej i dopiero zauważyłam za nimi chyba ich matkę. W przeciwieństwie do córek patrzyła na mnie z przerażeniem. Wysunęła się przed dziewczynki i skłoniła niezgrabnie. Nie widziałam podobieństwa.

– To córki wasze? – zapytałam niewiastę.

– Nie, ja i małżonek mój opiekunami jesteśmy panien i ich majątku na Olesku. Panny sieroty po matce i ojcu.

– Zatem zapytam sierot. Czy wyrażacie wolę, każda z osobna, aby zostać czas jaki na dworze jako towarzyszki królewien?

– Wyrażamy – odpowiedziała starsza rozpromieniona, spojrzawszy na opiekunkę.

Widać pani posłuch miała i dbała o nie, bo lica miały pełne, a odzienie czyste i bogate. Młodsza, wydawać się mogło, zaciekawiona bardziej wibrującymi szmaragdowymi promieniami w oknach, zapomniała patrzeć w moją stronę.

– Jak masz na imię, panienko? – zwróciłam się do niej. Skłoniła się, jakby przepraszała za nieuwagę.

– Regina.

– A ty? – zapytałam starszą.

– Dorota. Dorota Koniecpolska – odpowiedziała, ściskając mały krzyżyk na piersi.

*

Jesień w Łobzowie była łaskawa dla moich starych kości. Wybór Koniecpolskich to był dobry pomysł. Dorota świetnie się bawiła, grając w kule z pannami z fraucymeru, a Regina całe dni skakała i tańczyła z Elżbietą pod chłodnicami⁵⁴.

Siedziałam na darniowej ławie wyścielonej miękkimi materiami. Barbara w swojej czerni sięgnęła po soczystą żółtą gruszkę.

– Co myślisz o Dorocie? – zapytałam.

– Nie jest przykra – odpowiedziała i zmysłowym ruchem włożyła do ust soczysty kawałek.

– A ty nie jesteś?

– Ja? Ja rozum i eksperyencję jedynie cenię. Rozum, mateczko, rozum jeno niewiasty przyjacielem.

– Oj, jeszcze mędrcom zostaniesz i hańbę na nasz dom sprowadzisz! – udałam zgorszona.

Odwróciła ode mnie purpurową twarz, urażona do głębi.

– Barbaro, do pary z rozumem duszę trzeba mieć, by człkiem się stać. A i zapamiętaj, że każdy człek wiedzę może ukryć, ale głupoty nie zdoła. – Chwyciłam ją za rękę, nie chciałam, by oddalała się ode mnie. – Co tam nowego w drukach? Opowiedz starej matce.

Nagle zapomniała o gniewie i podkurczyła nogi pod siebie.

– Jakiś Kolumb odkrył Indie przedgangesowe! Ludzie tam pono bez odzienia chodzą, a za szkiełka oddają złote grudy!

– A i pewnie najeżdźcę swych ziem przyjęli serdecznie! – Parsknęłam śmiechem.

Barbara zachłysnęła się i odstawiła brudną szklanicę. Spojrzała na mnie z podziwem.

– Tak, właśnie tak!

– Bzdury! – Machnęłam ręką. Zauważyłam wyraźny kształt jej ud. – Nie masz koszuli pod suknią?!

– Gorąco takie... – Zrobiła niewinną minę.

– Rozum – burknęłam. – Wracamy do Krakowa! – zarządziłam głośno.

Zanim zdążyłam zsiąść z konia, ochmistrz chwycił zwierzę za uzdę.

– Miłościwa pani! Królewicz Fryderyk został kardynałem! Nasz królewicz kardynałem! – Spojrzał w moje oczy rozpromieniony.

– Na chwałę Boga w niebiesiech i świętego męża mego! – zakrzyknęłam, nim moje stopy dotknęły ziemi.

*

Obaj bracia, kardynał i król, wreszcie wrócili do Krakowa: jeden, by dokonać konsekracji, drugi, by dodać jej splendoru. Radość wzmacniała moje siły i uczestniczyć mogłam w długiej ceremonii. Fryderyk miał głos mocny i dźwięczny. Trochę nabrał ciała, ale i tak był piękny.

Stałam potem w Sandomierce⁵⁵ i patrzyłam w dół na Wisłę lśniąca setkami pochodni, słodko zmęczona po wspaniałej uczcie. Gwar zabawy dochodził aż tutaj.

– Niech się radują – szepnęłam i otuliłam się ciaśniej ciężką, ale miękką szubą. Spojrzałam na mały księżyc i przemówiłam cicho, wzruszona do głębi: – Kazimierzu, czy wiesz, że syn twój w Koronie jeden królem, drugi kardynałem? Wiesz, że jeden wolą i żądaniem, a drugi zgodą? Jakaż to władza! Jakiż to dom! Kazimierzu! Nasi synowie i na tronie w Krakowie,

i w Pradze, i w Budzie, i na Litwie, a z naszych cór już czternaścioro wnuków w domach Hohenzollernów, Wittelsbachów, Wettynów i Gryfitów! Nasza krew, Kazimierzu! To dom od morza do morza! Któż tego przed tobą dokonał? To nagroda za każdy znojny dzień twój, za każdy twardy obrót koła na surowym trakcie, za bezsenną noc, boleść w boku przy stole, gdy uśmiechać się trzeba, za dziurawe ciżmy, za zdradę i łzy, za gorycz, za strach i stratę! Nagroda dla ciebie!

Z rozkoszą wciągnęłam głęboko rześkie powietrze nadchodzącego świtu i otarłam łzy szczęścia.

– Jak ja stara teraz zejść z tej wieży? – Zaśmiałam się do stojącej za mną Barbary. Wyglądała pięknie w purpurowej aksamitnej sukni w lilie od dołu po końce rękawów. Uśmiechnęła się ładnie.

– Z młodą pomocą!

[54](#) chłodnice – podpory pod pnącza tworzące zakryte tunele

[55](#) Sandomierka – Baszta Sandomierska

1494

Styczeń był piękny: słoneczny, mroźny i śnieżny. Bawiliśmy w Niepołomicach dziewiąty dzień, kiedy Olbracht zarządził kulig z ogniami.

Zaprosiłam do moich sań Zygmunta. Dosiadł się z małym białym pieskiem pod pachą. Wymościł się i zanim ruszyliśmy, mała Telniczanka przyskoczyła i z uśmiechem podała nam gorące wino z korzeniami. Zygmunt skrzywił się z niechęcią, kiedy zamoczył usta w napitku. Jak ojciec nie pijał wina ani piwa.

– Olbracht szykuje się do wojny? – zapytałam.

– Której?

– Nie drwij i nie strasz!

– Z Turkiem czy ze Stefanem?

– Szaleniec! – zakrzyknęłam.

– Też tak uważam.

Strzelał oczami na boki, jakby kogoś wypatrywał.

– A co na to Fryderyk?

– Nie powie nic przeciw niemu, zawdzięcza mu arcybiskupstwo.

– A skąd na to wezmą?!

– Myślicie, mateczko, że Kościół nie ma pieniędzy?

– Szaleńcy! Dwaj szaleńcy!

Zygmunt wydał dolną wargę, wolno pokiwał głową, jakby myślami był gdzieś daleko.

– Ognie! – Ożywił się.

Dwór tańcował przy ogniskach, inni bawili się w śniegu jak Olbracht. Elżbieta odłączyła się od korowodu i uklękła w śniegu, wabiąc pieska:

– Bielik, Bielik!

Tłusty szczeniaczek wypadł z sań i pognał szczęśliwy w stronę królowej. Wzięła go w ramiona i obsypując pocałunkami, pobiegła do zaróżowionej Barbary.

– Mądra dziewczynka – powiedział Zygmunt.

– Barbara. – Kiwnęłam głową. – Bystra, ale ciągle w tej czerni.

– Nie! – Zygmunt się zaśmiał i wreszcie spojrzał na mnie. – Miałem na myśli Elżbietkę.

Przypatrywałam się jego szerokiej, łagodnej twarzy.

– Bracia zamyślają co o tobie? – zapytałam. Wzruszył ramionami.

– Pewnie tak.

– Mówisz to tak spokojnie... – powiedziałam rozdrażniona.

– Czeka, a dostaniesz wszystko. – Uśmiechnął się i zostawił mnie osłupiałą.

*

Przyklejona do okna czarną nocą widziałam, jak król, Fryderyk i Zygmunt wrócili wreszcie ze zjazdu na Wawel. Nie było ich od zimy, a kwitły już konwalie. Wreszcie mogłam udać się do sypialni i spróbować zasnąć.

Rankiem obserwowałam trzech moich synów na porannej mszy. Zygmunt najszczęśliwszy, siedział wyprostowany i wyglądał młodziej od Fryderyka. Fryderyk i Olbracht walczyli ze snem. I tyli w oczach.

Po mszy miałam zamiar wrócić do siebie, ale Fryderyk podszedł do mnie i ucałował me palce.

– Zapraszam do mnie na śniadanie. Bez świadków. – Pochylony uniósł na mnie wzrok i uśmiechnął się.

Siedziałam w jednej z komnat kardynalskiej siedziby i rozglądałam się po jej wnętrzu, kiedy mój syn sam nalewał wina do złotych kielichów w rubinowe guzy.

Westchnęłam. Połową zawartości tego pomieszczenia można było spłacić dług wojny trzynastoletniej. Miękkie, jaskrawe, puszyste kobierce, zawieszania i opony, meble i przedmioty wysadzane szlachetnymi kamieniami, lśniące ciężkim złotem i migotliwym białym srebrem porażały oczy i duszę.

– Jest skuteczny – mówił o Olbrachcie. – Po drodze odebrał ziemię płocką. Janusz nie płacił lennego, to odebrał. Ot, tak! – Strzelił palcami.

– Będziemy sami? – zapytałam. Zmarszczył czoło i podał mi kielich.

– Owszem.

– Och... – Rozczarowana odsunęłam naczynie daleko od siebie. – Co zatem uradziliście w Lewoczy?

Milczał przez chwilę, kręcąc swoją czarą. W końcu uniósł ją do ust.

– Obrady były tajne – wymamrotał i dalej patrzył w wino.

– Ach tak! Zatem jest coś, czym możesz podzielić się z królową? – zapytałam, hamując żal i gniew.

– Chcemy wydać za mąż Barbarę.

– Bez mojej zgody? Bez mojej wiedzy?! – Wstałam i całe dłonie wsparłam o stół, pochylając się nad kardynałem.

– Toż przecie powiedziałem...

– Tak, powiedziałaś.

Zebrałam suknię, uniosłam wysoko podbródek i opuściłam jego dom.

Bez mej wiedzy, bez mej rady, jakbym im wrogiem była! Pełna żalu błądziłam nocą po komnatach niczym mara. Nie mogłam spać od chwili ich wyjazdu, teraz tym bardziej. W końcu wróciłam do sypialni i kiedy zamykałam na kluczyk małą szkatułkę z pierścieniami, poczułam jego obecność. Olbracht! Odwróciłam się gwałtownie.

Stał jak przykuty do podłogi, a i mnie przykuwał do miejsca swym żelaznym spojrzeniem. Uśmiechnęłam się do syna, nie miałam już władzy nad nim.

– Wróciłeś. A więc wojnę uradziliście z Władysławem i Aleksandrem. – Bardziej stwierdziłam niż zapytałam.

– Tak. I mam coś dla was. – Zza dubletu wyjął małe zawiniątko.

– Co to? – Rozwinęłam zmięty jedwab i przez chwilę nie wiedziałam, co ten prezent znaczy. Dostałam maleńki konterfekt⁵⁶ starszego męża. Po chwili dotarło do mnie, na kogo patrzę.

– Boże! Władysław! – musiałam usiąść, by zrobić coś z nagłą strugą łez.

Był tak podobny do ojca! Gładziłam jego pociągłą twarz, ciemne włosy i takie same oczy.

Kiedy podniosłam wzrok, Olbrachta już nie było w komnacie, ale wiedziałam, gdzie bywają Jagiellonowie, kiedy nie śpią. Otarłam mokrą twarz i poszłam w stronę Kurzej Nogi. Zastałam syna w pozie, jaką przybierał jego ojciec, kiedy czekał słońca w sercu Wawelu.

Podeszłam do króla, a ten objął mnie mocarnym ramieniem i uśmiechnął się.

– Mateczko, poczekasz ze mną do świtu? – zapytał. Ucałowałam jego ramię.

– Poczekam.

– Pod kolanka? – Zaśmiał się.

Staliśmy dalej bez słowa, czekając złotej kuli nad Krakowem.

*

Barbara odziana w grubą szubę szła przez komnatę, ciągnąc za sobą ubraną równie ciepło Elżbietę. Obie sztywno się przede mną skłoniły.

– Mateczko... – zaczęła starsza niepewnie.

Zaciekawiona odłożyłam modlitewnik i pozwoliłam mówić jej dalej.

– Mateczko – powtórzyła – na Akademię zwieziono przyrządy i księgi astronomiczne wielkiego Marcina Bylicy. – Przełknęła strach. – Jako jej dawny wychowanek darował to wszystko swojej *alma mater*! – wykrzyknęła.

– I? – zapytałam rozbawiona.

– I jego ekscelencja rektor nawet odwołał dzisiaj wykłady – zamknęła oczy i dokończyła szybko – by studenci mogli owe dziwy zobaczyć.

– A królowa i jej siostra studentami są? – Uniosłam brwi.

Fraucymer przysłuchiwał się nam z uwagą.

– Nie, ale... – Spuściła głowę i zaczęła skubać rękaw szubki.

– Miałaś zamiar pójść na Akademię? Z siostrą? – Nie mogłam powstrzymać śmiechu na tak zuchwałą i nonsensowną myśl.

Smutna Elżbieta zaczęła drapać kolano obleczone w wełnianą nogawiczkę. Barbara stała przede mną zgnębiona tak, że porzuciła rękę

siostry. Broda zaczęła jej drżeć.

– Nie pójdziecie na Akademię, Barbaro – powiedziałam łagodnie. – Skąd ci to mogło przyjść do głowy? – Zaczęłam zdejmować z ramion Elżbiety miękki amarantowy płaszczyk. Starsza królowa, zrezygnowana, posłusznie zdjęła swój, wykrzywiając twarz do płaczu.

– Ale każesz w moim imieniu sprowadzić i pokazać te niezwykle instrumenty na Wawelu. I ja chętnie je zobaczę. – Uśmiechnęłam się.

– Pozwolicie? Naprawdę? – rozpromieniona Barbara wpadła w me ramiona i złożyła głośny pocałunek na matczynej dłoni.

Opowieści o gwiazdach wywoływały wśród dworzan szczere fale zachwyty i podziwu. Elżbieta i Barbara siedziały jak głodne pisklęta – nieruchomo, z otwartymi ustami, wpatrzone w prelegenta o pociągłej twarzy. Instrumenty zaiste były niezwykle, a student przywiedziony przez rektora jasno i z sercem objaśniał wszystko zebrany.

– Niezwykłego zapachu z was młodzieniec – odezwałam się do bogato odzianego młodego męża, który dopiero co skończył swój wykład. Skłonił się głęboko.

– Dziękuję, miłościwa pani.

– Jak was zważ? – zapytałam i ze smukłych palców wypuściłam na jego dłoń trzy czerwone złote.

– Mikołaj Kopernik, miłościwa pani – odpowiedział młodzian.

– Skąd jesteście?

– Z Torunia, miłościwa pani.

– Ach, Toruń... – Uśmiechnęłam się do dawnych wspomnień.

*

Litery dziwnie rozmywały się w szare plamy. Oddaliłam księgę od siebie.

– O! Teraz wszystko widzę! – powiedziałam, zadowolona z własnej zmyślności. – No, moje panny! – zawołałam do rozbawionego, zbyt głośnego fraucymeru.

Wśród śmiechu i połajanek królowna Elżbieta uczyła się prząść. Kłaczki wełny wirowały po całej komnacie.

– Nie, nie, to już wolę uszyć koszulę bratu albo poczytać mateczce! – Wskazała moją gimnastykę przy pulpicie.

– Radzę sobie doskonale! – odrzekłam oburzona.

– Tak, mateczka zawoła, jak zabraknie jej rąk do czytania! – śmiał się Olbracht, zwabiony wesołością słyszaną zapewne w całym zamku.

Nagle jak furia wpadła Barbara, stanęła z zaciśniętymi pięściami przed Olbrachtem.

– Joachim? Joachim moim mężem?!

– Tak, Joachim. – Król się zaśmiał i ucałował jej rękę.

– Ale on ma dziesięć lat!

Opadła zrozpaczona na skrzynię.

1495

Aleksander tak bardzo unikał konfliktu z Iwanem Srogim, że żeniąc się z jego córką Heleną, przystał na wszystkie warunki umowy ślubnej, bez żadnych pertraktacji.

Patrzyłam zdenerwowana z krużganków na pakowanie wozów. Wybierałam się na Litwę z Fryderykiem i królewnami na wesele mojego syna.

– Co to znaczy nie zgadza się?! Co to znaczy nie chce? Helena nie chce przejść na katolicyzm? – syczałam do Fryderyka.

– Nie musi.

– Jak to?

– W umowie ślubnej stoi, że nie można jej nawet namawiać na zmianę wiary, nie może być prześladowana.

– Prześladowana?!

Fryderyk wzruszył tylko ramionami.

– Zgodzi się, po to jedziemy.

– Zobaczymy.

Kardynał spojrzał w górę.

– Wszędzie macie pokruszone sufity – powiedział i wolno zszedł po schodach, ostawiając mnie samą. Odwróciłam się do ochmistrza.

– Ślub w lutym? To spóźnimy się na ślub. Miesiąc.

Stojący za mną Balicki na zmianę mej woli tylko uniósł brew.

*

Fryderyk jechał w moim wozie. Do ust przyłożył jedwabną chustkę – źle znosił jazdę kolebką. Byliśmy trzy dni przed Wilnem. Ślub odbył się trzy niedziele temu.

– Nie zgodziła się. Została prawosławną – powiedziałam rozgoryczona.

– A co na to Aleksander?

– Powiadają, że w niej zakochany jak młody byczek.

– Fryderyku!

– A tak! Mówią, że do niczego przymuszać jej nie chce – mówił zduszonym przez chustkę głosem.

– Przymuszać! Ja Habsburżanka, a od pierwszego dnia lojalna byłam wobec nowego domu! Dzieci moje mowy polskiej uczyłam i miłości do Korony. Czyż nie? Nie zaprzeczysz!

– Nikt nie zaprzecza! – Pochylił się nad moją dłońią i ucałował ją głośno. – A mnie się zdaje, że wam nie chodzi o wiarę – powiedział i się zarumienił.

– A o co? – zachnęłam się.

– A o to, że się dziewczka śmie sprzeciwiać.

– Błazen!

*

Zbliżała się do mnie powoli. Doskonale smukła, płynęła obleczona w miękkie futro. Jej czarne, prawie granatowe włosy, rzęsy i oczy kontrastowały z bielą gronostajów.

– To o nią zazdrosne były Hera, Afrodyta i Atena... – szeptał mi do ucha oczarowany Heleną Fryderyk.

Zatrzymała się i spod półprzymkniętych powiek patrzyła z mieszaniną poczucia winy i buntu. Boi się, przemknęło mi przez głowę. Ona się boi, tak jak ja się bałam. Wyciągnęłam do niej rękę.

– Heleno! – zawołałam.

Upadła ze szlochem do mych stóp. Pochyliłam się i przemawiałam łagodnie:

– Wstań, wstań, proszę.

Podniosła się, a ja objęłam ją serdecznie. Roześmiała się wzruszona, wysunęła się z moich ramion i podbiegła do królewien.

– Jakeście piękni... – wyrwało się urzeczonej Barbarze.

Prawda była taka, że siostry Aleksandra wyglądały przy Helenie jak dwie wyskubane blade kurki.

Wielka księżna zaśmiała się i chwyciła w ramiona Barbarę.

– A wy takie jasne! – zakrzyknęła.

– A ja garbata – powiedziałam.

Helena zasłoniła usta, a ja wybuchnęłam śmiechem, dając innym przyzwolenie na chichot.

Aleksander odetchnął z ulgą i wprowadził mnie w miejsce spoczynku naszego Kazimierza. Uklękałam u podnóża sarkofagu.

– Mateczko, tłumy ludzi modlą się u trumny mego brata. – Rozglądał się nabożnie po niedużej kaplicy. – Mają go za świętego⁵⁷ – mówił z przejęciem. – A i ja przychodziłem tu, kiedy... – Zagryzł usta.

– Kiedy byłeś samotny i złęczony. – Wolno wodziłam dłońmi po bogato rzeźbionej płycie, starając się stłumić na nowo wzniecony ból.

– Tak... ale już nie jestem samotny – dokończył rozpromieniony.

Poczułam żal, że nie było mnie na weselu.

– Nie mogliśmy być na uroczystości, nie mogliśmy, wiesz przecie...

Wybacz – powiedziałam.

– Wiem. – Pokiwał głową. – Tak trzeba było. Ona wie.

– Aleś jej nie przekonał.

– Pomódlmy się. – Ukląkł obok mnie.

Siedziałam w znajomej wielkiej sali wileńskiego zamku, ale nie rozpoznawałam ludzi z dworu, bo albo pomarli, albo na swoim gospodarzyli. Helena otoczona była tylko dworem rusińskim. Szpiedzy, pomyślałam ze złością, i uśmiechnęłam się promiennie do syna. Radowało mnie miłowanie Aleksandra i Heleny. Będzie im na pewno łatwiej i lżej iść razem. Patrzyłam, jak wtuleni w siebie raz po raz obdarzali się pocałunkami i z czułością patrzyli sobie w oczy. On potrzebował miłowania, ona delikatności i uważności, której nigdy nie zaznała od surowego i okrutnego ojca, którą mógł jej dać tylko mój Aleksander.

Iwanowi marzyło się cesarstwo równe bizantyjskiemu i rzymskiemu, więc nie jedynie dla jej piękności wziął za żonę Zoe Paleolog, córkę ostatniego cesarza bizantyjskiego. Zastanawiałam się, jaka okaże się Helena, córka Zoe, a moja synowa.

Ruszyli do tańca. Ze zdumieniem zauważyłam, że Helena tańczy sztywno, nieładnie, jakby prawie nigdy tego nie robiła. Za to Barbara poruszała się miękko, może nawet zbyt miękko. Wreszcie mogła błysnąć, bo od chwili przyjazdu była w cieniu bratowej.

Po zabawie głośna młódź z powrotem zasiadła za stołem. Wyraźnie rozluźniona Helena raz po raz wybuchała śmiechem w ramionach ukochanego. Aleksander nic się nie zmienił; takim go zostawiłam na Litwie trzy lata temu. Westchnęłam głośno i przeciągnęłam dłonią po misternie haftowanym atłasowym obrusie. To już trzy lata, Kazimierzu, jak cię nie ma

z nami... Nagle zobaczyłam dziwną niewiastę w szarej niczym habit sukni i takiejż ciasno zawiniętej chuście na głowie. Podeszła bardzo blisko do księżnej i długi żółty paznokieć wbiła jej głęboko pod pachę! Powiedziała ledwo kilka słów i oddaliła się. Nikt tego nie widział prócz mnie?! Helena zbladła, zaczęła drżeć, aż zerwała się z miejsca i z płaczem wybiegła z sali. Zrobił się tumult, bo książę wyskoczył za nią. Zaraz nakazałam grać i w tany wypuściłam Elżbietkę. Jak przez mgłę widziałam popis córki. Zastanawiałam się wzburzona, kim była szara harpia, której Helena tak się bała.

Rankiem ubierano mnie w nową suknię do mszy. Postanowiłam zabrać na modlitwę piękną synową.

– Księżna gotowa? – zapytałam.

– Gotowa, gotowa. Od świtu chodzi ubrana po komnacie z kąta w kąt – odpowiedziała pogodnie litewska dwórka.

– To pójdziemy razem do kościoła. – Uśmiechnęłam się do swojego odbicia w zwierciadle.

Na widok Heleny wyciągnęłam ręce w jej kierunku, jednak tylko lekko odwzajemniła uścisk. Szłyśmy wolno w stronę katedry. Chora, pomyślałam, patrząc na jej poszarzałą twarz. Nagle radosne podejrzenie zakiełkowało w moich myślach. Czyżby już?! Nie, szczęścia na jej twarzy nie było widać.

Doszłyśmy do przedsionka i jak zawsze pierwsza wkroczyłam do środka.

– Heleno? – Odwróciłam się, widząc, że nie ruszyła się z miejsca. Zmarszczyłam czoło. – Chodź.

– Nie, nie wolno mi.

– Masz wejść wraz ze mną do środka – powiedziałam i wyciągnęłam do niej dłoń.

Stała zimna i wyniosła. Nagle tuż przy księżnej jak z piekła wyrosła harpia.

– Nie. Nie wejdę. Wiara mi nie pozwala – odparła Helena, odwróciła się i odeszła.

Szmer grozy i oburzenia rozszedł się wśród Polaków zebranych przy wejściu do katedry.

Stałam tam z uniesioną ręką i poczułam, jak gorąca furia wzbiera w mych trzewiach. Odwróciła się od królowej! Odwróciła się od majestatu! Odwróciła się ode mnie!

Wolno opuściłam dłoń i sama zajęłam miejsce w świątyni.

– Kim jest ta szara służka? – zapytałam ochmistrza.

– Agafia, szpieg Iwana.

– Dobrze trzyma się w siodle?

– Sprawdzę to jeszcze dziś.

– To i dobrze. – Uklękłam w ławie i złożyłam dłonie do modlitwy.

Nie poszłam na prandium. Nie chciałam siedzieć naprzeciw dziewczyny, która sprzeciwiła się mej woli. Nie chciałam patrzeć na drwiące twarze! A jakże! Na pewno naigrywają się z królowej i niejeden w anegdotach rodzinnych zapisze, jak to Rurykowiczówna zadrwiła z Rakuszanki, z królowej!

– Sprzeciwiła się mej woli! – krzyczałam do Fryderyka, kiedy zajrzał do mnie w południe.

Westchnął, jakby był śmiertelnie znużony.

– Ty nie wzdychaj, nie wzdychaj! – Pogroziłam mu palcem. Opadł na krzesło.

– Nie mogła inaczej...

– Co to znaczy nie mogła? Aleksander powinien jej nakazać!

Zaśmiał się.

– A wam można co nakazać?

– Ja jestem królową! – Podeszłam do Fryderyka – I ty to lekceważysz? Kardynał?!

– Helena żałuje i płacze. Nie była na prandium.

– Taka harda? Ja tym bardziej!

– Wstydzi się. – Znowu westchnął.

– Skąd wiesz?

– Aleksander mi mówił.

– Aleksander, Aleksander! Broni jej! A o naszej najważniejszej sprawie mówiłeś z księciem?

– Jeszcze nie. Jakoś się nie złożyło.

Wzniosłam ręce i bezradna przewróciłam oczami.

Nie wychodziłam z komnaty. Krwawe zachodzące słońce drgało w barwnym oknie. Barbara i Elżbieta wykorzystywały do czytania ostanie jego promienie.

– Już wieczór – szepnęłam do siebie. – To głupie tak czekać. – Odwróciłam się od córek i wolno przemierzałam salę. Pokojowiec zaświecił kilka lampek. Barbara ukradkiem zerkała w moją stronę.

Mnożyłam tylko plotki i niepotrzebne zamieszanie robiłam na dworze, ale Helena musiała mnie przeprosić! Wiedziałam, że to Agafia pilnowała, aby księżna nie ugięła się pod wolą męża, moją, kardynała, polskiego dworu i skutecznie ciągle podsycala jej strach! Znęcała się nad księżną! Niebywałe! Aleksander był ślepy?! Co prawda niewiele dni spędził z żoną, ale nic nie zauważył? Ale i tak dziewczka musi mnie przeprosić. Nie mogę pójść do niej, chyba że...

– Pani, księżna Helena prosi o posłuchanie. – Moja litewska ochmistrzyni dygnęła przede mną.

– Proś! – nakazałam niecierpliwie i odesłałam córki, rozczarowane, że nie mogą zostać.

Helena wbiegła do komnaty i upadła przede mną.

– Wybaczcie, królowo, wybaczcie! – łkała.

Nie lubiłam, gdy ludzie wysoko urodzeni kajali się nadmiernie, zresztą ciągle czułam się urażona.

– Wstań – powiedziałam chłodno i patrzyłam, jak podnosi się, wstrząsana spazmem. – Uspokój się i usiądź, jesteś córką Zoe, ale już i moją.

Usiadła i jeszcze przez chwilę mrugała szybko długimi rzęsami.

– Agafia ci nakazała trzymać się z dala od katedry? – zapytałam.

– Tak, pani. Nie mogę, nie wolno mi, moja religia... – zaczęła z buzią błyszczącą od łez.

– Religia. – Machnęłam niedbale ręką.

Spojrzała na mnie zaskoczona.

– Religia to tylko polityka, a i klątwa nieobca żadnemu znacznemu rodowi. – Uśmiechnęłam się gorzko. – Religia służy każdemu władcy i każdy chce ją sobie podporządkować, bo daje moc rządzenia duszami. Twemu ojcu też. – Była coraz bardziej zdziwiona. – Ale wierz mi, wszyscy, którzy zwą się obrońcami wiary, dbają o nią tyle co o wczorajszą strawę. Król, car, sułtan kocha wiarę, bo ona daje władzę nad ludźmi. Gdybyś weszła ze mną do katedry, co by rzekł twój ojciec?

– Że złamano umowę ślubną i jestem prześladowana z powodu...

– ...wiary – dokończyłam za nią. – I?

– Ruszyliby na Litwę.

– I?

– Pociągnąłby za sobą ludzi do walki. W obronie wiary. – Spojrzała na mnie zboląa.

– Nie musisz się bać. Pytałaś Agafii, czy możesz tu przyjść?

– Nie, nie ma jej nigdzie.

Uniosłam wysoko głowę.

– Jesteś księżną, nikogo o nic nie musisz pytać, poza mężem, rzecz jasna. Możesz przyjąć wiarę katolicką. Nie będziesz chodziła do oddzielnych świątyń, zyskasz spokój od możnych i troskę z księcia zdejmiesz. Królową zostaniesz – mówiłam coraz łagodniej.

– Nie, nie mogę. – Znowu zaczęła płakać. – Wtedy on go na pewno zabije – wyszeptała.

– Kto? Kogo?

– Ojciec mój zabije mego męża. Otruje, naśle skrytobójców, na pewno to zrobi! Wiem to!

Patrzyłam na nią przez chwilę.

– Bardzo to możliwe – odrzekłam smutno. Podeszłam i dotknęłam jej głowy obleczonej białą ciasną podwiką. – Na miły Bóg, bardzo to możliwe. – Pochyliłam się i zamyślona ucałowałam jej zakryte czoło.

Helena dotknęła ustami mej dłoni.

– Ale o jednym jeszcze pamiętaj – powiedziałam głośno.

Uniosła na mnie poważne oczy.

– Nigdy, ale to nigdy nie odwracaj się ode mnie i nie opuszczaj mnie bez nakazu.

– Tak, winy mej nie zmażę, ale kolejny raz kornie o wybaczenie proszę.

– No to chodźmy co zjeść, bo od rana kiszki wyschły mi na wiór – odrzekłam niespodziewanie.

Zachichotała, a ja objęłam ją za niewiarygodnie szczupłą talię. Syknęła z bólu, gdy dotknęłam jej tuż pod pachą.

– Boli? Więcej nie będzie.

Uśmiechnięta, wraz z wielką księżną u boku, weszłam na posiłek.

Wieczorem po radosnej uczcie siedziałam w małym alkierzu i pozwalałam dwórcę zdejmować ze mnie klejnoty i chować je do szkatulek, skrzynek i kuferków.

– Co tam na dworze? – zagadnęłam.

– Pani, wielka Agafia spadła z konia i kark skrzyła! – Wystrzeliła, jakby czekała, aż zapytam.

– Nie może być... – burknęłam.

– Sama widziałam! – Przycisnęła moją szczotkę do swoich obfitych piersi. – Koń ją przywlókł pod bramę, nogi miała wplątane w wodze!

Nikt nie będzie krzywdził moich dzieci.

*

Miesiąc przepędziłam z rodziną na królewskich rozrywkach: łowach, turniejach i grach. W ostatnich dniach upalnego kwietnia chłonełam rześkie powietrze rzeki. Płynęliśmy wygodną łodzią razem z muzykantami umilającymi nam poranek.

– Aleksandrze, chciałabym z tobą pomówić, odwiedź mnie, proszę – powiedziałam, nie otwierając oczu.

– Kiedy tylko zechcesz – usłyszałam miły głos.

*

– Rusini to sami szpiedzy. To raport. Odeślij ich. – Podalam mu dokument.

– Wiem, ale Iwan...

– Na miły Bóg, nie uczyłeś się *artibus*⁵⁸? Napiszesz, że Helena przywykła już do nowego miejsca i nie potrzebuje Rusinów.

– Macie jeszcze jakieś rady? – zapytał urażony, udając, że wczytuje się w raport.

Postanowiłam wreszcie wyłuszczyć synowi, po co przyjechaliśmy. Stałam przed nim i złożyłam dłonie.

– Mam do ciebie prośbę.

Spojrzał na mnie łagodnie.

– Proście, o co chcecie.

– Chodzi o twego brata.

– O brata?

– Tak.

– Którego?

– Zygmunta.

– Zygmunta? A cóż z nim?

Podeszłam do wielkiego księcia i spojrzałam mu w twarz.

– Aleksandrze, ja, król i kardynał pragniemy, abyś przekazał swemu rodzonemu bratu Zygmuntowi ziemię kijowską.

– Co? Ja? – Parsknął śmiechem.

– Aleksandrze!

Zrobił kilka kroków i przeczesał włosy.

– Dlaczego ja? Niech Olbracht albo Władko dadzą co ze swego! Gdzie byli, gdy Iwan wojnę ze mną wszczywał? Tylko listy z radami ślali, bym się żenił!

– Żle ci radzili?

Znowu zrobił kilka kroków.

– Zresztą panowie i Iwan...

– Iwan, Iwan! Nic nie zrobisz, bo się boisz Iwana! Ty i twoja żona drżycie przed nim! Olbracht zrobiłby to ot, tak! – Strzeliłam palcami jak niedawno Fryderyk.

– Zamilcz! – wrzasnął.

Spojrzałam na niego wstrząśnięta. Mój syn podniósł na mnie głos! Aleksander wrzasnął na mnie! Żal wielki jak gład spadł na moją duszę. Nie mogłam złapać tchu i zatrzymać drżenia.

– Wyjeżdżam stąd. Wyjeżdżam z ziemi, gdzie mnie stale obraza i niewdzięczność spotyka z rąk własnych dzieci! Wyjdz! – Wskazałam mu drzwi.

Patrzył na mnie z takim bólem, że musiałam się odwrócić. Stał długo za mną, w końcu opuścił komnatę.

Rankiem wychodziłam do kolebki ostatnia. Na chwilę się zatrzymałam i ujrzałam na piętrze Helenę. Aleksandra nie widziałam.

*

Źle zrobiłam, Kazimierzu! Łzy przeciekały mi przez palce, kiedy siedziałam w namiocie daleko za Wilnem. Nie powinnam była go opuszczać, niesprawiedliwa byłam. Dobrze wybrałeś Aleksandra. Gdzie Olbracht robił dwa kroki w przód, wywołując wojny, tam on robił dwa kroki w tył dla pokoju! Tylko jego rozwaga trzyma Iwana z dala od Wielkiego Księstwa. Źle zrobiłam! Otarłam twarz.

– Rozbieramy się, Agnieszko – powiedziałam i ciężko wstałam od stołu.

Ułożyłam wygodnie kalekie plecy w łożu, ale i tak nie mogłam spać. Postanowiłam porozmawiać z Fryderykiem, wiedziałam, że późno udaje się na spoczynek. Ostatkiem sił wygrzebałam się z pościeli, zarzuciłam ciepłą

pelerynę i pełna dobrych myśli wyszłam w mrok drgający nocnymi dźwiękami. Namiot kardynała tętnił światłem, przyspieszyłam kroku.

– Miłościwa pani – szepnął do mnie pilnujący pod namiotem. – Pan mój zajęty... – wydukał.

Zrobiłam krok w przód, kiedy z wnętrza doszedł mnie zalotny niewieści śmiech i po chwili rechot Fryderyka.

Struchlała zawróciłam. Źle zrobiłam, Kazimierzu!

⁵⁷ Kazimierz został kanonizowany w 1602 roku.

⁵⁸ *artibus* (łac.) – tutaj: dyplomacja

1496

Barbara siedziała nadąsana po odjeździe poselstwa swadziebnego od dwunastoletniego Joachima. Zbolała mina wreszcie pasowała do ponurej czerni i drewnianego krzyża niczym u bernardynki. Królowa wzdychała i pojękiwała, próbując wzbudzić współczucie i zachęcić innych do komentowania jej trudnej sytuacji.

– Ja bardziej dla niego jak piastunka – mruzczała, kręcąc krzyżykiem.

– To dobry, odpowiedni dom, Barbaro – powiedziałam i drugi raz usiłowałam wbić igłę we właściwe miejsce w tkaninie. Oczy mnie bolały, a mrok w komnacie nie pomagał.

Barbara zerwała się z krzesła. Zrobiła kilka korków i opadła na długą malowaną skrzynię.

– Zanim on dorośnie, ja się zestarzeję – biadolila.

– Usiądź i zabierz się za ornat. Twoja część nieruszana od tygodnia. Elżbieta swoją prawie skończyła.

Barbara westchnęła i posłusznie przysiadła wśród innych niewiast zebranych w kole.

Nie minęło bicie dzwonów na kompletę, kiedy zaszedł do moich komnat Fryderyk. Ucałował siostry i każdej damie z fraucymeru podał do ucałowania kardynalski pierścień. Zatrzymał się chwilę przy młodziutkiej

Szydłowieckiej i z taką czułością dotknął jej twarzy, że spurpurowiała jak wiśnia.

– Mateczko, nie za późno? – zapytał niewinnie. – Ja z wieściami.

– Cóż za wieści? – zapytałam, podając mu swoje dłonie.

– Sasi się do nas wybierają prosić o rękę Elżbiety.

Szmer zdumienia rozszedł się wśród matron i panien. Elżbieta spojrzała zdumiona na Fryderyka.

– I na pewno starszy od Joachima – burknęła Barbara.

– Tak, chyba ma dwadzieścia pięć lat.

Starsza królowa, głęboko urażona niesprawiedliwością w rozdziale mężów, zerwała z szyi łańcuch z krzyżykiem i jednym ruchem rzuciła go na lśniący stół. W gniewie gotowa była zbiec z komnaty.

– Siadaj! – krzyknęłam.

Posłusznie zajęła miejsce.

Za to ja wstałam i wolno podeszłam do stołu. Długo obracałam w dłoniach prosty różaniec i czułam na sobie skupiony wzrok zebranych.

– Starsza wyjdzie za Sasa, a młodsza za Joachima – oznajmiłam.

Barbara z radosnym piskiem przypadła mi do nóg.

– Ale dla Barbary już dyspensa do ślubu z Joachimem gotowa! – zaprotestował zdumiony Fryderyk.

– To się imię Barbary wykreśli, a wstawi imię Elżbiety – odrzekłam spokojnie, nie odrywając wzroku od różańca.

– To ja mam też teraz wyjść za mąż? – zapytała cicho dotychczas milcząca Elżbieta.

– Nie. To jeszcze nie twój czas.

*

Olbracht zbierał pieniądze na wojnę na sejmach, Fryderyk na synodach. Król wreszcie wrócił do Krakowa.

– Chciałbym jak ojciec odwiedzić Barbarę do narzeczonego, zanim spotkam się z Aleksandrem w Parczewie – powiedział Olbracht, zdejmując podróżne rękawice. Resztę wierzchniej garderoby odebrał łożny.

– Kiedy ma nastąpić to spotkanie? – zapytałam.

– Jesienią.

– To ślub musi się odbyć jak najprędzej, już lipiec.

– I dobrze, bo Barbara jak jakiego męża uwidzi, to aż ją co z miejsca podrywa.

– Królu! – Zmarszczyłam nos i podeszłam do okna. – Aleksander pomoże ci pokonać Turka?

– Oczywiście! Przecież wielki książe to mój brat. – Wzruszył ramionami. Splotłam ramiona na piersiach i spjrzałam w dół na miasto.

*

Prowadziłam Barbarę po stromych schodkach do skarbcza pod Kurza Nogą.

– A Jadwiga, Zofia i Anna też tu były? – zapytała, patrząc pod nogi.

– Tak. I tak jak siostry dostaniesz trzydzieści dwa tysiące złotych węgierskich. W odpowiednim czasie. – Machnęłam ręką.

– Ooo! – Barbara wydała z siebie jęk zachwyty, kiedy wkroczyła do pierwszej komnaty pełnej ceremonialnych strojów i najcenniejszych sukien. – Mateczko! – wykrzyknęła na widok mojej śmietanowej sukni wysadzonej perłami. Uśmiechnęłam się.

– Miałam ją podczas przyjazdu do Krakowa. Bardzo wtedy padało.

Zbliżyłam się do lśniącej piękności i dotknęłam chłodnego atlasu.

– Ach! – usłyszałam. Barbara stała w bałwochwalczym uwielbieniu przed suknią Sonki w szerokie, czarno-złote pionowe pasy.

– Należała do twojej babki. – Zaśmiałam się. – Dotknij – zachęciłam córkę.

Przesunęła dłoń z lekkiego jedwabiu na sztywny i mocny złotogłów.

Przypomniałam sobie, że kiedy Sonka stała, złoto otaczało ją niczym zbroja, kiedy szła – jedwab czarną chmurą wypływał przed królową. Suknia była niezwykła jak jej właścicielka.

– Przymierz – powiedziałam do urzeczonej Barbary.

– Mogę?! – zapytała uradowana.

Sama pomogłam jej zdjąć szatkę i założyć od lat niedotykaną strój.

– I jak wyglądam? – Przeciągnęła dłońmi po gorsie i talii. Patrzyła na mnie z wyczekiwaniem.

Suknia leżała doskonale, a Barbara promieniała szczęściem.

– Wyglądasz jak ona. Pięknie. – Uśmiechnęłam się. – Jej włosy podkreślały czerń, twoje złoto. Jesteś nią – olśniło mnie. – Dobra i rozsądna, bezwstydną i odważną. – Patrzyłam na córkę, na niewiastę wykształconą, światłą, grzesznie ciekawą wszystkiego. Nie dałaby się zamknąć w ciasnej skrzyni nieświadomości i nudy. Dobrze, że wychodziła za męża starszego niż Joachim.

– Zatrzymaj tę suknię, weź ją do nowego domu – powiedziałam.

– Och, królowo! Naprawdę?

– Tak, ona umiera bez spojrzeń zachwyty jak człek bez miłowania. Noś ją, niech ożyje – mówiłam wzruszona. – I jeszcze jedno. – Wzięłam córkę za rękę i podprowadziłam do dużej skrzyni obłożonej perłową masą. Otworzyłam wieko. – Zajrzyj.

Barbara pochyliła się nad szkatułą wypełnioną niezliczoną liczbą pereł różnych kształtów i kolorów. Ich niebiański blask opromienił zachwyconą, gładką buzię królewny.

– Kazesz zrobić przędzywa⁵⁹, weźmiesz, ile zechcesz. Jeszcze kilka klejnotów dla ulubieńców i narzeczonego. Potem, oczywista, wozy, kolebki, futra, ale to już z Olbrachtem.

Rozejrzałam się i sięgnęłam po duży szafirowy kamień.

– To wszystko jest ważne – szepnęłam i obróciłam w dłoni ciężki klejnot. – Zwłaszcza kiedy przyjdą trudne dni.

– Nie chcę, nie chcę jechać! – wykrzyknęła nagle, odrzuciła wszystkie skarby i przypadła do moich kolan. – Boję się – załkała.

– Ty? Ty niczego się nie boisz. – Pocałowałam ją w czubek głowy. – Żadnej niewieście nie wolno się bać.

⁵⁹ przędzywo – sznur pereł, sznur

1497

Podeszłam do Olbrachta.

– Wyjeżdżasz na wojnę. Zebrałeś razem z braćmi osiemdziesiąt tysięcy zbrojnych, po swej stronie masz Władysława, Aleksandra i Stefana. Nawet Krzyżaka przymusiłeś, by ruszał z tobą. To się musi udać. Przyznaję, dokonałeś wielkiej rzeczy.

Spojrzał na mnie zadowolony. Dotknęłam jego twarzy tak, by ją zapamiętać jak najdłużej. Uśmiechnęłam się.

– Pamiętasz, jakieś pilnował zamku? Sześć lat miałeś. Szydłowiecki chodził cię zdejmować z dachu nocą, boś wroga z góry wypatrywał! – Śmiałam mu się w pierś.

Olbracht roześmiał się głośno.

– Siedziałem na dachu, bo w portki narobiłem, kiedy mi chiroptera przeleciał nad głową! Wstydzilem się wrócić, toż by Władko i Każko uciechę mieli! – Objął mnie ciasno i kołysał słodką chwilę.

Uwolniłam się niechętnie z synowskiego uścisku.

– Gdybym była Kallimachem, świeć, Panie, nad jego duszą, pewnie byś mnie posłuchał i odstąpił zamiaru. Pamiętaj, że Władysław nic nie zrobi bez zgody panów węgierskich, Aleksander wycofa się na drgnienie powieki Iwana, a Stefan to pies, który zdradzić cię może ze strachu przed Turkiem.

Co wtedy zrobisz? Dobrze, wycofasz się. Ale wtedy Turek obaczy, żeś bezbronny, i sam do Korony wkroczy.

– To takie macie dla mnie błogosławieństwo? – Zmarszczył czoło.

Westchnęłam głośno.

– Zbliź się – powiedziałam.

Pochylił nade mną swoją szeroką, pooraną bliznami twarz.

– Wracaj do mnie w zdrowiu i chwale. Dbaj o Zygmunta. – Ucałowałam jego nos i policzki.

W zdrowiu czy w chorobie, wracaj do mnie żyw, pomyślałam jeszcze, wychodząc.

*

Elżbieta, równie samotna jak ja po wyjeździe Barbary, co dzień próbowała mnie rozweselić.

– Zatańczyć? – Zajrzała mi z uśmiechem w twarz.

– Tak, tak. – Wróciłam z zamyślenia i z wdzięcznością poklepałam jej rękę.

Elżbieta tańczyła od narodzin. Nawet gdy chodziła, podrygiwała do niesłyszalnej melodii albo wykonywała nikomu nieznaną figury. Jadwiga tańczyła doskonale, Zofia ładnie, Anna z radością, Barbara z przyjemnością, a Elżbieta tańczyła duszą. Raz była cierpiąca, raz rozradowana, jakby snuła jakąś opowieść, ale tak, że niejeden łzę ronił.

Lutniści uderzyli w struny i Elżbieta zaczęła wirować, drobić kroczyki, wznosić lekkie i wiotkie dłonie. Wreszcie zakończyła pięknym ukłonem i rozległ się huk braw. Odwróciłam się, bo usłyszałam głośne, pojedyncze uderzenia w dłonie. To Fryderyk klaskał, po czym spojrzał na mnie znacząco i oddalił się z komnaty. Wstałam i poszłam za nim. W sypialni

niecierpliwie szarpnęłam aksamitną zasłonę do komory i weszłam w jej ciemność.

– Mów – powiedziałam.

– List od Zygmunta.

Robak w mym sercu poruszył się boleśnie.

– Czytaj.

Kardynał posłusznie rozłożył list.

– „Już we Lwowie czekaliśmy za długo na pospolite ruszenie...” – zaczął.

Niecierpliwie wyrwałam mu list i dalej sama śledziłam tekst. „Ciągnęli przez miesiąc nieruchawo (...) niewyszkoleni, wrzaskliwi. Potem ujawniło się, że Aleksander przez gniew Iwana posłał Olbrachtowi jeno ochotników. Olbracht zamknął się na trzy dni, wzburzony wielce. Wszyscy myśleli, że zawrócim, ale król kazał ruszać. Suniemy powoli (...), większość przeprawy nienauczona...”

Westchnęłam i oddałam list Fryderykowi.

– Wiedziałam! Niech wraca! Odstąpią go wszyscy!

– Mam i dla was list od króla. – Fryderyk sięgnął do ukrytej kieszeni.

– Od Olbrachta? Czekaj, usiądę. – Przeszliśmy z powrotem do sypialni, gdzie było jaśniej. – Co pisze?

– Nakazał dla was dom wybudować.

Spojrzałam zaskoczona na syna.

– Dom?

– Przy południowym wejściu do katedry. Zawsze mówiłem, że macie pokruszony sufit. – Spojrzał w górę i wrócił do tańczących.

– Nowy dom? Dla mnie? Cóżes ty obmyślił, Olbrachcie?

Uśmiechnęłam się do zasypiającego kocura. Co prawda źle łątane dziury, szpary i prześwity zapraszały do komnat wiatr i wilgoć, ale nigdy nie myślałam...

*

– Au! – krzyknęła Elżbieta, kiedy Regina skubała jej pierwszy raz włosy nad czołem. Nawzajem, śmiejąc się cały dzień, огоłociły sobie czoła, a brwi zmieniły w cienkie łuki.

– Jakaż panna dorosła – powiedziałam do pokraśniałej z zadowolenia Elżbiety. Uniosłam jej podbródek i obejrzałam efekt bolesnej pracy. – Ładnie – zawyrokowałam i uśmiechnęłam się do córki.

– Jeszcze tylko żmijowa maska! – Uradowana wybiegła do dziewczęcej komnatki. Wróciły po chwili razem z Regimą pokryte czerwoną mazią i chichotały aż do ceny u Fryderyka.

– Po co niewiasty to robią? – Skrzywił się kardynał na widok nowych brwi Elżbiety. Panna zbladła i posmutniała, bo nie spodziewała się krytyki od dobrodusznego brata.

– A co brat ma do tego? – spytała niepięknie. – Barbara przecież z dawna...

– Pomódlmy się – przerwał jej Fryderyk i pochylił się do mnie. – Wieści mam. Aleksander go odstąpił, Stefan zdradził, do stolicy wpuszczając Turka, Krzyżak zbiegł. Węgrzy każą mu się wycofać, bo mówią, że Mołdawia ich lennik. Odstąpili go. Odstąpili go, matko, wszyscy.

Zacisnęłam drżące dłonie na fałdach sukni. Boże! Czy to klątwa papieska na dzieci kazimierzowe ciągle działa?! Wstałam i powoli odwróciłam się do wyjścia. Chciałam iść, ale z każdym krokiem zapadałam się coraz głębiej w ciemność.

*

– Kolejne wieści od Zygmunta. – Fryderyk machał nieodpieczętowanym listem. Uniosłam się w łóżu, ale zaraz opadłam na poduszki i zasłoniłam oczy.

– Mów – ponagliłam syna.

Zaczął czytać:

– „Las bukowy gęsty, na dwie mile rozległy. Bukowiną od drzewa buczyny nazywany. Ciasne ma przejścia i boczne między przykrymi skałami i górzystymi wywalinami drożyska...”⁶⁰ – Naraz Fryderyk przestał czytać głośno i jak w gorączce wodził oczami po literach.

– Co się stało? Fryderyku!

– „...napadli tam na nas Turcy i ludzie Stefana. Zabili pięć tysięcy ludzi. Nam nic. Wycofujemy się. Ponieśliśmy klęskę”... – zakończył Fryderyk i wolno odłożył list. Przejechał dłonią po niegolonej twarzy. – A wy dokąd?! – wykrzyknął zaskoczony, widząc, że wstaję z łóża.

– Sposobić mury! – krzyknęłam równie głośno.

– Szaleństwo i was sięgnęło? – parsknął zuchwale.

– Nie! Jeno jak wszyscy zobaczą, że jagielloński dom słaby i podzielony, nam tylko Turka wyglądać pod Krakowem! Mówiłam, przecież mówiłam!

*

Resztę jesieni i zimę spędziłam razem z Elżbietą w Niepołomicach. Niecierpliwie w drodze powrotnej wyglądałyśmy z kolebki, wypatrując znanych murów. Wawel zimny i dziurawy, ale jednak dom to dom. Kiedy wysiadłam na dziedzińcu, ze zdziwieniem zauważyłam, że nowa, wielka budowla już stoi!

– Będziecie tu mieszkać? – Elżbieta chwyciła mnie pod ramię.
Wpatrywałam się w lśniący w słońcu dach.

– Chyba tak.

– Nie żal wam starych komnat? Mnie trochę szkoda.

– Szkoda, owszem, szkoda, Elżbieto.

Z trudem przestąpiłam z nogi na nogę.

– Podstawić lektykę? – zapytała z troską.

– Może jestem prawie ślepa, ale chodzę doskonale.

Elżbieta roześmiała się głośno.

⁶⁰ Słowa autentyczne, cyt. za: M. Duczmal, *Jagiellonowie*, Kraków 1997, s. 329.

1498

– Miłościwa pani, królewicz Zygmunt prosi! – Joanna zbudziła mnie niecierpliwym szeptem.

– Zygmunt? Tutaj?! Ubierać, prędko! – zakrzyknęłam drżącym głosem.

– Pani matko, tam! – Zygmunt nie przywitał się należycie, a i mnie nie było to w głowie.

Na krużgankach usłyszałam szuranie i tupot nóg, jakby niesiono coś ciężkiego. I tak było! Z mroku wyłoniła się procesja zbrojnych dźwigająca Olbrachta za ręce i nogi. Król zwisał głową do ziemi, z ust leciała mu ślina. Podbiegłam i delikatnie uniosłam jego twarz.

– Ranny?!

– Nie. Pijany – burknął żołnierz.

Zasłoniłam usta i pobiegłam za nimi do królewskiej sypialni. Rzucili go na łoże jak wór.

– Nie rzucaj! Nie rzucaj! – błagałam zrozpaczona.

Mijający mnie zbrojny spojrzał litościwie, otarł usta, skłonił się niezgrabnie i razem z innymi opuścił sypialnię.

Podbiegłam do Olbrachta.

– Synu...

Skrzywił się, położył na wznak i głośno zachrapał.

Czuwałam, póki się nie obudził. Kiedy przed świtem jęknął, wstałam ze skrzypiącego stołka i zajrzałam mu w twarz. Otworzył oczy. Rozpoznał mnie wreszcie i zmarszczył brwi.

– Wynoś się – wycharczał.

Wstrząśnięta przeszłam do swojej komnaty i bezradnie usiadłam na łożu. Zauważyłam syna siedzącego w głębi sypialni.

– Zygmuncie...

Rozpłakał się.

*

Po modlitwie Fryderyk sam usługiwał rano przy stole. W końcu usiadł i bezmyślnie zaczął kruszyć ciasto. Elżbieta, równie nieobecna duchem, skubała chleb.

– Nic nie można było zrobić? – zaczął wreszcie niepewnie.

– Nic – odpowiedział ponuro Zygmunt.

Bardzo wychudł; jego cienka szyja, osadzona w za dużym duplecie, sterczała jak u podrostka.

– A może gdyby... – nie przestawał kardynał. Starszy brat zerwał się z miejsca i podniósł głos:

– Nie było cię tam! Chcę wyjechać. Do Budy. Tu już nic mnie nie czeka.

Spojrzeliśmy wszyscy na niego, ale nikt nie mógł zaprzeczyć jego słowom. Czy znowu zawiodłam, Kazimierzu?

Olbracht wstał dopiero po niesporach. Głośne przekleństwa zwabiły mnie do Kurzej Nogi. Stałam w oddaleniu, widok zatrzymał mnie w miejscu. Obwisła, spotniała twarz króla była sina; próbował uspokoić drżenie rąk. Sługa podał mu pióro, ale mój syn nie mógł go utrzymać. Drżał coraz bardziej, jakby kto nim potrząsał. Znowu zaklął.

– Lekarstwo – wysyczał.

Sługa wiedział jakie, bo sięgnął po dzban z winem i nalał pełen kielich.

– Szybciej – sapał przez zaciśnięte zęby król.

Chłopak przytknął mu kielich do ust, a mój syn pił jak spragnione pacholę! Głośno i zachłannie. Boże. Zasłoniłam usta.

– No, to ci lekarstwo! Lepszego nie znajdziesz!

Rzeczywiście nabrał kolorów i przestał drzeć!

Zaśmiał się głośno, jak dawniej. Pomyślałam, że to dobry moment, by wejść. Zerwał się, kiedy mnie zobaczył, i odwrócił się do okna. Mój syn nie chciał mnie widzieć. Podeszłam i delikatnie dotknęłam jego pleców.

Spojrzał na mnie z nienawiścią. Strasznie.

– Zadowolona? Przewidzieliście to! Triumfujesz! Cieszy cię moja klęska, wszechwiedząca mateczko? – Pochylał się nad moją twarzą tak, że musiałam usiąść. – Tyle mi zostało! – Chwycił ze stołu starą mapę ojca, pochylił ją nad świecą i patrzył z wykrzywioną twarzą, jak płonie.

Nie poruszałam się, mierzyliśmy się wzrokiem. Oddychałam szybko. *Barbarus!* Parsknął śmiechem, odsunął mapę znad ognia i rzucił w moją stronę. Teraz dopiero spojrzałam na niego z triumfem. Wypił wino do końca i zostawił mnie samą.

1499

– Pije, wyje, bawi się, kończy rano jedną biesiadę, zaczyna drugą, rozpustnik! To ohydne! Kazałam zastawić przejścia do moich komnat. Kiedy wychodzę na mszę, proszę o oczyszczenie drogi do katedry, by Elżbieta nie natknęła się na jego... znajome i bezecnych gości. To wstrętne, Fryderyku!

Odwróciłam do syna zapłakaną twarz.

– Wie, że pokój z wrogiem zawrzeć musi... To dla niego trudne. – Rozłożył ręce.

– Wyjeżdżam. Zabieram Elżbietę i jedziemy do Radomia.

Podniósł się ciężko.

– Pójdę do niego.

– A idź, idź. Tyś nie lepszy! Powiadają, że rajfurki sprowadzasz! Biesiady u ciebie też do rana. Myślisz, że nie wiem? – mówiłam z żalem, szarpiąc chusteczkę.

Zaskoczony Fryderyk potarł czoło, wydał wargi i wyszedł cicho.

– Idź, idź.

Odwróciłam się do okna.

Rankiem miałam wsiadać już do kolebki, kiedy doszły mnie pojedyncze krzyki i lamenty od strony miasta. Miasto się burzy? Lodowaty strach kazał mi przypomnieć sobie nieszczęście Tęczyńskiego.

– Król! Na miły Bóg, ranili króla! – krzyczał ktoś rozpaczliwie.

Boże! Zamach! Ktoś chciał zabić Olbrachta?! Wybiegłam na dziedziniec; dworscy dźwigali króla, ale tym razem całego we krwi, w morzu krwi! Chryste! Nagle usłyszałam pisk przerażonej Elżbiety. Na szczęście jakaś rozumna matrona wciągnęła królowną do komnaty.

– Medyka, medyka, pomóżcie! – wołałam.

Ułożono króla delikatnie. Budził się i pojękiwał. Gromada *chirurgorum*⁶¹ pochyliła się nad Olbrachtem.

– Pani... – rzekł jeden do mnie.

Odgadłam jego prośbę.

– Nie, nie wyjdę. Zostanę – powiedziałam głośno.

Przywołałam do siebie jednego ze świadków wypadku.

– Mówcie – rzekłam cicho.

– Napraszał się wyjść na miasto. Raz, drugi. Krzyczał i bić się chciał. Potem żądał kobiety, za chwilę drugiej. Uspokoił się i nagle nam uciekł – mówił, szlochając. – Poszliśmy za nim, a on wszystkich lżył i zaczepiał na mieście. W końcu natknął się na rozbójców, nie chcieli nam wierzyć, że to król. Złapali go i nóż wrażyli!

Chryste! Czy to już piekło? Czy to piekło? Skuliłam się na stolku.

*

Nocą ocknęłam się. Podeszłam do Olbrachta i założyłam mu włosy za ucho.

– Olbrachcie...

– Nie będę. Ja już nie będę. Przysięgam – wyszeptał poblady.
Upadłam na kolana do modlitwy.

*

Siedział już, kiedy hetman wszedł i skłonił się nam sztywno. Przestałam głośno czytać ustęp o synu marnotrawnym i usiadłam przy królu.

– Co tam? – zapytał Firleja ciągle słaby Olbracht.

– Turek pod Lwowem, panie.

Król wyprostował się w łożu.

– Ruszam! Jechać trza! – Zerwał kołdrę i skrzywił się boleśnie.

Niedługo potem wsiadł na konia i ruszył z Krakowa. Zygmunt patrzył przez okno w ślad za bratem.

– Wyjeżdżam. Wyjeżdżam na Węgry.

*

Olbracht wrócił w listopadzie. Zamknął się w komnatach bez głośnego towarzystwa.

– Nikogo! – wrzasnął.

Po trzech dniach zawitał do mnie jego pokojowiec.

– Pani, król sprzątać nie daje. Sprzęty niszczy, rozbija, krzyczy. – Patrzył bezradnie.

Odłożyłam księgę.

– Wiem. Może co poradzę.

Nie mogłam się przyznać, że i mnie nie wpuszczał i ze mną rozmawiać nie chciał. Wieczorem powoli otworzyłam drzwi między naszymi komnatami. Nie były zamknięte na klucz. Wśliznęłam się do środka. Mój

syn leżał na boku, plecami do mnie, niczym bezradne dziecko. Położyłam się tuż za nim i dotknęłam jego skroni.

– Turek drwi ze mnie, jasyr bierze i przed walką ucieka – odezwał się wreszcie. – Zawiodłem. Na was hańbę sprowadziłem – dokończył w poduszkę.

– Och, klęska, hańba, wstyd i wina to siostry władcy. – Gładziłam jego włosy. – Ojciec twój z każdą na ramieniu chadzał.

– Ojciec mój był wielkim królem.

– Był. I będąc wielkim, ciebie na króla wskazał. Bo królewskie cnoty masz.

Nie odwracał się.

– Jakie?

– Odwagę i dźwiganie się.

– Nie drwicie ze mnie? – zapytał po chwili.

– Nie. Tyś najlepszy z braci. Dźwigniesz się. – Zamknęłam oczy. – Śniesz czasem? Coś osobliwego? – odważyłam się wreszcie zapytać.

– Rzadko śnię. I nic osobliwego.

Ucałowałam jego skroń i ostrożnie zsunęłam się z łoża. Boże, dopomóż memu dziecieniu!

– Dźwignę się, mateczko – powiedział, nie poruszywszy się.

*

Pokiwałam smutno głową, zapatrzona w okno. Zygmunt ma syna. Nie mogłam w to uwierzyć. Władysław i Aleksander nie mieli dzieci.

– Z kim? – Zapytałam wreszcie.

– Z Telniczanką.

Jakby piorun mnie uderzył.

– Ze służką?! Z dolnego fraucymeru?!

Wzruszył ramionami. Odeszłam od okna i usiadłam na podwyższeniu.

– Jakież wieści od Aleksandra? – zapytałam Fryderyka.

– Nie. Jeno kancelaryjne.

Milczeliśmy przez chwile oboje.

– Jak ma na imię dziecię? – zapytałam, próbując się uśmiechnąć.

– Jan – odpowiedział z czułością kardynał.

– Jest w Krakowie? Z matką?

– Tak.

Odwróciłam się do okna i powiedziałam po chwili:

– Poślij do nich, czy im czego nie potrzeba.

Fryderyk uniósł się z fotela.

– Tylko nie mów od kogo, na miły Bóg! – krzyknęłam, zanim wyszedł.

*

Rano widziałam, jak Olbracht próbował skupić się na podsuwanych dokumentach. Marszczył zroszone potem czoło, mrużył oczy. Był chory.

– Pani – odezwała się cicho Joanna – ochmistrz ma wieści o Joachimie, narzeczonym królowy Elżbiety.

– Cóż, żenić się chce wreszcie? – Odwróciłam się i niepostrzeżenie otarłam łzy.

– Chyba nie o to idzie. – Szybko zamrugała i poprowadziła przodem.

W kancelarii ochmistrz Stanisław z Młodziejowic przywitał się należycie.

– Miłościwa pani. – Odchrząknął. – Cynceron, ojciec Joachima, nie żyje, a Joachim nie jest zainteresowany ożenkiem z królową Elżbietą.

– Ach tak? – Opadłam na krzesło, ale po chwili dźwignęłam się i ruszyłam w stronę swoich komnat.

Fraucymer zebrany w szmaragdowej sali w ciszy słuchał łagodnego głosu Rabsztyńskiej pochylonej nad Biblią.

Siedemnastoletnia Elżbieta siedziała beczynn timer, wyprostowana, z dłońmi złożonymi na podołku. Regina klęczała przy niej i mówiła coś z przejęciem. Widziałam, że królowna jest myślami gdzieś daleko. Dopiero gdy panny i matrony zerwały się na mój widok, a Barbara przestała czytać, Elżbieta wolno odwróciła się w moją stronę, zebrała fałdy swojej ulubionej zielonej sukni i wstała, by podać czoło do pocałunku. Szła w moim kierunku nadspodziewanie spokojnie, nie podskakiwała, nie kręciła figur, patrzyła przenikliwie, świadoma, że wszyscy ją obserwują. Już wiedziała.

– Na powietrzu cieplej niż w tej komnacie, wyjedźmy w las – powiedziałam do córki.

Skinęła głową, a służba zakrzątnęła się wokół naszego wyjazdu. Elżbieta wpatrywała się we mnie mocno i rozpaczliwie. Nie rozumiała.

Miękkie poszycie pachniało zbutwiałymi liśćmi ledwo uwolnionymi od śniegu, kiedyśmy stępa przemierzały budzący się na wiosnę młodnik. Chciałam, by to Elżbieta zaczęła mówić. Nie odezwała się słowem przez całą drogę, ale widziałam, jak drży pod szubą i jak płyną łzy po spokojnej twarzy. Ja też potrafiłam milczeć.

Wróciłyśmy o zmroku. Bez słowa weszła za mną do sypialni i usiadła na miejscu, gdzie płakał Zygmunt, a wieki temu wystraszył mnie kardynał Oleśnicki.

– Nie zapalaj – powiedziałam do łożnego, gdy pochylił się nad świecą.

Skłonił się i zostawił nas same.

– To i dobrze się stało – odezwała się wreszcie.

– Płakałaś.

– Bo mnie upokorzył. Piętnastolatek. Ja niewiasta, ja Jagiellonka. Wstrętny mi jest, człek bez obowiązku i honoru. Niechby się taki z żadną nie żenił. Spójrzcie na Jadwigę albo Zofię.

– Elżbieto!

– A tak!

– Hohenzollern odebrał jej nawet Małgorzatkę i oddał dziecko do klasztoru tylko po to, by z matką nie było! A Zofia? Kiedy kolejne dziecko rodzi, mąż jej ukochany za ścianą biesiaduje.

– Czego więc pragniesz?

– Jeszcze dziś rano chciałam być żoną Joachima. Teraz chcę czego innego.

– Czegóż to?

– Wybierać. Sama wybierać, decydować o swym losie.

– Chcesz do klasztoru, za furkę?

– Nie. Chcę wyjść za mąż za tego, którego sama wybiorę, albo wcale. Westchnęłam głośno.

– Idź już, Elżbieto. Jestem męczona.

Kiedy wyszła, opadłam na poduszki. Sama! Wybierać! Śmiałam się coraz głośniej, aż śmiech przemienił się w szloch.

*

– Miłościwa pani, miłościwa pani, zbudźcie się, na miły Bóg! Pali się! – Joanna szarpała mnie jak śpiącego pacholika. – Jezu! Pali się!

– Gdzie król?! Gdzie Elżbieta?! – próbowałam przekrzyczeć wrzeszczących ludzi i wyjące przerażone psy.

– Królowna bezpieczna, nie wiem, gdzie król! – płakała ochmistrzyni. Podpieraną przez łożnych i pokojowców niemal nie dotykałam ziemi.

– Gdzie Elżbieta?! Fryderyk! Olbracht! Gdzie moje dzieci?! Wszyscy wyszli? Dzieci? Psy?

Dworzanie mijali mnie w panice. Wszyscy pytali wszystkich. Gdzie Anna?! Katarzyna?! Widział kto moją siostrę?! Żonę?! Wszyscy wyszli?! Gdzie się pali?! Co się pali?!

Słudzy postawili mnie dopiero pod katedrą i pobiegli dalej. Jezus Maria! Pali się Kurza Noga i Wieża Duńska! Boże! Uwolnione konie wśród kwiku i rżenia wybiegły popędzane ze stajni wprost na tłum pod katedrą. Psy wyły i szczekały przerażone. Elżbieta wpadła w me ramiona. Tuliłyśmy się do siebie, zawodząc.

– Gdzie Olbracht?! – próbowałam przekrzyczeć bicie dzwonów.

Od hałasów, huku ognia drżało całe wzgórze.

Zauważyłam burgrabiego. Stał z brudną twarzą i dłońmi wczepionymi we włosy. Podbiegłam do niego i zaczęłam szarpać jego dublet.

– Gdzie król?!

Spojrzał na mnie przekrwionymi oczami i bez słów wskazał mi postać najbliżej ognia. Król szarpał się z dworskimi i nie dał się odciągnąć od płomieni. Kolejna strzaskana szyba runęła tuż obok niego.

– Olbracht, Olbracht! – Głos mój nikł w szatańskim żywiole.

Mój syn stał bezradnie z małym wiadrzem i wpatrywał się w płomienie na piętrze. Uniosłam głowę. Boże! Puste dziury jeno zostały po pięknych barwionych oknach Dunki! Ogień wyzierał z nich, wywalając czarcie jęzory, jakby bezkarnie ze mnie drwił.

Boże! Mapa Jadwigi! Nasz dom! Jakby na to z gorącej czeluści wypłynął kobierzec z postacią wysokiej kobiety z dzieciąciem. Płonęła. Podobnie jak wizerunki innych. Nic nie zostanie! Jezu! Czułam, że robak wierci mi w trzewiach, unosi się, rozpiera boleśnie w piersiach, sięga do palców. Opadłam na kolana.

Świt obnażył zmęczenie, rozpacz i bezradność na udręczonych, brudnych od sadzy twarzach. Wyczerpani dworzanie bez życia snuli się w ciszy po pogorzeliśku niczym duchy po cmentarzu. Skwierczące czarne resztki łukowatego sklepienia wieży duńskiej sterczały jak żebra monumentalnego zwierza objedzone przez tytana. Wawel umarł, ogień pochłonął jego serce. Chryste, daj mi siłę!

Joanna z opuchniętą od płaczu twarzą podała mi futro.

– Powiedz, że nikt nie zginął w tym piekle – szepnęłam do ochmistrzyni.

– Nie.

– Dziękować Bogu. Gdzie król?

– W wielkiej sali. Sam.

Szłam wolno wśród pogorzeliśka, weszłam do wielkiej komnaty. Na szczęście ogień ją ominął, pękło tylko kilka barwnych szybek w wysokich oknach.

Pijany Olbracht siedział pod długim stołem i wznosił kielich w stronę siedzącego kocura.

– Pij! – warknął do rozeźlonego zwierza tłukącego ogonem w miękką kobierzec.

– Podaj i nam. – Usiadłam obok syna.

Zdziwiony spojrzał na mnie, próbując utrzymać chyboczącą się głowę, i zamaszystym ruchem sięgnął po dzban. Trącił go, wylewając resztkę wina na podłogę.

W progu stanął burgrabia zamku. Niepewnym krokiem zbliżył się do siedzącego pod stołem majestatu.

– Miłościwa pani, nie możecie wracać do swoich komnat. Pękła ściana od dachu po przyziemie.

Spojrzałam na króla. Olbracht zachrapał z głową opadłą na piersi. Wyjęłam mu kielich z rąk, upiłam łyk i podałam zmęczonej Joannie. Ta zanurzyła głowę w dużej czarze i po chwili podała naczynie burgrabiemu.

– Zabiorę Olbrachta do siebie – odezwał się przybyły Fryderyk. Skinął na kilku osiłków, którzy unieśli króla i wsadzili go do lektyki.

Kardynał odebrał naczynie od burgrabiego i wypił wino do końca. Z westchnieniem odstawił kielich na stół. Wskazał na oddalającą się lektykę.

– Właśnie podpisał rozejm z Mołdawią i spłonął mu dom.

*

W czasie porannej mszy król pochrząkiwał, to bladł, to czerwieniał, kasłał; w końcu spotniały zaczął się trząść i kiwać w tył i w przód. Wystraszony kapelan skrócił nabożeństwo i Olbrachta odwieziono do domu kardynała.

Patrzyłam na wszystko otepiała. Miałam wrażenie, że ogień nie przestał niszczyć i odbierać. Płomień trawił moje dziecko, a ja musiałam na to patrzeć.

⁶¹ *chirurgicus* (łac.) – opatrywał rany i składał kości

1500

Jak co dzień rozpoczęłam śniadanie ze swymi dziećmi.

– Lej – wycharczał do podczaszego jeszcze nie całkiem trzeźwy po kolejnej pijackiej nocy Olbracht. Śledził każdy ruch sługi. Lekko rozchylił spieczone usta, kiedy ujrzał rubinowy płyn wypełniający królewski puchar. Oblizął wargi. Chwycił w końcu chłodne naczynie obiema rękami, jakby pić miał ze Świętego Graala, i posapując z zadowolenia, zamknawszy z namaszczeniem oczy, wychylił kielich do dna.

Od razu życie mu wróciło, ale wiedziałam już, że fałszywe, od czarta dane. Na chwilę, za najwyższą cenę.

Wstał i ruszył do stołu z listami. Kilka niecierpliwym ruchem przedarł i rzucił strzępy na podłogę. Sięgnął po największy, z cesarską pieczęcią, sam ją złamał i zaczął czytać. Trzepnął dłonią w papier.

– Cóż z tym Krzyżakiem, że nawet przez Jagiellonów wybrany hołdu nie chce składać i za łeb go trza pod tron wlec! Do tego Maksymilian staje po ich stronie! Nie uznaje pokoju z 1466 roku!

– Cesarzowi na rękę mącić w Prusach – odezwał się spokojnie Fryderyk.

– Habsburg zawsze przeciw Jagiellonom! – krzyczał Olbracht.

– Przymierze przeciw niemu trzeba zawrzeć z wrogiem jego – wtrąciłam.

– Francuz? – odgadł król.

– Tak. I narzeczona z Francji. Germaine de Foix. – Wzniosłam kielich w stronę synów.

– Siostra narzeczonej Władka, Anny de Foix? Jeszcze właściwie mam czas na żeniączkę. – Czterdziestoletni król podrapał się po głowie. – Ale dlaczego nie! – Uśmiechnął się wciąż jeszcze pięknie.

– Za sojusz! – Fryderyk wstał i uniósł szklany puchar.

– Beczkę! – ryknął król do podczaszego.

*

Nowy dom był duży, wygodny i ciepły. Katedrę miałam na wyciągnięcie ręki i do Kazimierza bardzo blisko. Każdej nocy odwiedzałam małżonka w naszej kaplicy. I tak naprawdę coraz niechętniej od niego wychodziłam. Kazałam pochować moje zmarłe córki obok króla, w miejscu, gdzie miały spocząć me kości. Tam, z nimi, byłam szczęśliwsza.

Olbracht wyjeżdżał i wracał. Awanturował się, bawił, pił i wyjeżdżał znowu. Osiemnastoletnia Elżbieta gasła, zgnębiona bezczynnością i niemożnością. Nie pytałam, czy myśli jeszcze o Joachimie. Zastawałam ją często ze zmarszczonym czołem, pogrążoną w myślach, którymi z nikim się nie dzieliła.

Kolejna zabawowa noc. Olbracht mieszkał w ocalałych komnatach na zamku. Nie chciał przenieść się gdzie indziej.

– Germaine! Geeermaaaine! – usłyszałam pijackie zawodzenie od krużganków.

Chryste! To Olbracht! Zarzuciłam na plecy ciepłą szubę i jakby wstąpiły we mnie młode siły, pognałam w stronę zamku. Noc niosła żalosne tony po całym wzgórzu.

– Germaaaine...

Zastałam króla kiwającego się niebezpiecznie przy balustradzie na piętrze.

– Germaine! – wydarł się znowu i omal nie wypadł na bruk.

Grupa pokojowców stała bezradnie, zadzierając głowy ku królowi.

– Zabierzcie go stamtąd natychmiast! – wykrzyknęłam.

– Nie pozwoli. Próbowali – odpowiedział ktoś w ciemności.

Boże! Miej nas w swojej opiece! Wolno szłam w górę po schodach.

– Ale ty nie jesteś Germaine. Ty jesteś mateczka. – Odgadł ledwie trzymający się na nogach Olbracht. – Mateczka. – Wskazał mnie palcem i parsknął śmiechem.

– Idź spać, na miły Bóg.

Czułam, że z każdego kąta śledzą nas dworskie oczy. Nagle zaszlochał.

– A ty miłujesz mnie? Nie! – Szedł do siebie chwiejnie. – Zawsze wolałaś Każka! Tak, i półdupka Aleksandra! – Zwalił się na łożo i natychmiast zachrapał.

Kolejnej nocy dziki, rozbawiony i rozwrzeszczany tłum wypadł z bramy. Z przerażeniem potruchtalam do okna i zobaczyłam barwny korowód pijaniców pod katedrą. Odwróciłam się z zamiarem powrotu do łoża, kiedy doszedł mych uszu mrozący krew w żyłach niewieści krzyk. Wyraźnie widziałam pannę biegnącą do mego domu! Wstrzymałam oddech i po chwili usłyszałam ostrożne otwieranie i zamykanie bocznych drzwi.

Z trudem wytrzymałam do rana, sama się ubrałam i inaczej niż zwykle, nie czekałam na dwórki, ale sama wkroczyłam do komnaty, gdzie od świtu wszystkie przebywały. Na moje niespodziewane wejście odskoczyły od kominka, ujawniając nocną tajemnicę. Na krześle siedziała młodziutka panna, którą ledwie rozpoznałam. Chryste! Podeszłam bliżej i uniosłam jej podbródek. Straszliwie opuchnięta prawa część twarzy wyglądała jak żywe mięso. To musiał być potężny cios!

– Kto? – zapytałam ze ściśniętym gardłem, choć znałam odpowiedź.

– Król – powiedziała z trudem i dwie ciche łzy spłynęły po jej okaleczonej twarzy.

Hańba! Hańba! Huczało mi w głowie, kiedy szłam w stronę sypialni króla. Weszłam; właśnie pozwalał się ubierać. Stał z ramionami rozłożonymi jak Chrystus. Służba pierzchła na mój widok. Podeszłam do syna i uderzyłam go w twarz tak mocno, że zapiekła mnie dłoń.

– Co wy?! Za co? – Nie wiedział, czy ma się gniewać, czy dziwić.

– Za wszystko – odpowiedziałam, odwróciłam się i zostawiłam go samego.

Niedługo potem widziałam, jak purpurowy na twarzy, z wysiłkiem dosiadał królewskiego wierzchowca. Szykował się do wojny z nieposłusznym Krzyżakiem.

1501

Wodziłam kamieniem do czytania⁶² po zdobionej stronie modlitewnika, a Elżbieta przerzucała karty *Sławnych niewiast* Boccaccia.

– Co trzeba uczynić, by trafić do takiej księgi? – zapytała.

– Trzeba być pokorną, posłuszną, łagodną, nosić buzię w ciup i ręce składać w małdrzyk⁶³ – odpowiedziałam.

– I są takie niewiasty?

– Są.

Spojrzała na mnie, nie dowierzając.

– Gdzie?

– W tej księdze.

Wszystkie matrony i panny wybuchnęły śmiechem. Elżbieta podniosła się i podbiegła do mnie wesoło.

– Chcesz trafić na karty księgi? – zapytałam ze śmiechem.

– Chcę... czegoś. – Wykręciła w górę dłoń.

Młody dworzanin przyniósł listy.

– Odłóż, sama przeczytam – powiedziałam do niego.

Skłonił się zgrabnie i zanim wyszedł, zobaczyłam wśród przyniesionej sterty list pisany niebieskim inkaustem.

– Och, podaj ten błękitny!

Kancelista zawrócił, ale mały pacholik siedzący najbliżej wyskoczył i podał mi usłużnie liścik. Zygmunt, ucieszyłam się, na pewno Zygmunt!

Czytałam chwilę i w końcu starannie złożyłam pergamin na dwoje.

– Elżbieto, co najbardziej ci smakuje? – zapytałam córkę.

Oderwana znowu od książki królowa spojrzała na mnie zdziwiona.

– Migdały? – odrzekła niepewnie.

– W takim razie dziś będziemy miały ciasto migdałowe. Przejemy fortunę, ale warto.

Mała dwórka Magdalena, od niedawna na moim dworze, uderzyła w dłoń z radości.

Rzuciłam na nią okiem i uśmiechnęłam się do wszystkich.

– Syn nasz, królewicz Zygmunt, uzyskał od swego brata, króla Węgier i Czech, księstwo głogowskie! – Nareszcie nie jest bezdomny, pomyślałam.

Komnata ożyła, wśród *iuniorum* odezwały się gratulacje i radosne wiwaty.

O tym, że Telniczanka urodziła Zygmuntowi córkę, już nie informowałam na dworskim forum.

*

Był czerwiec. Upał panował tak nieznośny, że wszyscy ukryli się w chłodnych komnatach starego zamku. Rozgrzany smród z miasta odbierał oddech i wymuszał zamknięcie okien w mojej sali. Ociężałe, spotniałe ciała dworzan i fraucymeru słabo walczyły z ogromnymi muchami oblepiającymi oczy i czoła. Dziedziniec był cichy i pusty, nawet służba chroniła się przed największym gorącem; wyjazd do Niepołomic opóźniono o kilka dni.

Nagle dał się słyszeć nerwowy stukot końskich kopyt i skrzypienie wozów. Kiedy już zapomniałam o przyjezdnych, do komnaty wszedł

wolnym krokiem Fryderyk. Uśmiechnęłam się do syna, ale natychmiast radość zniknęła z mej twarzy: zobaczyłam w jego lśniących oczach przerażenie i niedowierzanie. Za nim powoli i ciężko, zginając kark u progu, wszedł Mikołaj Firlej, hetman wielki koronny, dalej zaś chorąży wielki Mikołaj Szydłowiecki. Kanclerz Olbrachta Kurozwęcki? Podkanclerzy Maciej Drzewicki? Marszałek króla Jan Rabsztyński? Co oni tu robią? Gdzie Olbracht?! Wstałam i podchodziłam do nich ostrożnie. Wszyscy otoczyli mnie kołem, patrząc na mnie z mieszaniną ogromnego żalu i bólu.

Osunęłam się wzdłuż kolumny, ścigana niewyobrażalnie nedorzeczną myślą.

– Mateczko... – odezwał się Fryderyk – król nasz, Jan Olbracht... nie żyje – powiedział tak, jakby sam w to nie wierzył.

Umarłam. Nie czułam nic. Widziałam i świt, i słońce, i księżyc, i noc, i znowu świt, i znowu noc. Myśli moje wirowały jeno wokół duszy. Oblepiały ją, ale nie miały śmiałości jej tknąć. Łasiły się, kusiły i gryzły. Dusza moja zasnęła. Nie czułam nic. Koci pyszczek patrzył prosto w moją twarz. Potem zobaczyłam nad sobą grubego warkocz Elżbiety i jej okrągłe oczy.

– Mateczko! – usłyszałam z czarnej głębi. Widziałam córkę, Joannę i medyka. Unosił mi ręce i udawał, że wie, co mi jest.

Przebudziłam się.

– Co za smród – powiedziała pochylona nade mną niechętna służka.

– Zamilczcie! Jeszcze kto usłyszy... – skarciła ją druga.

– A co? Nikogo tu nie ma. Zrazu myśleli, że to paraliż jak u króla. Pono wykrzywiło go i w dwa dni w Toruniu umarł. Pijanica.

Zapadłam się. Otworzyłam oczy na soczystej trawie nad Wisłą. Tak dawno tam nie byłam. W błękitnej księżycowej poświacie szłam przed

siebie, ale nie widziałam bestii. Gdzieś ty? Gdzieś ty?! Nagle coś pchnęło mnie w plecy i upadłam na trawę. Ból był potworny, rozdzierał od stóp przez łono, trzewia, piersi i gardło. Wygiął mnie w sztywny łuk.

– Olllbraaaacht! – Mój rozpaczliwy krzyk jak kruk zatoczył koło nad spalonym domem.

Natychmiast wbiegły Joanna i Elżbieta. Dopadły mego wezgłowia. Królowa szlochała, nie mogła przemówić.

– Wstaniemy, tak? Dźwigniemy się? Jutro? Tak? Jutro wstaniemy? – powtarzała zapłakana.

– Dziś... Muszę... – wyszeptałam do ochmistrzyni.

Łożni pomogli mi usiąść. Patrzyłam na swoje szczupłe stopy, kiedyś były takie ładne! Dałam znak, że chcę się podnieść. Świat zawirował. Wolno odwróciłam słabe ciało, ale nie mogłam się ruszyć. Podłoga stała się stromym wzgórzem nie do pokonania. Znowu uniosłam stopę, ale wzgórze było już ostrym szczytem, surową ścianą. Ktoś podał mi laskę. Ładną, z wygodną główką.

– To dla mnie?

Stuk – krok, stuk – krok; uczyłam się chodzić od nowa. W ciszy, obserwowana, dostukałam do stołu i odwróciłam się do przyjaciół.

– Muszę pochować syna. Najlepszego z braci. – Wykrzywiłam twarz, żeby się uśmiechnąć, ale nie mogłam.

Stuk – krok, stuk – krok, wyszłam na dziedziniec. Wiatr omal mnie nie przewrócił. Upał dawno ustąpił. Wicher napierał na mnie, a ja szłam. Czarna rana po ukochanej Duncie i Kurzej Nodze wciąż jakby krwawiła. Kazimierzu, kto to zrobił, kto nam to zrobił?! Drżałam wsparta na lasce, stojąc wśród ruin.

Po pogrzebie Olbrachta siadywałam pod oknem i od świtu do zmierzchu patrzyłam tylko w niebo. Czyste, deszczowe albo burzowe. Kiedy kark bolał tak bardzo, że nie mogłam siedzieć, wracałam na chwilę do łoża, by znowu potem wstać i czekać świtu. Kocur wrzeszczał, nie lubił zimnej poduszki. Stare psy o białych pyskach nie spuszczały ze mnie oczu.

– Matko, przemówcie! – prosił Fryderyk. – Powiedzcie co... – powtarzał każdego dnia.

Nie odwracałam się. Nie mogłam patrzeć za siebie. Czułam wstręt do mowy i ruchu. W ciszy widziałam me dziecię, sprytne, zaradne i odważne. Najodważniejsze. Zakradał się, gdzie mu zakazano, czytał, co było zamknięte na klucz. Chodził nocą boso z mieczem przy koszuli pilnować zamku, kiedy miał sześć lat! Sześć lat! A jak się śmiał! Boże! Jak on umiał się śmiać!

– Mateczko... – Fryderyk jęczał nieustannie.

Któregoś dnia burza rozorała niebo. Uniosłam dłonie do twarzy. Ciało me naprężyło się bólem.

– Uderzyłam go! – wrzasnęłam. – Ja go uderzyłam, Fryderyku! Rozstaliśmy się w gniewie! – Szloch targnął mną wreszcie i osunęłam się na podłogę.

– Nic to, mateczko! Nic to! – Fryderyk ukląkł przy mnie. – Pewnie zasłużył! Myśmy ciągle w gniewie bywali, w gniewie gadali. Zwyczajna rzecz – pocieszał mnie. – Ale teraz nie mów, dobrze? Jutro pomówimy, poradzimy. Dojdiesz do myśli sprawnych.

Wstał i zmierzał do drzwi. Wiedziałam, czego chciał. Podniosłam się sama i chwyciłam mocno laskę.

– Fryderyku? O elekcję ci chodzi. Prawda? – zapytałam mocnym głosem.

Zatrzymał się w pół kroku. Odwrócił się i westchnął.

– Tak.

– Który z synów moich staje do walki o tron polski?

– Wszyscy. Aleksander, Władko i Zygmunt.

– Kogo popierasz?

Wysoko uniósł podbródek, jakby na walkę się gotował o rację.

– Aleksandra. Litwa i Korona w jednych rękach będą.

– Dobrze.

Usiadłam znowu pod oknem. Stał osłupiały.

– I nie macie nic przeciw temu? – Zdumiony uniósł ramiona.

– Nie.

– Aleksander pisał, żebym gniew wasz odwrócił od niego, a wy się zgadzacie?

– Tak. Możesz mu napisać, że się zgadzam.

Znowu zapadłam się w niebo.

*

Łaskawa Via Regia znów gotowa była przyjąć nowego króla. Tym razem zamiast słońca zimny deszcz z pierwszym śniegiem zalewały mi oczy. Drżałam mimo kilku warstw sukien i sobolowego futra.

Tak dawno go nie widziałam! Czy Aleksander gniewny na mnie?

Wjechał z barwnym litewskim orszakiem, dwakroć liczniejszym od polskiego. Elżbieta ścisnęła mą dłoń. Nie mogłam oderwać wzroku od syna. Nic się nie zmienił przez te sześć lat, od kiedy widziałam go po raz ostatni! Ani jasny, ani ciemny, smukły, może nie tak wysoki jak bracia, ale rozrosły w plecach jak Olbracht.

Zgrabnie zsiadł z potężnego konia we wschodnim rzędzie i szedł w moim kierunku. Ubrany w czarny, lśniący od kamieni dublet i czarne

długowłose futro, zbliżał się do mnie z uśmiechem jasnym, wolnym od złego sumienia.

– Matko... – Wziął mnie w ramiona i mocno uściśnął.

– Synku dobry. – Nie mogłam wiele powiedzieć, bo mocny uścisk uczynił mnie tak szczęśliwą, że radość i spokój zalały mą duszę, nie zostawiając miejsca na nic innego. Ile miałam sił, tak mocno obejmowałam jego postać, by nie kończyć tej chwili.

Usłyszałam szloch stojącej samotnie Elżbiety. Aleksander wyciągnął ramię do siostry, a ta przyłgnęła do niego tak jak ja. W objęciach, szczęśliwi i wzruszeni, wkroczyliśmy do wielkiej sali. Tak dawno się nie widzieliśmy, że jeno niezdarne uśmiechy wysyłałiśmy ku sobie, zapewne wstydząc się ostatnich słów wypowiedzianych na Litwie.

– Taka radość mnie wypełnia, że mam cię przy sobie – odezwałam się wreszcie do syna.

– Nieszczęścia wam niemało Bóg zesłał – odpowiedział i znowu mnie objął.

– To prawda. Bóg sędzią jest okrutnym, ale liczę, że w końcu okaże się sprawiedliwym.

Uśmiechnął się, wzniosł ku mnie złocony róg i zamoczył usta w winie. Uniósł wzrok ku sklepieniu dużej sali.

– Sufit w plamach od wilgoci.

Klepnęłam syna w ramię.

– Och, nie mów głośno. Elżbieta tak starała się, by to ukryto.

Zaśmiał się głośno i spojrzał na zarumienioną siostrę.

– Chciałbym zobaczyć jutro zamek.

Spuściłam głowę. Nie chciałam, by oglądał ruinę. Chyba zauważył mój ból.

– Dość na dziś. Zmęczony jestem wielce, a tyle do zrobienia. – Znowu delikatnie się uśmiechnął. – Odprowadzicie mnie?

– Gdzie wielka księżna? – zapytała Elżbieta w drodze. Dziedziniec tonął w śliskim błocie. Ostrożnie stawiałam moją laskę. Mrok czynił mnie ślepa.

– Nie mogła przyjechać – odpowiedział smutno.

*

– Chryste... – wyszeptał rankiem Aleksander na widok wypalonego serca Wawelu.

Stałam i ze wstydem patrzyłam na czarne mury. Martwe żebra Dunki i niewidzące oczy Kurzej Nogi trwały jak wyrzut niedawnego zaniedbania.

– I tak już oczyszczone i uprzątnięte – wymamrotał zarządca.

– Jeszcze i to – powiedział szeptem Aleksander.

Muzycy, kantorzy i nuty przywiezione z dworem Aleksandra uczyniły poranne prandium godnym królów. Nie obfitością jadła, a wytwornością, która powstać mogła tylko pod okiem i uchem czulego księcia. Elżbieta z niemym zachwytem słuchała muzyki i zaczarowana jej wezwaniem zaczęła tańczyć.

– Matko, ona jako rusałka albo anioł – powiedział Aleksander ze zwilgotniałymi oczami, kiedy Elżbieta skończyła i szczęśliwa podbiegła do brata.

– To było jakby Bóg poruszał twą duszą! Jak modlitwa! – Urzeczoną chwycił siostrę za rękę. – Helena, kiedy przyjedzie, pokocha cię jeszcze bardziej!

– Wspomina nas? – zapytała wzruszona Elżbieta. Roześmiał się.

– Każdego dnia!

– Kiedy przyjedzie?

– Nieprędko. Po koronacji. – Rzucił mi szybkie spojrzenie.

*

Po pielgrzymce na Skałkę, by odbyć królewski akt oczyszczenia i pokuty, po uroczystych nieszpórach zmęczony elekt Aleksander krótko zasiadał za stołem. Zostawił bawiący się dwór i grzał dłonie o gorący piec w mojej komnacie.

– Mówią, żeś dobrym gospodarzem na Litwie. Z Brześcia i Mińska miasta magdeburskie uczyniłeś, dwory budujesz, drewno na kamień zamieniasz, monetę własną bijesz... – zaczęłam chwalić Aleksandra.

– Cóż z tego, jak Iwan wiecznie wojną grozi, a panowie litewscy nieskorzy własnej krwi oddawać w wojnie. A i panom polskim w Mielniku oddałem władzę w zamian za tron. – Odszedł od pieca i przysiadł na skrzyni. – Do tego panowie senatorowie nie zgodzili się na koronację Heleny, bo prawosławna. – Potarł kark i wstał. – W spadku po Olbrachcie gniewny Turek, Stefan, Władko, no i Krzyżak. Na dodatek jeszcze zrujnowany zamek do odbudowy! A tu skarbiec pusty! – Rozłożył ręce.

– Witajcie w domu, synku – uśmiechnęłam się.

Zaśmiał się i usiadł obok mnie.

– Od czego zacząć, by to połączyć? – zapytał z westchnieniem.

– Od początku. – Wzruszyłam ramionami.

Drugiego dnia dzwony biły od rana nieprzerwanie. Uśmiechnięta Elżbieta w ciepłych popielicach niecierpliwie odwracała się za siebie, wypatrując Aleksandra w katedrze. Usiadła prosto, kiedy przy ołtarzu pojawił się Fryderyk, by rozpocząć uroczystą mszę koronacyjną. Unieśliśmy się w ławach. Pod ołtarzem stał pusty tron. Elekt dołączył ostatni.

Po kazaniu Fryderyk odwrócił się w stronę Aleksandra i zapytał mocnym głosem:

– Czy chcesz?

– Chcę – odpowiedział brat bratu.

Siedząca za mną Elżbieta uścisnęła me ramię.

Fryderyk spojrział na dostojników królewskich dzierżących koronę, berło, jabłko i miecz.

– Wzywam was do przyjęcia nowego króla! Przyjmujecie?

Wszyscy panowie naraz zakrzyknęli głośno:

– Radzy! Radzy, Radzy!

Serce zadrgało mi radośnie, a łzy szczęśliwe wypłynęły na policzki. Daj mu szczęście, daj życie jagiellońskiemu domowi!

Fryderyk pochylił się nad Aleksandrem i namaścił jego głowę, pierś i ramiona.

Wyprostował się i uśmiechnął do brata przed ołtarzem. Nabrał powoli powietrza i rzekł:

– Namaszczam cię na króla.

Podeszli biskupi; wraz z nimi nałożył koronę na skronie Aleksandra. Dzwony biły w mieście, świątyni i w mojej głowie. Fryderyk wręczył królowi berło, złote jabłko i miecz. Aleksander ujął miecz i wykonał zamaszysty ruch oburącz na cztery strony świata. Kardynał podał bratu dłoń, poprowadził go pod baldachim i usadził na tronie przykrytym złotogłowiem. Zdziwiłam się, kiedy zauważyłam, jak Aleksander kurczowo zaciska dłonie na złotych poręczach.

*

Po trzecim dniu i okazaniu na rynku Aleksander klęczał pochylony w małej, starej kaplicy zamkowej i szeptał ostatnią tego dnia modlitwę.

Zamilkł, gdy usłyszał moją łaskę, przeżegnał się i odwrócił do mnie z uśmiechem. Zmarszczyłam nos.

– Przez ten kostur już nigdy nigdzie się nie zakradnę.

Zaśmiał się cicho i zabrał z ołtarzyka mały srebrny świecznik.

– Każko mówił, że nas podglądałaś w komnacie dziecięcej.

– Ależ synku, królowa miałaby szpiegować swoje dzieci? – Niewinnie uniosłam brwi.

Szliśmy powoli w stronę pustych, zimnych komnat.

– Że też się tutaj wszyscy mieściliśmy – szepnął zdziwiony Aleksander, kiedy pchnął jedne z drzwi. – Jadwinia z pannami i Zofią, Władko, Każko, Olbracht... – Przeczesał włosy i pokiwał głową, nie dowierzając wspomnieniom. – Wyjdźmy – dodał po chwili.

W ciszy przeszliśmy przez grudniowy dziedziniec w towarzystwie równie niemych pokojowców. Śnieg przyjemnie skrzypiał pod stopami.

– Dom twój piękny, matko. – Rozglądał się z zachwytem po nowych, obszernych pomieszczeniach.

– Olbracht... – Zamilkłam na chwilę. – Wielką radość mi sprawił, bo pewnie po pożarze musiałabym wyjechać z Krakowa. Ale dusza ciągnie do zamku, mimo że ten wygląda jak zdechły pies, którego na zgnicie pan zostawił.

– Odbudujemy go, odbudujemy. – Poklepał mnie po pomarszczonej ręce. – Zresztą nie ma jak gości przyjąć, dworu... – Zamilkł nagle.

– Kiedy Helena zjedzie do Krakowa? – zapytałam. Usiedliśmy w dużej sali i podano wędzone owoce. Wyprostował się i splótł dłonie.

– W lutym.

– Twoja żona płaci za to, że prawosławna. Nie została królową, nie ma jej teraz przy tobie. Płacisz i ty.

Spuścił głowę tak nisko, że nie widziałam jego oczu.

– Dziecię straciliśmy – wyszeptał.

Otworzyłam z grozy usta.

– Kiedy? Synku! – Wyciągnęłam do niego dłoń.

– Z dawna. Nie wiem, czy to chłopiec był, czy dziewczeczka. – Zasłonił twarz i zapłakał żałośnie.

Przyklękłam i wtuliłam twarz w jego kolana.

– Nie płacz, Boże, nie płacz. Twoich łez nie zniosę.

62 kamień do czytania – szkło powiększające, zastępował okulary

63 składać ręce w małdrzyk – składać dłonie na krzyż, wewnętrzną stroną do siebie

1502

Czterech pachołków podciągało na grubych linach okrągłe polikandyliony⁶⁴ pod samo sklepienie zamkowej wielkiej sali. Kiedy ciężkie obręcze ze świecami były na miejscu, związali i osadzili liny na żelaznych wspornikach. Wzniesli niebotycznie wysokie łuczywa i zapalili świece. Blask, zamiast dodać miejscu splendoru, obnażył zalane, kruszące się sklepienie. Królowna Elżbieta pochyliła się ku zarządcy zamku i wyszeptła wzburzona kilka słów. Ten ich treść przekazał jeszcze innemu, a tamten wykrzyknął do osiłeków:

– Zdjąć wszystkie polikandyliony, a rozciągnąć pod sklepieniem złotogłów... – Zamilkł, znowu się pochylił i nadstawił uszu ku rządcy. Usłużnie pokiwał głową i ponownie zakrzyknął: – I pod nim zawiesić obręcze! – Raz jeszcze nachylił się, by wysłuchać kolejnej instrukcji. – Nisko! – wrzasnął.

Wyszłam na środek komnaty. Na mój widok wszyscy przerwali prace i zatrzymali się z pochylonymi głowami. Elżbieta podeszła ze zmarszczonym czołem.

– Oby sklepienie nie spadło na głowę Heleny – burknęła. – Bo jeszcze panowie uznają, że to kara od katolickiego Boga.

– I pomyśleć, że prawosławni prawie niczym się nie różnią od katolików – usłyszałam Aleksandra.

– Prawie – powiedziałam do króla, który pojawił się za moimi plecami. Wolno ruszyliśmy wzdłuż sali.

– No czymże? – zaczął znowu, już gotowy do sporu.

Cały poprzedni wieczór z Ciołkiem i Łaskim spierali się o różnice i podobieństwa między religiami i już nawet Elżbieta rzuciła mu znużone spojrzenie. Chciałam sprowadzić go na ziemię.

– Nieistotne, Aleksandrze, co powiesz. Możesz dyskutować, spierać się i udowadniać, że różnicy niemal nie ma. Twoje księgi na nic się zdadzą. Dla Polaków liczy się jedno.

– Co takiego?

– Że twoja żona nie jest katoliczką. Nie uczynili jej królową, bo nie darują jej prawosławia.

Kiedy wracałyśmy do domu, Elżbieta nerwowo zagryzała wargi.

– Przejście! Przejście! – pokrzykiwali pokojowcy wśród licznej przybyłej już służby wielkiej księżnej. Fraucymer dzielnie oddzielał mnie i Elżbietę od ludzkiej ciżby.

– Jak na jarmarku... – usłyszałam Barbarę Rabsztyńską. Stropiona Elżbieta spojrzała na mnie.

– Nie chciałam mówić przy królu, ale Joanna przyniosła mi drukowane paszkwily o Helenie. Są ohydne.

– Widziałam to – odpowiedziałam. – I myślę, że do Heleny też już dotarły. Lada dzień zjawi się na Wawelu.

– Tak się cieszę, ale boję się tej gościny.

– Ona bardziej.

*

Niewielkie grupki na Via Regia wyczekiwały przejazdu księżnej i króla. Aleksander już dwa dni wcześniej wyjechał po małżonkę. Z dala słysząc

było trębaczy i licznych *cubicularum* królewskich, ale nie słyszałam radosnych okrzyków i wiwatów.

Orszak wpadł na dziedziniec w biegu, płosząc konie dworzan i zbrojnych. Tumult zakłócił układ ceremonii i kazał nam cofnąć się na schody. Król wypadł z kolebki spłoniony z gniewu i wyciągnął dłoń przed siebie, aby pomóc wysiąść księżnej.

Wszyscy wpatrzeni w czeluść powozu po chwili dopiero zauważyli drobną dłoń Heleny. *Tubatores* huknęli ostrym dźwiękiem i księżna wynurzyła się z bezpiecznego wnętrza. Z jej wymizerowanej twarzy zostały jeno ogromne czarne oczy i szare zapadnięte policzki. Podeszła do mnie, nie podnosząc wzroku, i pozwoliła bezwolnie objąć swoją postać. Pod palcami wyczułam tylko drobne, ostre i kruche kosteczki.

– Rzucali w kolebkę kamieniami! – warknął do mnie Aleksander.

– Odpocznę, odprowadźcie mnie – powiedziała cicho Helena.

Małżonkowie udali się do naprędce odnowionych komnat.

– Chodźmy, Elżbieto – zwróciłam się do córki, którą i król, i księżna pominęli przy powitaniu. – Pięknie wyglądasz – powiedziałam, by ukryć jej konfuzję, ale też naprawdę wyglądała ładnie w nowej szafirowej sukni z tłoczonego aksamitu.

– Kamieniami? – zapytała, jakby nie usłyszała, co do niej rzekłam. – Dziki, dziki kraj!

Cenę spożyłyśmy samotnie, Elżbieta jadła niewiele.

– Jesteśmy same, bo pewnie król chce się nacieszyć towarzystwem małżonki – przemówiła wreszcie i spojrzała na mnie z wymuszonym uśmiechem.

Byłam pewna, że czuła żal, iż Helena nie zaprosiła jej na wieczorną ucztę.

Nigdy nie przyznałabym, że widziałam z okna Fryderyka ze świtą, jak zmierzał na kolację do króla.

– Nie wiadomo, czy księżna nie wypoczywa i czy w ogóle jest obecna na wieczerzy – zaczęłam.

– Ty się nigdy nie wymówiłaś – odparła smutna Elżbieta i oddaliła się bez błogosławieństwa.

*

Po porannej mszy zagadnęłam króla.

– Helena dobrze się czuje? Może odwiedzić Elżbietę? Siostra twoja tu sama jeno ze starą matką. Tęskni za nią. – Uśmiechnęłam się do syna.

– Księżna śpi – odrzekł, patrząc przed siebie. Minął mnie i zatrzymał Fryderyka.

Ciągle byłam królową i matką królów. Niezrozumiałym był dla mnie afront wobec mnie i królowy, której córka Iwana mogła być co najwyżej dwórką! Chwyciłam mocno laskę i pokuśtykałam w stronę zamku. Czułam, jak idące za mną matrony dyszą z podniecenia na myśl o skandalu albo choć o niegroźnej burzy. Niechby coś się działo! Biedaczki, z nudów ziewały w komnatach starej królowej, a w tamten czas mogło się coś wydarzyć!

Bez przystanku wkroczyłam do komnat księżnej. Pokojowcy w popłochu zrywali się z siedzisk, wileński fraucymer też się poderwał. Heleny nie było. Znaczy już się wyspała albo mnie oszukano.

– Gdzie twoja pani? – zapytałam najstrojniejszej, a zarazem najbardziej wystraszonej niewiasty.

– Pojechała do cerkwi.

– Poczekam – powiedziałam i zasiadłam na wygodnym fotelu.

Dwie grupy dam przysiadły naprzeciw siebie, mierząc się spojrzeniami jak rycerze przed pojedynkiem. Siedziałyśmy w kompletnej ciszy. Żadna nie czuła się wskazana do zabawiania innych.

Helena wkroczyła do komnaty za swą ochmistrzynią. Gestem odesłałam oba fraucymery. Stała przez chwilę, ale w końcu podeszła się przywitać i pochyliła przede mną głowę. Naprawdę wyglądała na chorą i jakby nie spała od wielu dni.

– Mówiłam, że poniesiesz ciężar swego uporu, Heleno.

– Wy nie wiecie, co oni mówią o mnie! – wybuchła nagle.

– Wiem. Dlatego dla dobra swego, dla króla i może dla dziecięcia waszego – ustąpi!

Wiedziałam, że w tym udręczonym ciele nie będzie miejsca dla następcy. Ona też, bo dotknęła zapadniętego brzucha i odwróciła się do okna.

– Wy też przeciwko mnie? Dlaczego mnie dręczycie?! – zaczęła krzyczeć.

Nagle drzwi się otworzyły, Aleksander wpadł do środka i z czułością objął żonę.

– Może nie powinna od pierwszego dnia jeździć do cerkwi, może powinna odczekać kilka... – zaczęłam, ale syn spojrzał na mnie tak, jakbym to ja obrzuciła jego ukochaną kamieniami. Bolesna to chwila, kiedy winią nas nasze dzieci bez przyczyny.

Chwyciłam mocno laskę i podniosłam się z fotela. Moich osiem wiernych dam czekało karnie pod komnatą. Kiedy wróciłam, Elżbieta podeszła do mnie z nadzieją w oczach.

– Może pojedziemy do Fryderyka na szachy? – zapytałam, udając pogodnie usposobioną.

– Zagrajmy same. – Uśmiechnęła się i podprowadziła mnie do stolika.

*

– Fryderyku, opowiesz królowej, o czymże tyle rozprawiasz z królem? Nie mów, że to tajne, bo gotowa jestem cię obić kosturkiem. – Zaśmiałam się, choć wesoło mi nie było.

Fryderyk utył bardzo, nieustannie wycierał wiecznie spoconą purpurową twarz.

– Na Litwie robi się coraz niebezpieczniej z powodu Iwana. Aleksander musi wyjechać, opuścić Kraków.

– Pozostawi Helenę w Krakowie?

– Nie!

– A dlaczegóż to? – zapytałam dotknięta. – Czyżby towarzystwo królowej niegodne było Rurykowiczówny?

– Ona czuje się niechciana.

Wzniosłam oczy ku sklepieniu.

– To niech nie płacze i porzuci cerkiew, a wszystko złe minie. – Zaczęłam dreptać po komnacie. – Bo Iwan, czy córka prawosławna jest, czy katoliczką zostanie, wojny i tak będzie wszczynał.

Fryderyk skubał wargę, aż prawie stała się plamą krwi.

– Aleksander musi jechać i władzę w rękach możnych na ten czas zostawia.

– A któż nad możnymi będzie sprawował dozór?

Uniósł wysoko głowę, popatrzył w słońce.

– Ja. Mianował mnie namiestnikiem w Koronie. – Odchrząknął i zakasłał. – Król kazał sposobić się do obrony przed Turkiem. Wyjeżdżam niedługo.

Helena z królem kilka razy wyjeżdżali z Krakowa i wracali do niego, nim w maju wyjechali razem na Litwę. Zostałyśmy z Elżbietą same.

*

– Przyjdzie? – zapytałam niecierpliwie swojego człowieka.

– A pewnie – prychnął i pochylony wyciągnął dłoń.

Dostał kilka monet i ciągle zgięty w pół, tyłem opuścił komnatę. Natychmiast podeszłam do okna. Po chwili ujrzałam dorodną niewiastę, która za rękę prowadziła małego, ciemnowłosego chłopca. Jezu! Serce zadrżało mi z miłości i żalu. Jan! Zygmuntowy Jan! Jaki podobny do swego ojca! Zasłoniłam usta. Malec pokazywał paluszkami różne rzeczy, pytał i zaciekawiony czekał odpowiedzi. Jan! Jan! Dotknęłam dłonią szyby, jakbym chciała dziecięcia dotknąć. Śliczny! Śmiałam się cicho, a po twarzy leciały mi łzy.

Piastunka zawróciła i zniknęli mi z oczu. Szelma! Za krótko! Pieniądze wzięła i raptem dwa razy przeszła pod oknem! Przesunęłam się na skraj, by widzieć ich choć odrobinę dłużej.

– Znowu oglądacie wnuka? – zapytała z drwiną Elżbieta.

– Och, znowu, znowu. Przecież to nie mój wnuk. Telniczanka... – Westchnęłam.

Usiadłam, ciągle pełna żalu do piastunki i jego matki. Gdybyż się ożenił z godną panną, teraz pieściłabym wnuka na własnych kolanach!

– Matko, jesień taka piękna, pytałam, czy pojedziemy do Niepołomic. – Elżbieta chwyciła mnie za rękę.

– Tak, tak... – odpowiedziałam nieobecna. – Wawel taki pusty bez dziecięcej bieraniny... Taki martwy i ponury – wypowiadałam na głos własne myśli. Podała mi wino.

– Władysław ma młodziutką żonę, jeno nam czekać następcy.

– Szachistka nie dała mu dziecięcia, pierwszej żony nawet nie oglądał. Oby Anna dała mu szczęście. Podobno miła i rozumna. – Upiłam z małego

kubka, zapatrzona w jagiellońską Pogoń żywymi barwami malowaną na ścianie.

*

Fryderyk był chory, bardzo chory. Przywieziono go w kolebce tak zmienionego, że go nie rozpoznałam. Stałam złamana i przerażona nad jego łóżem. Wychudł tak bardzo, że tylko skóra na nim wisiała i kości sterczały. Włosy całkiem stracił. Dłonie, którymi szarpał jedwabną pościel, całe miał pokryte ranami, czerwone i zeszywniałe.

– Mówcie, co jest kardynałowi – wydusiłam z siebie. Wściekły robak rozsadał mi serce. Nie mogłam złapać tchu, patrząc na cierpienie dziecięcia swego.

– Po prawdzie? – zapytał Miechowita, najlepszy medyk na krakowskiej Akademii.

– Jak to: po prawdzie? – Spojrzałam na niego, nie rozumiejąc.

– *Morbus gallicus*⁶⁵ – powiedział.

Patrzyłam na profesora z otwartymi ustami. Pochylił się do mego ucha.

– Franca.

Choroba rozpusty! Zamknęłam oczy. Kolumbowych żeglarzy! Popłynął na koniec świata i przywiózł koniec świata! Złożyłam dłonie i pochyliłam głowę. *Morbus gallicus!* Widziałam ludzi chorych na nią, gnijących żywcem! Umierających! Fryderyk umiera!

Musiałam usiąść. Fryderyk?! Fryderyk umrze! Podniosłam błagalne spojrzenie na profesora.

– Żadnej nadziei?

Pokręcił przecząco głową.

Usiłowałam pomodlić się w kaplicy. Niemożliwe! To mój syn, kardynał! Umiera na francę! Szloch mieszał się z rozpaczą, wściekłością,

żalem i wstydem. Rozpustnik! Ladacznice każdej nocy, biesiady! To kara! Boże, mój biedny syn! Uderzałam czołem w ołtarz. Mój biedny syn! Mój biedny syn! Tylko cud może uzdrowić jego i dom jagielloński. Spojrzałam na udręczoną twarz Zbawiciela.

Joanna pochyliła się nade mną i cicho szepnęła:

– Pani, wieści z Budy.

Nie odrywałam wzroku od Jezusa na krzyżu.

– Mów.

– Królowa Anna przy nadziei.

– Chwalmy Pana, Chwalmy Pana w Jego doskonałości... – wyszeptałam. – To pewne? – zapytałam po chwili, bojąc się, czy to nie sen.

– Tak, wszystkie znaczne domy powiadomione. Hiszpanie, Francuzi, Tudor w Anglii.

– Taka jestem rada, ale do kardynała mi spieszno.

Joanna towarzyszyła mi do domu Fryderyka. Wolno wchodziłam po schodach, gdzie rozstawieni słudzy z opuszczonymi głowami pomagali mi wspiąć się na ciemne piętro. Podeszłam kilka kroków do wysokiego łoża z ciężkim od złota baldachimem. Fryderyk jęczał, krzyczał i prężył się z bólu.

Bezradna, zacisnęłam dłonie na kolumie, omal jej nie wrywając. Boże! Co Ty robisz z dziećmi mymi! Ileż jeszcze śmierci każesz mi oglądać, zanim w łasce czy złości zabierzesz mnie do siebie?!

– Za kilka dni nastąpi poprawa – rzekł Miechowita.

Spojrzałam na niego z nadzieją.

– Ale nie na długo – dodał.

Zabił we mnie wszelkie światło. Usiadłam przed łożem mego synka, wsparłam dłonie na lasce i zamknęłam oczy. Niechaj stanie się ciemność

i wszystko zniknie!

– Matko... – Pochyliła się nade mną Elżbieta.

– Czegóż chcecie wszyscy ode mnie?! – wrzasnęłam na nią, wypuszczając z dłoni laskę. – Pozwólcie mi odejść! – jęknęłam z żalu.

Elżbieta stała z opuszczonymi dłońmi i patrzyła na mnie z litością. Wyciągnęłam do niej rękę.

– Nie patrz tak! Nie patrz tak, bo naprawdę umrę!

Objęłyśmy się i zapłakałyśmy nad naszym losem.

Elżbieta całą noc czuwała przy mym łożu. Widziałam jej ciemną sylwetkę na tle kominka, co chwilę obracającą z szelestem kolejną kartę grubej księgi.

– Tego chcesz, Elżbieto? Czuwać całe życie przy starej matce? – zapytałam mocnym głosem.

– Nie wiadomo, co jutro przyniesie. Może cię porzucę i ruszę z kuglarzami przed siebie.

Chyba się uśmiechnęła.

– Jeśli wybierzesz wolność, chcę, byś była naprawdę wolna. W testamencie zapiszę wszystko tobie.

– Wiem – odrzekła spokojnie.

Oparłam się na łokciu, uśmiechnięta.

– Skąd wiesz, skoro dopiero to wymyśliłam?

– Boście moją królową.

– Przypochlebница – dodałam zadowolona.

Elżbieta uniosła się, podeszła do mnie i pierwszy raz nie ja ją, a ona mnie ucałowała w czoło.

– Ależ ja już muszę być stara... – ciągnęłam rozmowę, by córka nie wychodziła od razu.

Zaśmiała się.

– Prawie świta, pójdziemy na spotkanie słońcu? – zapytała, ściągając ze mnie kołdrę.

– W stare miejsce? – dopytałam jak podniecone dziecko.

Zagryzła wargi i pokiwała głową, rada z własnego pomysłu.

W wypalonej Kurzej Nodze ciągle czuć było spaleniznę i wilgoć. Samotne krzesło stało skierowane na wschód. Ktoś tam bywał?

– Spójrz, Elżbieto... – Zaniepokojona wskazałam mebel.

– Znalazłam je tak po śmierci Olbrachta. Przysiadłam i...

– Przychodzisz tu.

– Czasami.

Objęłam ją jak kiedyś wszystkich tych, których obejmowałam w tym miejscu, a których już nie było.

⁶⁴ polikandylion – wiszący na łańcuchach okrągły świecznik; największe miały miejsce na szesnaście świec

⁶⁵ *morbus gallicus* (łac.) – syfilis

1503

Aby nie oszaleć z trwogi w chorobie Fryderyka, postanowiłam zająć się myślą o następcy tronu po Władysławie – królu Czech i Węgier. Czuwałam przy synu i spisywałam rady dotyczące wychowywania królewskiego potomka. Miałam zamiar wysłać je w formie listu do króla. W końcu byłam wnuczką, córką, siostrą, żoną i matką królów! Znałam się na wychowaniu!

Któregoś dnia, kiedy we fryderykowej komnacie dyktowałam swojemu sekretarzowi kolejne myśli, nagle chory uniósł się w pościeli.

– O dwudziestej spać? Mateczka myślała, że my chodziliśmy spać? – Zaśmiał się jak zdrowy człowiek.

– Fryderyku! – Chwyciłam laskę i podreptałam do łóżka. – Lepiej? Czujesz się lepiej?! – Dotykałam jego rzeczywiście zdrowszej, zaróżowionej, wesołej twarzy.

– To za sprawą waszych rad! Niektóre są naprawdę zabawne! – Roześmiał się głośno.

– Zjesz coś, rozpustniku? – Spojrzałam na niego z miłością, ocierając nos.

– Jeszcze by nie!

Kardynał był bardzo słaby, ale przyjemny, syty wieczór dodał nam wszystkim sił.

Z nowym rokiem 1503 przysły nowiny i rzeczywiście lepsze zdrowie dla Fryderyka. Wrzody i bóle głowy ustąpiły, mógł już nawet siedzieć!

– Zygmunt przyjeżdża! – powiedziała rozradowana do Elżbiety. – A i brzemienna Anna czuje się doskonale i dziękuje mi za rady i mamkę dla następcy tronu! – Uniosłam radośnie ręce, jakbym miała znowu siedemnaście lat.

– Może i Fryderyk ozdrowieje... – dodała nieśmiało Elżbieta. Poklepałam dłonią lśniący blat stołu.

– Nie może być inaczej!

*

Wyjechałyśmy wcześniej na spotkanie królewskiego syna, aby uniknąć ceremonii i dworskich spojrzeń.

– Zygmunt! – Elżbieta rzuciła się w ramiona bratu, oplatając jego kark jasnym, grubym warkoczem.

– Aleś wypiękniała! – zakrzyknął do dwudziestoletniej siostry. Odsunął ją na odległość ramion i szczerze podziwiał gładką skórę i wielkie zielone oczy ocienione czarnymi rzęsami.

– Pięknie, pięknie. Wita się z siostrą przed królową! – zawołałam radośnie i wyciągnęłam ręce do syna.

– Wy też wypięknialiście! – odpowiedział wesoło.

– Tak, zwłaszcza z dodatkową nogą – dodałam, obsypując synka pocałunkami.

Spoważniał nagle.

– Jak Fryderyk?

– Raz gorzej, raz lepiej – odpowiedziałam. – Czeka na was. I chyba już tylko na was.

Zygmunt objął mnie mocno. Teraz spokojnie mogliśmy przejechać gościnną Via Regia i wjechać na Wawel.

– Chryste! – Tak samo jak Aleksander odezwał się Zygmunt na widok spalonego zamku. – Król pisał mi, ale... – Zabrakło mu słów. Kręcił głową.
– Odbudować, odbudować!

*

– Nie poznałem go – szeptał Zygmunt, kiedy późną nocą wyszliśmy z komnat Fryderyka.

– Ale umysł ma, dzięki Bogu, jasny. Teraz najczęściej lubi grać w karty. Muzyka jak zawsze sprawia mu przyjemność.

– Ale towarzystwo mało ludne.

– Nie chcesz chyba sprowadzać... – Spojrzałam wystraszona.

– Nie! – Machnął ręką. – Sprowadzę, ale najlepsze towarzystwo – powiedział tajemniczo i uśmiechnął się do rozradowanej Elżbiety.

W trzy niedziele zjechał na Wawel niewielki dwór księcia legnickiego, Fryderyka II.

– Iiii... też mi kompan dla kardynała – burknęłam, popatrując przez okno na nielicznych przybyłych. Zygmunt mocno uścisnął przyjaciela i wprowadził go do komnat.

Przyjemna cena u Fryderyka jemu też się spodobała. Na twarz wróciły mu dawne purpurowe kolory, jednak na wadze nie przybierał. Musiałam przyznać, że dowcip i układność księcia legnickiego dodały spotkaniu wykwintności, jakiej się po synu kacerskiego obzartucha nie spodziewałam.

– Ależ dawno nie tańczyłam! – Zdyszana Elżbieta opadła szczęśliwa na krzesło obok mnie. Młodszy fraucymer też kraśniał z radości, łypiąc na gości.

Powinnam częściej dawać im jakieś rozrywki, bo mnie znienawidzą...
Uśmiechnęłam się do własnych myśli.

*

– Elżbieto! – wykrzyknęłam rano na widok córki.

Promieniała w zielonej atłasowej sukni i błyszczących szmaragdach na szyi. Gęste, bardzo jasne włosy splotła w prosty warkocz.

– Źle zrobiłam? Zaraz wrócę i... – Odwracała się w stronę drzwi.

– Nie! – Wyciągnęłam do niej rękę. – Wyglądasz – zaparło mi dech – przepięknie!

Roześmiała się, prawie płacząc.

Na prandium zabawiała dowcipem całą salę, żartowała, okrywała futrem chorego brata, tańczyła. Moja mała stokrotka stała się różą.

– Głupi był rzeczywiście ten Joachim, że za żonę jej nie chciał – powiedziałam cicho do Zygmunta.

Pokiwał głową z uśmiechem, jakbym powiedziała coś zabawnego.

Ciągle czułam się winna, że Elżbieta jest tu ze mną i młodość swą traci. Zresztą była już dość stara na małżeństwo. Teraz na pewno nie zechce być niczyją żoną, a i jej też już nikt nie zechce.

Kolejnego wieczoru Fryderyk poczuł się gorzej.

– Przecież rano tak zdrowo wyglądał – łkałam do ochmistrzyni, kiedy jechałyśmy do kardynała.

– Podobno władzę stracił w nogach i gorączki dostał.

Szłam ze strachem w stronę łoża. Prawie przyzwyczaiałam się do myśli, że wyzdrowieje! Spojrzałam na czerwoną, wychudłą twarz zanurzoną w pościeli. Miał szeroko rozwarte oczy i dyszał ciężko. Przypadłam do jego ust.

– Ja już chyba pójdę, mateczko – wyszeptał i uśmiechnął się delikatnie.

– Gdzie? – wyjęczałam.

– Do nich. Ojciec na mnie woła, taki młody... – Zimno rozlało się żalem po moich członkach. – I Każko zaprasza do stołu... – Zamknął oczy. – I Olbracht z Lisicą na ramionach. Ależ ona była śmieszna... – Zakasłał, próbując się zaśmiać. Zasłoniłam oczy. – Śmieją się i wołają na mnie! I Jadwinia!

– Jadwinia? Mówi w gorączce. – Zapłakałam i opadłam zdruzgotana na poduszkę obok syna. – Fryderyku, Fryderyku, dźwignij się! Nie zostawiaj nas!

Zygmunt uniósł mnie, jakbym nic nie ważyła, i usadził na fotelu przed wielkim kominkiem. Księżę legnicki podał mi wodę. Biskupi niczym chmara owadów zebrali się nad Fryderykiem i zaczęli szeptać i świstać modlitwy. Fryderyk umarł przed świtem.

*

Nie wiem, kiedy przyszło lato. Dnie i noce spędzałam w katedrze. Tam była moja rodzina, mąż, córeczki i synkowie. Tam przywierałam do ich kamiennych ciał, modląc się, by zabrali mnie wreszcie do siebie. Jeden jedyne promyk nadziei trzymał mnie jeszcze na ziemi.

Zygmunt dawno temu wyjechał na swój Śląsk, a ja musiałam dotrzymać obietnicy złożonej Elżbiecie, że na lato wyjedziemy do Łobzowa. Najchętniej nie wychodziłabym z katedry, ale nie chciałam jeszcze bardziej przygnębiać córki. Wystarczyło, że po wyjeździe brata znowu stała się cicha i smutna. A ja miałam ważny powód, by trwać w rozgrzanym Krakowie i patrzeć, jak miasto radować się będzie wraz ze mną.

– Pojedziemy, pojedziemy. Ale na dniach spodziewamy się posłańca od Władysława. Następca urodzi się lada dzień. Władysław ma już czterdzieści

siedem lat, najwyższy czas! Pomyśl, pierwszy prawowity następca dynastii Jagiellonów! – Zmrużyłam oczy, jakby słowa te miały najśłodszy smak. – Mały Kazimierz, Elżbieto! – Chwyciłam ją za ramiona. – Toż to będzie triumf i chwała domu naszego!

Posłaniec, jakby tylko czekał na me słowa, wkroczył głośno do komnaty.

– Miłościwa pani, wieści z Budy!

Usiadłam wygodnie.

– Och, daj, daj! Ja sama. – Poruszałam niecierpliwie palcami.

Rzuciłam się do krótkiego listu i z trudem odczytałam rozmazujący się przed oczami tekst. Trzy razy prześledziłam linijki. Odczytałam od początku do końca. Jeden krótki wyraz ogromnym ciężarem zmiażdżył moją duszę. Zadrwił z nas. Pięć niepozornych literek ściągało mnie w przepaść. Spadałam z niemym krzykiem w czarną czeluść.

Odłożyłam wolno sztywny list, chwyciłam mocno laskę i bez słowa wyszłam na chwiejnych nogach.

– Ostańcie – szepnęła do zrywających się za mną panien Elżbieta.

Szłam w stronę katedry z wyjącą w środku duszą. Weszłam w cichą kaplicę i przysiadłam pod grobowcem Kazimierza. Łapałam oddech, bezmyślnie patrząc na lśniący kamienny baldachim Stwosza, gotowy dla mnie. Wstałam i położyłam się pod nowym dziełem pracowni mistrza. Czułam, jak chłód zniczula moje ciało, czyni je prawdziwie martwym. Mogłabym już tu zostać. Złożyłam dłonie i zamknęłam oczy. Po chwili odwróciłam głowę w stronę milczącego małżonka.

– Córka. Anna, żona Władysława, urodziła córkę. Nie ma następcy, Kazimierz – powiedziałam. – Nie ma.

– Pani! – Wstrząśnięta Joanna podbiegła do mnie i pomogła mi się podnieść. – Co to? Co to było? – dopytywała głupio. – Co się stało?

Z namaszczeniem, powoli otrzepałam suknię.

– Umarłam sobie. – Wzruszyłam ramionami i z wysoko uniesioną głową wyszłam z katedry.

Kiedy weszłam do dużej komnaty, Elżbieta nadal stała w tym samym miejscu, ale z listem w dłoni.

– Niemożliwe... – wyszeptała.

– Każ zarządzić wyjazd do Łobzowa. – Potarłam czoło. – Nie stój tak.

*

W kilka dni później Elżbieta wierciła się podczas całej drogi jak małe dziecko.

– Regina niedługo za mąż idzie i na włości męża wyjeżdża, a wcześniej zamężną siostrę chce odwiedzić – powiedziała, wychylając się poza kobierce kolebki w drodze na letnisko.

– Regina na włości męża wyjeżdża? Jak prosił o jej rękę, to chyba niewiele miał.

– Tak, jakiś kawałek wygrzebany z dóbr jego ojca. Tam piętnaścioro dzieci – powiedziała smutno.

– A Regina nie chce być nadal twą dwórką?

– Chce. Ale jej małżonek cóż miałby bez niej robić na...

– Wygrzebanym kawałku z dóbr ojca? – dokończyłam, bo wiedziałam, do czego zmierza.

Uśmiechnęłam się, a Elżbieta spurpurowiała.

– Regina niech zostanie, a i małżonkowi co więcej znajdę na dworze niż jakiś kawałek.

– Dzięki, dzięki, mateczko – wykrzyknęła. Wychyliła się znowu na zewnątrz. – Słyszałaś?

– Tak! Dziękuję, miłościwa pani! – wrzasnęła Regina, jadąca, jak się okazało, konno obok kolebki.

– Szelmy i szpiedzy – westchnęłam, a zadowolona Elżbieta podała mi wino.

W Łobzowie Elżbieta i Regina biegały po kwiatnych łąkach jak za dzieciennych czasów. Jeździły konno, grały w kamyki i karty i piszczały podczas ciuciubabki.

Raz tylko z samotnej przejażdżki Elżbieta wróciła rozogniona i popłakiwała przez czas jakiś.

– A cóż to panience? – zapytałam starzejącej się Joanny.

– Łono się marnuje – odrzekła tonem profesora z Akademii.

Wzruszyłam ramionami.

Ja chłonełam ciepło i wiatr. Chciałam się zasuszyć jak te dziwne relikwie po kościołach i położyć się w końcu pod moim baldachimem.

Jesień już obrywała ogrodowe liście, kiedy któregoś dnia zgrzana i wesoła Elżbieta po szalonej gonitwie z pacholętami dopadła wody i zauważyła nieotwarte listy. Zamknęłam oczy, pozwalając wiatrowi i smakowitym zapachom z kuchni krążyć po starym cieple.

– Listy? Mogę? – I nie czekając pozwolenia, zerwała pieczęć na pierwszym z brzegu.

Uniosłam powieki, bo milczenie jej zdawało mi się zbyt długie. Ujrzałam zamiast mej córki marę białą jak papier, po której przeźroczyście policzkach spływały strugi lśniących łez.

– Co się stało?! – warknęłam z przerażenia.

– Anna, nasza dobra Anna, umarła. W nowym zamku zabiły ją wyziewy z wapna – wyszeptała bez czucia.

– Wracamy! Natychmiast wracamy do Krakowa! – Zerwałam się. Bóg mnie nienawidził!

*

– Jesteś – powiedziałam obojętnie do Aleksandra, kiedy zjawił się w trzy miesiące po naszym przyjeździe z Łobzowa. Patrzyłam w okno. Czułam, że stoi za mną. – Bóg odbiera mi dzieci, jakby były liśćmi na drzewie, kartami w lichej księdze. Wydiera je, jak chce. Wydiera boleśnie. Słyszę zgrzyt i już nie ma. – Machnęłam dłonią.

– O tym, że Jadwiga zmarła jeszcze przed Fryderykiem, dowiedziałem się przypadkiem.

Odwracałam się powoli, myślałam, że to znowu tylko okropny sen. Podeszłam do niego ze zmarszczonym czołem i chwyciłam go za dublet.

– Jadwinia? Moja Jadwinia?! – krzyknęłam mu w twarz.

– Myślałem, że wiecie... Jezu! – Zamknął mnie w ramionach.

– Jadwinia! Jadwinia! Jadwinia!!! – Tłukłam w szeroką pierś syna, krzycząc coraz głośniej.

Leżałam w łóżu, gładziłam ciepłego kota i ciepłą poduszkę. Czułam ciepło, chyba więc żyłam. Z głowy na twarz ściągnęłam ciepły czepek. Aleksander mówił bez przerwy. Siedział naprzeciwko mnie i opowiadał:

– Podpisałem rozejm z Iwanem i Turkiem, ale tu ruina! Fryderyk niczego nie dopilnował! Magnaci rozkradli królewskoczyzny i ogołocili skarb! Z kim mam rządzić?! – krzyczał coraz głośniej.

– Wyjdź, Aleksandrze – szepnęłam. Pochylił się do mnie.

– Co mówicie?

– Wyjdź!

– Dlaczegoż to odsyłacie mnie? Wcześniej byliście obrażeni, że nie piszę, potem, że nie przyjeżdżam. Dlaczegoż to mam teraz wyjść?

– Bo umarły moje dzieci. – Spojrzałam na niego wyblakłymi oczami.
Nie przypominał już słodkiego chłopca; zhardział i stwardniał w Wilnie.
Troska i rozczarowanie odcisnęły się na postarzałej, wychudzonej twarzy.

– Dźwigniecie się – burknął i zostawił mnie samą.
Rankiem obudził mnie potworny huk, jakby Wawel się zapadał.
– Co to? Wezwać króla! – wołałam w strachu.
– Nic to, nic to, mateczko! Aleksander zaczął odbudowę zamku –
wyjaśniła podekscytowana Elżbieta. – Idzie nowe!

– Aleksandrze! Aleksandrze! – Wyciągnęłam dłonie do syna, który
natychmiast stawiał się na wezwanie.
– Walimy spalone mury! – roześmiał się.
– Aleksandrze, proszę, nie! Zostaw Kurzą Nogę i Dunkę! – błagałam go
przerażona, ściskając jego dłonie.
– Ależ matko, one najbardziej zniszczone... – próbował tłumaczyć.
– Błagam, błagam, zostaw choć część.
Zmarszczył czoło.
– Porozmawiam z budowniczymi.
– Muszę, muszę wstać! – Zerwałam pościel. Usiadłam i oddychałam
zmęczona, jakbym przebiegła całą Via Regia.
– Mówiłem, że się dźwigniecie – powiedział i uśmiechnął się na
odchodnym Aleksander.

1504

Pod nieobecność króla prace na zamku trwały nieprzerwanie. Nawet jak ściągnął z powrotem w czerwcu następnego roku, zaraz po wyjściu z żoninej kolebki rad przyglądał się nieustającej kurzawie na dziedzińcu.

– Zadowoleni jesteście, mateczko? – zapytał, stojąc w rozkroku z rękami na biodrach, wpatrzony w rosnącą zachodnią część budowli.

– Źeś zachował serce zamku? Wdzięczna ci będę, synku, nawet po śmierci. – Chwyciłam go pod ramię i odwróciłam nas w stronę nieomalże całej zachowanej Kurzej Nogi i cudem chyba uratowanych resztek Dunki.

W prawie niewidzących oczach mignęła mi blada postać Heleny. Stała niepewnie, ale nie zamierzała znowu uciekać do swoich komnat jak dawniej. Pozwoliłam jej zbliżyć się do siebie. Pochyliła głowę; ucałowałam ją po matczynemu. Wyprostowała się, a ja nie wypuszczałam jej dłoni. W niczym już nie przypominała dawnej piękności. Sucha twarz podkreślała zmarszczki wokół oczu, a chora bladość uwypuklała mały ciemny wąsik pod nosem. Tylko czarne oczy wciąż gorzały blaskiem i niewysłowionym cierpieniem.

– Zapraszam do mego domu na wieczerzę. Elżbieta się ucieszy – powiedziałam do króla.

– Przyjdziemy. – Aleksander ucałował mą dłoń i pomógł żonie wejść na schody.

Wspinała się z zaciśniętymi ustami. Odniosłam wrażenie, że ma mniej sił ode mnie.

Muzycy uderzyli w lekkie, miłe dla ucha tony, świece rozjarzyły dużą salę ciepłym światłem, goście zasiedli do smacznego jadła, kiedy król z małżonką wkroczyli na cenę strojni jak dwa złote słońca w pogodny dzień. Helena niechętnie puściła rękę króla, ale z uśmiechem usiadła obok Elżbiety, naprzeciw mnie. Natychmiast odnalazła i pochwyciła dłoń małżonka, jakby bez niego umrzeć miała. Rozmawiały z królową uprzejmie, jednak nie tak jak kiedyś. Czas i dawne żale, choć już nieważne i nawet do przypomnienia trudne, rozdzieliły je na zawsze.

Nagle *tubatores* niespodziewanie zadęli w trąby, zapowiadając ważnych gości.

– Zygmunt! – Aleksander rozłożył szeroko ramiona, by powitać przybyłego brata.

– A ten tu co? – burknęłam na widok księcia legnickiego Fryderyka i pozwoliłam mu skłonić się przede mną głęboko.

*

– Helena zgodziła się wyjechać z nami do Niepołomic. – Radosna Elżbieta zakręciła się w miejscu jak dawniej. Zaśmiała się i zaróżowiona opadła na krzesło. – Wszyscy pojedziemy, ja, wy, mateczko, Helena, Aleksander, Zygmunt... – Dotknęła ładnie upiętych włosów. Patrzyłam z zadowoleniem na córkę.

– Promieniejesz.

– To lato, mateczko.

Cały fraucymer zachichotał. Elżbieta się zarumieniła. Chciałam ją o coś zapytać, ale sekretarz przyniósł listy. Skrzywiłam się i kazałam odłożyć czytanie na później.

– Nie znoszę nowin.

W chwilę potem weszli Aleksander i Zygmunt. Zapomniałam zupełnie, że miałam zapytać o coś Elżbietę.

– Stefan, gospodar mołdawski, nie żyje. – Król rzucił przyniesiony list jako dowód swoich słów.

Przysiadłam wpatrzona w Aleksandra. Zygmunt stanął za moim krzesłem.

– To nie wszystko – dodał Zygmunt. – Władzę po nim przejął jego syn, Bogdan zwany Jednookim.

– No i cóż... Nowe sojusze pewnie trzeba ułożyć. – Wzruszyłam ramionami.

– Bogdan już proponuje sojusz – bracia porozumieli się wzrokiem nad moją głową – w zamian za rękę Elżbiety.

– Co?! – Elżbieta zerwała się z miejsca i spojrzała przerażona na kogoś w głębi komnaty.

Głośno nabrałam powietrza.

– Mołdawianin?! Jednooki *barbarus*, któremu oko wyłupiono, bo sam komuś nie zdążył wyłupić?! Z Jagiellonami chce się koligacić?! Ambicjant! Też pomysł! – zaśmiałam się z haniebnie niedorzecznego pomysłu.

– Nie wyjdę za niego! Nie zgadzam się! Odmawiam! – krzyczała Elżbieta i patrzyła na mnie błagalnym wzrokiem.

– To ja się nie zgadzam. Uspokój się – zwróciłam się do córki. – Dajcie jej coś – powiedziałam do wystraszonych dwórek.

Elżbieta usiadła bez ducha i bezwolnie dała się napoić winem.

*

Królewna, uspokojona moim słowem, radośnie zbiegała na drugi dzień do kolebki, wystrojona w szarości i opale.

– Jedzie tylko do Niepołomic, a wygląda, jakby przyjąć miała sułtana – szepnęłam do Joanny, kiedy schodziłyśmy ostatnie. Spojrzała na mnie i zachichotałyśmy jak młódki.

U progu domu czekała zaniepokojona ochmistrzyni Heleny. Skłoniła się przede mną.

– Miłościwa pani, księżna nie może jechać.

Usłyszałam jęk zawodu Elżbiety, która już siedziała z Regina w kolebce.

– A dlaczego to nie może? Prowadź! – Chwyciłam mocniej laskę.

Ochmistrzyni zawahała się przez chwilę, ukłoniła niedbale i zawróciła na pięcie. Pokojowcy i fraucymer sunęli za mną.

Cóż się dzieje z tą niewiastą? Boi się jechać? Znowu się boi? Na miłość Boga, nikt nie będzie rzucał kamieniami w królewski orszak! A może czas odrzucić ten kamień? Odwagi, odwagi! Córka Zoe, a taka... Myśli moje zamarły na widok leżącej w łóżu księżnej.

Prężyła ciało, zaciskała zęby. Leżała w podróżnej sukni, jakby ból chwycił ją przed chwilą.

– Cierpi od rana – zaprzeczyła mym podejrzewaniom ochmistrzyni. – Bardzo chciała jechać – dodała smutno.

– Co się stało? – zapytałam szeptem.

– Miesięczne krwawienie. Zawsze tak jest.

– Aż tak?

Ochmistrzyni pokiwała głową, patrząc ze współczuciem na swoją panią.

– Rozebrać! – nakazałam. Przypomniałam sobie, jak uwolnienie od sukien przynosiło mi ulgę w bólu. Ale wtedy byłam brzemienna...

Oślupiałe dwórki przyglądały mi się, jakby nie rozumiały rozkazu.

– No, dalej! – Sama jedną ręką zaczęłam rozpinać srebrne guziczki na piersi Heleny. – Wyjdźcie – nakazałam pokojowcom i łożnym.

Panny uwolniły księżną z odzienia. W osłupieniu patrzyłam na olbrzymi brzuch Heleny. Dotknęłam delikatnie jej łona, było twarde i gorące. Chłodny dotyk sprawił jej wyraźną ulgę.

– Zróbcie zimny okład i zwołajcie naszego medyka.

Żałowałam, że nie znałam cudownych dekoltów królowej Sonki.

– Nie trzeba, do jutra przejdzie – odezwała się cicho Helena. – Zawsze przechodzi na drugi dzień.

Widziałam, jak fale cierpienia raz po raz wykrzywiały jej twarz, jak z bólu drżały jej uda, jak prostowała i zginała kolana. Gdybym nie wiedziała, że nie jest brzemienna, pomyślałabym, że rodzi!

Włożyła dłoń pod lędźwie i wygięła się w łuk.

– Obróć się i wypnij – powiedziałam.

Spojrzała na mnie przerażona.

Odrzuciłam laskę, sięgnęłam po lekkie okrycie i osłoniłam jej nagość.

– Powoli... – rzekłam do dwórek, kiedy odwracały księżną.

Helena posłusznie odwróciła się, jak chciałam. Położyłam chłodne ręce na jej lędźwiach i zaczęłam masować plecy, jak masowano moje po wielogodzinnych podróżach.

Wydała z siebie zduszony jęk rozkoszy z głębi poduszki. Parsknęłam śmiechem i księżna zaczęła chichotać, aż drżało całe łóżko.

Wreszcie opadła na plecy; masaż przyniósł ulgę na krótko, ale podane lekarstwo czyniło jej powieki coraz cięższymi. Siedziałam tuż przy niej, chwyciła moją dłoń. Uścisnęłam ją lekko. Odwróciła głowę w stronę okna.

– Kiedyśmy ostatnio wracali na Litwę wczesną wiosną, widziałam żurawie – mówiła powoli, a ja słuchałam uważnie. – Złączyły się w akcie

miłosnym, a kiedy samica uwolniła się od ciężaru samca, wzniosła skrzydła w radosnym triumfie. – Zacisnęła drugą dłoń na pościeli. – Oznajmiła światu, że spodziewa się potomstwa. – Spojrzała na mnie. – Skąd one to wiedzą? – szepnęła i znowu odwróciła twarz.

Siedziałyśmy długą chwilę w ciszy.

– Nie było dziecięcia – powiedziała nagle. – Oszukałam Aleksandra, by nie tracił nadziei. Na początku byłam prawie pewna, ale to tylko krwawienie wstrzymało się z nieznanых przyczyn. Oszukałam Aleksandra, matko. By nie tracił nadziei – powtórzyła.

– Heleno, moja córka Zofia też na to cierpiała – usłyszałam swój głos.

Milczała chwilę. Nie poruszyła się.

– Tak?

– Tak.

– I dziecię urodziła? – Uniosła się na łokciach.

– Osiemnaścioro.

Patrzyła z uniesionymi brwiami.

– Tak, moja dzielna córka Zofia urodziła osiemnaścioro dzieci – powtórzyłam.

– Mimo że cierpiała na to? – Wskazała na swój brzuch.

– Tak – potwierdziłam głośno, by wszyscy słyszeli.

– Przysięgnijcie – powiedziała, patrząc mi w oczy.

– Przysięgam – powiedziałam spokojnie, zanurzając spojrzenie w czerni jej źrenic.

– To może nie wszystko stracone... – westchnęła. Sen kusił bardziej niż radosna nowina. Ułożyła się na boku i pod głowę wsunęła złożone dłonie. – Jutro. Będę gotowa. Do podróży.

– Prześni to do rana – powiedział stary medyk i spojrzał na mnie tak, że spuściłam wzrok.

Szłam wolno do swojego domu. Kolebki dawno odesłano. Dlaczego ją oszukałam? Dlaczego nie namawiałam jej na zwrócenie wolności Aleksandrowi, by dla dobra dynastii pojął inną, płodną? Dlaczego nie powiedziałam jej prawdy? Wszystkie moje córki mają dzieci. Żadna na to nie chorowała. Na pewno nie Zofia. Zawróciłam do kaplicy, by ukoić duszę i zebrać u moich bliskich o odpuszczenie grzechu krzywoprzysięstwa i zdrady dynastii.

Rankiem zobaczyłam odmienioną księżną, która sama, pełna sił sfrunęła po schodach jak ptaszek.

– Ależ jedźmy! – Rozchichotana wsiadła do kolebki.

Aleksander chwycił mnie za rękę, zatrzymując w miejscu.

– Oszukałaś ją – wyszeptał. Prostował moje palce, przyglądał się każdemu z osobna, zginał boleśnie. Szarpnęłam rękę. W końcu podniósł na mnie wzrok. – Dziękuję, mateczko, za ohydnie cudowne kłamstwo. – Nie wiedziałam, czy żal widzę w jego oczach, czy wdzięczność. Westchnął, przeczesał włosy i przetaił twarz. – Niedługo ruszam na sejm. Czas na reformy. Skarb i Korona prawie nie istnieją.

*

Niepołomice pieściły nas cudowna aurą, nie było upalnie ani zimno. Zygmunt i jego towarzystwo zabawiali Elżbietę i Helenę. Przy posiłkach książę Fryderyk układał cudne wiersze, a wśród wybuchów śmiechu królowna ripostowała jego puenty. Zaś na wycieczkach pieszych i konnych wielka księżna wtórowała mężowi w ślicznych pieśniach zza Niemna.

Helena wypiękniała, zaróżowiła się, rysy jej złagodniały. Nie żałowałam krzywoprzysięstwa. Bóg nie mógł być tak okrutny, by mi nie

wybaczyć! Śmiała się jak dziecko, prosto i głośno.

Pod koniec naszego pobytu radosna grupa wraz z królem, połową dworu, służbą i muzykantami rano opuściła dwór i wróciła rozbawiona dopiero na cenę. Znudzona i stęskniona wyszłam na spotkanie młodzi.

Czy to tylko majak w starej głowie, czy chwila, błysk, który zauważyłam? Mijając Elżbietę, Fryderyk na mgnienie ledwo musnął jej dłoń. Przypadek? Nie! Widziałam! Na jedną jedyną chwilkę splekli niby luźne palce!

Boże! Ależ byłam ślepa i głupia! Laska zadrżała w mej dłoni. Krew huczała mi w głowie przez całą ucztę. Nie mogłam patrzeć w stronę oszustów. Czy Zygmunt wiedział o spisku? Na pewno tak, czyż nie zaaranżował ich spotkania? Te jego wieczne uśmiechy, tajemnicze miny! Zuchwalec! Może i Elżbieta się starzeje, ale to nie powód, by wydawać ją za pierwszego, jakiego znalazł! Ależ byłam ślepa! Popłakiwania, śmiech bez powodu, chowanie jakichś listów na mój widok, stroje! Złość coraz bardziej biła w moją rozpaloną głowę. Teraz widziałam! Gapił się na nią bez przerwy! Niby mówił do Zygmunta, ale patrzył na nią. Elżbieta była szczęśliwa, bardzo szczęśliwa.

*

– Wzywałaś mnie, matko? – powiedziała cicho, gdy późną jesienią wróciliśmy do Krakowa.

Chciałam rozmówić się z córką i wybić jej z głowy Fryderyka. Podeszła do mnie do okna. Deszcz padał od kilku dni. Elżbieta lekko dotknęła dębowego listka na szybie.

– Wyjechali wszyscy. Koniec. Zostałam sama. Jestem taka ważna i nieważna – powiedziała ze smutkiem.

Otworzyłam usta, by przemówić, ale czułam, że za tymi słowami kryło się więcej, niż mówiła.

– Przywyknę – powiedziała z rezygnacją.

Nie lamentowała, nie spazmowała, tylko usiadła i zajęła się naprawą koszul Zygmunta.

Stałam przybita jej niemą rozpaczą.

– Chcieliście coś ode mnie, mateczko? – zapytała spokojnie.

– Nie, nie, Elżbieto... Nie musisz teraz tego robić, wróć do swoich panien, zostaw koszulę... – Płatałam się wśród własnych słów.

– Zostanę z tobą, pani. Zostanę tylko z tobą – powiedziała, nie podnosząc oczu.

Nie mogłam spać, zresztą jak zwykle. Jakoś usiadłam w łożu. Jeszcze raz! Jeszcze tylko raz wymknę się do Kurzej Nogi. Na myśl o niebezpiecznej i zakazanej wyprawie uśmiechnęłam się do siebie jak małe psotne dziecię.

– Boże, już więcej nie będę... – mruzczałam przerażona, chwiejąc się na kruchych kolanach podczas wspinaczki po starych kamiennych schodach.

Zatrzymałam się w ciemności. Zdało mi się, że słyszę szelest – ktoś się skradał albo biegł. Przystanęłam i zmęczona wsparłam się na lasce. Zadrżałam, kiedy ujrzałam tańczącą Elżbietę w samej nocnej koszuli. Wstrzymała się na chwilę, by złapać oddech. Nagle jakby jakiś ciężar opadł jej z ramion, wyrzuciła wiotkie ręce w górę i zamieniła je w skrzydła. Płynęła w miejscu jak ptak, jakby w górę i w górę! Raptem ramiona opadły niczym połamane i zatrzymała się ze spuszczoną głową. Po chwili przyciągnęła nadpalone krzesło i ustawiła je w komnacie bez okien, na wprost wschodzącego słońca. Osunęła się na nie i ukrywszy twarz w dłoniach, załkała tak, jak jeszcze nigdy nie słyszałam, by płakała.

Cały dzień modliłam się i rozmawiałam z Kazimierzami, Olbrachtem, Fryderykiem, Jadwinią i Anną. Znowu prosiłam o wybaczenie. Nocą ostrożnie podreptałam do małej kancelarii obok sypialni. Mój syn wybudował mi piękny dom! Usiadłam na wygodnym szerokim krześle, sięgnęłam po błękitny papier i pióro. Ostrożnie, prawie niewidzącymi oczami, zaczęłam kreślić list. Kiedy skończyłam, drżącą dłonią jak najmocniej przybiłam swoją pieczęć i podałam arkusik zaspanemu sekretarzowi.

– Oddasz to królewiczowi Zygmuntowi po mojej śmierci. O, prawie zima! – Uśmiechnęłam się na widok wolno opadającego śniegu za oknem.

1505

Czerwiec 1505 roku nie zapowiadał niczego złego. Zwykle sprawy: sejm, ogłoszenie nowych podatków, pohukiwania pazernej magnaterii, pokrzykiwania coraz śmielszej szlachty. Aleksander reformował. Do tego nakazał Łaskiemu spisać wszystkie prawa obowiązujące w Koronie. Nowy świt majaczył przed Jagiellonami. Tylko to lato takie znowu gorące...

Spojrzałam w dół na bruk przed katedrą. Ochmistrz biegł co sił w stronę mojego domu. Cofnęłam się wystraszona do komnaty.

– Nie lubię wieści, nie lubię wieści – mamrotałam i przerażona usiadłam wpatrzona w drzwi, ściskając poręcz.

– Miłościwa pani, król doznał paraliżu! Ale ma się lepiej. Już ma się lepiej! – Stanisław dyszał uwieszony na framudze.

Robak ugryzł mnie tak, że krzyknęłam i upadłam. Obudziłam się z uniesioną dłonią.

– Po co krew upuszczają?! Doskonale się czuję! Dobrze wiesz, Elżbieto, że tego nie lubię! Co z Aleksandrem?! Co z królem? Nie żyje?! Mówcie! – Miotalam się w łóżu. Zakręciło mi się w głowie i zwymiotowałam.

– Król żyje, jedzie do Krakowa – powiedziała Joanna, delikatnie ocierając moje usta.

– Jedzie? Powinien wypoczywać... Nie wolno mu! – mówiłam, ale świat wirował wokół mnie. Opadłam na poduszki. Ktoś odgonił kota.

– Zostaw go, zostaw – zdążyłam wyszeptać i zapadłam znowu w ciemność.

*

Nie pozwalają mi wstać. Po prawdzie trudno mi ustać na nogach. Próbowałam w nocy. Jest już Aleksander, uparł się, że mnie odwiedzi, choć on sam chory! Więc siedzę w nowym głupim czepku i patrzę w stronę martwych drzwi. Fraucymer w ciszy oczekuje króla. Idzie! Słyszę szum rozmów towarzyszącej mu świty. Smukłe skrzydła drzwi otwierają się szeroko i powoli o dwóch laskach kuśtyka bardziej nieporadnie ode mnie mój synek. Ból odbiera mi mowę.

Idzie w moją stronę drżący i cierpiący. Mimo to próbuje się uśmiechać połową ust. Druga część twarzy jest martwa! Mój chłopiec, mój mały chłopiec, który chciał zostać królem, idzie do mnie, jakby z każdym następnym krokiem miał upaść na twarz. Drży i mocije się ze sobą! Walczy o każdy krok, unosi głowę i świszczy głośno przez nos. Nie mam siły ocierać łez. Wreszcie staje przed moim łóżem, ale nie umie usiąść. Pokojowcy biorą go pod boki i sadzają na podwyższeniu. Drży przez chwilę. Helena przybiega i przysiadła u jego stóp. Przytuliła głowę do królewskich kolan i patrzy na mnie z niemą rozpaczą w oczach.

– Oddałem władzę szlachcie – odzywa się król niewyraźnie przez lekko rozchylone usta. – *Nihil novi* – dodaje.

– Nic nowego bez ich zgody ustanowić nie możesz, słyszałam – dopowiadam i czuję płynną sól w suchych ustach, nie mam siły się poruszyć.

Zamykam oczy. To już koniec, Kazimierzu. On umrze, wiem to. Obym ja umarła prędej! Oby Bóg okazał mi łaskę! Gorące łzy płyną nieprzerwanie po mojej pomarszczonej twarzy.

Dzień i noc zlewają mi się w jedno. Robak raz siedzi cicho, raz rozrywa mi piersi i dusi bez powodu tak, że nieraz naprawdę brak mi tchu. Ręce mam ciężkie, ale plecy już mnie nie boją. Jestem sama. Brakuje mi moich starych świętych na suficie. Jest dzień, potem noc, potem dzień i dzień. Światło pojawia się i gaśnie. Tak brak tchu, tak brak mi tchu! Szarpią mnie i krzyczą! Jest! Widzę go! Na Kurzej Nodze siedzi potężny czarny smok. Mój król przybył po mnie! Rozpościera smoliste skrzydła, wielkie jak żagle w jego zwycięskich statkach. Zauważył mnie i niczym czarny dym spływa do moich stóp. Jak kot ociera o mnie szeroki, aksamitny, złoto-diaamentowy łeb. Śmieję się jak dawniej, jest mi tak lekko, tak lekko... To już?

*

Elżbieta Jagiellonka siedziała pod oknem. Na rękach trzymała tłustego burego kota.

– Ma-a? – zapytał po kocie.

– Nie ma. Nie ma jej, kocie – odpowiedziała królowa i delikatnie ułożyła zwierzę na miękkim fotelu. Skrzywiła się na widok głębokiej czerwonej rany za jego uchem i z powrotem podeszła do okna. Oparła czoło o szybkę i dotknęła rżniętego w szkło zielonego dębowego listka. – Nie ma jej, nie ma, a *capella* brzmi tak samo, wóz z kuchni skrzypi jak zawsze i deszcz pada jak wczoraj... Toż przecie mateczka umarła... – szepnęła.

Do komnaty ktoś wszedł.

– Pięknie wyglądasz – powiedział królewicz Zygmunt na widok siostry i zbliżył się, by ucałować jej dłonie. Stary Bielik szedł tuż za nim.

Brat i siostra usiedli pod oknem naprzeciw siebie.

– Miała to pod poduszką. – Elżbieta zdjęła z małego stolika i podała bratu purpurową, bardzo starą sakiewkę. – Wiesz, co to?

Zygmunt włożył dłoń do środka i ze zdziwieniem ostrożnie przesypał między palcami bury pył.

– Nie – szepnął zdumiony.

– Widać ważne dla niej było – odpowiedziała zaskoczonemu i z namaszczeniem odłożyła sakiewkę z powrotem.

Biały piesek podreptał ostrożnie w stronę fotela, na którym leżał kot, wspiął się na łapkach i z czułością obwąchał ranę starego przyjaciela. Zygmunt podszedł do siedziska i pochylił się nad zwierzakiem.

– Co mu się stało?

Elżbieta westchnęła.

– Chodził do kaplicy i sypiał na jej grobie. Znaleźli go tam, nie chciał zejść i omal go nie zatłukli. Tigran go uratował. – Otarła łzy.

Niepewnie zrobiła kilka kroków i chwyciła brata za rękaw. Zygmunt z uśmiechem położył dłoń na jej dłoni. Zamrugła i przełknęła ślinę, nim się odezwała.

– Zyguncie, grzech popełniłam. Grzech ciężki popełniłam, że jej nie powiedziałam o Fryderyku. Zresztą nigdy nie sprzeciwiłabym się jej woli. Musiałam zwrócić mu słowo. To było szaleństwo i zbrodnia. Oszukiwałam ją i dziwne, że prawdy nie odkryła. – Zamilkła na chwilę. – Nie obawiaj się o sojusz z Mołdawią. Wyjdę za Bogdana. – Spojrzała mu w oczy.

– Odkryła. Przyniosłem ci coś. – Uśmiechnął się i wyjął zza dubletu list.

Zaskoczona Elżbieta ostrożnie rozłożyła arkusik i zaczęła czytać nierówne pismo.

„Kochany synku nasz!

Jeśli czytasz te słowa, znaczy, że jestem już z twym wielkim ojcem.

Odkryłam wasz sekret. Wiem, że Elżbieta miłuje tego Fryderyka, syna kacerskiego obżartucha, a Fryderyk miłuje ją.

Jako że jestem królową i do tego starą królową, mogę robić, co mi się podoba. Dlatego zezwalam na ślub Elżbiety z księciem czegoś tam. Niechaj siebie miłują i miłują mnie.

Tylko dzięki temu, że byłam miłowana i dawać mogłam miłowanie, miałam bardzo szczęśliwe życie. Naprawdę, Zygmunco.

I powiedz swej siostrze, że ma teraz nie płakać.

Ja idę usiąść u boku twego ojca, bo czas nam w kolejną podróż”.

Naraz targnął Elżbietą i śmiech, i szloch.

– Czyż ona nie największa z królowych?!

Rzuciła się bratu na szyję.

Stali długo w objęciach, a potem spleceni wolno ruszyli na nowy dziedziniec. Zamek piął się coraz wyżej.

– Mówiła coś przed śmiercią? – zapytał Zygmunt zapatrzony na coraz wyższe zachodnie skrzydło. Elżbieta pokręciła głową i smutna spuściła wzrok.

– W gorączce pytała o jakieś sny i smoki...

Zygmunt przestąpił z nogi na nogę, przeczesał dłonią włosy i uśmiechnął się niepewnie.

– Dziwne, od pacholęcia śnię smoka – powiedział.

Zygmunt zwany później Starym, mąż królowej Bony, ojciec Zygmunta Augusta, panował przez czterdzieści jeden lat w złotym okresie dla polskiej kultury, sztuki i gospodarki. Ufundowany przez niego dzwon możemy usłyszeć i podziwiać na Wawelu do dziś.

Spis treści:

Okładka

Karta tytułowa

1454

1455

1456

1457

1458

1459

1460

1461

1462

1463

1464

1465

1466

1467

1468

1469

1470

1471

1472

1473

1474

1475

1476

1477

[1478](#)

[1479](#)

[1481](#)

[1482](#)

[1483](#)

[1484](#)

[1485](#)

[1486](#)

[1487](#)

[1489](#)

[1490](#)

[1491](#)

[1492](#)

[1493](#)

[1494](#)

[1495](#)

[1496](#)

[1497](#)

[1498](#)

[1499](#)

[1500](#)

[1501](#)

[1502](#)

[1503](#)

[1504](#)

[1505](#)

[Karta redakcyjna](#)

Copyright © 2019, MG

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw.

ISBN: 978-83-7779-577-4

Projekt okładki: Anna Slotorsz

Zdjęcia i ilustracje użyte na okładce: Adobe Stock (© Flaffy, © Rovertó)
oraz polona.pl
(domena publiczna)

Skład: Nutrito

Korekta: Agnieszka Zielińska

www.wydawnictwomg.pl

kontakt@wydawnictwomg.pl

handlowyMG@gmail.com

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Angelika Duchnik